

KAMELEON

ADELE PARKS
NA JEJ MIEJSCU



CZY STAŁY ZWIĄZEK MOŻE BYĆ SEXY?



Adele Parks



NA JEJ MIEJSCU



Bez nadziei serce by pękło.

Przysłowie

WRZESIEŃ

1

Po południu Martha na ogół nie bywała na stacji Earl's Court. W ogóle rzadko jeździła metrem; z dziećmi było to naprawdę niemal niewykonalne. Niezbyt wiele stacji posiadało windy, a wleczenie ze sobą dziesięciomiesięcznej Maisie i dwuipółletniego Mathew (nie wspominając o dodatkowych akcesoriach, takich jak podwójny wózek, niezliczone torby, kilka lalek, książki, płaszcze przeciwdeszczowe itd., itp.) po schodach, ruchomych lub zwykłych, nie było według niej najlepszym sposobem spędzania czasu. Martha rzadko wychodziła z domu bez dzieci, więc na ogół jeździła po Londynie rodzinnym samochodem. Jednak tego dnia samochód stał w warsztacie.

Przeklęty szczęściarz.

Martha z poczuciem winy rozejrzała się wokół, jakby wypowiedziała swoją myśl na głos. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, więc chyba jednak nie mówiła do siebie.

Nie, żeby narzekała, że Michael nie zwraca na nią uwagi, tylko... no dobrze. Narzekała.

Dzieci zostały pod opieką jej matki. Również z tego powodu Martha czuła się winna, chociaż poczucie winy ogarniało ją tak często, że właściwie przestała je rozpoznawać. Nie czuła również tego, że jest spięta, zdenerwowana lub nawet wykończona. Była przerażająco przyzwyczajona do tępego bólu w dołku, oznaczającego, że mimo największych wysiłków o czymś zapomniała, czegoś nie dopilnowała lub ogólnie zawałiła.

Uważała, że nie wypada prosić matki o zajęcie się dziećmi tylko po to, by pójść do fryzjera, chociaż matka wciąż jej powtarzała, iż to dla niej przyjemność. Wydawało się to egoizmem. Od ponad pięciu lat jeździła do salonu Toni and Guy w Knightsbridge po to, żeby zadziwiający Stephen obciął jej włosy. Na ogół brała ze sobą dzieci, co było sporym utrudnieniem. Jedno lub drugie, a zwykle obo-

je, wrzeszczało przez cały czas, zamieniając przyjemną z założenia wizytę w koszmar. Tego dnia Martha zastanawiała się nad wpakowaniem dzieci w taksówkę zamiast jazdy metrem. Jednak wtedy musiałyby zapakować do taksówki oba foteliki samochodowe, a kierowcy zwykle się przy tym niecierpliwi. Gdzie miałyby potem podziąć te foteliki u fryzjera? Zawadzałyby wszystkim.

Martha nie znosiła zawadzać komukolwiek czy też powodować jakiegokolwiek, choćby najmniejszego, niedogodności. Chciała zawsze wtopić się w tłum. Gdyby to było możliwe, najchętniej stałaby się niewidzialna. Poza tym taksówki zawsze wydawały się jej ekstrawagancją, a to nie leżało w jej stylu. Rzeczywiście jakakolwiek ekstrawagancja była jej całkowicie obca — wyjątek stanowiły akcesoria do pielęgnacji włosów w jaskraworóżowym kolorze.

Sytuacja stała się więc patowa. Na szczęście matka zdjęła z Marthy ciężar decyzji, pojawiając się z balonami i dodatkami spożywczymi E w postaci słodyczy i soków owocowych.

Martha sięgnęła do nienagannego kołnierzyka bluzki i wyprostowała go. Sprawdziła swoje odbicie w lśniącym automacie do słodyczy, który stał kusząco na peronie. Z ramion strzepnęła kilka zabłąkanych włosów. Miała idealnie symetryczną fryzurę. Chodziła do fryzjera w każdy pierwszy piątek miesiąca na czternastą piętnaście. Jedyne ktoś bardzo spostrzegawczy zauważyłby, że w ogóle była u fryzjera; jej włosy były jedynie odrobinę ostrzej obcięte, leciutko bardziej ułożone. Martha była z tego zadowolona, tym bardziej że nie było niemal widać różnicy.

Włosy Marthy, jak ona sama, były lśniące, ułożone i uporządkowane. Miały kolor brązowy z delikatnymi, jaśniejszymi pasemkami. Nie znosiła włosów wyglądających, jakby się dopiero co wstało, włosów wysuszonych na siano, włosów w artystycznym nieładzie, a nawet loków. Marcie podobały się włosy proste, ułożone i pod kontrolą. Absolutnie odcinała się od kobiet, których włosy miały „złe dni”. Jak można, wstając z łóżka, mieć włosy rozczochrane, sterczące pod najdziwniejszymi kątami! Albo włosy zdradliwe, opadające akurat wtedy, kiedy powinny być puszyste, a unoszące się, kiedy powinny leżeć płasko. Martha odetchnęła głęboko, przerażona na samą myśl.

Miała na sobie beżowy, bardzo długi płaszcz z czystej wełny, związany paskiem podkreślającym jej zgrabną talię. Nie był modny, ale klasyczny i bardzo do niej pasował. Do tego rajstopy grubości 10 den w cielistym odcieniu (pończochy są niedorzeczne, a pończochy samonośne po prostu nie chcą się trzymać na nodze). Strój wykańczały eleganckie buty, kupione w sklepie Russell and Bromley, które na niej wyglądały jednak jak obuwie zdrowotne Dr. Scholla. Obcasy miały cztery centymetry, nie więcej.

Pod płaszczem Martha miała schludny, szyty na miarę granatowy kostium (chwała Bogu, nie czarny, nie była prawnikiem i oczywiście nie pracowała w reklamie). Do tego jasnoniebieską bluzkę; oprócz obrączki i pierścionka zaręczynowego (duże oczko z kilku diamentów) nie przejmowała się biżuterią, choć nosiła piękny, drogi zegarek. Podczas gdy kobiety uznawały jej cerę, włosy i paznokcie za idealne oraz zgadzały się, że jest atrakcyjna, mężczyźni częściej komplementowali jej umysł (ci

nowocześni) oraz jej tarty (ci bardziej tradycyjnie nastawieni). Podobała się mężczyznom, którzy w młodości kochali się w swoich nauczycielkach oraz księżnej Dianie. Uważali ją za niezwykle seksowną.

Martha miała wrażenie, iż każdy na peronie Earl's Court uważał wszystkich innych za niezwykle seksownych. Z dużym wysiłkiem utrzymywała spojrzenie na automacie ze słodyczami.

Było około czwartej, to czas, kiedy uczniowie wracali do domu. Oburzające, że i dzieci uważały wszystkich wokół za seksownych. Martha usiłowała zachowywać obojętny wyraz twarzy i nie zaciskać ust w wiele mówiącym grymasie. Dziewczynki w wieku od dwunastu do szesnastu lat (kto to może dzisiaj powiedzieć?!) otwarcie flirtowały z rówieśnikami! Tylko patrzeć, a Mathew będzie w tym wieku. Na tę myśl Marcie ścisnął się żołądek, a zaraz potem przeszył ją niepokój. Był wrzesień, młodzi powinni mieć na sobie kurtki; wkrótce będą potrzebować chusteczek, jako że dziewczyny uparcie nosiły spódniczki w rozmiarze dla pięciolatek.

Tak jak napędzani testosteronem chłopcy na dworcu, Martha z trudem powstrzymywała się od obserwowania zwłaszcza dziewczyny stojącej kilka metrów dalej i żującej gumę. Dziewczyna opierała się o plakat reklamujący najnowszy hit kinowy. Marthę uderzyła jej filmowa uroda, często spotykana u nastolatek. Może to rezultat spędzania godzin na wyobrażaniu sobie siebie w filmach, wskutek czego każdy ruch stawał się obliczony na wywołanie wrażenia na widzach. Przynajmniej tyle Martha pamiętała z własnego wieku dojrzewania. Dziewczyna miała na sobie sweter przewiązany na biodrach i krzywo zapiętą bluzkę, co miało wyglądać niedbale, jakby zapinano ją w pośpiechu, którego okoliczności pozostawiono wyobraźni obserwatora. Martha wiedziała, że osiągnięcie takiego efektu musiało kosztować dziewczynę sporo wysiłku i prób.

Martha razem z grupką hałaśliwych, przepychających się chłopców przyglądała się, jak dziewczyna wkłada palec do ust, wyjmując gumę do żucia i rozciąga ją na palcu jak pępowinę. Zakręciła ją, po czym ponownie włożyła do ust. Choć otwarcie kokietyjne, było to zachowanie właściwie niegroźne, a jednak wywołało w Marcie niepokój. Przypomniało jej o czymś — ale mimo wysiłków nie uprzytomniła sobie o czym. Najwyższy chłopak z głośnej grupy wystąpił naprzód i odważnie zagadnął dziewczynę. Wpatrywał się w nią z otwartym pragnieniem. Było oczywiste, że myśli jedynie o tym, jak można by zostawić ślady rąk na jej ciele. Martha poczuła kładącą się ciężarem na sercu zazdrość, poderwała rękę do szyi, jakby chciała ją odpędzić. Zazdrość była dla niej uczuciem niedozwolonym.

Wysoki chłopak nie był pewien, jak wyjaśnić swój apetyt i pewnie jeszcze przez kolejne kilka lat nie osiągnie odpowiedniego poziomu elokwencji, więc para jąkała się i na zmianę czerwieniła, rozmawiając — jak domyśliła się Martha — o jakimś zespole popowym. Dziwne, że do tego stopnia niezawołowana seksualność mogła być tak niewinna, tak pełna nadziei. Zazdrość kobiety roztopiła się w tęsknocie. Dziewczyna wyczuła spojrzenie Marthy i odpowiedziała wzrokiem pełnym młodzieńczo

uczciwej wrogości. Martha z rumieńcem odwróciła spojrzenie. Dzięki Bogu, na peron wjechał pociąg. Martha zrugła się w myślach; tęsknota jest jeszcze gorsza niż zazdrość.

2

Eliza rozejrzała się po mieszkaniu Grega. Właściwie była to zagracona nora. Inaczej nie dało się go opisać; żadna liczba porozwieszanych batików czy świec w butelkach po winie nie zdołała ukryć tego faktu, a wręcz uwydatniała problem.

Miała trzydzieści lat. Trzydzieści, nie dwadzieścia. Po wypiciu większej części butelki czerwonego wina słowo „trzydzieści” wirowało jej po głowie, obijając się o obolałe komórki mózgowie. Trzydzieści. Liczba unosiła się wokół niej jak natrętna osa, której nie dało się odpędzić. Trzydzieści — tak blisko czterdziestu, że przez moment Eliza wstrzymała oddech. Powoli złożyła na pół pudełko od pizzy, uważając, żeby nie rozsypać na dywan okruchów ani resztek oliwek. W wieku trzydziestu lat przy zamawianiu pizzy z Fiorentiny powinna dodać: „Ale bez oliwek”. W wieku trzydziestu lat właściwie nie powinna jeść pizzy z pudełka, w towarzystwie pudełka, w piątek wieczorem. Powinna?

Oczywiście, że nie.

Powinna uczestniczyć, a może nawet urządzać kolacje na sześć czy osiem osób, wszystkich bez wyjątku wyrafinowanych, zabawnych i modnych. To robiła Martha. Powinna nosić dzinsy marki Wakely, a nie Warehouse — choć trzeba przyznać, że te były bardzo wygodne. Powinna siedzieć na tropikalnej plaży lub w saunie w chatce u podnóża ośnieżonych gór w jakimś modnym ośrodku narciarskim albo też w najgorszym przypadku tańczyć salsę na kursie tańca. Boże, istniały miliony o wiele bardziej atrakcyjnych miejsc.

Eliza przeniosła spojrzenie na Grega palącego trawkę. Na miłość boską! Nawet jego dobór towaru był żenująco przestarzały. Teraz już nikt nie pali trawki oprócz studentów, którzy nie stykają się z niczym lepszym, i sześćdziesięciolatków, którzy rozpaczliwie usiłują przypomnieć sobie studenckie czasy, kiedy nie stykali się z niczym lepszym. Eliza nie знаła Grega w czasach studenckich. Spotkali się cztery lata temu, kiedy Greg już zdmuchnął trzydzieści świeczek na swoim torcie urodzinowym, a jednak nigdy nie widziała, żeby zachowywał się inaczej niż student.

Początkowo fascynował ją jego oparty na portfolio zawód, a zirytował ojciec, który wybuchnął śmiechem i zapytał, czy to tak się teraz nazywa, kiedy ktoś jest zbyt leniwy lub głupi, żeby znaleźć pracę.

Greg grał w zespole i na pewno był uzdolniony.

Na pewno też nigdy nie zostanie odkryty.

Najbardziej denerwowało, że jemu chyba na tym nie zależało. Eliza, redaktorka wideo pop (a właściwie asystentka — ona też późno rozpoczęła karierę), mogłaby mu pomóc (przynajmniej przed-

stawić ludziom, którzy mogliby mu pomóc). Jednakże za każdym razem, kiedy o tym wspominała, Greg wzruszał ramionami i ze śmiechem kwitował jej słowa stwierdzeniem: „Słodka jesteś”.

Nawet lubił swoją dzienną pracę: sprzedawał kapelusze w Covent Garden, w Apple Market. Dziewczyna, która je robiła, płaciła mu gotówką, więc zawsze miał pieniądze na wieczory w pubie, poza tym mógł finansować swoje koncerty, które również odbywały się w pobliskim pubie.

Pieniążki. Eliza z rozpaczą powtórzyła słowo, którego Greg używał na określenie swoich zarobków.

Eliza miała zbyt wiele lat, by żyć z człowiekiem o słownictwie porównywalnym do zasobu słów jej siostrzeńca. Mathew nie miał nawet trzech lat.

Starzenie się. Eliza go nienawidziła. Albo raczej czuła się nieprzygotowana. Z byciem młodą radziła sobie doskonale, miała wrodzony talent. Buntowała się, wrzeszczała, kaprysiła i chodziła po klubach. Za dużo piła, za mało jadła, zaliczyła narkotyki, tańczyła z drag queens. Farbowała włosy, przebiła nos, zrobiła sobie tatuaże na ramionach, pokazała wszelkie swoje wdzięki (tylko raz, na meczu rugby, a policjant docenił jej poczucie humoru; widocznie goli ludzie w miejscach publicznych zdarzali się częściej, niżby się wydawało). Chorowała na dyzenterię w Indiach, jadła surową rybę na plażach w Tajlandii, mieszkała na barce w Camden oraz spała na plaży w Kalifornii. Piła sake z japońskimi biznesmenami oraz wódkę z bykawatym gościem, który chwalił się, że ma powiązania z rosyjską mafią. Piła G&T w Londynie. Mnóstwo. Dopiero kilka miesięcy temu zaczęła się zastanawiać, czy nocne wypadki rzeczywiście były warte kaca następnego dnia.

W przeszłości to Eliza dyktowała tempo. Teraz nie była przekonana, czy w ogóle chce brać udział w wyścigu.

Eliza nie wyglądała na swoje lata. Jak wielu londyńczyków, wyglądała na osobę między osiemnastką a pięćdziesiątką. W Londynie wiek to sprawa nastawienia, choć dla Elizy było to obecnie raczej pole minowe. Miała nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i była bardzo szczupła. Odkąd skończyła dziesięć lat, czekała, aż urosną jej piersi. Teraz, po dwudziestu latach, przyznała, że Jordan musiała dostać to, co Bóg przeznaczył dla Elizy Evergreen. I chociaż nie znosiła faktu, że mężczyźni dzielą się na tych, którzy patrzą najpierw na nogi, oraz na tych, którzy wolą patrzeć na biust, jakby kobiety były kurczakami na obiad, cieszyła się, że ma długie, opalone, silne nogi, które wydawały się sięgać jej do uszu. Ćwiczyła, by utrzymać w formie kształtne łydki i płaski brzuch; starała się też walczyć z tłuszczem gromadzącym się na jej ramionach.

Włosy nosiła przycięte w bezładną strzechę. Albo raczej: niezależnie od tego, jak je obcięła, włosy miały swoje zdanie i zawsze się tak układały. Eliza z natury była brunetką, choć wiedziała o tym tylko jej matka. Sama Eliza ledwo o tym pamiętała, gdyż farbowała włosy tak często jak inne kobiety malowały paznokcie. Przerabiała już tycjanowski blond, czerwień, miód, kruczą czerń, kasztan, szkarłat i srebro. Trudno powiedzieć, który odcień najbardziej jej pasował, gdyż zawsze dobrze wyglądała.

W jej elfiej twarzy dominowały wielkie, brązowe oczy. Nosiła ubrania Kookai, Roxy, Diesela i Miss Sixty. Należała do tej nielicznej grupy ludzi, którzy w skąpych, modnych ciuszkach wyglądają tak dobrze, jak obiecują reklamy. Eliza była dzieckiem.

Dwa razy w latach osiemdziesiątych, kiedy marnowała młodość, kopiąc na oślep i popalając marlboro light przed sklepem monopolowym, ktoś podszedł do niej i zapytał, czy myślała kiedyś o zostaniu modelką. Okazuje się, że takie rzeczy się zdarzają.

— Żartujesz sobie, prawda? — odpaliła zwięźle, chwyciła teczkę i pobiegła do szkoły, zaliczać kolejne egzaminy w szkole średniej. Dostała nawet niezłe oceny.

Inteligentne dziecko.

Eliza robiła wrażenie autentycznej, z dziada pradziada, mieszkanki Londynu. Jej kościste, długie kończyny, jej modne ubrania, wysokie kości policzkowe i dogłębna znajomość przemysłu muzycznego podtrzymywały tę iluzję. Ale jednak nie pochodziła z Londynu. Pochodziła z małego miasta w Midlands, choć prędzej połknęłaby tłuczone szkło, niż się do tego przyznała. Jednak to Londyn stanowił jej duszę. Była pewna siebie, niezależna, ekscentryczna i w razie potrzeby egoistyczna. Od prawdziwych londyńczyków różniło ją jedynie to, że widok budynków Parlamentu, Big Bena czy mostu Westminster wciąż ją przytłaczał. Nigdy nie rozumiała ludzi pędzących mostem, z pochyloną pod uderzeniami wiatru głową, przyciskając do siebie aktówkę czy laptopa, które miały ich chronić przed zimnem i zgiełkiem.

No tak, ale Eliza nie miała aktówki.

Wciąż jeszcze pamiętała dreszcz, który przejął ją w chwili, kiedy w wieku osiemnastu lat przyjechała do Londynu na studia w St. Martin's. Potem jej najukochańszym miejscem w całym mieście stało się Covent Garden. Zapachy olejków do aromaterapii mieszające się z sałatką coleslaw i ziemniakami w mundurkach przyprawiały ją o dreszcze. Stoiska z używanymi džinsami Levi's czy ludzie proponujący wróżenie z ręki za piątaka mieszały się w jej głowie w chaotyczną, awangardową i kreatywną całość, czyli to, czego brakowało w jej mieście. Teraz nie znosiła pomagać Gregowi w rozstawianiu sprzętu w Apple Market. Covent Garden zmieniało się. Albo raczej w ogóle się nie zmieniało i może na tym polegał problem. Teraz już nie uosabiało sztuki ani szyku, raczej wydawało się Elizie mieszaniną starzyzny i nędznych błyskotek. Towary na stoiskach zaskakiwały ją i rozczarowywały. Kto to kupował? Kto chciałby mieć w domu coś takiego? Gdzie podziały się urokliwe, maleńkie bary podające doskonały strudel jabłkowy i miękki nugat? W tej chwili Eliza widziała wokół siebie jedynie sieci barów z hamburgerami i pizzą.

Greg uwielbiał Covent Garden. Lubił się śmiać, poznawać ludzi, pogawędzić o duchowym aspekcie kryształu ametystu i tym podobnych sprawach. Nie miał chęci posiadania konta na wydatki reprezentacyjne, prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego czy nawet pióra Mont Blanc. Eliza nie mogła

uniknąć zastanawiania się, jakie zrobiłby wrażenie w towarzystwie ludzi, którzy narzekali na brak dobrej sprzątaczkii.

Westchnęła i spróbowała zdusić w sobie niezadowolenie, podobne do zatechłego powietrza ukrytego głęboko w płucach. Niezadowolenie, które nachodziło ją stopniowo, ogarnęło całą, a teraz groziło wybuchem. Rozsadzeniem wszystkiego wokół i rozsadzeniem ich związku.

Zastanowiła się, kiedy zaczęła patrzeć na Grega jak na nieudacznika, kiedy zaczęła widzieć w jego niebieskich, pociągających oczach o kolorze jesiennego nieba lenistwo, a nie lubieżność. Kiedyś podobała się jej jego postawa „Do diabła z tym wszystkim”. Podobało się jej, że teksty piosenek zapisywał na ścianie łazienki, ale teraz wołałaby, żeby więcej uwagi skupił na folderze kolorów farb Duluxa. Miała bolesną nadzieję, że kiedyś wspomni o klubie golfowym, planie emerytalnym lub też — dokładnie rzecz biorąc — o ślubie. Znudziło się jej bycie nastolatką.

A jednak był pociągający.

Jego widok zapierał dech. Miał gibkie biodra i mocne usta; mimo że protestowała przeciwko jego nawykowi jedzenia palcami, noszeniu butów Martensa i długim płaszczom ze sklepów z odzieżą używaną (co robił, odkąd skończył dziewiętnaście lat, chociaż zarabiał mniej więcej tyle samo, co wtedy), bardzo cieszyła się, że jego popęd też się od tego czasu nie zmienił.

Cieszyła się niezwykle, ale już nie niebiańsko.

3

— Idziesz do łóżka, kochanie? — Uśmiech miał chyba ukryć fakt, że Michael był kompletnie wykończony; zdradzały go jedynie zmarszczki w kącikach ust, które łączyły się wtedy w siateczkę jak dopływy rzeki.

Martha poczuła jednocześnie współczucie i irytację, co jest możliwe do osiągnięcia tylko w długoletnim, stabilnym, udanym związku. Związku tylko odrobinę... przez głowę Marty przemknęło słowo „nudnym”, ale natychmiast znikło. Zastąpiła je określeniem „bezpieczny”. Współczuła Michaelowi, że był taki zmęczony; naprawdę ciężko pracował, jak wszyscy wielcy przemysłowcy, wykonując dla Esso wszelkie kluczowe zadania, których szczegółów jednak do końca nie znała. Ale z drugiej strony był piątek. A piątkowy wieczór oznaczał seks. Nawet po dziesięciu latach piątek wciąż oznaczał seks. Michael na pewno zdawał sobie z tego sprawę.

Chciał tego.

Jakby czytając w jej myślach, Michael przystanął w drzwiach i dodał:

— Obojgu nam przydałoby się pójść wcześniej spać.

Uśmiechnął się znów, tym razem był to szczery, zalotny, zapraszający uśmiech. Zareagowało na niego ciało Marty; ukłucie w żołądku było odpowiedzią jej współczującej części na jego ciągłe zmę-

czenie, części rozumiejącej obciążenie, jakim jest wszechobecna ambicja. Ciepło, jakie poczuła między nogami, wywołała inna partia jej osobowości, ta, która nie tylko szanowała jego pęd, ale dla niego wyszła za Michaela.

Część jej umysłu, poirytowana jego ciągłym zmęczeniem, które odebrało mu mowę na cały wieczór — w końcu ona też odczuwała zmęczenie, dzieci były tego dnia wyjątkowo odporne i wymagające, a Martha jednak zagadywała Michaela właściwie bez przerwy w czasie kolacji — ta część skłoniła ją do odmruknięcia.

— Tylko skończę ten rozdział i przyjdę.

Ledwie Michael wyszedł z pokoju, a Martha pożałowała swojej odzywki. Nie okazała zbyt wielkiej wdzięczności; powinna jej czuć więcej.

Prawie codziennie Martha miała w zwyczaju liczenie darów, jakie otrzymała w życiu. Była to pozostałość po wychowaniu w rodzinie z niższej klasy średniej. Jako dziecko cieszyła się, że nie mieszka w Afryce (brak jedzenia), że nie jest psem (brak duszy), nie jest staruszką (niepanowanie nad pęcherzem) ani nie pochodzi z rodziny Johnsonów mieszkającej przy tej samej ulicy (nieposiadanie rowerów Raleigha). Teraz Martha bardziej usiłowała skupić się na tym, co miała (dużo), niż na tym, czego jej brakowało (nie warto wspominać).

Dziś na przykład był cudowny dzień. Bardzo miło ze strony mamy, że zajęła się dziećmi. Martha usiłowała nie pamiętać o papierkach po słodyczach, które dojrzała w śmietniku; wołała skupić się na fakcie, że włosy znów miała równo przycięte. I chociaż zdenerwowała się, kiedy z warsztatu zadzwoniono z informacją, iż naprawa range rovera potrwa dłużej, niż przewidywano, a samochód będzie gotowy dopiero po niedzieli, i tak czuła się szczęściarą, że w ogóle mieli range rovera. Był to okropnie drogi samochód, który — jak czuła — powinien właściwie należeć do kogoś innego. Martha zawsze zdawała sobie sprawę, że w wieku trzydziestu dwóch lat była już znacznie bardziej zamożna, niż jej rodzice odchodząc na emeryturę. Usilnie starała się odczuwać wdzięczność za swą zamożność, ale szczerze mówiąc, czuła się nią bardziej zakłopotana; kolejna rzecz wzbudzająca w niej poczucie winy.

Inne dary? Twarz Mathew, kiedy Martha wróciła do domu po wizycie u fryzjera. Była zachwycona, kiedy przebiegł przez przedpokój i rzucił się na jej nogi. Przywarł do jej spódnicy, całując jej pończochy; te żarliwe, niedoświadczone pocałunki poruszyły ją do żywego. Dobrze nawet, że zawołał: „Mamo, twoje nóżki łaskoczą”, przypominając jej, że musi pamiętać o wosku. Trzeba szybko umówić się do kosmetyczki, nie miała zwyczaju zapuszczania się.

— Na ogół Mathew nie wita mnie z takim entuzjazmem — odezwała się Martha do matki. Miała nadzieję, że nie zabrzmie to tak, jakby oskarżała matkę o złe traktowanie dziecka, bo absolutnie nie miała takiego zamiaru.

— Kochanie, rzadko ma okazję stęsknić się za tobą, bo nie zostawiasz go na długo — odparła rzeczowo pani Evergreen.

Martha nie rozumiała, o co jej właściwie chodzi, ale poczuła się lekko skarcona. Matka przecież na pewno doceniała jej oddanie dzieciom i na pewno była dumna z córki. W końcu tak samo pani Evergreen wychowywała Marthę i Elizę.

Dlaczego więc wszystkie jej dary wydawały się zanieczyszczone... męczącymi uczuciami... Martha nie dokończyła tej myśli. Wstała, nalała sobie jeszcze pół kieliszka białego wina. Nie piła wiele; nie tykała wódek (zbyt mocne) ani czerwonego wina (barwi zęby). Półtora kieliszka białego wina co trzy dni to zwykle wszystko, na co sobie pozwalała; z dziećmi w domu przekroczenie tych granic byłoby skrajną nieodpowiedzialnością. Dzisiaj pozwoliła sobie na dodatkowe pół kieliszka. W końcu był piątek.

Kolejny dar: dzieci już spały. Ogólnie rzecz biorąc — co było kolejnym powodem do wdzięczności — coraz łatwiej sobie z nimi radziła. Dzisiejszy dzień stanowił tylko drobne odstępstwo od reguły, na pewno. Po półtora kieliszka chardonnay Martha gotowa była się przyznać (przed sobą, a gdyby była przy niej matka i kilka przyjaciółek z NTC, także przed nimi), że jej teoria posiadania dzieci w zbliżonym wieku, by za jednym zamachem przetrwać najgorszy okres, okazała się w praktyce cięższa, niż przypuszczała. Maisie jednak w końcu pozbyła się kolki i od czterech dni spała od ósmej wieczorem do szóstej rano; po dziesięciu miesiącach budzenia się co trzy godziny był to naprawdę uśmiech losu.

Czasami ze zmęczenia bolała Marthę głowa, szyja, plecy, oczy, a nawet zęby. Jednak najgorszy był nie brak snu — w końcu przy dziecku to rzecz oczywista — ale krzyk. Ból budził w Marcie świadomość, że Maisie cierpi, a ona nie może jej pomóc. Każdą noc spędzała przy córce, widząc, jak jej drobne ciało wykręca się w parkosyzmach, a kolana zginają się aż do klatki piersiowej. Jej żalony płacz przyprawiał Marthę o rozpacz. Nie ma nic bardziej przykrego niż płaczące dziecko. Martha nigdy nie rozumiała, jak Michael może przesypiać te noce pełne płaczu. Często wysyłała czeki na pokazne sumy na rzecz dzieci potrzebujących operacji, protez czy też po prostu schronienia i jedzenia. Chciałaby przytulić wszystkie te dzieci i uciszyć ich płacz. Jak ich matki mogły przeżyć kolejny poranek?

Dlatego też nie było sensu przeżywać tak mocno czegoś równie trywialnego, jak nauka siedzenia na nocniku. Martha miała rację, w końcu Mathew dojrzał do załatwiania się do ubikacji, a nie w swoim łóżku, szafce w kuchni, bawialni czy — najbardziej pamiętne wydarzenie — do buta Michaela. Wymagało to trochę czasu. Po skończeniu dwudziestu miesięcy Mathew był na dobrej drodze, by zacząć korzystać z nocnika, ale kiedy urodziła się Maisie, jakby zapomniał wszystko, czego się nauczył. Martha na próżno usiłowała ignorować komentarze licznych przyjaciół i krewnych, ekspertów w wychowaniu dzieci, którzy czuli się w obowiązku uświadomić jej, że ten regres w dziedzinie etykiety ła-

zienkowej to na pewno celowy akt buntu/gniewu/terroryzowania rodziny, wywołany przez zazdrość o siostrę/utrata poczucia bezpieczeństwa/samotność.

Bez żartów.

Tego typu uwagi sprawiały, że Marcie tężał kręgosłup. Miała ochotę przypomnieć życzliwym, że co prawda przeżyła cesarkę (a właściwie dwie), ale nie lobotomię. Jednak nie mówiła nic. Czasami zastanawiała się, gdzie podziwiała się jej tłumiona irytacja.

Przecież musiała narastać.

Martha przeczytała kilka fachowych książek i zgodnie z zaleceniami znalazła odrębny czas tylko dla siebie i Mathew w nadziei, że wykorzeni jego wydalniczy terrorizm. Chodziła z nim do zoo, razem kleili łódki z papieru, które puszczali potem na wodę w stawie, karmili kaczki i bawili się w parku. Spędzali czas wspólnie, mimo że opiekunka Maisie kosztowała fortunę i mimo że Martha ledwo chodziła ze zmęczenia po czterech pobudkach w ciągu nocy.

Jednak warto było. Mathew umiał już teraz korzystać z nocnika.

Dary Marthy obejmowały jej rodzinę. Uwielbiała matkę i ojca, którzy spokojnie przeżywali wiek emerytalny, nie żądając poświęcania im czasu, zawsze z widoczną wdzięcznością przyjmując jej popołudniowe wizyty z dwójką dzieci i dwoma tuzinami toreb. Po przejściu na emeryturę, kiedy obie ich córki i wnuki osiedliły się w mieście, rodzice przenieśli się na przedmieścia Londynu. Mieli nadzieję pomóc Marcie w opiece nad dziećmi. Skrycie czuli się rozczarowani jej gwałtowną chęcią niezależności i uporem, żeby robić wszystko samodzielnie. Czuli się niepotrzebni jako rodzice i dziadkowie, a nie trzeba Einsteina, by odkryć, jak bardzo Marcie przydałaby się pomoc od czasu do czasu. Państwo Evergreen obawiali się, że minie wiele czasu, zanim Eliza zechce mieć dzieci.

Drobne radości. Oprócz okularów i problemów jednego z nich z palcem u nogi jej rodzice cieszyli się doskonałym zdrowiem, odpukać. Byli też po prostu normalni. Martha zawsze żałowała tych swoich znajomych, którzy mieli rodziców alkoholików, neurotyków czy prostaków. Jej rodzice byli miłymi, nienarzucającymi się ludźmi; nie stwarzali żadnych problemów. Martha uśmiechnęła się do siebie.

Jej siostra, Eliza, też dawała powody do radości. Fakt, trudno było liczyć na nią na przyjęciach (często rozmyślnie szokowała), słabo jej szło dotrzymywanie terminów czy oszczędzanie lub dobór mężczyzn, poza tym nigdy w życiu nie zrobiła nic po cichu; jedna sama myśl o niej wywoływała uśmiech na twarzy Marthy. Po co są młodsze siostry, jeśli nie po to, by się buntować i sprzeciwiać? Martha od zawsze wierzyła, że to Elizie przeznaczono błyszczeć, a nie jej (co zwykle łączy się z kłopotami). To w końcu ją nazwano Marthą (imię oznacza dziewiętnastowieczną przyzwoitość oraz dobrą, biblijną gospodynię), jej siostra zaś otrzymała imię Eliza, śmiała, bardziej namiętne, interesujące i witalne. To wina państwa Evergreen, że ich córki wyrosły na takie kobiety. Martha często zastanawiała się, czy byłaby inna, gdyby to ją nazwano Elizą.

No i był jeszcze oczywiście Michael. Stanowił tak oczywisty element jej życia, że łatwo było przeoczyć, jak wielkim darem był dla niej — stanowił największy dar. Bez Michaela nie byłoby Mathew ani Maisie. A bez jego olbrzymiej pensji Martha nie mogłaby zrezygnować z pracy w urzędzie, żeby wychowywać dzieci. Oboje uzgodnili, że dzieci najbardziej potrzebowały jej czasu i uwagi, że ona najlepiej nadawała się do tego, by je wychowywać. Niemal nie brakowało jej pracy zawodowej.

Niemal.

Może tęskniła czasem za porannymi pogawędkami na temat programów telewizyjnych oraz pełnych śmiechu wypadków do Pizza Express w ostatni piątek miesiąca. Czasami brakowało jej kupowania kostiumów w Jigsaw i butów w L.K. Bennett, co mogła skwitować: „Potrzebuję ich do pracy”. Niemal nie tęskniła za niewinnymi flirtami z gośćmi z księgowości. Na pewno nie brakowało jej trwających czterdzieści pięć minut dojazdów do pracy, nużących spotkań, niekończących się sporów kompetencyjnych czy też zbiórek na niemowlęta/dwudzieste pierwsze urodziny/prezenty ślubne dla osób, z którymi nie zamieniła nawet słowa.

Martha poznała Michaela dziesięć lat wcześniej, niedługo po ukończeniu studiów i przeprowadzce do Londynu przy podjęciu pierwszej pracy. Poznali się w pubie przez znajomego znajomego, jak to się dzieje, kiedy ludzie są młodzi i otwarci na nowości. Zwróciła na niego uwagę w chwili, kiedy wszedł do pubu, gdyż miał na sobie ciemnozielone dżinsy oraz obcisły, grafitowy sweter polo. Wszyscy inni mężczyźni w pubie nosili drelichy i jasnoniebieskie koszule. Michael nie był szczególnie wysoki, co podobało się Marcie; nie przytłaczał jej wzrostem. Miał dobre ciało: szerokie ramiona oraz najsłodsze, najlepsze pośladki. Najbardziej zdobiły go bardzo ciemne włosy (tak czarne, że niemal granatowe) oraz błyszczące, uśmiechnięte, ciemnobrązowe oczy. Michael nie miał daru wymowy, nie był typem, który słowami zaciąga kobiety do łóżka; on je tam zaciągał słuchaniem.

Michael był pierwszym mężczyzną, który naprawdę słuchał tego, co mówiła Martha. Rzeczywiście słuchał. Nie zadawał pytań, które zmierzałyby do przywołania jego śmiesznych historyjek. Nie snuł niekończących się opowieści o swych podbojach, żeby wywołać w niej zazdrość. Nie czarował jej przywoływaniem swoich brawurowych wyczynów w stylu Action Mana. Nie przerywał, kiedy mówiła, nie odwracał wzroku. Namówiony, skromnie opowiadał śmieszny dowcip, nieśmiało przyznawał, że jego ambicją jest objechać świat oraz — szczerzej — zostać prezesem Esso. Powiedział Marcie, że ma najpiękniejszy uśmiech na świecie, czym zachęcił ją, by używała go o wiele częściej niż przedtem.

Uśmiechając się do niego, przy trzeciej wódce z sokiem pomarańczowym (wtedy nie miała dzieci, więc jeśli naszła ją ochota, mogła wypić trzy drinki jednego wieczoru) Martha zauważyła, że Michael ma duży podbródek i nos, przez co wydał się jej dystyngowany i majestatyczny. Pod koniec wieczoru uznała, że reprezentuje typ mężczyzny, jaki powinien zostać jej mężem. Co więcej, to za niego chciałaby wyjść. Nawet ich imiona pasowały do siebie. Od razu postanowiła, że dzieci też będą miały imiona zaczynające się na literę M. Michael nie był mężczyzną, za którym kobiety szaleją od

pierwszego wejrzenia, więc oboje zaskoczyło to, że Martha przyłgnęła do niego tak szybko i ściśle. Miała przedtem dwóch mężczyzn (jednego w szóstej klasie, a drugiego na drugim i trzecim roku studiów. Na pierwszym roku usiłowała szaleć, ale nie było to owocne doświadczenie, brakowało jej talentu). Od skończenia studiów spała z dwoma mężczyznami. Jednak uznała, że nie podoba się jej to: w głębi serca była zaprzysięgłą monogamistką, a co miała na sercu, to i na języku.

Po półtora roku Martha i Michael pobrali się.

Martha miała rację; Michael okazał się naprawdę dobrym mężem.

Delikatny, czuły, godny zaufania oraz bardzo, bardzo pracowity. Był zrównoważony, nie ugaśniał się za kobietami ani nie kibicował fanatycznie żadnej drużynie piłkarskiej. I wciąż ją pociągał, nawet po dziesięciu latach. Może nie biegła do niego, zrzucając po drodze ubranie, nie czuła już tego szalonego bicia serca, nie była tak nienasycona, jak w wieku dwudziestu kilku lat, ale wciąż wiedział, za jakie sznurki pociągnąć.

W każdą piątkową noc.

Martha i Michael mieli mnóstwo pieniędzy oraz mnóstwo przyjaciół, a także zapisali dzieci do bardzo dobrych szkół. Wszystko to były niewątpliwe dary.

Martha uznała, że jednak nie chce skończyć rozdziału. Poszła na górę, do łazienki. Otworzyła prawą szufladę pod umywalką, wyjęła wacik, starannie wycisnęła mleczko i długimi, odmierzonymi pociągnięciami zmyła nos, podbródek, czoło i policzki, usuwając tusz i róż. Poza przezroczystym błyszczkiem były to jedyne kosmetyki, jakich używała, chyba że akurat wybierała się na wieczorne przyjęcie. Na prośbę Michaela czasami nakładała sobie cień na oczy. Najbardziej lubiła, kiedy wszystko na twarzy miało naturalny koloryt. Wyrzuciła wacik do kosza, po czym czynności powtórzyła z tonikiem. Starannie wtarła w twarz krem nawilżający; mocnymi ruchami pod górę, wbrew sile ciężenia. Sprawdziła, czy drzwi są zaryglowane, i zaczęła się rozbierać. Przed pójściem spać Martha brała zwykle prysznic, a nie lubiła, kiedy Michael w tym czasie wchodził do niej. Nigdy nie rozumiała par, które czuły się ze sobą na tyle dobrze, by iść do ubikacji w obecności drugiej osoby. Po co to komu? Martha zastanawiała się, kto tak robił — może aktorzy albo gwiazdy pop.

Wytarła się starannie, włożyła bawełnianą piżamę i dobrane odcieniem kapcie. Sprawdziła odbicie w lustrze. Nie najgorzej jak na trzydzieści dwa lata. Może powinna rozpiąć górny guzik?

Ile? Jeden, dwa?

W końcu weszła do sypialni.

— Cześć, Mickey — mruknęła z leciutkim śladem skrępowania. Jednak zanim jeszcze wślizgnęła się pod kołdrę, dojrzała powolne, znane poruszenia jego klatki piersiowej unoszącej się i opadającej miarowo. Michael odpłynął już do krainy Morfeusza.

Eliza popijała swoje podwójne espresso. Smakowało gorzko, mocno. A może to tylko jej nastrój tego środowego poranka taki był.

— O co chodzi? Zwykle smakuje ci tutaj kawa. — Słodkie oczy Grega zdradzały troskę. Eliza zlekceważyła ją jako przesadzoną i po raz setny tego dnia zirytowała się na niego. Wolałaby mężczyznę, który nie zauważa, że nie dopiła kawy, ale płaci za nią kartą kredytową. Mnóstwo takich mężczyzn chodziło wokół. Choćby Michael, jej szwagier, doskonały przykład. Jak to się stało, że jej nikt taki się nie trafił?

„Nie lubię espresso — pomyślała. — Za bardzo przypomina mi czasy studenckie. Teraz powinnam pić earl greya i jeść ciastko z egzotycznymi owocami w przyzwoitej herbaciarni. Tak robią kobiety w moim wieku, tak zrobiłaby Martha. Nie powinnam siedzieć w zadymionej kafejce, która nie należy nawet do żadnej sieci, tylko jest prowadzona przez prawdziwych Włochów”.

Faktycznie, kiedyś ten autentyzm do niej przemawiał; kiedyś czuła się dumna ze swego odkrycia i do Caffé Bianchi przyprawiała tylko najlepszych przyjaciół. Dawniej zachwycała się faktem, że wśród drewnianych krzeseł nie było dwóch jednakowych (większość też miała jedną nogę krótszą od pozostałych), a signora Bianchi podawała jedynie espresso oraz cappuccino i nic więcej. Żadnego café latte, żadnego macchiato, kawy po amerykańsku, espresso ristretto, żadnych kaw smakowych, nie mówiąc już o bezkofeinowej. Nie sprzedawali fantazyjnie zapakowanych paczek herbaty czy oliwy z oliwek po dwadzieścia funtów. Byli to prawdziwi Włosi, uznający, że wstawienie krzeseł do kafejki stanowiło wystarczające ustępstwo na rzecz dziwactw Brytyjczyków. No i do espresso podawali szklankę wody, „gratisso”.

Signora Bianchi była niezwykle tęga. Niezliczone podbródki spoczywały na olbrzymim ciele, podczas gdy biust opierał się często o ladę, a jeśli nie, to o równie olbrzymi brzuch. Eliza nigdy nie widziała jej nóg, gdyż przez siedem lat, w ciągu których chodziła „do Bianchi”, nigdy nie widziała, żeby signora wynurzyła się zza lady; a jednak swoją masą i charakterem dominowała nad całym pomieszczeniem. Była prawdziwą głową rodu, rządziła, robiła zamieszanie, kochała wszystkich swoich klientów namiętą matczyną miłością. Jeśli ktoś miał czelność zamówić podwójne espresso, z wymowną miną waliła się w wydatną pierś, mlaskała i przewracała oczami, dając wyraźnie do zrozumienia, że podwójne espresso to najprostsza droga do natychmiastowego zawału.

Signor Bianchi oczywiście prawem przekory był drobny. Inaczej nie byłoby dla niego miejsca. Eliza oceniała jego wagę na mniej niż sześćdziesiąt kilogramów, z czego duża część przypadała na wąsy, długie i nastroszone. Mimo że wyglądał krucho, nie był słaby. Chociaż niepozorny i na ogół cichy, signor Bianchi był osobą niezastąpioną dla kawiarni, zwłaszcza dla signory Bianchi, która wciąż patrzyła na niego w wyjątkowy sposób. Eliza była przekonana, iż signora widzi nie zniszczonego, star-

szego człowieka z siwymi, rzadziejącymi włosami i urywanym kaszlem, lecz dziewiętnastoletniego chłopaka z czarnymi, gładko ulizanymi włosami, objeżdżającego piazę na swojej vespie. W ręce miał kwiaty (dla niej), a w oku błysk (również dla niej). Naprawdę przystojny chłopak.

Kafejka była bardzo wąska, niewiele szersza niż korytarz, przez jej całą długość biegł kontuar, jakby przeniesiony żywcem z obrazu Hoppera: lśniąca, cynkowa okleina, przez lata użytkowania porysowana i podrapana przez klientów, którzy stali się przyjaciółmi. Kasa składała się z trzech kieliszków od wina: jednego na drobne, drugiego na monety większe niż pięćdziesięciopensówki, trzeciego zaś na banknoty. Ujednolicone sieci kawiarni często proponowały signorze i signorowi Bianchi sprzedaż lokalu, ale odpowiedź była zawsze ta sama. Nie.

— Powinnam przestać pić kawę — mruknęła Eliza.

— Dlaczego? — zapytał Greg.

Wysypał na stół dwie torebki cukru i palcem rysował na nim bużkę.

— Bo kawa zmniejsza przyswajanie żelaza.

— Masz anemię? — Spojrzał na nią zatroskany.

— Nie, ale jeśli miałabym starać się o dziecko, trzeba zadbać o żelazo.

Greg parsknął w kawę i natychmiast spróbował się opanować.

— To znaczy, że ty... znaczy my... staramy się o dziecko? Jak wszystkie wymagające odpowiedzialności sprawy w ich

związku, antykoncepcja należała do Elizy.

— Nie — przyznała niechętnie.

Jeśli Greg poczuł ulgę, miał na tyle rozsądku, żeby tego nie okazać; w każdym razie wyraz twarzy nie zmienił mu się ani na jotę. Być może w duchu bił pięścią powietrze, jak Beckham po wbiciu Niemcom gola w pucharze świata, ale Eliza tego nie wiedziała. A może był rozczarowany. Jego tajemnicom nie groziło ujawnienie. Powodem wyrozumowanego dystansu Grega był fakt, że podczas gdy część jego mózgu angażowała się w pogawędkę z Elizą na temat przyswajalności żelaza, inna część w tej samej chwili zajmowała się obliczaniem, kiedy powinna dostać okres. Ponieważ, niezależnie od tego, czy się to komuś podoba czy nie (Elizie bardzo się nie podobało, nie chciała się nawet do tego przyznać), to Eliza była bardziej skłonna do wybuchów gniewu. Może nie rzucała talerzami, ale rzucała przekleństwami, kalumniami i irracjonalnymi komentarzami.

Miała dostać okres dopiero za dwa tygodnie.

Może faktycznie pragnęła dziecka. Greg, człowiek z natury biorący byka za rogi, odważył się na pytanie:

— Chcesz mieć dziecko?

— Kiedyś tak — odrzekła Eliza, odstawiając filiżankę z taką siłą, że czarny płyn wylał się na maleńki spodeczek. Zamilkła na chwilę, po czym uściśliła: — Może kiedyś. Chcę tylko, żebyśmy brali to pod uwagę.

Ale przecież brali, prawda? Z tego, co wiedzieli, jej jajniki i macica, czy tam cokolwiek, były zdrowe. (Znajomość anatomii kobiety obejmująca coś więcej poza położeniem punktu G nie była specjalnością Grega — jak i chyba żadnego mężczyzny). Oczywiście, jeśli tego chciała, mogli brać pod uwagę dziecko. Po prostu nigdy wcześniej o tym nie wspominała. Nigdy o tym nie myślał. Teraz, skoro napomknęła o dziecku, właściwie — dlaczego nie? W umyśle Grega natychmiast pojawiła się wizja pluskania się w morzu z małą, pulchną osóbką (i nie był to wcale jego najlepszy kumpel Bob, choć Bob miał niespełna metr siedemdziesiąt. Greg myślał o dziecku. Swoim dziecku). Zobaczył siebie i swoje dziecko na huśtawce, szeleszczących liśćmi w parku, polujących na kasztany.

— Jeśli naprawdę tego pragniesz, możemy mieć dziecko. — Wyciągnął rękę i ujął dłoń Elizy, która z rozdrażnieniem zauważyła, że nawet nie musiał odkładać papierosa, by tego dokonać, tak był wyćwiczony w swojej sztuce. Zaczął palić w wieku czternastu lat, gdyż dzięki temu wyglądał dorosłe i twardo. Teraz, po dwudziestu latach, wciąż robił to samo, z tych samych powodów.

Eliza wyrwała dłoń.

— Mam ochotę na herbatę — powiedziała, żeby uniknąć odpowiedzi na pytanie.

Herbatę? Boże, czy to już ciężowe zachcianki? Eliza nigdy nie zamawiała herbaty. Czyżby już coś odkryła? Czy to stąd te ostatnie wahania nastrojów? Boże, cholera, jasna cholera!

Cudownie!

Eliza odgadła myśli Grega.

— Nie jestem.

— Nie?

— Nie.

— Na pewno?

— Na bank.

— Aha.

Zapadła cisza. Gdyby Eliza lepiej umiała odgadywać nastroje Grega, dostrzegłaby, że to wyraz rozczarowania.

— No cóż, jeśli masz ochotę na herbatę... — Greg wstał i podszedł do baru.

Gdyby życie wyglądało tak prosto: chce herbaty, więc będzie szczęśliwa, jak ją dostanie. Podchodząc do baru i signory Bianchi, Greg zaczął się zastanawiać, jakim sposobem ma wynegocjować herbatę we włoskiej kafejce; signora Bianchi potraktuje to jak zdradę.

No to ile kofeiny jest w herbacie?

„Kto, do licha, przesiaduje w takich obskurnych kawiarenkach, niewiele właściwie lepszych od pubów?” — zastanawiała się Martha, przechodząc obok Caffé Bianchi i popychając wózek z marudzącą Maisie. Ciężkie, drewniane drzwi otworzyły się nagle, wypływając kłęb dymu papierosowego. Z kawiarni wybiegła młoda kobieta, przemknęła obok Marthy i Maisie. Pewnie gdzieś się spóźniła. „Musisz się zgłosić po zasiłek” — przemknęło Marcie przez głowę, ale natychmiast pożałowała tej myśli. Pochopnie wyciągnęła wniosek, że kobieta jest bezrobotna, co było bardzo niemіłosierne i surowe, poza tym wcale nie musiało być prawdą. Tylko dlatego, że jest — Martha spojrzała na zegarek — za piętnaście dziesiąta rano, nie oznacza to, że kobieta nie ma pracy. Martha usiłowała myśleć pozytywnie. Przecież kobieta może w różny sposób zarabiać na życie. Niewykluczone, że pracuje na zmiany lub w sklepie. Albo w środy ma wolne, jeśli pracuje w handlu; wtedy na pewno pracuje w soboty, więc należy jej się dzień wolnego w tygodniu. Martha zauważyła, że buty kobiety (choć były to okropne, modne bucioro na kwadratowym obcasie) były przynajmniej czyste. Zawsze zwracała uwagę na buty.

To były buty Elizy. Jej własnej siostry. — Eliza! — zawołała Martha, choć z zasady nie lubiła krzyczeć.

Eliza odwróciła się. Jej zirytowana mina zmieniła się na widok siostry i siostrzenicy. Zawróciła szybko do nich, objęła Marthę mocno i złożyła pocałunek od serca na zapłakany policzku Maisie.

— Cudownie cię widzieć. — Rozpromieniła się. — Chociaż to nie twoje okolice, prawda?

Mimo że siostry mieszkały mniej niż półtora kilometra od siebie — Eliza w Shepherd's Bush, a Martha w Holland Park — ich dzielnice stanowiły odrębne światy. Shepherd's Bush to głównie tanie sklepiki oraz punkty totalizatora, z ponadprzeciętną liczbą kiosków sprzedających losy loteryjne. Holland Park to oszłamiające, drogie kwaciarnie i wytworne delikatesy. Eliza miała powody do zdziwienia, widząc siostrę niemal na swoim progu.

— Kiedy ostatnio cię odwiedzałam, zauważyłam sklep z hinduskimi sari. Chciałam się przyjrzeć materiałom; no wiesz, może znajdę inspirację, kolory i tak dalej — wyjaśniła Martha.

— Nadal twój projekt Wymarzony Dom? — zapytała Eliza. Eliza wiedziała, że jedynie ten powód mógł skłonić Marthę do zagłębienia się w uliczki jej dzielnicy. Martha, Michael i dzieci odwiedzili Elizę w mieszkaniu Grega jakieś trzy razy, choć mieszkała tam około czterech lat. Eliza wpadała do nich przynajmniej raz w tygodniu, czasami trzy czy cztery razy. Zdawała sobie sprawę, że według Marthy Shepherd's Bush nie było odpowiednim miejscem dla dzieci. Uważała, że siostra się snobuje i wychowuje dzieci pod kloszem. Martha uważała Elizę za nieodpowiedzialnie narażającą się na niebezpieczeństwa. Kochały się bardzo.

— No i jak realizacja projektu? — zapytała Eliza.

— Czekamy na odpowiedź sprzedawcy na naszą propozycję. Może nadejść w każdej chwili.

Wielu ludzi wyobraża sobie swój wymarzony dom. Mówią na przykład: „Chciałbym mieć jacuzzi i dwunastometrowy basen”. Marzą o czymś okazałym, snobistycznym i często nierealnym. Przy najmniej nie bardziej niż to, że trafią szóstkę w totka; coś, co się zdarza, ale pewnie się nie zdarzy. Martha miała znacznie bardziej realistyczne wyobrażenie swojego domu.

Wymarzony dom Marthy odzwierciedlał samą jej osobowość. Od kiedy była nastolatką, zbierała wycinki i zdjęcia, które najpierw wklejała do zeszytu, a kiedy go wypełniła, odkładała do pudełka — miały służyć jako materiał pomagający urządzić wymarzony dom. Zbierała obrazki, które zwróciły jej uwagę, przedstawiające głównie słoneczne kuchnie i przypominające plac zabaw pokoje dzieciinne. W miarę jak wzrastała jej wiara we własne możliwości projektanckie, zaczęła również odkładać takie rzeczy jak liście (ponieważ pewnego dnia zamierzała pomalować łazienkę na taki właśnie rdzawy odcień), kulki szklane kupione w sklepie z zabawkami (podało jej się, jak kolory łączyły się ze sobą). Chomikowała kawałki drogich tkanin, kamienie w ciekawe wzory, ładne płytki i ceramikę. Malując z Mathew, spędzała godziny na mieszaniu farb, usiłując uzyskać właściwy odcień niebieskiego (kolor niepokojnego morza przed sztormem) oraz czerwieni (różowawa barwa leniwych, hiszpańskich ścian, które właśnie podparły terakotowe dachy sennych domów). Często chodziła do sklepów z 1001 drobiazgów, gdzie wpatrywała się bez końca w miriady kolorów, cudownie bogate odcienie czerwieni, pełne duszy szarości i lilaróże, studiowała każdy odcień wibrującej zieleni. Kupowała motki nici i dokładała je do kolekcji.

Interesowała się nie tylko wyglądem zewnętrznym. Nabywała niezliczone gazety i książki dotyczące wystroju wnętrz, ale jednocześnie stała się ekspertem w technicznych zagadnieniach związanych z urządzeniem wysnionego domu. Wiedziała wszystko, co tylko można, o odnawianiu dachów, chroniących przed wilgocią belkach stropowych i legarach, układaniu płytek, przebudowie, rozbiórce, odnawianiu i konserwacji budynków.

Wymarzyła sobie dom duży, ale nie ostentacyjny; pełne światła i przestrzeni pokoje, z oknami wychodzącymi na południe. Miało w nim być tyle pokoi, aby każde dziecko dostało własny; aby można było przyjmować wielu znajomych, aby cała rodzina wygodnie mieszkała. Może nawet będą mieli mieszkającą z nimi nianię, gdyż Michael często o tym wspominał.

Każdy pokój wypełni miłość i śmiech.

W jej wymarzonym domu na ścianach kuchni zawisną zdjęcia dzieci, a przy drzwiach wejściowych pojawi się mnóstwo par małych bucików. Martha zdawała sobie sprawę, że Michael uważa, iż rodzina została już skompletowana („Dziewczynka i chłopiec, wystarczy”), ale w sekrecie marzyła o kolejnych dzieciach. Czwórka zawsze wydawała się jej piękną liczbą. W domu będzie pokój do zabawy, niczym z bajki — zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci — w którym każda ściana będzie miała inny żywy kolor. Znajdzie się w nim miejsce na kącik biblioteczny, gdzie dzieci będą siadywać nad książkami, które czytywała w ich wieku (oraz nowymi, gdyż współczesne książki dla dzieci były o

wiele bardziej zabawne i kolorowe); stanie tam wielki, wiklinowy kosz pełen tekturowych rolek i pudełek po płatkach śniadaniowych, z których Martha będzie z dziećmi tworzyć cuda: modele raket, miniaturowe ogrody (wyglądające dokładnie tak jak te pokazane w programie *Niebieski Piotruś*). Dzieci zawsze będą zapraszały koleżanki i kolegów na podwieczorek składający się z kanapek i dużej ilości mleka (uczulenie Mathew na mąkę i nabiał zniknie).

Dla dorosłych zaś będzie to dom idealny na przyjęcia. Martha i Michael mieli wielu dobrych przyjaciół, a Martha uwielbiała przyjmować gości. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż odesłanie do domu kilku dobrze nakarmionych i napojonych osób. W jej wymarzonym domu kuchnia będzie na tyle duża, by pomieścić sofę i kominek tak, by zaproszeni na kolację goście mogli się rozsiąść, podczas gdy ona szykowałaby jedzenie. Będzie dużo śmiechu, plotek z wyższych sfer oraz pogawędki o poważnych sprawach. Martha z wielką pewnością siebie będzie proponować dobre wina. Dzieci grzecznie zajrzą na dół, powiedzą dorosłym dobranoc i bez ataków złości czy przemęczenia pójdą do łóżek. Jedzenie będzie pięknie podane i doskonałe (Martha nigdy niczego nie przypali).

Po dwuletnich poszukiwaniach Martha i Michael znaleźli Bridleway, dom bez poważniejszych usterek konstrukcyjnych, w cenie nie przekraczającej ich możliwości, fantastycznie położony, z oryginalnymi kominkami, drewnianymi podłogami i autentycznymi podnoszonymi oknami — dom, z którym można wiele zrobić.

Wymarzony dom.

Martha na samą myśl traciła dech.

Eliza wiedziała o Bridleway wszystko i równie mocno jak Martha i Michael chciała, by właściciel zaakceptował ich ofertę. Chociaż przygnębiona tym, iż nie udało się jej wejść do bogatszych sfer Londynu, z radością — choć pośrednio — uczestniczyła w życiu siostry. Ani przez moment nie czuła zazdrości o uczuciowe i materialne powodzenie Marthy; raczej czerpała z niego nadzieję.

— Masz czas na filiżankę herbaty? Powiesz mi, co słyhać — zaproponowała Eliza.

— Oczywiście, ale chyba właśnie coś piłaś? — Martha wskazała kawiarnię Bianchich.

— Nie podają herbaty — odparła Eliza. — Gdzie zostawiłaś samochód?

Martha, Maisie i Eliza poszły w kierunku range rovera. Martha zastanawiała się, czy po herbatce z Elizą będzie miała jeszcze czas na pójście do supermarketu, zanim odbierze Mathew z przedszkola. Eliza dziwiła się, że dla Marthy picie gorących napojów wciąż jeszcze wiązało się z potrzebą rozgrzania się czy pragnieniem. Przecież chodziło w nich przede wszystkim o życie towarzyskie.

Obie marzyły o tym, żeby pogadać.

Eliza podejrzewała, że państwo Evergreen znaleźli ją (dwudniową) na wycieraczce i w dobroci serca przygarnęli dziecko. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tak absolutnie różniła się od siostry? Pani Evergreen nie była typem kobiety, która mogłaby mieć dziecko z mleczarzem, po czym przekonać męża, by przyjął je jako swoje — ale przecież nie mogły być siostrami, prawda?

Martha nie tylko nie okazała należytego podziwu, kiedy Eliza poinformowała ją, że poprzedni wieczór spędziła, pijąc w pubie, z Basement Jaxx, ale wręcz wyglądała na szczerze zdziwioną.

— Czy to koleżanka ze studiów? Znam ją? — zapytała uprzejmie, desperacko szukając powodu, dla którego miałyby kojarzyć, kim jest ta cała Bertha Jacks.

Eliza nie zadała sobie trudu, by oświecić siostrę, było to zbyt żenujące.

Oprócz zupełnie innego stylu ubrań, różniły się też sposobem mówienia (Martha mówiła językiem używanym przez królową, Eliza — językiem współczesnej, wielkowiejskiej kobiety), poruszania (Martha była cała sztywna i wyprostowana, ruszała się gwałtownie i nieskoordynowanie, Eliza zaś płynęła z wdziękiem kota). Co rano, zaraz po obudzeniu, Eliza włączała radio. Wyłączała je tylko po to, by nastawić CD albo MTV. Uwielbiała obecny w tle szum radia czy telewizora, który rozpraszał uwagę. Martha cały dzień prosiła o ciszę, a jej największym marzeniem było spędzić popołudnie w spokoju. Nawet przed urodzeniem dzieci bardzo rzadko włączała radio, by posłuchać *Godziny dla kobiety* czy jakiegoś koncertu muzyki poważnej na kanale 3. Obracały się w różnych kręgach i raczej nie miały wspólnych przyjaciół. Eliza jak z rękawa sypała cytatami z Simone de Beauvoir, którą według niej należało kanonizować; Martha, kiedy przycisnęło się ją do muru, wyrażała opinię, że ruch kobiecy „wprowadził zamieszanie”. Martha kupowała całą swoją bieliznę w sklepach Marks and Spencer, jako że oferowały „takie ładne rzeczy” w doskonałej cenie, a najbardziej wyzywającą sztuką bielizny w jej garderobie był brzoskwiniowy, satynowy stanik na fiszbinach oraz — w komplecie — figi motylki. Eliza połowę czasu i pieniędzy traciła w sklepach Agent Provocateur, a jej nieustającym hasłem była kokieteria. Jednak uwielbiały się nawzajem.

Miały wspólne wspomnienia, które wiązały ich serca i dusze. Obie łączyły smaki, zapachy i obrazy dzieciństwa. Pamiętały, które swetry łaskotały skórę, które skarpetki opadały, znały nawzajem fakturę włosów swoich lalek Tiny Tears (włosy lalki Marthy były jedwabiście miękkie, podczas gdy lalka Elizy miała włosy zmatowiałe i zeszywniałe po nieudanej zabawie we fryzjera, do której użyto mąki i płynu do prania). Eliza pamiętała krzyki Marthy, która poparzyła się na słońcu — było to przed epoką, kiedy kampanie rządowe zachęcały matki do smarowania dzieci kremem z filtrem 50. Martha spaliła się tak bardzo, że nawet prześcieradło drażniło jej obolałą skórę. Na widok siostry delikatnie wkładanej do kąpieli z balsamem łagodzącym Eliza płakała, tak jak płakała Martha, kiedy po bardzo pechowej zabawie w cyrk Eliza z kolei wylądowała w szpitalu, w gipsie.

Razem po raz pierwszy spróbowały Space Dust, Orange Appeal, różowego koktajlu Nestle, Angel Delight i chrupiących naleśników Findusa. Wspólnie bawiły się w chwytanie ustami jabłka na sznurku, jeździły na osiołku, budowały zamki z piasku, walczyły o lalki, kłóciły się o programy telewizyjne, piszczwały na widok Neila Younga czy Nika Kershawa (to chyba wtedy po raz ostatni Martha w ogóle zwracała uwagę na to, co się dzieje w świecie kultury pop). Razem wierzyły i przestały wierzyć w Świętego Mikołaja, co stworzyło między nimi więź odporną na takie drobnostki jak nieznamość aktualnej sceny klubowej.

Eliza nie rozumiała, jak ktokolwiek może chcieć pracować w urzędzie. Martha nawet nie wiedziała, czym zajmuje się redaktor muzyczny w wytwórni wideo, a jednak nadal uwielbiała słuchać żartów siostry. Eliza przestawała z fascynującymi ludźmi — modelkami i didżejami, pisarzami i satyrykami. Martha rzadko rozpoznawała ich nazwiska, czemu nie pomagał fakt, że Eliza nieczęsto wymieniała to samo nazwisko dwa razy. Eliza chodziła też na ciekawe imprezy; zawsze odkrywała jakieś nowe kluby i restauracje. Chociaż Martha nigdy nie zamieniłaby się z siostrą, musiała przyznać, iż życie Elizy wydawało się atrakcyjne i pełne blasku. Rozumiała, dlaczego siostra tak się nim cieszy.

Ze swojej strony Eliza podziwiała zorganizowane życie i umysł siostry. Kochała swoją siostrzenicę i siostrzeńca, którzy zawsze pachnieli czystością oraz emanowali nadzieją i niewinnością (może z wyjątkiem chwil, kiedy Maisie krzywiła się gniewnie, bo znów ząbkowała). I podczas gdy jej umiejętności kulinarne ograniczały się do kupna gotowego dania w Marks and Spencer, wyjęcia go z opakowania i włożenia do mikrofali, Eliza bardzo podziwiała umiejętność Marthy przyrządzenia doskonałych posiłków. Uczestniczyła nawet w kilku śmiertelnie nudnych nasiadówkach tylko dlatego, że zapowiedziano obsmażane strzępiele z zapiekаныmi warzywami.

Martha zawiozła siostrę do swej ulubionej herbaciarni w Holland Park, która właściwie była księgarnią, ale na tyłach miała dwa czy trzy stoliki oraz dużą, wygodną sofę obitą gustownym materiałem z sieci Liberty. Kierownictwo księgarni usiłowało widocznie nadać jej styl staroświeckiej, przykurzonej akademii wiedzy; jednakże w rzeczywistości wszystko w sklepie było lśniaco czyste i nowe, czyli nie dało się w niej złapać alergii na roztocza. Martha uważała to miejsce za doskonałe. Podawano tam jedynie rumianek i herbatę earl grey. Jako że Eliza opuściła Caffé Bianchi w wyniosłym pośpiechu, gdyż nie serwowano tam nic lepszego niż herbatę PG Tips, teraz rozsiadła się w fotelu i przygotowała na odpowiednie wrażenia.

Martha uparła się, że razem z Maisie pójdzie zamówić dwie earl grey. Eliza uważała, że niepotrzebnie utrudnia sobie życie, ale nie chciało jej się protestować. Wzięła więc jedno z kolorowych czasopism rozrzuconych na niskim stoliku i natychmiast odszukała stronę z horoskopem. Nie jej wina, że jest Wodnikiem, nie miała na to wpływu.

Martha ostrożnie postawiła herbaty na stole, posadziła Maisie w krzesło dla dzieci, po czym usiadła, czy raczej opadła na miejsce naprzeciw siostry.

— Posłuchaj tylko tego — odezwała się Eliza ze źle ukrywanym podnieceniem. — „Jeśli nie będziesz przywiązywać wagi do stanu swoich finansów, na pewno braknie ci pieniędzy. Dobrze byłoby dokładnie przejrzeć wyciąg z konta”. To naprawdę dziwne, właśnie nie mogłam wypłacić pieniędzy w bankomacie, pewnie znów przekroczyłam stan konta.

— Nic w tym dziwnego, Elizo. Zawsze to robisz — odparła rzeczowo Martha, zadowolona, że wzięła rachunek za napoje. — Nie wiem, czemu w ogóle przejmujesz się tymi horoskopami, przecież w tym nie ma nic naukowego.

— No pewnie, że tak uważasz, przecież jesteś Panną. Panny są bardzo sceptyczne.

Martha uniosła brwi, ale nie odezwała się. Szkoda, że poszukując sensu w życiu, Eliza wspomagała się takimi bzdurami. Pod innymi względami wydawała się tak konkretna. Martha miała o wiele więcej szczęścia. W przypadku problemów nie szukała porady w horoskopach, kartach tarota czy herbacianych fusach, lecz omawiała je z Michaelem, który zawsze umiał jej dobrze poradzić.

— „Jeśli urodziłaś się między dziesiątym a osiemnastym lutego, być może zastanawiasz się, czy Twój obecny partner to rzeczywiście ten najodpowiedniejszy”. O rany, to już niesamowite — powiedziała Eliza z bojaźnią.

— Ty i Greg macie problemy? — zapytała Martha, natychmiast czujna. Nie lubiła, kiedy ktokolwiek miał problemy, nie godziło się to z jej poglądem na życie, a już najbardziej nie lubiła, kiedy problemy zdarzały się siostrze.

— Tak trochę. — Eliza westchnęła i popiła herbaty. Płyn smakował jak koci mocz; zatęskniła za mocnym espresso z Bianchi, ale nie zamierzała się do tego przyznawać, zwłaszcza przed sobą samą. — Nie, nie kłócimy się ani nic — dodała. — Chyba się po prostu znudziłam. Czy ciebie czasem Michael nudzi?

— Nie, nigdy — odrzekła bez zastanowienia Martha.

— A mnie w tej chwili Greg naprawdę wkurza. A ciebie Michael czasem wkurza?

— Nigdy. — Martha nie dała się zaskoczyć. Nie miała dość pewności siebie, by denerwować się na kogokolwiek, a już zwłaszcza nie potrafiłaby sobie wyobrazić sytuacji, w której zdenerwowałyby się na własnego męża. No dobrze, z wyjątkiem ostatniego piątku wieczorem, ale to się nie liczyło. Martha nie wiedziała dokładnie dlaczego, ale na pewno się nie liczyło.

— A widzisz — podsumowała Eliza przekonana, że udowodniła swoją rację. Martha jej nie dostrzegła, ale nie wiedziała, jak się do tego przyznać. — Chyba z niego wyrosłam. Prawdopodobnie będę musiała z nim skończyć. Zabrać zabawki i iść do domu — zakończyła zrezygnowana.

— Jak to? Ale co zrobisz bez niego? — zapytała Martha, zaskoczona i mocno rozczarowana. Zawsze wydawało się jej, że Eliza i Greg doskonale do siebie pasowali; cieszyło ją, iż siostra zdołała wytrwać z jednym mężczyzną przez cztery lata. Przed Gregiem związki Elizy trwały najwyżej kilka miesięcy. Wydawali się oboje szczęśliwi, a przynajmniej śmiali się częściej niż inne znane Marcie pa-

ry. I chociaż Martha dawno już porzuciła nadzieję, że Eliza zdobędzie się na tak tradycyjny krok jak ślub (dzięki czemu Maisie mogłaby sypać przed nią kwiaty, a Mathew byłby małym družbą, co należało do największych ambicji Marthy), jednak miała nadzieję, że przeżyją ze sobą długie lata. Martha była święcie przekonana, że ludziom o wiele lepiej wiedzie się w związkach niż poza nimi. Wtedy życie jest bardziej uporządkowane, tak jak powinno.

— A co zrobisz bez niego? — dopytywała.

— No cóż, zostaną mi przyjaciele, praca i ty. Przecież on nie jest całym moim światem.

Dla Elizy żaden mężczyzna nie był całym światem. Rzadko zatrzymywała się w jednym miejscu na tyle długo, by stworzyć związek, nie mówiąc już o oddaniu komukolwiek serca. Kiedy zaczęła spotykać się z Gregiem, planowała pobyć w Londynie nie dłużej niż pół roku — była w drodze do Australii — ale jakoś tak wyszło, że została. Zawsze za bardzo sobie żartowali, żeby udało się jej wystąpić po wizę, a potem znalazła pracę w firmie fonograficznej, pierwszą pracę, która w ogóle ją interesowała. I naprawdę dobrze sobie radziła. Niewiele lepiej, co prawda, niż tak wychwalany goniec, ale była lubiana i szanowana. Traktowała też pracę poważnie — a przynajmniej dość poważnie. Wciąż jeszcze nie do końca opanowała sztukę ewidencji czy punktualnego przychodzenia na spotkania albo wystawiania faktur, ale starała się. Nie była jednak pewna, czy Greg cokolwiek traktował poważnie.

— Szukam teraz czegoś innego.

— A czego? — zapytała Martha, która nie odrywając wzroku od siostry, wycierała usta Maisie.

Eliza rozpromieniła się. Nie mogła się doczekać, kiedy powie Marcie o swej najnowszej przemianie emocjonalnej. Fakt, że zapragnęła zdobyć trochę tego, co siostra, na pewno zdobędzie jej poparcie i szacunek.

— Szukam mężczyzny, który chce być mężczyzną, nie chłopcem. Kogoś z dobrą pracą i własnym mieszkaniem. Kogoś, z kim mogłabym iść na zakupy do sklepu Radość Macierzyństwa.

Szczeńka Marty uderzyła w błyszczącą (podrabianą) podłogę.

— Naprawdę?

— Tak. Chcę mężczyzny, który kupuje bilet miesięczny, a nie za każdym przejazdem metrem musi szukać w plecaku drobnych. Właściwie w ogóle nie chcę mężczyzny z plecakiem, wolę takiego z aktówką i laptopem.

— Aha — odezwała się Martha, starannie dobierając słowa i usiłując nie zdradzić zaskoczenia.

— No cóż, jedno ci przyznam: nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać.

— Wiedziałam, że się ucieszysz. — Eliza uśmiechnęła się szeroko, nie zauważając rezerwy siostry. Rzuciła okiem na zegarek, uświadomiła sobie, że za chwilę po raz trzeci w tym tygodniu spóźni się do pracy, przeprosiła siostrę, ucałowała ją i siostrzenicę, po czym wybiegła z herbaciarni z ulgą, że już nie musi pić kocich sików.

Martha dopiła herbatę, po czym z wysiłkiem włożyła Maisie do wózka. Maisie sprzeciwiała się, usztywniając całe drobne ciało na podobieństwo stalowego pręta, nie dając się usadzić na siedzeniu. Chciała, żeby matka ją niosła. W wieku zaledwie dziesięciu miesięcy Maisie zadziwiająco wyraźnie potrafiła komunikować swoje potrzeby i chęci; musiała to odziedziczyć po ojcu, gdyż Martha nigdy nie umiała nikomu narzucać swojej woli, nawet teraz. Przez jakiś czas Maisie krzyczała i płakała, ścigając oburzone spojrzenia innych gości kawiarni. W końcu płacz ją wyczerpał i nadęsa usnęła. Martha poczuła znajomy ucisk poczucia winy w żołądku. O tej porze Maisie naprawdę nie powinna spać. Teraz nie zaśnie w południe, a jeśli nie prześpi się w ciągu dnia, pod wieczór będzie kaprysić, pójdzie wcześniej spać, co oznacza, że obudzi się też wcześniej, co z kolei zirytuje Michaela.

O Boże.

Maisie jednak spała, a Martha nic już nie mogła na to poradzić. Postanowiła więc nacieszyć się rzadkim luksusem ciszy i spokoju. Skorzysta z okazji i poszpera trochę po księgarni.

Martha pogrzebała w torebce w poszukiwaniu schowanej w notesie listy książek, potem poszła na poszukiwanie trzech tytułów. Dwa były świeżo ogłoszonymi kandydatami do Nagrody Bookera, a trzeci otrzymał Nagrodę Pulitzera. Wszystkie powinny okazać się przydatne w kształtowaniu charakteru i poszerzaniu wiedzy. Marcie podobała się większość książek, które do tej pory przeczytała; styl pisarzy był bez wątpienia zgrabny, inteligentny i pełen pewności siebie, dokładnie tak jak zapowiadali krytycy oraz reklamy.

Mimo że wszystkie książki były nieco ponure.

W ciągu roku Martha uzupełniała swoją listę. Teraz pokręciła głową na myśl, że w ciągu dziewięciu miesięcy przeczytała zaledwie pięć książek. A kiedyś przecież, jak pamiętała, mogła połknąć pięć książek przez miesiąc! Realistycznie mogła założyć, że nie zdąży przeczytać tych trzech nowych przed świętami.

Usiłowała sobie przypomnieć, jak to jest czytać wyłącznie dla przyjemności, tylko dla rozrywki. Spojrzała na wysokie stosy książek wołających: „Pośmiej się trochę, poczytaj mnie!”. Były to książki w różowych, turkusowych czy żółtych okładkach, z małymi obrazkami jak z komiksów, przedstawiającymi torebki z cekinami albo przechylone kieliszki szampana. Pozwoliła sobie na przeciągnięcie palcem po nazwisku autora wytłoczonym na jednej z nich, ale nie mogła się zdobyć, by wziąć ją do ręki. Kiedy znajdzie czas, by przeczytać coś tak zupełnie nieprzydatnego? Wiedziała, że wybrane przez nią powieści są przynajmniej pożyteczne — na pewno będzie się o nich mówić na przyjęciach, na które chodziła.

Podeszła do stoiska z kartkami. Pogrzebała w torebce i wyciągnęła kolejną listę. Musi kupić kartkę na rocznicę ślubu Eda i Bel, kartkę „Witamy w nowym domu” dla ciotki Michaela oraz kartkę urodzinową dla jego ojca. Wszystkie w dobrym tonie. Żadnych pośladków, biustów ani żarcików o puszczaniu wiatrów. Na końcu kupiła książkę dla kolegi Mathew. Jej syn został zaproszony do niego

na urodziny i będzie potrzebował prezentu. Martha wybrała *Głodną dżdżownicę*, książkę edukacyjną oraz stymulującą kreatywność. Doskonała. Martha zawsze kupowała dzieciom książki na prezenty.

Wyszła z księgarni w znacznie lepszym nastroju. Przestała martwić się tym, że Maisie śpi w dzień, miała świadomość, że zostało jej mnóstwo czasu do odebrania Mathew z przedszkola. Po południu będzie mogła pójść do supermarketu. Udało się jej zepchnąć myśl o nieuchronnym rozstaniu Elizi i Grega na dno umysłu. Doskonale umiała ignorować złe wiadomości. Najbardziej pomagała terapia sklepowa; tego dnia Martha była bardzo zadowolona ze swoich doskonale przemyślanych zakupów. Tak rozsądnych.

7

Elizę obudziło lizanie po twarzy. Jeśli to Greg — naprawdę musi zadbać o higienę ust. Ale to nie był on, to był Pies. Pies był spanielem Grega, przed dwoma laty uratowanym ze schroniska. Zarówno Eliza, jak i Greg rozpieścili go bezwstydnie. Eliza bała się, że Pies stał się dla niej czymś w rodzaju substytutu dziecka, ale głębokiego uczucia Grega do zwierzęcia nie umiała wytłumaczyć.

Pies miał na imię Pies, ponieważ nie mogli zgodzić się, jak go nazwać. Eliza z westchnieniem pomyślała, że może i dobrze, iż nie będą mieli dziecka, gdyż pewnie skończyłoby jako Dziecko, Chłopiec albo Dziewczynka.

— No dobrze, już dobrze. — Poddawała się natrętnym pieszczotom. Wysunęła długie nogi z łóżka i wyciągnęła ramiona nad głowę.

— Cześć, kochanie — wymamrotał Greg, na pół otwierając oko. — Boże, świetnie wyglądasz, wracaj do łóżka.

— Ktoś musi nakarmić Psa i go wyprowadzić — prychnęła Eliza. Nie wiedziała, co ją najbardziej denerwowało: rezygnacja z porannych pieszczot czy dokopywanie się do jedzenia dla psa w brudnej kuchni.

Wzięła prysznic, ubrała się, po czym ostrożnie weszła do kuchni. Wygląd i zapach pomieszczenia zawsze przewyższał jej najgorsze obawy, gdyż Greg nie był zbyt wielkim miłośnikiem higieny. Eliza rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś czystego widelca, rozpaczliwie uświadamiając sobie przygnębiającą prawdę, że jedynym czystym naczyniem w kuchni była miska Psa, a i to dlatego, że zwierzak ją wylizywał, gdyż i ona nieczęsto widywała pianę z płynu do naczyń. Wyrzuciła porcję cuchnącego końskiego mięsa na miskę i podała Psu.

— Nie powinnam tego robić, jestem wegetarianką! — wrzasnęła w stronę pokoju do Grega, który oczywiście jeszcze wylegiwał się w łóżku.

— Od kiedy?

— Od zawsze, jeszcze nie zauważyłeś?

— A przedwczoraj, kiedy wyszliśmy z tego klubu, zjadłaś hot doga!

Elizę na moment zatkało.

— W tym prawie nie ma mięsa! — odkrzyknęła wyzywająco.

— Wczoraj wieczorem jadłaś rybę z frytkami — ciągnął Greg. Teraz stał w drzwiach kuchni; kompletnie nagi, sennie przecierając oczy i zapalając papierosa. Elizę przeniknęła mieszanina przyjemności i niechęci. Nie mogła zaprzeczyć: był doskonałym, bardzo pociągającym mężczyzną o chłopięcym uroku. Cholernie ją pociągał.

Dosłownie.

Gdyby nie ta niefrasobliwość, byłby mężczyzną jej życia.

Greg był wysoki i szczupły. Miał o wiele lepsze ciało, niż na to zasługiwał, zważywszy na to, iż żył głównie gotowymi posiłkami z barów, alkoholem i papierosami. Włosy nosił dłuższe, niż nakazywała moda, ale jakoś mu to pasowało. I zawsze wyglądał, jakby musiał się ogolić, nawet w chwilę po goleniu.

Idealny do pieprzenia.

Mimo że powinien obciąć włosy i mimo że ich pierworodne miałyby na imię Dziecko.

— No dobrze, jestem półwegeterianką.

— A myślałem, że Wodnikiem.

— Ale śmieszne — skwitowała Eliza.

Sięgnęła po wczorajszy „Evening Standard” i otworzyła na horoskopach. Nigdy nie była pewna, czy dzień, który opisywały, jest dniem ukazania się gazety, ale nie miałyby to zbyt wielkiego sensu, jako że większość ludzi czytała gazetę po drodze z pracy do domu, wtedy nie zostało im już zbyt wiele dnia. Na pewno przepowiednie dotyczyły kolejnego dnia. Dla pewności Eliza zawsze czytała horoskop w dniu wydania i nazajutrz.

„Doskonały dzień, by popracować nad związkiem. Jeśli już wiesz, co w Waszym związku wymaga szczególnej uwagi, to najlepsza chwila, by zacząć działać. Zawsze można dojść do porozumienia, pod warunkiem że zdobędziesz się na bezwzględność, zwłaszcza wobec siebie”.

Dokładność horoskopu nie poprawiła jej nastroju.

— Słuchaj, biorę Psa na spacer. Zrób coś pożytecznego, posprzątaj te wczorajsze śmieci.

Mieszkanie Grega jak zwykle zarzucone było pustymi puszkami i torebkami po chipsach. Stały w nim naczynia po śniadaniu zbierane przynajmniej przez cztery dni. Eliza usiłowała je ignorować, ale zdawała sobie sprawę, że załame się i włoży rękawiczki do zmywania, zanim Greg w ogóle cokolwiek zauważy. Greg rozejrzał się wokół z miną, która potwierdziła jej przypuszczenia: naprawdę nie dostrzegał wysokich stosów brudnych naczyń, przepelnionego worka na śmieci (nie było kosza), lepkiej mazi ozdabiającej linoleum ani tłuszczu na kłamec. Jego uwadze nie umknęło jednak puste pudełko po płatkach.

— Możesz po drodze kupić płatki kukurydziane z orzechami? Albo nie, lepiej czekoladowe kulki. Albo nie, może lepiej płatki w polewie cukrowej, rany, nie mogę się zdecydować. Może ty coś wybierzesz.

Eliza puściła drzwi, które zamknęły się za nią z trzaskiem, i nie zniżyła się do odpowiedzi.

8

Biedny Pies. Miał ochotę na krótki spacer do najbliższej latarni, a co najwyżej do pobliskiego sklepu po płatki, ale Eliza miała zupełnie inne plany. Zmusiła go do przejścia ulicą całej drogi wzdłuż zatłoczonej Uxbridge Road, przeciągnęła go obok parku w Shepherd's Bush, nie pozwalając nawet musnąć nosem trawy, a potem wzdłuż Holland Park Avenue do domu swojej siostry.

Drzwi otworzyła Martha. Na biodrze trzymała Maisie, a Mathew przylgnął jej do nogi. Miała na sobie eleganckie, granatowe spodnie, białą koszulę i wciągane, zamszowe półbuty. Włosy nienagannie ułożone, jak zawsze, a na ustach błyszczyk. Eliza poczuła się wyjątkowo niechlujnie i niestarannie w spodniach od dresu i bluzie.

Pytanie wydawało się niepotrzebne.

— Cześć Martha, nie za wcześnie przychodzę?

— Absolutnie, od szóstej jesteśmy z dziećmi na nogach. — Martha rozpromieniła się, najwidoczniej zadowolona z widoku siostry. Nie wspomniała, że za swoje zaniedbanie poprzedniego dnia została ukarana piekielnym porankiem. Maisie znów kaprysiła, bo ząbkowała, Mathew marudził, bo czuł się zazdrosny o uwagę okazywaną siostrze. Marcie zaczynało być trudno rozróżniać ich płacz, który zlewał się w jeden dość monotony ryk. Przybycie Elizy wniosło upragnioną odmianę. Martha odsunęła się z drogi najzgrabniej, jak mogła z uczepionym nogawki Mathew, i gestem zaprosiła siostrę do środka. Eliza starannie wytarła nogi, lecz bała się, że Pies zostawi nieusuwalne ślady na nieskazitelnej puszystej kremowej wykładzinie przedpokoju. — Nie przeszkadza ci, że przyprowadziłam Psa?

— Nie ma problemu. Wyprowadź go do ogrodu, Mathew będzie zachwycony. Poznęca się nad kimś innym niż siostra. — Martha wolała nie myśleć o robakach i zapamiętała sobie, żeby po wyjściu Elizy sprawdzić, czy w ogrodzie nie zostały psie odchody.

Eliza poszła za jej radą, podczas gdy Martha usiłowała zabawić dzieci, czyli pozbyć się ich. Dzieci szybko odrzuciły drewniane zabawki edukacyjne na rzecz nowej rozrywki — szarpania i posturchiwania psa. Eliza poczuła się nieco winna, że go zostawia samemu sobie, ale szybko weszła z ogrodu do kuchni i dołączyła do siostry szykującej kawę.

— Gdzie Michael? — zapytała, wskakując na stół.

— Jeszcze śpi. Miał naprawdę ciężki tydzień.

„Chciałabym męża, który śpi, bo miał ciężki tydzień, zamiast takiego, który śpi, bo jest leniwym skurczybykiem” — pomyślała Eliza. Nie powiedziała tego jednak, zapytała tylko, czy mogłaby dostać jakieś śniadanie.

— Jeszcze nie jadłaś? — W głosie siostry Eliza usłyszała dezaprobatę jej postępowania. Martha była wstrząśnięta, że można wyjść z domu bez posiłku. Eliza zacisnęła usta w oczekiwaniu na reprimendę.

Może Martha to zauważyła, gdyż nie powiedziała nic więcej. Zamiast tego przedstawiła możliwe menu.

— Mam trochę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, trochę domowych płatków, są naprawdę dobre, mimo że sama to mówię. Mogę ci do nich dać ekologicznego jogurtu albo mleka. Mam odłuszczone, półtłuste lub pełne. Mam też jajka, mogę usmażyć albo ugotować. No i jeszcze bekon i kiełbaski. Chyba mamy też jeszcze jakieś bułki.

Eliza nie mogła się powstrzymać od porównania tej uczy z zawartością lodówki i kredensu Grega. Gdyby do nich wpadł w sobotni poranek niespodziewany gość, musiałyby się zadowolić płatkami ze sklepu, chrupkim pieczywem, pastą marmite i czarną kawą.

— Poproszę musli i sok pomarańczowy.

Martha zaczęła się krzątać, szykując śniadanie; czwarte, jakie przygotowywała tego dnia. Najpierw zjadły dzieci, potem w wolnej chwili Martha połknęła tosta. Kiedy już nakarmi Elizę, będzie musiała rozpocząć przygotowywanie gorącego śniadania dla Michaela; lubił jeść o wpół do dwunastej. W południe zabierze się za gotowanie obiadu dla dzieci. Eliza wyjrzała przez okno.

Był cudowny jesienny poranek. Niezwykle gorący, można by pomyśleć, że to sierpień. Bóg, Matka Natura czy też goście w białych fartuchach, którzy wynaleźli aerozole, znów wszystko pomieszali. Latem można było w najlepszym razie zostać uznanym za nierozsądnego, a w najgorszym prosić się o odszkodowanie z polisy ubezpieczeniowej, jeśli odważyło się wyjść z domu bez kaloszy i parasola. Teraz, w połowie września, nie budziłby zdziwienia spacer w powiewnej sukience i słomkowym kapeluszu.

Nietypowy upał skłonił Marthę do rozmyślań o globalnym ociepleniu, a Elizę do uśmiechu. Rok wcześniej o tej porze połowa mieszkańców kraju barykadowała drzwi domów workami z piaskiem, broniąc się przed wylewającymi rzekami. Wszystko było lepsze niż powódzie.

Eliza popatrzyła na bawiące się dzieci. Jaśniały od słońca i radości.

— Zobacz, jak im się policzki zaróżowiły — powiedziała z podziwem.

— I ubrudziły kolana — uzupełniła Martha z westchnieniem, tonem o wiele mniej sentymentalnym. Wybiegła na dwór, wtarła w buzię Mathew jeszcze trochę kremu z filtrem, a Maisie wzięła na rękę. Dziewczynka zareagowała płaczem; chciała zostać w ogrodzie, pobawić się z psem i bratem.

— Czy trudno zrobić te płatki Birchera? — zapytała Eliza zamyślona. — Są doskonałe.

Nie była pewna, co to właściwie jest.

Martha zarumieniła się z dumy, nieprzyzwyczajona do komplementów. Nie, żeby Michael jej nie doceniał, oczywiście, że doceniał, po prostu po tak długim życiu razem, jak oni, przestawało się prawić komplementy.

— To bardzo proste. Kupujesz paczkę musli, ale muszą być dobre, najlepiej z ziarnami, owocami i orzechami. Warto dodać jeszcze trochę orzechów. Zalewasz filiżanką śmietany albo mleka i wstawiasz na noc do lodówki. Doskonale smakuje z kiwi. Na pewno większość składników masz w domu.

Szczerze mówiąc, Eliza nie miała w domu żadnego z komponentów. Jedzenie kupowała przy okazji, jak się zdarzyło, w małym sklepiku obok domu. Rzadko zachodziła do supermarketów, nienawidziła ich z całej duszy. Już wjeżdżając na parking, czuła ogarniającą frustrację. Rzadko jeździła gdziekolwiek samochodem, gdyż na jej starym, poobijanym Morrisie nie można było polegać. Jednakże odraza do wleczenia się autobusem z siatkami pełnymi zakupów przeważała nad obawą, że na londyńskich ulicach zostawi ciągnący się za nią ślad oleju, więc jeśli już musiała udać się do supermarketu, brała samochód. Ku jej rozdrażnieniu prawie niemożliwe było znalezienie miejsca na parkingu dla prawdziwych klientów, gdyż liczni dojeżdżający do pracy spoza miasta zostawiali tam samochody, a wsiadali w metro dowożące ich do centrum.

Nawet jeśli w końcu znajdowała miejsce, musiała jeszcze uporać się z cholernym wózkiem. Wściekała się na myśl o tym, że za skorzystanie z przywileju wózka trzeba było zapłacić funta, gdyż inaczej nie dało się go poruszyć. Eliza pamiętała czasy, kiedy wózki w sklepach były za darmo. Teraz nic już w życiu nie było darmowe, nawet toaleta. Eliza nigdy nie miała przy sobie monety funtowej, chociaż marzyła, by być jedną z tych kobiet, które zawsze mają przygotowane drobne. No i oczywiście, kiedy już obiegła okolicę, usiłując kupić gumę do żucia i zapłacić dwudziestofuntowym banknotem, by zdobyć upragnioną monetę, kiedy w końcu uwolniła dla siebie wózek, odkrywała zawsze, że był to najgorszy rupieć, na chwiejnych, niepewnych kołach, wózek o skłonnościach samobójczych, samorzutnie zjeżdżający w stronę pól i rzucający się innym wózkom pod koła.

No i jeszcze klienci. Eliza już niemal pogodziła się z faktem, że robienie zakupów w supermarkecie oznaczało spotkanie uparciuchów, którzy z dużymi zakupami pchali się do kasy „poniżej pięciu artykułów”. Nie zawsze był to problem, ale kłopot powstawał, kiedy ktoś z obsługi również był uparciuchem i nalegał na unieważnienie transakcji, po czym odsyłał klienta do właściwej kasy. Powolni, mili staruszkowie, cuchnące pijaczki, histeryczne filipińskie gosposie, wykończone śródziemnomorskie opiekunki do dzieci — wszystkich ich Eliza zawsze spotykała w supermarkecie. Nudziło ją to wszystko.

Na ogół.

Teraz jednak zapragnęła przygotować musli. Była przekonana, że w tym momencie życia właśnie to powinna zrobić.

Dlatego też z pewną niechęcią i lekkim dreszczem obawy mruknęła:

— Chyba będę musiała pojechać do supermarketu.

— To jedź z nami. W soboty po południu zawsze jeździmy do sklepu, tylko najpierw muszę zrobić Michaelowi śniadanie i dać dzieciom obiad. Michael może spokojnie poczytać gazetę, jest też szansa, że przynajmniej jedno z dzieci zaśnie w samochodzie — Martha złożyła propozycję z szerokim uśmiechem, jakby zabierała Elizę w naprawdę przyjemne miejsce. I tak naprawdę uważała. Martha lubiła supermarkety. Lubiła czyste, uporządkowane regały. Podziwiała pracę armii ludzi, niez mordowanie i pieczołowicie ustawiających na półkach rzędy słoików i puszek. Podobały jej się te równiutkie rzędy. Uwielbiała wybierać produkty, zawsze wyobrażała sobie przy tym, z jaką przyjemnością postawi na stole specjalne danie, świeże przyprawy, egzotyczne zioła czy aromatyczne sery, by zadziwić gości. Dla niej supermarket był przyjacielem pomagającym w uzyskaniu uczucia dumy i satysfakcji. Najbardziej lubiła tam jeździć, kiedy Mathew był w przedszkolu, a Maisie zasnęła w wózku. Wtedy rzeczywiście miała czas, by zapoznać się z nowymi liniami i markami produktów. Czytanie etykiet było jej sposobem spędzania wolnego czasu.

Eliza z trudem wyobrażała sobie bardziej przygnębiający sposób wykorzystania sobotniego popołudnia. To było nienaturalne. Czy Martha nie wiedziała, że sklepy przy King's Road były czynne?

— A może pojedziemy teraz, niech Michael sam sobie zrobi śniadanie? — zaproponowała.

— Właściwie czemu nie. — Martha zachichotała.

— Jak ryzykować, to na całość — mruknęła Eliza, sięgając po portfel. — Zostawię wam Psa.

Półtorej godziny później Martha, Eliza, Mathew i Maisie w końcu przeszli przez drzwi pobliskiego hipermarketu, gdyż jeśli ma się dwójkę dzieci poniżej dwóch i pół roku, „teraz” oznacza całą wieczność.

— Jaki tu wybór! — wymamrotała Eliza, trochę przytłoczona, kiedy weszły do działu owocowo-warzywnego. Były tam owoce, których nazwy ledwo potrafiła wymówić, nie mówiąc o smaku — tamarillo, guawa, feijoa, grenadillo... Zastanawiała się, jak smakuje kolczasta gruszka, coś o nazwie cukrowe jabłko albo karambola oraz czy powinno się je trzymać w lodówce.

— A gdzie robisz zwykle zakupy? — zapytała Martha.

— W kiosku na rogu albo w pobliskim sklepiku.

Maisie siedziała w wózku Marthy, a Mathew w wózku Elizy.

— Świetnie mieć dodatkową parę rąk do pomocy — stwierdziła Martha. Dla niej ten dzień stawał się naprawdę coraz przyjemniejszy. — Jeśli siedzą w tym samym wózku, Mathew próbuje bić Maisie po głowie puszką fasoli albo czymś podobnym.

Eliza spojrzała na anielsko uśmiechniętą twarz siostrzeńca i zapytała siebie samą, dlaczego Martha tak często wyolbrzymiała trudności w wychowywaniu dzieci. Czasami miała wrażenie, że Martha nie docenia swego szczęścia. Fakt, że w obecności

Elizy dzieci zawsze zachowywały się wzorowo. To po prostu kwestia utrzymania dyscypliny; dziecko zawsze będzie próbowało, jak dalece może sobie pozwolić. Gdyby Eliza była matką, jej dzieci na pewno znałyby granice. Jest czas na zabawę, wtedy bawiłyby się do upadłego, ale poza tym byłoby spokojnie, cicho i bez stresu. Może w czasie ciąży praktykowałyby medytacje zen, żeby wspomóc karmę dziecka.

Eliza rozejrzała się po sklepie i z rozczarowaniem stwierdziła, że większość obecnych rodziców nie postawiła dzieciom jasnych granic. Zastanawiała się, czy ktokolwiek z nich kiedykolwiek korzystał z dobrodziejstw medytacji. Miała wrażenie, że w każdym wózku siedzi rozkrzyczane, obrażone dziecko domagające się słodyczy lub kłócące się z rodzeństwem. Nie rozumiała również, dlaczego jakaś matka stojąca przy lodówce spiera się z trzyletnią córką o to, jaki kupić jogurt. Jeśli dziecko rzeczywiście chce jogurt z paskudnymi postaciami z kreskówki, no to można mu kupić. Na tym polega radość bycia dzieckiem.

Ale Eliza nie miała pojęcia o czymś takim, jak zawartość cukru.

Przestała się interesować żalną kłótnią o jogurt i zajęła się przeglądaniem zawartości wózków. Kobieta obok ma na pewno kłopoty z żołądkiem; ilość suszonych śliwek i otręb w jej wózku przekraczała przeciętną. Inna na pewno cierpi na bulimię — włożyła do wózka dwa jabłka, jedną marchewkę i pudełko czekoladek Milk Tray. Inna prawdopodobnie będzie przyrządzać kolację dla swego faceta — łosoś, różyczki brokułów do podgrzania w mikrofalach, kosztujące tyle, ile miesięczna składka na fundusz emerytalny, a do tego pudełko lodów Häagen-Dazs. Tamta para jest szczęśliwa — mozzarella, pomidory, świeży makaron i sos pesto. Inna z kolei para czeka na wypłatę — puszka fasoli, krojony chleb i owoce w puszcze.

Eliza i Greg nigdy nie robili wspólnie zakupów.

Westchnęła, zastanawiając się, czy jej obsesja na tle wózków innych klientów jest normalna. Czy to ma coś wspólnego z wielką zazdrością i poczuciem niższości, spowodowanym brakiem odpowiedniego męża? Kobieta z brokułami wartymi miesięczną składkę na pewno nie należała do tych, które tracą cztery lata — cztery ważne lata, odmierzane przez zegar biologiczny — spotykając się z muzykiem niezdolnym do stworzenia trwałego związku.

A z drugiej strony — czy kobieta z brokułami kiedykolwiek doświadczyła wielokrotnego orgazmu albo czy kochała się na blacie w kuchni? Czy kiedykolwiek piła wino z ust faceta?

Grrrr... Eliza nie mogła, a raczej nie chciała teraz o tym myśleć. Wzięła paczkę herbatników, potem zauważyła, że inne były w promocji — dwa opakowania w cenie jednego. Nie mogła się zdecydować, w końcu włożyła do wózka wszystkie trzy paczki.

Jedzenie na pocieszenie.

— Jak ty to robisz? — zapytała Martha, zaglądając do wózka siostry. Mimo wszelkich wysiłków, żeby kupować zdrowe jedzenie i świeże owoce, Eliza nakładła do niego sporo ciastek, dań do odgrzewania w mikrofalach: frytek, pudełek pizzy, poza tym słodkich płatków i chipsów.

— Jak ci się udaje utrzymać figurę? — dodała. — I cerę też masz niesamowitą.

Wózek Marthy był pełen pieluch dla Maisie; dla Mathew był w nim kurczak ekologiczny, ekologiczny ser i także chipsy (jedyne ustępstwo na rzecz dziecięcych gustów). Leżało w nim sporo drogich produktów z etykietami „Wyjątkowy smak” dla Michaela. Chociaż Martha zdawała sobie sprawę, że jest to tylko sztuczka marketingowa, nie zdołała się oprzeć parmezanowi z czarno-białym obrazkiem włoskich dzieci jedzących makaron. Poza tym Martha kupiła kilka artykułów bez tłuszczu i bez smaku dla siebie. Eliza spojrzała na jej zakupy i zważyła w swoją umiejętność odgadywania ludzkich charakterów z zawartości wózków w sklepie. Z wózka Marthy wynikało, że jest ona osobą stłamszoną, o niskim poczuciu własnej wartości, podczas gdy naprawdę była szczęśliwą i spełnioną mężatką. Zawsze przecież tak twierdziła.

Siostry rozdzieliły się. Eliza chciała uzupełnić zakupy tak, żeby siostra nie widziała, jak bardzo zaniedbuje dom, Martha zaś chciała jeszcze dokupić jedzenie na wieczorne przyjęcie i poczytać nagłówki dobrych gazet.

Martha zatrzymała się na stoisku z prasą, gdzie zaczęła przeglądać tandetne, lecz kuszące nagłówki plotkarskich czasopism. Ciekawiło ją, czy opisują prawdę, czy też może ktoś je wymyślał po to, żeby inni — tacy jak ona — czuli się gorsi i prowincjonalni? W sumie przecież nie chciałyby takiego pokręconego życia. Nigdy dotąd nie złamała żadnej zasady, nie mówiąc już o łamaniu prawa. Nigdy nie zaparkowała na kopcach dla niepełnosprawnych, a płatności za telewizję regulowane były bezpośrednio z jej konta. Była praworządną i porządną obywatelką.

Eliza zastanawiała się, czy na całym świecie istnieje osoba, która nigdy niczego nie ukradła. Skłonił ją do tego widok dobrze ubranego czterdziestolatka, który wsunął sobie pod płaszcz puszkę środka do polerowania mebli. Co za dziwny dobór łupu! Uznała, że nie zgłosi kradzieży przysadzistemu ochroniarzowi; może facet po prostu przechodzi kryzys wieku średniego, więc po co robić zamieszanie? Poza tym ochroniarz nie wzbudził w Elizie absolutnie żadnej sympatii; wydawał się znudzony i agresywny. Z drugiej strony, mężczyzna z pastą do mebli w kieszeni wydawał się teraz podniecony, a jednocześnie żalony. Eliza wyliczyła sobie w pamięci wszystkie rzeczy, które kiedykolwiek ukradła: ciastka i długopisy z pracy, korektor, spinacze, karteczki samoprzylepne... Na studiach urządzała regularne napady na szafki współlokatorów. Przez trzy lata z rzędu udawało się jej nie płacić podatku od nieruchomości. Nigdy nie kupowała biletu na metro, kiedy jako nastolatka przyjeżdżała do Londynu; stać ją było, ale wolała dreszczyk towarzyszący przeskakiwaniu przez barierki, który stał się częścią

tych wycieczek. Poczła się jak skrzyżowanie Ronnie Biggsa z Bonnie i Clyde'em, zajęła się więc innymi tematami.

Chioca, co to jest, do cholery? „Smaczne, soczyste, czerwone bulwy, uprawiane niegdyś przez Inków” — tak przynajmniej twierdziła etykieta. Eliza rzuciła okiem na sposób przyrządzania; nic jej to nie pomogło. „Nie wymaga obierania; lekko słodki smak; najlepiej smakuje pieczone”. Wzruszyła ramionami. Do wózka dołożyła butelkę octu balsamicznego i torebkę mąki bezglutenowej. Niejasno wydawało się jej, że octem balsamicznym można polewać sałatki, ale nie była pewna, czy stosuje się to do frytek; nigdy na pewno nie otworzy mąki bezglutenowej, ale torebka była bardzo ładna, na pewno ozdobi półki Grega.

Znudzona własną ignorancją Eliza skierowała się do stoiska piekarniczego, gdzie ciągnął ją zapach świeżego chleba i posypanych cukrem pączków. Zrezygnowała z pomysłu kupowania żytznego chleba, miodu i śliwek. Postanowiła kupić bekon, jajka, pomidory i pieczarki. Potem wróci do Grega, usmaży to wszystko, a popołudnie spędzą, kochając się. Na razie wyleciały jej z głowy wszelkie fundusze emerytalne i hipoteki.

9

Nie spędzili popołudnia na kochaniu się. Po powrocie od Marthy Eliza zastała mieszkanie puste. Greg nie zostawił wiadomości, dokąd się wybrał. Oczywiście. Żeby zostawić karteczkę, Greg musiałby... musiałby zacząć myśleć. Zostawienie wiadomości zakładało posiadanie poczucia odpowiedzialności, wykraczającego daleko poza możliwości Grega. Eliza nie zadała sobie trudu, by usmażyć jajka i bekon; nie chciało jej się jeść samotnie.

Otworzyła szeroko okna, mając nadzieję, że choć w części pozbędzie się różnorodnych odorów wypełniających mieszkanie — smrodu opakowań po rybach i frytkach, starego tytoniu, przepoconych ubrań i tenisówek. Mimo woli przypomniały się jej aromaty unoszące się w mieszkaniu siostry — świeżo palonej kawy, czystych ubrań, umytych dzieci. Eliza poczuła się jak flejtuch. Poszła do łazienki, chcąc usunąć nieco tłuszczu i brudu, które zdawały się stanowić nieodłączną część jej życia. Dość ostrożnie uchyliła drzwi, gdyż widok łazienki nie należał do przyjemnych; nawet pająki niechętnie w niej przebywały, bo dbały o swoje zdrowie i życie. Mokre ręczniki porzucone na podłodze pod jej nieobecność chyba się rozmnożyły, gdyż teraz uformowały coś w rodzaju barykady. Na wannie został ciemny pasek, który mógł nasunąć widzowi przypuszczenie, że Eliza i Greg pracowali w kopalni. Najróżniejsze balsamy i maści w tajemniczy sposób powylewały się lub powyciekały z tubek i pojemników. Spływały po umywalce, lustrze, kafelkach i podłodze, jakby również chciały się ewakuować z tej nory w bardziej higieniczne warunki. Stopy Elizy przyklejały się do wykładziny, nie było widać papieru toaletowego, a rolety nie dało się podnieść.

Eliza usiadła na wannie i rozplakała się. Kiedy skończyła płakać, zaczęła się pakować.

— Cześć, kochanie! — zawołał Greg z korytarza. A właściwie z salonu, gdyż drzwi wejściowe otwierały się właściwie prosto na pokój, który z kolei przechodził w kuchnię, ledwie oddzieloną od sypialni. Odrębną całość w mieszkaniu Grega stanowiła tylko łazienka, ale nawet jej drzwi były stale otwarte. Eliza nie zamierzała do końca życia mieszkać w kawalerce.

Do otwartej walizki wrzuciła kolejną porcję T-shirtów. Usłyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych, po chwili zaczął gadać telewizor i rozległ się syk otwieranej puszkę z piwem. Spojrzała na zegar; było wpół do piątej. Wiedziała, że Greg rozłożył się na sofie (bez wątplenia w zabłoconych butach, które zostawiały ślady na narzucie). A kurtkę rzucił na podłogę. Właściwie nawet nie rzucił; jego rzeczy zawsze jakoś same spadały i układały się w nieskładne stosy na podłodze. Eliza słyszała, jak przerzuca kanały: wyścigi konne, dokument, rugby, teleturniej o serialach. Greg zatrzymał się na *Tweenies* i krzyknął:

— Zegarek Tweenie, gdzie też przystanie?

Doskonale naśladował Jake'a. Gdyby Eliza była dzieckiem, na pewno by to doceniła. Jednak oboje byli dorośli, więc uznała przedstawienie Grega za głupie. W końcu Greg zatrzymał się dłużej na MTV. Na pewno drapał się teraz po brzuchu i zastanawiał, co włożyć na wieczór do klubu.

„Co za facet” — westchnęła w duchu.

Dalej pakowała rzeczy. Właściwie nie wiedziała, co zabrać ze sobą. Zauważyła, że kiedy tylko w telewizji ktoś od kogoś odchodził, zawsze pakował się w jedną schludną walizkę. Jak to możliwe? Miała już pełen plecak, walizkę, kosmetyczkę i trzy worki na śmieci. A nawet jeszcze nie otworzyła szafy z letnimi ubraniami. Może nie potrzebowała tego czarnego golfa, spakowała dwa inne, zawsze może po niego wrócić. Usiadła na łóżku i pogładziła kołdrę. Dlaczego martwi się tym, co spakować, a nie tym, co powiedzieć Gregowi? Znow przeciągnęła dłonią po kołdrze; była miękka i chłodna, miła w dotyku. To tylko bawełniana kołdra z Debenhama, nic specjalnego, ale dlaczego dotykając jej, czuła ściśnięcie żołądka? Położyła się i powąchała kołdrę. Pachniała Psem i Gregiem.

— Co ty wyprawiasz?

Eliza poderwała się na dźwięk głosu Grega, który z papierosem stał w drzwiach. Nie znosiła, kiedy palił w sypialni.

— Wącham łóżko.

— To widzę. Ale po co ci te torby? Przemebłowujesz garderobę na zasadach feng shui? — Greg bezskutecznie usiłował ukryć rozbawienie. Doskonale zdawał sobie sprawę z ciągłych (nieudanych) dążeń Elizy do bycia bardziej uporządkowaną, skuteczną kobietą sukcesu finansowego. Nie pojmował jej namiętności do kupowania każdej książki na rynku, która obiecywała marchewkę w postaci bycia kimś więcej. Eliza nie wymagała żadnych poprawek. Według niego była doskonała taka, jaka była. Gdyby zmuszono go do wyszukania w niej wad, uznałby, że może za bardzo przejmuje się pozorami,

ale objawiało się to jedynie tym dziwnym pociągiem do nowinek w rodzaju feng shui, poprawiania siebie i tym podobnych bzdur.

— Nie, to nie feng shui.

— Chcesz się tego pozbyć?

— Nie.

— Chyba nie chcesz uciec z facetem ze sklepu na rogu? — Greg się roześmiał. Od dawna żartowali, że facetowi ze sklepu na rogu podobała się Eliza, co zresztą było prawdą; facet miał co najmniej dziewięćdziesiąt lat. Jego fascynacja bywała zresztą pożyteczna, kiedy Greg musiał coś kupić na kreskę. Jednym szybkim ruchem Greg rzucił się na łóżko, chwycił w dłoń pierś Elizy i zaczął całować jej nogę przez spodnie od dresu. Nie pofatygował się nawet, żeby zgasić papierosa.

— No i co zrobiłeś? — jęknęła Eliza. — Wszystko pogniotłeś.

Właściwie ubrania nie były uprasowane; oboje uważali prasowanie za straszliwą stratę czasu, zresztą Eliza wrzuciła ubrania do walizki w sposób bardziej niż niedbały. Greg był tego świadomy, więc nawet się nie bronił. Zaczął tylko całować ją bardziej namiętnie, usiłując jednocześnie podciągnąć jej T-shirt powyżej stanika.

Eliza oderwała się od niego.

— Nie jestem w nastroju.

— Naprawdę? — Jego zdziwienie było prawdziwe.

— Nie można mnie ot tak, po prostu włączyć — skłamała. W rzeczywistości było dla niej niemal niewykonalne oprzeć się Gregowi, który zawsze umiał ją włączyć, ot tak — całując jej nogi, głaszcząc po głowie, wpatrując się w nią, jedząc spaghetti — w sumie na wiele sposobów. W tej chwili ten fakt bardzo ją drażnił.

— Co się dzieje, mała? — zapytał Greg, pieszcząc kciukiem jej lewy sutek.

— Gdzie byłeś? — Pytanie wynikało raczej z chęci powstrzymania go niż z autentycznej ciekawości.

— U Boba, graliśmy trochę. Mamy coś nowego... poczekaj, zagram ci. — Greg zeskoczył z łóżka, poszedł do salonu i przyniósł saksofon. Swojego zapalonego papierosa postawił na sztorc na nocnym stoliku.

Eliza zapłonęła oburzeniem. Greg zaczął grać.

Cholerny palec u nogi, podskakujący w rytm muzyki, jakby jej się podobała. I palec u ręki, delikatnie wystukujący rytm na udzie. Niech to szlag. Greg naprawdę wyglądał dobrze, a grał jeszcze lepiej. Eliza przy niezliczonych okazjach widziała go grającego. Zawsze czuła się dumna, że na dźwięk jego muzyki ludzie przystawali, by posłuchać; miał moc przyciągania uwagi. I mimo że wołałaby, aby przestał palić, musiała przyznać, że odbity w jego oczach i instrumencie dym wyglądał pięknie.

Więc?

To dziecinne tak się poddawać jego muzyce, podążać za nim, jakby był jakimś pieprzonym szczurołapem. Eliza była na siebie tak wściekła, że miała jedynie ochotę wybiec z mieszkania tak, jak stała. Chciała zostawić za sobą tęskne, natchnione nuty, które wciskały się jej do mózgu.

— Odchodzę, Greg.

Greg przestał grać.

— Co takiego?

— Odchodzę. Zostawiam cię — powtórzyła Eliza. Mówiła bardziej pewnie, niż się czuła. Ale w sumie puzzle z tysiąca kawałków były bardziej pewne swojej tożsamości niż ona.

— Dlaczego? — Poczul się tak, jakby go uderzyła.

Odłożył saksofon i przykucnął obok niej.

— Bo to nie jest to, czego chcę — odparła.

— Co nie jest? — zapytał szczerze zdziwiony.

— No... sposób, w jaki żyjemy. — Eliza ćwiczyła swoje przemówienie przez całe popołudnie, ale nagle zabrakło jej słów. — Czuję się stłamszona.

— Stłamszona? — Greg nie pojmował.

Ich wspólne życie polegało na kreowaniu nowych rzeczy. Często wspólnie pisali teksty jego piosenek. Przecież jeszcze poprzedniego wieczora podczas kąpieli zapisali słowa na ścianie łazienki. Bardzo mu się to podobało. Razem czytali i rozmawiali o książkach, koncertach, żartach, filmach i ubraniach. Uprawiali doskonały, pełen niespodzianek seks, czego nie można powiedzieć o ludziach po czterech latach związku. O co jej chodziło? W jaki sposób była stłamszona?

— W jaki sposób jesteś stłamszona?

— Chyba nie jestem tym, kim chcę być. Pragnę czegoś więcej.

— No dobrze, a czego pragniesz? — zapytał rozsądnie.

Chyba nie mówiła poważnie, że odchodzi. Zapewne przesadzała, aby potraktował ją bardziej poważnie. Nie brzmiało to jak pożegnalne przemówienie. Choć z drugiej strony — nigdy do tej pory nikt go nie rzucał... Jego poprzednie dziewczyny zawsze były obok, a potem nagle zniknęły. W rezultacie nie przeżywał tego zbyt mocno. Ale nigdy nie przypuszczał, że tak samo zniknie Eliza. Teraz, kiedy o tym myślał, nie umiał sobie tego wyobrazić. Gdyby umiał, zdawałby sobie sprawę, że bardzo mocno to przeżyje.

— Nie chodzi o ciebie, tylko o ten styl życia — próbowała wyjaśnić.

— Przecież nie jesteś w związku ze stylem życia!

— Możesz tak mówić, ale... — Westchnęła. Nie zamierzała wdawać się w dyskusje. Nie przypuszczała, że będzie musiała odpowiadać na pytania albo wyjaśniać swoje motywy, nie podejrzewała, że Greg zdobędzie się na taki wysiłek. — Wiesz, co to jest chioca?

— Nie mam pojęcia.

— To warzywo. Korzeń, którego Martha używa do potraw na swoje przyjęcia. A my nawet nie wiemy, co to jest!

— No to co? W takim razie pasujemy do siebie! — żartobliwy komentarz Grega kompletnie chybił celu. Oczy Elizy zapłonęły wściekłością, choć szczerze mówiąc, nie wiedziała, co ją tak denerwuje.

— Rzucasz mnie, bo nie znam się na przyprawach? — Greg był szczerze zdumiony.

— To naprawdę godne pożałowania, ale... no nie, niezupełnie tak. Nie urządzamy przyjęć — oznajmiła.

— Fran i Any byli na kolacji ledwie wczoraj.

— Rybę z frytkami bez porządnego talerza naprawdę trudno nazwać przyjęciem! — Ku własnemu zdziwieniu Eliza zaczęła krzyczeć.

— No dobrze, dobrze, następnym razem postaramy się o talerze.

Elizy nie dało się ugłaskać. Wstała i z powrotem wciągnęła walizkę na łóżko. Jak szalona znów zaczęła upychać w niej ubrania. Co się z nimi stało? Wyglądało na to, że pozamieniały się w ciasno poskręcane sprężyny; wszystko, co wepchnęła do walizki, rozwinęło się z powrotem. Z determinacją upchnęła figi w bucie i zważyła w dłoni śliskie, cienkie sukienki oraz ciężkie bluzy.

— Chcę mieć naczynia, które do siebie pasują, chcę błyszczące garnki i sztuce, chcę mieć prywatne ubezpieczenie zdrowotne i podrózne. Chcę spłacać kredyt za własny dom, a nie wciąż wynajmować mieszkanie. Chcę urządzać przyjęcia, chodzić do supermarketów i na grilla

— No, teraz chyba żartujesz. Na grillu zawsze jest pełno skłóconych, poobrażanych par — odpowiedział Greg.

— Chcę być taką skłóconą, poobrażaną parą! — odpaliła Eliza, nie do końca zdając sobie sprawę, czego sobie życzy.

— No, to przynajmniej dostałaś, mała. — Greg usiłował się uśmiechnąć; miał wyglądać swobodnie i nonszalancko, ale był pewien, że jego głos brzmiał gorzko i smutno.

— Nie. Nie jesteśmy parą, Greg, właśnie to usiłuję ci uświadomić. Ja chcę partnera, a nie chłopaka.

Greg wybuchnął homerycznym śmiechem.

— Teraz wiem, że się ze mnie nabijasz! Przecież nie znosisz słowa „partner”! — wypowiedział je kretyńskim tonem, jakim zawsze oboje je wymawiali, oraz z wyrazem twarzy, który przybierali wtedy, kiedy poznawali kogoś, kto wymagał, by jego drugą połówkę nazywać partnerem lub partnerką. — Na pewno nie chciałabyś partnera. Nie wierzę ci.

Eliza zamarła w połowie pełnego furii zwijania ubrań w ciasne kulki. Faktycznie, takiego partnera nie chciała. Wątpiła, czy w ogóle potrafiłaby wymówić to słowo bez przybrania głupiej miny lub na spokojnie, a nie w ataku furii. Jednakże chciała przecież pozycji szanowanej, stabilnej i pewnej.

Chciała mieć meble nie tak odrapane, by trzeba je było narzucać batikami (które same w sobie też były zniszczone). Chciała zbierać serwisy Denby, a nie płyty DVD. Chciała kupować pojemniki Tupperware, eleganckie patelnie z pasującymi do nich pokrywkami oraz posiadać lodówkę bez wypisanych magnesami wulgaryzmów. Chciała tego wszystkiego, co miała Martha. Najbardziej zaś chciała mieć męża.

— Chcę wyjść za mąż — mruknęła. Z wysiłkiem podniosła wzrok znad dywanu i wbiła spojrzenie w Grega. Na jej twarzy rysowała się determinacja; to nie były oświadczyzny, ale wyzwanie.

Greg natychmiast zrozumiał. Widział przystawiony do głowy pistolet równie wyraźnie, jak swoje odbicie w lustrze.

Eliza czekała. Może, może — może powie: „No dobrze, to się pobierzmy”. Mogłaby nawet pojechać do Vegas, żeby Elvis udzielił im ślubu, jeśli faktycznie Greg tego zapragnie, choć w głębi duszy marzyła o ślubie jak z bajki, jak ślub siostry.

— Rozumiem — burknął Greg. — Chyba muszę się napić. To nie była ta odpowiedź. Eliza znów poczuła cichą furję.

Z gniewem wróciła do prób zapięcia walizki, która nie chciała się dopiąć. Eliza musiała na niej usiąść. Potem wskoczyła na wieko i skakała dopóty, dopóki ząbki zamka nie weszły na miejsce, a walizka nie została zamknięta.

Greg wrócił do sypialni, niosąc pół butelki whisky i dwie szklanki. Eliza zauważyła, że nawet szklanki nie pochodziły z jednego kompletu. Typowe! Greg podał jej jedną szklankę, którą wzięła bez słowa. Ustami odkręcił butelkę, po czym nalał hojnie do obu naczyń. Miał przepiękne palce.

— No to wytłumacz mi jeszcze raz. Dlaczego chcesz wyjść za mąż? Dlatego, że chciałybyś mieć serwisy i sztuce, ubezpieczenie zdrowotne i kredyt na dom?

— Tak — westchnęła Eliza. Wiedziała, że nie do końca wyraża się jasno, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów. — Chcę... chcę dorosłego życia — spróbowała znów.

— A nie żyjemy dorośle?

— Nie.

— A ja myślałem, że tak, Liza. Myślałem, że zakochanie w kimś po uszy jest bardzo dorośle.

Eliza nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na ogół uwielbiała, kiedy nazywał ją Lizą. Było to jej intymne imię, tylko dla niego, gdyż nikt inny nie skracał wcześniej jej imienia. Teraz jednak uznała to za niepoważne.

Greg milczał przez chwilę, w końcu się odezwał.

— Powinniśmy wznieść toast. Za co pijemy, jak myślisz? Eliza nie mogła się zmusić, żeby na niego spojrzeć.

— A może za koniec naszego romansu? — powiedział, stukając swoją szklanką w jej szklankę.

— Eee... za koniec — odmruknęła, zażenowana tak nietypowym toastem.

Greg łyknął ze szklanki i spróbował złapać ostatnią okazję.

— Pójdiesz ze mną do łóżka ostatni raz? Przez wzgląd na stare czasy. — Uśmiechnął się powoli, leniwie, a w kącikach oczu pokazały mu się zmarszczki. Jednak i tak nie wyglądał na swoje lata.

„W razie czego graj” — przypomniała sobie Eliza.

— Nie — odparła z największą stanowczością, na jaką mogła się zdobyć.

— Nie — powtórzył cicho i pochyliwszy głowę, utkwił spojrzenie w szklance trzymanej w ręce. Zakołysał gęstym, bursztynowym płynem, w który wpadło i przeświecało światło późnopołudniowego słońca wędrujące po pokoju. Mogła to być romantyczna chwila.

— To koniec, tak? — Zmusił się do podniesienia wzroku.

— Tak — odrzekła Eliza.

Przyjrzała się swoim uczuciom. Wydawało się jej, że poczuje ulgę, a może nawet upojenie zwycięstwem. Nic z tego; czuła się okropnie. Ale przypomniała sobie, że to dopiero pierwszy krok na drodze do uzyskania szanowanej pozycji, a pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy.

Wcale nie dlatego, że boli.

I nie dlatego, że właśnie odrzuciła najlepsze, co ją kiedykolwiek spotkało.

10

Martha czuła się wspaniale. Promieniała szczęściem, a nawet — mój Boże — podnieceniem. Trochę to potrwało, ale znów czuła się cudownie. To był idealny dzień. Dzień, w którym znajduje się miejsce na parkingu przed supermarketem, a potem bez wahania i bezbłędnie udaje się zaparkować tyłem. Dzień, w którym można kupić dosłownie każdy składnik dania na przyjęcie, jaki wpisało się na listę zakupów. Nawet chiocę. Dzień, kiedy dzieci grzecznie bawią się razem (Martha miała wybiórczą pamięć, co się jej bardzo przydawało, i zapomniała już o trudnym poranku), a siostra wpada nieoczekiwanie, kiedy radość sprawia wykonywanie powszednich czynności, na przykład zjedzenie śniadania czy kupowanie jedzenia.

Był to dzień, w którym dzwoni agent z wiadomością, że właściciel domu przyjął propozycję kupna. Hura!

Absolutnie doskonały dzień.

— Michael, czyż to nie cudowne? — Martha nie zatrzymała się, żeby wysłuchać jego odpowiedzi; wiedziała, że to cudowne, i wiedziała, że Michael też tak myśli. — Rozwiążemy wszystkie nasze problemy. Niania na miejscu, co za luksus! Miejsce na wywieszenie ręczników i pościeli... Uczciwej wielkości ogród. I pokój jak w hotelu Wellington. — Te słowa Martha wymówiła tonem, jaki inne kobiety rezerwują na podziękowanie idealnemu kochankowi za niezrównaną noc i wielokrotny orgazm,

ale nie miała pojęcia o tym, gdyż nigdy nie była w łóżku z bogiem seksu i nie doświadczyła wielokrotnego orgazmu.

Po powrocie ze sklepu zadzwoniła do agenta nieruchomości, jak to czyniła cztery czy pięć razy dziennie od czasu, kiedy złożyli w biurze ofertę na Bridleway. Przyzwyczała się już do uprzejmych, ale dających niewielką nadzieję odpowiedzi: „Jeszcze się namyślają”. Nie zdawała sobie sprawy, że agent przy każdej rozmowie wznosił oczy do nieba, a kolejny dzwonek telefonu witał chór głosów: „To znów pani West”. Na koniec wszystkich poprzednich rozmów Martha uprzejmie i dość bezradnie mówiła: „To proszę zadzwonić, jak będą państwo coś wiedzieć”. Słowom tym towarzyszył dzielny uśmiech i kolejna cicha modlitwa: „Proszę, proszę, niech się zgodzą”.

Tym bardziej zaskoczyło ją więc, że pośrednik zmienił ustalony przebieg rozmowy.

— A, pani West. Właśnie miałem do pani dzwonić.

— Tak? — „Boże, proszę, proszę...”.

— Przyjęli państwa propozycję.

W tych trzech słowach zmieściła się radość wszystkich świąt Bożego Narodzenia i wszystkich urodzin, jakie Martha w życiu przeżyła.

Martha wypakowała zakupy, nakarmiła dzieci, bawiła się z nimi całe popołudnie, zabrała je na huśtawki, znów je nakarmiła, wykąpała, poczytała im bajkę, przygotowała kolację na sześć osób, wzięła prysznic, umyła głowę, ubrała się i umalowała, a wszystko w stanie absolutnej ekstazy.

To był idealny dzień.

Nie przestawała gadać, biegając po kuchni podczas ostatnich przygotowań do kolacji. Zapytała Michaela, czy lepiej włożyć szampana do lodówki, żeby mogli uczcić kupno nowego domu. Stwierdziła, że kolejny talerz się wyszczerbił. Zatrzymała się przy półce na warzywa i skomentowała świeżość lub jej brak każdej sztuki z osobna. Jednak sama nie mogła się skupić na tym, co gadała. Myślała jedynie o Bridleway. Ich nowym domu. Ich wymarzonym domu. Marzenia Marthy i Michaela miały się wreszcie spełnić. Przyjęto ich propozycję! Prawnik już wcześniej został pouczony, że ma natychmiast uruchomić wszelkie możliwe i niemożliwe środki tak, by całą sprawę można było zamknąć i przeprowadzić się jak najszybciej. Martha zadzwoniła nawet do niego do domu, w sobotę, gdyż była zbyt rozemocjonowana, by czekać do poniedziałku. Zwykle nie poważyłaby się na coś takiego, choć przecież za usługi prawne płacili naprawdę fortunę. Martha chodziła z uśmiechem od ucha do ucha i nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek przestanie się uśmiechać.

Michael również nie słuchał jej paplania. Nie miał pojęcia, czy lepiej włożyć szampana do lodówki. Kompletnie nie zainteresował go wyszczerbiony talerz, a warzywa, do jasnej cholery, to przecież tylko warzywa.

— Gdzie się wszyscy podziewają? Ed i Bel są zawsze tak punktualni. Może utknęli w korkach? Dom i Tara zawsze się spóźniają, to mnie wcale nie dziwi. Może powinnam zadzwonić, jak myślisz?

— Martha nie mogła się doczekać, aż obwieści swoją nowinę. Tara na pewno będzie miała mnóstwo świetnych pomysłów na urządzenie kuchni, gdyż ostatnio całkowicie odnowiła własną. Martha z zadością zerkała na jej krany.

— Lepiej nie.

— Masz rację, to trochę nieładnie, będzie wyglądało, jakbym ich poganiała. Dotrą w swoim czasie.

— Nie przyjdą.

— Kto nie przyjdzie? Ed i Bel czy Dom i Tara? Michael, mogłeś powiedzieć mi wcześniej. Nagotowałam jedzenia dla sześciu osób. Dzwonili? Nie mają z kim zostawić dzieci? — rzucając pytania, Martha nadal miotała się po kuchni. Odkorkowała butelkę czerwonego wina, żeby nabrało oddechu, nałożyła oliwek do salaterki, drugi raz przetała kieliszki do szampana, starając się nie zwracać uwagi na ogarniającą ją irytację. Michael był kochany, ale nie miał zielonego pojęcia o tym, w jaki sposób Martha zarządzała sprawami domowymi. Powinien był jej powiedzieć, że ktoś z gości nie przyjdzie. Nie znosiła marnować jedzenia, nie mówiąc już o cennym czasie, jaki poświęciła na przygotowania. Gdyby nie była w tak doskonałym nastroju, może powiedziałaaby coś na ten temat.

A może jednak nie.

— No to kto nie dotrze? — Martha już zastanawiała się, kogo może wrzucić na ich miejsce. Czy Eliza i Greg będą się zachowywać jak należy, jeśli do nich zadzwoni i zaprosi w ostatniej chwili? Czy też będą się domagali popielniczki, a potem narzekali na brak odpowiedniego wyposażenia w szkołach państwowych?

— Nikt nie przyjdzie.

— Nikt? — Martha nie rozumiała.

Zatrzymała się w biegu i spojrzała na Michaela.

— Nikt.

— Dlaczego?

— Zadzwoniłem do nich i odwołałem kolację.

— Odwołałeś? — Martha myślała, że się przesłyszała, ale nagle pojęła. — Michael, kochanie, chciałeś, żebyśmy uczcili to tylko we dwoje?

Podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Odsunęła od siebie niewygodną myśl, że mógł ją uprzedzić; zaoszczędziłaby sporą sumę i mnóstwo czasu. To taki romantyczny gest!

Michael wziął ją za rękę i powoli, z namysłem odsunął je od siebie, aż opadły po bokach Marthy. Nie patrzył na nią.

— Odchodzę, Martho.

— Wychodzimy? — zapytała niepewnie, gdyż coś w jego głosie ostrzegło ją, że nie ma mowy o świętowaniu. Właściwie z całej jego postaci biła niechęć, frustracja, wstyd i pragnienie samotności.

Michael westchnął bardzo głęboko i wbił wzrok w swoją komórkę. Poprzednio bawił się nią jakiś czas, w końcu podłączył do ładowarki.

— Ja odchodzę, Martho. Zostawiam cię. Wyprowadzam się. Świat przystanął w miejscu.

Martha przestała oddychać.

Serce biło jej tak mocno, że czuła jego uderzenia na czubku głowy.

Słyszała, co powiedział, a raczej miała wrażenie, że słyszała, ale to przecież niemożliwe. To nie te słowa, bez sensu. Wisiały w powietrzu, ale umykały tej części umysłu, która mogła je odszyfrować, która mogła uspokoić serce, że to nieprawda, że źle usłyszała.

— Czy to nie cudowne, że mamy dom? — zająknęła się Martha. Czekwała, aż kiwnie głową i rozpromieni się. Czekwała, by móc sobie powiedzieć: „Falszywy alarm, to tylko żart”.

— To koniec.

— O co ci chodzi? — To nie był głos Marty. Brzmiał nienaturalnie wysoko, był pełen strachu.

— Ja... ja... — Michael zawahał się. Rozejrzał się po pokoju i przeciągnął dłonią po włosach. — Wyprowadzam się do hotelu.

— Hotelu? Nic nie rozumiem. — I rzeczywiście tak było. — Co się stało?

Chrząknięcie.

— To... trudno powiedzieć...

Nagle Martha już nie chciała się dowiadywać; mimo że jemu bardzo trudno byłoby to powiedzieć, miała wrażenie, że jej o wiele trudniej będzie tego wysłuchać. Musiała go powstrzymać.

— Dobrze, dobrze, nic nie mów. Nie bądź niemądry. Siadajmy do kolacji. — Wzięła ścierkę i zabrała się za wycieranie nieskazitelnie czystych blatów. Słowa „niemądry” używała często w rozmowach z dziećmi; teraz uderzyło ją, jak bardzo nie przystaje ono do tej sytuacji.

Michael nie zwrócił uwagi na przerywnik.

— Nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie. Ja po prostu...

— Po prostu co? — zapytała automatycznie. Był to skutek wieloletniego ćwiczenia się w okazywaniu uprzejmego zainteresowania. W rzeczywistości wcale nie chciała wiedzieć.

— Potrzebuję przestrzeni — wymamrotał.

Okazało się, że w zdartych sloganach jednak drzemie jakiś sens.

— Ależ będziesz miał przestrzeń. W Bridleway będzie mnóstwo przestrzeni. O co ci chodzi?

— Ja już nie mogę.

— Czego nie możesz? — spytała Martha ciszej niż zwykle. — Życ szczęśliwie z żoną i dziećmi?

— Nie jestem szczęśliwy.

Martha zachwiała się. Sięgnęła ręką za siebie i usiadła na pobliskim krześle. Nie jest szczęśliwy! A przecież ciągle pytała go, czy jest szczęśliwy. „Jesteś szczęśliwy, kochanie?” — ćwierkała.

„Oczywiście, kto by nie był na moim miejscu?” — odpowiadał. Tym słowom często towarzyszyło szybkie cmoknięcie w policzek. Tak się starała, by był szczęśliwy. „Ależ my mamy szczęście” — mawiała. „Mieć szczęście” to prawie to samo co „być szczęśliwym”, prawda? Przynajmniej częściowo.

— To pewnie dla ciebie wstrząs.

Usta Michaela poruszały się, ale Martha nie zdawała sobie sprawy z tego, kto mówi. Nie Michael, na pewno nie jej Micky, nie jej ukochany Mikey. Fakt, ten człowiek miał na sobie jego koszulę i dzinsy. Miał jego zegarek, ale nie jego uśmiech, a oczy mężczyzny, kiedy chwilami podnosił wzrok na Marthę, miały w sobie pustkę śmierci. Nie było w nich miłości, podczas gdy z oczu Michaela zawsze promieniała miłość i troska. Co teraz mówił ten obcy?

— Już cię nie kocham, Martho. I skoro tak się czuję, uważam, że byłoby nieuczciwie angażować się w kredyt hipoteczny.

Martha poczuła, że głowa jej eksploduje. Mózg rozsadał ból, miała wrażenie, że za chwilę jej czaszka pęknie na pół, a potem rozpadnie się na drobne drzazgi, odłamki kości zaścielą zaś kuchenną podłogę. Żadna strata. W końcu to i tak głowa do niczego i mózg do niczego, skoro nie przewidziały katastrofy, nie dostrzegły złowróźbnych zapowiedzi. Wręcz przeciwnie. Martha cały czas myślała, a raczej wierzyła, że nie grozi jej taki koszmarny, śmiertelny ból. Bo przecież byli szczęśliwi. Byli szczęśliwym małżeństwem, a to coś jak polisa ubezpieczeniowa, prawda?

— Ale przecież jesteś i tak zaangażowany, niezależnie od kredytu. Jestem twoją żoną — przypomniawsza Martha. Rozpaczliwie usiłowała wsaczyć jakąś logikę w tę sytuację, ale czuła się jak Alicja w krainie czarów, zdezorientowana, pomniejszona, jakby spadała w dół.

— Wiem — westchnął Michael, po czym również opadł na krzesło. Chyba nie mógł się na nim wygodnie usadowić, a może chciał podkreślić, że naprawdę odchodzi, gdyż pochylił się do przodu i przysiadł na samej krawędzi. Głowę trzymał wspartą na rękach.

Marcie, nie po raz pierwszy, przyszło do głowy, że Michael ma piękne włosy. Czarnogranatowe. Najpiękniejsze w nim były oczy, pełne miłości i troski, ale włosy również miał cudne.

Siedzieli w milczeniu.

Po upływie wieczności Michael zebrał się w sobie i spróbował podnieść się z krzesła.

— Dokąd idziesz? — zapytała szybko Martha.

— Do hotelu niedaleko stąd. Zarezerwowałem pokój na kilka dni, a potem pomyślimy o jakimś bardziej stałym układzie. — Wyszedł z pomieszczenia.

— Nie odchodź. Nie odchodź — powiedziała Martha, ale sama nie była pewna, czy te słowa zabrzmiały rzeczywiście czy tylko w jej głowie.

Nic już nie było pewne. Rozpadło się wszystko, w co wierzyła. Nie spała tej nocy; spędziła ją, siedząc wyprostowana na łóżku. Nie płakała. Po prostu utkwiała wzrok w miejscu, gdzie powinien leżeć Michael. Dotknęła poduszki — zimna. Nikt na niej nie spał. W nocy nikt się nie kręcił pod kołdrą. Nikt nie przytulił Marthy przed snem.

Jej mąż zniknął.

Bo był nieszczęśliwy.

Nieszczęśliwy? No to co? A nie może znów być szczęśliwy? Pewnie, że może. Wystarczyło, by jej powiedział, a można było jakoś to rozwiązać. Mogła coś na to poradzić. Dlaczego odszedł? Ludzie, to znaczy mężowie lub żony, mający dzieci, nie odchodzą tak sobie, bo nie są szczęśliwi. Prawda? I co takiego uczyniło go nieszczęśliwym? Jak mogła sprawić, żeby znów był szczęśliwy?

Dlaczego poprzedniego wieczoru nie zadała mu żadnego z tych pytań?

Przecież nie można powiedzieć po prostu: „Nie jestem szczęśliwy” i tak sobie odejść. Trzeba się trochę postarać. Jak to możliwe, że jej mąż był nieszczęśliwy, a ona tego nie zauważyła?

Martha czuła się jak idiotka.

Owszem, zdarzały się im kłótnie — niezbyt wiele, choć jak się zastanowić, ostatnio było ich więcej. Martha była bardzo zmęczona, kolka Maisie oraz ataki złości i zazdrości Mathew całkowicie wyczerpywały ich oboje. Ale Maisie przespiała już całą noc, a Mathew odzyskiwał pewność siebie. To tylko dzieci, nie można obarczać ich winą.

W rezultacie Martha i Michael zaczęli winić siebie nawzajem.

Nadchodząca przeprowadzka dodatkowo ich obciążała. Spędzanie każdego weekendu na poszukiwaniach idealnego domu to naprawdę nie jest najlepsza rozrywka, jaką można wymyślić. Obrzucali się pretensjami, docinali sobie i kłócili się. Byli oboje przemęczeni, wyczerpani, znękani, zabiegani, ale przecież budowali wspólną przyszłość. A to wymaga wysiłku. Dlatego Michael tak ciężko i długo pracował. Był ambitny, chciał zapewnić im przyszłość; jak twierdził, zawsze najbardziej na tym mu zależało. To się przecież nie mogło zmienić, prawda? Nie, ot tak sobie. Może się przepracowywał? Może to była przyczyna, choć zawsze twierdził, że kocha swoją pracę.

Ale zawsze twierdził też, że kocha Marthę — do poprzedniego wieczoru.

Przeprowadzka to bardzo trudny okres, wszyscy o tym wiedzą. Ale teraz, skoro znaleźli dom, nie będą musieli godzinami ciągać dzieci po biurach pośrednictwa nieruchomości. Teraz będzie łatwiej. Najgorsze za nimi. Nie mógł zostawić Marthy, jest przecież jej mężem.

Kocha go.

Ale on jej nie kocha.

Te słowa uderzyły w nią boleśnie. Przypaliły ogniem i napiętnowały. Czuła się tak pełna wstydu. Żałowała, że nie pali, nie pije, nie wrzeszczy, nie może dać ujścia uczuciom. Nie może schronić się przed piekącym poczuciem własnej głupoty i wstydu.

Czego on chce? Przecież ona mu to da. Cokolwiek by to było, ona mu da. Sprawí, że znów będzie szczęśliwy. Niech tylko wróci do domu. Muszą zapomnieć o tej głupiej sprzeczce.

Martha sięgnęła po telefon i po raz setny tej nocy zaczęła wykręcać numer komórki Michaela. Po raz setny odłożyła słuchawkę, zanim wcisnęła ostatnią cyfrę. Spojrzała na zegarek — piąta rano. Za wcześnie, żeby dzwonić. Rano Michael nie był w najlepszej formie.

To naprawdę kretyńskie nieporozumienie. Na pewno dzisiaj wróci do domu. Najlepiej do niego nie dzwonić, nie robić z tego wielkiego problemu.

— Mamo, mamo! — Z sypialni dzieci dobiegł dźwięczny głosik.

— Idę, Maisie! — Martha wysunęła nogi spod kołdry; wciąż miała na sobie suknię, którą włożyła na przyjęcie.

— Mamo, chcę siusiu! — Tym razem był to głos Mathew, bardziej naglący.

— Doskonale, Mathew. Świetnie, że powiedziałeś mamusi. Chodź, idziemy do toalety.

Nawet nauka korzystania z toalety przynosiła efekty. Wszystko szło coraz lepiej. Będzie dobrze.

Michael nie zadzwonił w czasie śniadania. Ominął go widok Maisie wkładającej na głowę miseczkę swoich płatków czekoladowych. Martha przed śniadaniem pobiegła po nie do sklepu na rogu. Zwykle nie jadali słodkich płatków, ale tego dnia czuła, że wszystkim należy się coś od życia. Gdyby nie rozmowa z Elizą poprzedniego dnia, nigdy nie wpadłaby na pomysł, żeby kupić je w sklepie na rogu. Nie traciła czasu nawet na prysznic ani na przebranie się ze swojej małej czarnej. Po prostu wrzuciła dzieci do podwójnego wózka i nieuczesała pobiegła do sklepu. Nie zatrzymała się, by zastanowić się nad katastrofalnymi skutkami przypadkowego spotkania innych matek z grupy przedszkolnej Mathew, gdyby zobaczyły ją w takim stanie. Dziwne, gdyż na ogół najbardziej się tym przejmowała.

Mathew nie wierzył własnym oczom, gdy dostał porcję płatków czekoladowych; a nie było to przecież święto. Martha kupiła również pączki i czasopisma z rodzaju tych, które ściągnęły jej uwagę w supermarkecie. Czy to możliwe, że jeszcze dzień wcześniej uważała te pokręcone życiorysy za coś odległego o lata świetlne? Teraz nagłówki jakby przemawiały prosto do niej: „Kryzys wieku średniego u mężczyzn pojawia się coraz wcześniej”; „Mój mąż wyszedł po gazetę i nie wrócił”. Był też artykuł o Liz Hurley oraz innych sławnych samotnych matkach — chociaż Martha oczywiście nie miała zamiaru zostać samotną matką, to tylko kretyński kryzys. Nie, ten artykuł na pewno jej nie dotyczył. Martha szybko odłożyła gazetę na regał, jakby w obawie, że trzymając ją, zarazi się rozwodem.

Potem wzięła ją znowu.

I kupiła.

Martha nigdy nie krzyczała na dzieci, kiedy jedząc, robiły bałagan. W jednej z wielu książek na temat wychowania przeczytała, że jeśli się krzyczy, dziecko kojarzy porę jedzenia ze stresem i gniewem, wskutek czego zaczyna grymasić. Michael chciał, by dzieci jadały z nimi w restauracjach, a w czasie wakacji za granicą próbowały lokalnych specjałów, więc na pewno nie życzył sobie kapryśnienia przy jedzeniu. Nie lubił jednak także bałaganu. Na widok ociekających czekoladowym mlekiem włosów Maisie na pewno by się skrzywił gniewnie. Powiedziałaby Marcie, że śmiejąc się z Maisie, zachęca ją do takiego zachowania. Że jest zbyt pobłażliwa.

Mathew nie zapytał, gdzie się podział tata, ale zapytał, czy pójda do parku.

— Nie dzisiaj, kochanie.

— Ale zawsze idziemy dzisiaj — argumentował Mathew z dziecięcą logiką. To prawda, w każdy niedzielny poranek Martha zabierała dzieci do parku. Najpierw kościół, potem park. Nie była przesadnie religijna, ale kościół był miejscem (przed otwarciem sklepów), gdzie mogła zabrać dzieci i w ten sposób dać Michaelowi trochę spokoju i czasu dla siebie. Poza tym kościół to całkiem przyjemne miejsce. Staruszkowie zawsze wydawali się zachwyceni widokiem Mathew i Maisie, często zabawiali jedno z dzieci lub oboje, dzięki czemu Martha miała jeśli nie wolną chwilę, to przynajmniej wolne ręce.

Ale tej niedzieli nie chciała wychodzić, bo a nuż Michael zadzwoni. Niemożliwe, że będzie długo spał. Na pewno zadzwoni, bez wątpienia poczuje się głupio i będzie chciał, żeby Martha była w domu, żeby miała nastrój lekki i radosny. Gdyby zadzwonił, a jej nie zastał, mógłby stracić odwagę do zatelefonowania jeszcze raz. Dlatego też, mimo że pogoda zachęcała do wizyty w parku — był rześki, wietrzny i słoneczny dzień — i karmienia kaczek, co było ich ulubionym zajęciem, zostali jednak w domu. Rano malowali.

— Kto to jest, Mathew?

— Ty.

— A to kto?

— Ja, a tutaj Maisie.

— A gdzie tatuś?

— Nie ma go na obrazku. Jest w pracy.

— Myślę, że narysujemy jeszcze jeden dla tatusia.

Michael nie zadzwonił w czasie popołudniowej drzemki dzieci, co byłoby najlepszą porą, gdyż mogliby porozmawiać bez przeszkód. Nie zadzwonił w czasie kolacji ani wtedy, kiedy Martha kąpała dzieci i czytała im na dobranoc.

Nie zadzwonił.

Martha otworzyła butelkę wina. Wybrała jedno z najlepszych na półce. Czowała, że należy jej się coś dobrego — płatki czekoladowe należały już do odległej przeszłości — a otwarcie całej butelki tyl-

ko dla siebie było wystarczającym luksusem, zwłaszcza że wiedziała, iż nie wypije wszystkiego. Ale z drugiej strony, nie miała wyboru, nie było z kim się podzielić.

Było dziesięć po ósmej. Odszedł dwadzieścia cztery godziny temu. Ani razu nie zadzwonił, nawet po to, żeby zainteresować się dziećmi.

Czasopisma być może nie były najszcześniejszym wyborem. Martha nie przywykła do ich plotkarskiego, wścibskiego stylu, więc czytała je jak objawienie. Teraz sparaliżowała ją świadomość, że połowa małżeństw w Wielkiej Brytanii kończy się rozwodem, pewnie ją też to czeka. Przed otwarciem gazet myślała, że to tylko kłótnia z mężem, teraz zaś była przekonana, że to początek długiej, beznadziejnej walki o prawo do opieki nad dziećmi, która zapewne skończy się tym, iż będzie zmuszona je porwać i ukryć za granicą. Czasopisma pełne były artykułów o minionych lub dogorywających związkach: „Jak utrzymać związek”, „Cykl rzucania i pogodzenia — jak to przerwać?”, „Dlaczego mężczyźni są genetycznie zaprogramowani na niewierność — syndrom zbieracza i łowcy”.

Czy była inna kobieta?

Możliwe.

Martha nie chciała o tym myśleć, ale nie umiała przestać. Wieczorami Michael zawsze miał jakieś wyjścia i spotkania. Szczerze mówiąc, straciła rozeznanie, z kim i gdzie wychodził. Kiedyś znała nazwiska i daty urodzin wszystkich z jego działu, gdyż kupowała dla nich kartki urodzinowe. Nadal to robiła dla kolegów przedszkolnych Mathew. Teraz jednak dział Michaela zbyt się rozrósł. Od jego awansu Martha przestała się orientować w zmianach.

Nie, nie bądź śmieszna. Oczywiście, że Michael nie ma romansu na boku. To przecież Michael, na miłość boską.

Czy wpadli w długi? Czy kupno nowego domu to był duży wydatek dla ich budżetu? Może Michael po prostu nie miał odwagi powiedzieć jej, że nie stać ich na Bridleway. Co za głuptas, przecież to nie było dla niej ważne. Nie teraz, nie najbardziej. Nie potrzebowała pięciu sypialni. Nie tak mocno, jak potrzebowała jego.

A może go zwolnili? Za każdym razem, kiedy włączała wiadomości, słyszała doniesienia o kryzysie w przemyśle naftowym i cięciach zatrudnienia, do jakich zmuszane były zarządy firm. Czy Michael mógł być taki jak ci opisywani w gazetach, którzy co rano ubierają się do pracy, wychodzą z laptopem, a potem siedzą cały dzień w ławce na parku? Nie, niemożliwe, zawsze tak długo pracował; to nie miało sensu.

Nic z tego nie miało sensu.

Co ma teraz robić? Czy powinna do niego zadzwonić, powiedzieć, że w porządku? Cokolwiek się zdarzy, jest w porządku. Że mogą wszystko naprawić, mogą nad tym popracować i wyjść z tego w silniejszym, lepszym związku?

A może powiedzieć mu, żeby się odpierzył?

Martha skrzywiła się odruchowo. Nigdy nie przeklinała nawet w myślach. Spojrzała na kieliszek. Był już pusty, co wyjaśniało jej wybuch. Zdawała sobie sprawę, że w takich właśnie okresach kryzysu kobiety wpadają w alkoholizm. Wszędzie o tym mówili.

Niech to szlag. Nalała sobie jeszcze.

Ręce jej ciążyły, plecy bolały, nogi były jak z kamienia. Czy otwierała oczy, czy je zamykała, wszystko wokół rozplątywało się. Nie mogła się ruszyć. Nie miała pojęcia, co dalej. Jej życie, zawsze tak pełne wydarzeń, działań i sensu, straciło wszelki sens.

12

— Ktoś dzwoni do drzwi, mamusiuuuuuu! — wrzeszczał Mathew. Został posadzony przy stole w kuchni i zatrudniony do pomocy w karmieniu Maisie. Było to bardzo brudne i w sumie nieproduktywne zajęcie, które przez większość czasu zaniedbywał na rzecz jazdy motocyklami po rozlanych kałużach mleka czekoladowego, ozdabiających niemal wszystkie blaty w kuchni.

— Wiem — odparła Martha. — Słyszę.

— Otwórz! Otwórz, mamusi! — krzyknął ponownie Mathew, przybierając pozycję niewiele różniącą się od postawy ostatniego cesarza Chin. Patrząc na syna, Martha widziała w nim Michaela. Nie poruszyła się.

Drrrrrrrrrrrrrr!

Ktoś był uparty. Martha uznała, że to listonosz; niemożliwe, że to Michael, on miał klucz i nie musiał dzwonić. Nie chciała widzieć nikogo innego.

Drrrrrrrrrrrrrr!

Poczuła, że za chwilę się rozplacze. Zwlokła się jednak z krzesła i poszła do drzwi. Nie miała wyjścia.

— Przepraszam, że tak bez ostrzeżenia — powiedziała Eliza. — Mogę to tu zostawić? Mam jeszcze trochę rzeczy w taksówce.

Nie czekając na odpowiedź, zbiegła schodami, przeskakując po dwa stopnie, i rzuciła się do czekającej pod domem taksówki. Martha spojrzała na walizkę w korytarzu. Przez ostatnie dwie noce nie spała, więc w tej chwili z trudem przyswajała informacje.

Eliza zapłaciła kierowcy i przyciągnęła pod drzwi Marthy coś, co wyglądało jak zwłoki w plastikowych workach.

— Bardzo przepraszam, Martho, ale spędziłam u rodziców cały czas od popołudnia w sobotę. Ile to jest godzin?

— Około trzydziestu — odparła Martha automatycznie, gdyż od weekendu liczyła swoje życie w godzinach.

— Naprawdę? To cała wieczność.

— Prawda?

Eliza przemknęła obok siostry, ciągnąc za sobą bagaże. Była zbyt przejęta własnymi sprawami, by zastanawiać się nad słowami Marthy.

— Całą niedzielę po południu spędziłam w biurze nieruchomości, szukałam jakiegoś mieszkania. Ale to prawdziwa katastrofa! Wszyscy chcieli skończyć o trzeciej, a ja byłam po ciężkiej nocy i przyjechałam do nich dopiero o drugiej. W godzinę trochę trudno wynająć mieszkanie.

Do tej pory Eliza nie musiała wchodzić w bliższą znajomość z biurami pośrednictwa mieszkań. Wciąż podróżowała, więc nie potrzebowała nigdy lokum na dłuższy czas, a kiedy chciała znaleźć nocleg w Wielkiej Brytanii, zawsze znalazł się ktoś — znajomy, znajomi znajomych — kto miał akurat wolny pokój do wynajęcia lub przekimania nocy. Była osobą, z którą ludzie chcą mieszkać. Potem zaś zaczęła spotykać się z Gregiem i wprowadziła do niego.

— Wiesz, nigdy jeszcze nie poznałam żadnego pośrednika nieruchomości. Nawet towarzysko. Nigdy w życiu ani w żadnym kraju, gdzie byłam, a byłam w kilku, ani nawet na imprezie. Ale jak się nad tym zastanowić, to w końcu nic niezwykłego. Mało prawdopodobne, że ktoś przyzna się do handlowania mieszkaniami, bo nie dostanie kolejnej szklanki ponczu.

— No to, hm, co się stało? Znow załaliście mieszkanie wodą z pralki? — zapytała Martha uprzejmie, przerywając paplaninę Elizy. W sumie nie obchodziło jej to. Było oczywiste, że tematem rozmowy nie jest Michael ani — co najważniejsze — jego obecne miejsce pobytu, ale starczyło jej jeszcze rozsądku, by pamiętać, że musi zapytać, jeśli chce choćby na chwilę powstrzymać potok słów siostry.

— Nie, ja... do cholery, Martha, co tu się stało? Okradli was?

Rozmawiając, automatycznie przesuwały się w stronę kuchni. U Marthy to pomieszczenie zawsze stanowiło oazę wygody i czystości, pięknie umeblowaną szafkami Poggenpohl z okuciami ze stali nierdzewnej, pełną porządnie poukładanych, nowoczesnych gadżetów w rodzaju ekspresu do cappuccino, sokowirówki, piecyka do chleba, maszynki do makaronu, młynka i wielofunkcyjnego robota kuchennego. Kuchnia Marthy była najlepiej wyposażona w całej dzielnicy. Na ogół wszystko było na miejscu, a i na wszystko znalazło się miejsce.

Teraz jednak, z tego, co widziała Eliza, miejsce było tylko na podłodze.

Na blatach poniewierało się przynajmniej dwanaście kubków po kawie; podłogę dekorowały klocki lego, farba, części *Małego inżyniera* i rozmazany banan. Na lodówce, oknie i szafkach widniały ślady palców; zlew oblepiały ziarenka fasoli z puszki, a zwykle ukrywane worki na śmieci (pięć: na papier, odpady organiczne, puszki, butelki i całą resztę) były przepełnione; z klatki chomika dochodził fetor, a jego pojemnik na wodę był pusty.

— Mój Boże, co to? — zapytała Eliza przerażona, wskazując ciemne, lepkie ślady rozmazane po podłodze.

— Płatki czekoladowe — wyjaśniła Martha.

— Dzięki Bogu. — Eliza westchnęła, stawiając swoje torby (zdawała sobie sprawę, że powiększa ogólny bałagan, ale uznała, że i tak nie zrobi już większej różnicy). Odwróciwszy się do Marthy, zauważyła, że siostra ma na sobie krótką, czarną sukienkę, którą często wkładała na przyjęcia, a przecież było ledwie po dziewiątej, poniedziałek rano. — Co się stało?

— Michael mnie zostawił.

Przez całą niedzielę Martha usiłowała udawać, że nic się nie wydarzyło. Wypowiedzenie tych słów na głos przypieczętowało to, co zaszło. Michael odszedł. Wyszedł w sobotę, teraz był poniedziałek, przez cały czas nie dał znaku życia.

Dopiero teraz uderzyła ją cała groza sytuacji, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— On... mnie... porzucił! — wyszlochała i wyciągnęła ramiona, czekając, aż siostra podejdzie, utuli ją i pocieszy.

Eliza ją przynajmniej utuliła. Objęła mocno i zaczęła gładzić po głowie.

— Uspokój się, no już, nie martw się... — mówiła. — No już... będzie dobrze.

„Jeśli będę powtarzać to odpowiednio często, może sama w to uwierzę” — pomyślała.

Maisie i Mathew przyglądali się im szeroko otwartymi oczami. Mama zachowywała się naprawdę dziwnie.

— Będzie dobrze. Zobacysz, wszystko się ułoży — powtarzała Eliza stanowczo, starając się nie okazywać całej bezradności i niepewności, jaką czuła.

13

Przez ścianę między pokojami Eliza nie słyszała płaczu Marthy, ale domyślała się go. Z trudem zwlokła się z łóżka i potykając się, wyszła na korytarz. Zapukała do drzwi. Martha wymamrotała coś. Mogło to być „wejdz”, mogło to być także „nie chcę już żyć”. Nie dało się zrozumieć, gdyż Martha naciągnęła kołdrę na głowę, kryjąc mokrą twarz. Eliza otworzyła drzwi.

— W porządku? — rzuciła w ciemność, zdając sobie sprawę, że to pytanie absolutnie nie na miejscu.

— Jasne — odparła Martha rozmazanym głosem zdradzonej, niegdyś szczęśliwej członkini Women's Institute. Eliza nigdy nie przypuszczała, że Martha dołączy do tego grona.

— To nic takiego, wiesz przecież. Tylko mały kryzys. Wszystko się wyjaśni — ciągnęła Martha, zmuszając się do mówienia dziarsko i energicznie. Powtarzała to samo przez cały dzień i noc.

Eliza nie знаła się na życiu małżeńskim, ale miała wrażenie, że jednak stało się coś poważniejszego niż mały kryzys.

— Mogę w czymś pomóc? Zrobić coś?

W mdłym świetle wpadającym z korytarza Eliza ledwie dostrzegła, że Martha kręci głową. Było oczywiste, że nie ufa swojemu głosowi. Eliza cicho zamknęła drzwi, po czym wróciła do siebie, a ściślej — do łóżka Mathew. Mathew został upchnięty z Maisie. Martha, zawsze dbająca o wymogi gościnności, postarała się zapewnić siostrze jak największą wygodę. Wygrzebała dla niej miękką kołdrę, prześcieradła z egipskiego płótna i niezliczone poduszki z kaczego puchu, ale Eliza nie mogła zasnąć. Słuchała ciszy kryjącej tłumiony płacz Marthy.

Eliza kompletnie się pogubiła w sytuacji. Wydawało się jej, że dość dobrze zna się na ludziach i związkach, że ma intuicję i tak dalej. Na przykład zawsze umiała odgadnąć, że ktoś jest w ciąży, często zanim przyszła matka zdała sobie z tego sprawę. Kobięciarza wyczuwała na dwadzieścia metrów. W pokoju pełnym obcych umiała połączyć ludzi w pary z równą łatwością, z jaką inni układali puzzle dla dzieci. A mimo to jej własny szwagier, z którym spotykała się przynajmniej raz w tygodniu, a często dwa i trzy razy, znudził się własną żoną, przy czym Eliza nie zauważyła żadnych niepokojących oznak. Jak mogła przeoczyć gromadzące się na horyzoncie czarne chmury?

Dlaczego odszedł?

Boże, skoro Martha i Michael nie byli ze sobą szczęśliwi, to kto na świecie mógł być? Mieli przecież wszystko. Siebie nawzajem, zdrowe, udane dzieci (każde w swoim stylu), świetne perspektywy, cudowny dom, mnóstwo pieniędzy, niezwykle wakacje, dobrą rodzinę i przyjaciół. Czy to znaczy, że każdy może być nieszczęśliwy?

Każdy jest skazany na bycie nieszczęśliwym?

Nie. Nie podobał się jej kierunek, w jakim podążały jej myśli. Nie mogła się pogodzić z taką możliwością. Co za nedorzecznosc. Trzeba myśleć pozytywnie. Nie ma sensu wpadać w doły.

Ale jak? Jak Michael mógł przestać kochać Marthę? Martha była cudowną kobietą, uprzejmą, wielkoduszną i ufną. To nie było zdanie Elizy, która mogła nie być obiektywna — wszyscy tak uważali. Martha zdawała się nie pamiętać, ale kiedy zaczęła się spotykać z Michaeliem, ogólnie uważano, że jest świetną partią i że to Michael miał szczęście. Martha była wesoła, choć w tej chwili trudno było w to uwierzyć, potrafiła rozrabiać, dzięki czemu stawała się zwykle duszą towarzystwa. Kiedyś. Ostatnio rzadko bywała rozbawiona. Dusze towarzystwa na ogół nieczęsto przejmują się rozlanym sokiem pomarańczowym.

Martha była tak rozkochana w Michaelu, że mechanicznie i szczerze piała peany na jego cześć każdemu, kto się nawinął. Była jego podręczną specjalistką od wizerunku. A on najwyraźniej uwierzył w jej zachwyty. Czyżby w entuzjazmie towarzyszącym dbaniu o związek Martha zapomniała o sobie? Owszem, w ciągu ostatniego roku obsesyjnie zaczęła przejmować się bezpieczeństwem dzieci, czysto-

ścią oraz tym, co pomyślą sąsiedzi. Było to dość irytujące; jednakże ogólnie Martha była kochaną osobą. Była... no cóż, była Martha. Kobieta, z którą ożenił się Michael. Kobieta, której obiecał miłość na zawsze, w chorobie i zdrowiu, w bogactwie i biedzie, na dobre i na złe.

Świnia.

Telefon zadzwonił raz i zamilkł. Eliza wiedziała, że Martha natychmiast chwyciła słuchawkę, irracjonalnie wierząc, że to Michael. Tego dnia dzwonek odzywał się cztery razy i za każdym razem Martha biegła na złamanie karku, aby odebrać.

— Słucham — mówiła bez tchu, pełna oczekiwania.

Za każdym razem była zdruzgotana, bo to nie Michael telefonował.

— Do ciebie. — Martha zapukała do drzwi Elizy. Głos miała ponury od rozczarowania i pełen łez. — Greg.

Cholera. Greg.

W całym zamieszaniu Eliza kompletnie zapomniała o własnym kryzysie domowym.

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła odebrać telefon w korytarzu na dole. Nie chciała przeprowadzać rozmowy w zasięgu słuchu Marthy.

— To jj...ja.

— Jesteś pijany — powiedziała z pretensją.

— Oczywiście. Wiesz, ja też coś czuję.

Eliza uśmiechnęła się. Trafił w dziesiątkę. Cały wieczór usiłowała namówić Marthę na alkohol.

— Czego chcesz?

— Czego chcę? — powtórzył zaskoczony jej niedomyślnością. — Chcę, żebyś wróciła do domu i wyjaśniła mi, o co ci chodzi.

— Powiedziałam ci już. — Eliza mówiła z większą niecierpliwością, niż powinna, gdyż uwierała ją poczucie winy. Tak naprawdę niczego Gregowi nie wyjaśniła. Jak miałaby mu wyjaśnić, że jego największą winą jest brak ubezpieczenia emerytalnego? — Słuchaj, nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie — dodała.

Greg roześmiał się jednocześnie rozbawiony i urażony. Mogło go to rozbawić jedynie dlatego, że naprawdę był wyjątkowo mało konfliktowym człowiekiem.

— Przepraszam — dodała Eliza, w myśli kopiąc się za to, że ucieka się do wyświechtanych frazesów. — Chodzi mi o to, że nie zrobiłeś nic złego ani się nie zmieniłeś. — Racja, był tym samym nieodpowiedzialnym, kochającym zabawę i wolność człowiekiem, w którym zakochała się cztery lata wcześniej. — To ja się zmieniłam. — Nie dorzuciła, że to, co kiedyś tak ją w nim pociągało, teraz ją najbardziej odpychało. — Idź spać, Greg. Odeśpij whisky. — Odłożyła słuchawkę. Miała stopy zziębnięte na kość. Pobiegła na górę i rzuciła się na łóżko; zwinęła pod kołdrą i starała się odsunąć niewygodną myśl, że polisa ubezpieczeniowa nie ochroniła Marthy przed nieszczęściem.

PAŹDZIERNIK

14

Wkładając klucz do zamka, Eliza słyszała zbyt znany krzyk Marthy. Szybko otworzyła drzwi. Nie zatrzymując się, żeby zdjąć płaszcz czy postawić torebkę, rzuciła się na siostrę i zaczęła jej wyrwać słuchawkę z dłoni. Jak na tak drobną osobę, Martha była zaskakująco silna i trzymała ją mocno.

— Odłóż to, Martha!

— Proszę, proszę, wracaj do domu. Musimy porozmawiać. Kocham cię, Michael — błagała Martha.

— Martho, zaraz wyłączę telefon — oznajmił Michael chłodno.

— Nie, nie możesz się tak po prostu rozłączyć. Jestem twoją żoną!

— Słuchaj, przepraszam. — Wcale nie było słyhać, że mu przykro. W jego głosie brzmiał gniew. Chciał się jej po prostu pozbyć.

— Jestem twoją żoną, jestem twoją żoną, twoją żoną...

— Odłóż to! — Eliza wyrwała Marcie słuchawkę i przycisnęła klawisz rozłączający rozmowę.
— Czy ty nie masz dla siebie szacunku?

— Nie. Już nie — odparła Martha, osunęła się wzdłuż ściany i zaczęła rozdzierająco płakać.

Eliza otoczyła siostrę ramionami i zaczęła ją łagodnie kołysać. Boże, miałyby ochotę skopać tego drania, Michaela. Twarz Marty była ściągnięta cierpieniem, niemal nie do poznania. Kiedy wydychała powietrze, Eliza poczuła je na policzku jak ukłucie. Ból siostry był tak widoczny, że Eliza zastanawiała się, czy nie dałoby się go zebrać, spakować i wyrzucić.

Minęło trochę ponad cztery tygodnie.

Nawet Martha zaczęła się domyślać, że to nie tylko przejściowy kryzys.

— Gdzie dzieci?

— Maisie śpi, a Mathew w ogrodzie.

Eliza odetchnęła z ulgą. Martha przynajmniej starała się, żeby dzieci nie były świadkami jej załamania.

— Chyba się umawialiśmy, że masz do niego nie dzwonić — przypomniała Eliza. Wiedziała, że Michael sam z siebie się nie odezwał. Nigdy nie telefonował. Z tego, co widziała Eliza, rzucił żonę, dzieci i dom, po czym nawet nie zainteresował się, co się z nimi dzieje. W ciągu czterech tygodni tylko cztery razy odwiedził dzieci. Wszelkie kontakty — zwykle chaotyczne, irracjonalne i pod wpływem alkoholu — były inicjowane przez Marthę.

— Musiałam zadzwonić, miałam telefon od pośrednika.

— Powiedziałaś mu, że nie kupujecie Bridleway?

— No... niezupełnie.

— Musisz ich zawiadomić! — naciskała Eliza z rozpaczą. Puściła siostrę, weszła do kuchni i nastawiła wodę. W ciągu ostatnich czterech tygodni tysiące razy robiła herbatę. Nie była pewna, czy to cokolwiek pomaga, ale przynajmniej miała coś do zrobienia. Czuła się bezużyteczna. Coś do zrobienia, nawet coś tak prozaicznego jak nastawienie wody, było już czymś pożytecznym. Czasami Martha wypijała herbatę, czasami zostawiała ją, aż wystygła. Eliza zrobiła herbatę i zaniósła ją siostrze, która nie ruszyła się o centymetr. Nie była w stanie. Znow uderzyło ją, jak Martha wydawała się mała. Zawsze szczupła, teraz niemal nikła w oczach. Czasami Eliza bała się zbyt mocno ją przytulać, żeby jej nie złamać.

— Chcesz, żebym do nich zadzwoniła? Kochanie, nie możesz trzymać ich w zawieszaniu, są przekonani, że sprzedaż jest pewna. To nie w porządku wobec właściciela.

— Także nie w porządku wobec mnie — odparła Martha z zaskakującą goryczą. — Nic nie jest w porządku.

Ostatnie cztery tygodnie były prawdziwym piekłem. Przez pierwsze cztery dni Michael nawet nie odzywał się do Marthy. Nie odbierał telefonów ani nie oddzwaniał.

Początkowo zostawiała lekkie, niezobowiązujące wiadomości: „Kochanie, jesteś tam? Przecież to niemądre. Zadzwoń do mnie. Spróbujmy się dogadać”.

„Czy odbierasz moje wiadomości? Dzieci śpią, jest spokój, dobry czas na rozmowę. Jadłeś coś? Zrobiłam pieczeń jagnięcą, twoją ulubioną”.

Pieczeń została nietknięta, następna wiadomość Marthy była bardziej zatroskana:

„Michael, zadzwoń, powiedz tylko, czy jesteś cały i zdrowy”.

Miała koszmary, że Michael zrobił sobie coś strasznego; w nocy nie mogła spać, wpadała w panikę, wyobrażając sobie, jak leży w jakimś pustym hotelowym pokoju, a obok niego butelka whisky i puste pudełko po aspirynie. Kiedy nie zadzwonił do środy po odejściu, Martha obdzwoniła wszystkie okoliczne szpitale. To wtedy Eliza zaproponowała, żeby zadzwonić do niego z telefonu, którego numeru nie zna.

— Michael West, słucham — odpowiedział natychmiast.

— Tu Eliza Evergreen. Żyje — mruknęła Eliza sarkastycznie. O mało nie dodała Jeszcze”, podając telefon siostrze.

Eliza przysłuchiwała się, jak Martha namawia, argumentuje, przekonuje i błaga. Trzy kwadransy zajęło jej namówienie męża, żeby się z nią spotkał i przynajmniej porozmawiał.

— Będzie miło — oceniła Martha optymistycznie. — Prawie jak randka.

W pewien sposób przypominało to randkę. Taką mniej udaną randkę w ciemno. Ledwie kelnerka zaprowadziła ich do stolika w restauracji, Martha wyrzuciła z siebie:

— Ale dlaczego jesteś nieszczęśliwy?

Byli we włoskiej restauracji niedaleko domu, ulubionym lokalu Michaela. Martha właściwie za bardzo tego miejsca nie lubiła. Uważała je za zbyt drogie, poza tym przychodzili tu często, kiedy była w ciąży z Maisie. Odtąd żółte ściany zawsze kojarzyły się jej z wszechogarniającym uczuciem mdłości. A jednak zamówiła tu stolik w nadziei, że sprawi Michaelowi przyjemność. Z tej okazji kupiła nową sukienkę oraz nałożyła pełny makijaż, co zdarzało się niezwykle rzadko. Ale nie udało się jej ukryć za szminką.

— Może zanim zaczniemy poważne rozmowy, zamówimy coś do jedzenia? — zapytał Michael z nieskrywanym rozdrażnieniem.

— Oczywiście, jeśli chcesz... — Martha czuła do siebie wstręt za to, że jej głos brzmi tak wier-nopoddańczo, ale przecież przywykła już do spełniania życzeń Michaela. Jak w takiej chwili mógł myśleć o jedzeniu? Zdawała sobie jednak sprawę, że musi być teraz bardzo ostrożna, naprawdę niezwykle ostrożna. Michael odszedł w sobotę wieczorem, teraz był czwartek wieczór. Minęło pięć dni, niemal cały tydzień. Jak to możliwe? Gdzie się podział ten czas? Jak zegary mogły nadal go odmierzać? Dla Marthy czas stanął w miejscu. Nie była w stanie nic robić.

Zawsze wierzyła, że dwoje ludzi to coś więcej niż tylko suma ich cech. To była właśnie jedna z zalet małżeństwa. Chroniło. Nigdy nie było się samemu. Oboje z Michaeliem mawiali, że nawet kiedy się rozdzielali, sięgali do siebie myślą przez przestrzeń, co w pewien sposób łączyło ich jak niewidzialną gumkę. Jeśli któreś z nich potrzebowało drugiego, dzwoniło lub po prostu myślało o nim, a świat automatycznie stawał się cieplejszy, bezpieczniejszy i lepszy. Owszem, opowiadali takie romantyczne rzeczy, a Martha w nie wierzyła. Przy Michaelu Martha czuła się wielka, czuła, że otwierają się przed nią nowe horyzonty, a przyszłość jest jasna. Bez niego czuła się maleńka i nic nieznacząca.

Wciąż trudno jej było uwierzyć w to, co się dzieje. Niemożliwe, żeby Michael naprawdę chciał ich zostawić. Naprawdę? Po co miałby odejść? To jakieś straszliwe nieporozumienie. Do tamtej feralnej soboty nigdy nie szli spać skłóceni. No jasne, zdarzały się im kłótnie, ale zawsze dochodzili do porozumienia. Godzili się, po raz kolejny wyznawali sobie miłość do końca świata, a potem — jeśli mieli czas — a dzieci spały, kochali się, żeby to potwierdzić.

Nawet jeśli nie był to akurat piątek.

Teraz zaś od pięciu dni mieszkali oddzielnie, a Martha nie miała pojęcia, o co chodzi. Musiała ściągnąć Michaela do domu. Dlatego też powinna postępować wyjątkowo ostrożnie.

Wpatrywała się długą chwilę w menu, ale nie miała pojęcia, co czyta. Michael zamówił wątróbki cielece i obsmażanego tuńczyka; jak zwykle wybrał najdroższe dania w karcie. A Martha, jak zwykle, zamówiła makaron i sałatkę, najtańsze dania w karcie.

— Mathew narysował dla ciebie obrazek. We wtorek byliśmy na wsi, narysował to, co widział. — Martha przeszukała torebkę i wyjęła kartkę. W sumie Mathew ofiarował obrazek Elizie, ale Martha

zdjęła go z lodówki i przyniosła do restauracji z zamiarem przypomnienia Michaelowi, że ma dzieci.
— Maisie przeszła dzisiaj trzy kroki, oczywiście trzymała się krzesła — wyrzuciła z siebie

— Wspaniale. Naprawdę świetnie. Pozdrów je ode mnie. Ucałuj je mocno.

Marcie zrzędała mina. Było jasne, że Michael nie zamierzał wracać z nią do domu. Tak bardzo chciała, aby życie wróciło do normalności. Chciała, żeby wspólnie zjedli posiłek, a na koniec wieczoru ubrali się i razem wrócili do domu. Chciała, żeby Michael znów spędzał godziny w łazience, podczas gdy ona mogłaby do niego wołać i mówić z sypialni. Chciała, żeby obok ich wspólnego łóżka stawał nastawiony budzik. Chciała, żeby kładł się obok niej. Chciała położyć swoje zziębnięte stopy na jego ciepłych nogach.

Michael wziął obrazek. Trzymał go do góry nogami, co wcale nie świadczyło o jego niekompetencji jako ojca; obrazki Mathew były świadectwem jeszcze bardzo surowego talentu.

— Cyrk, bardzo dobre — mruknął.

— To wieś... byliśmy tam we wtorek — poprawiła Martha.

Chleb utknął jej w gardle. Nie mogła przełknąć, choć popijała go co chwilę wodą. Miała zamiar być energiczna i pozytywnie nastawiona. Chciała bez emocji, spokojnie omówić położenie, w jakim się znaleźli, i rozsądnymi argumentami skłonić męża do powrotu do domu. Miała za sobą wszystkie argumenty. Przecież chyba nie zależało mu na tym, żeby być z dala od domu? Nie Michaelowi. Michael był troskliwy i rozsądny. Dlatego właśnie jego wybrała na męża. Był typem rodzinnym. Postawiła na faworyta, a nie na ułomnego niedołęgę, więc dlaczego przegrała wyścig? Przecież chyba nie myślał poważnie o zostawieniu jej z dziećmi. Nie mógł być aż tak nieodpowiedzialny i okrutny. Niemożliwe, żeby planował rozwód. Za każdym razem, kiedy słowo „rozwód” przewijało się przez umysł Marty, czuła się jak po strzale z pistoletu hukowego. Teraz też czuła się jak skamieniała, absolutnie niezdolna do prowadzenia dynamicznej i pozytywnej rozmowy.

— Jak w pracy? — zapytała zamiast tego.

To samo pytanie zadawała co wieczór przez ostatnie dziesięć lat.

— Niespecjalnie. — Michael skrzywił się na wspomnienie dnia w biurze. — Obawiam się, że będą kolejne redukcje.

Martha nie znosiła, kiedy Michael nazywał zwolnienia „redukcjami”. Uważała, że to odwracanie się od problemu — od niszczenia ludziom życia.

— Jesteś może zagrożony? Czy o to chodziło? Michael, wiesz, że nie zależy mi na Bridleway — wyrzuciła z siebie w nadziei, że dotarła do przyczyny problemu, nazwała powód jego złego samopoczucia i będzie mogła szybko coś na to poradzić. W jej naturze leżało naprawianie i pomaganie. Jeśli widziała rozdarcie, sięgała po pudełko z przyborami do szycia. Jeśli któreś z dzieci zbiło wazonik, sięgała po klej. Kiedy ktoś był nieszczęśliwy, wysyłała kartkę, piekła ciasto, usiłując go pocieszyć.

Uważała, że na wszystko jest rada. Oprócz śmierci. Jej małżeństwo jeszcze nie umarło, jeszcze mogła je naprawić.

Gdyby tylko wiedziała, co się nie udało.

— Właśnie że zależy ci na Bridleway — powiedział Michael powoli.

— No tak — przyznała. — Ale nie tak bardzo, jak na tobie. Czy mamy długi? Czy za dużo wydawaliśmy? Czy jest coś, o czym nie chciałeś mi mówić?

— Nie mamy długów. To znaczy nie więcej niż zwykle, opłaty i karty kredytowe. — Nie przedstawił jej żadnych więcej wyjaśnień. Zamilkli, czekając na podanie przystawek.

Michael żuł swoje wątróbki, Martha grzebała widelcem w liściach sałaty.

— Czy jest inna kobieta? — Czowała, że to pytanie stawia ją na równi z mrówką, ale musiała je zadać.

— Na miłość boską, Martho, jak możesz myśleć coś takiego?

— Nie wiem, co myśleć.

Czy przechodził załamanie? Spojrzała na niego ukradkiem. Dziwne, ale bała się napotkać jego wzrok. Nie wiedziała, co zobaczy. Jadł z wielkim apetytem; wyglądał normalnie. Dobrze. Nie wydawał się nawet zmartwiony. A może był transwestytą lub ukrytym homoseksualistą? Przypomniało się jej, ile pieniędzy, czasu i wysiłku poświęcał garderobie (w całości złożonej z ubrań od Armaniego, Paula Smitha i Bossa) i odrzuciła myśl o mężu-transwestycie. Nie wyobrażała sobie, jak mogłyby go pociągnąć stylonowe spodniczki od Marks and Sparks czy też jarmarczna biżuteria. Paznokcie u rąk i nóg miał zbyt brudne jak na homoseksualistę. Boże, co za dziwaczne myśli. Martha lekko potrząsnęła głową; myśli jej się plątały. Potrzebowała snu.

Przez resztę wieczoru omawiali urządzenie wnętrza lokalu, listę win oraz innych gości. Piętnaście po dziewiątej zabrali płaszcze z szatni i Michael odwiózł Marthę do domu. Uszczypnął ją w policzek, powiedział, że zadzwoni, choć nie uściślił kiedy — i pojechał.

Od tego wieczoru początkowy optymizm Marthy i jej przekonanie, że to tylko chwilowy kryzys, który można rozwiązać w racjonalny sposób, zachwiały się. Nie miała ochoty się do tego przyznawać nawet przed sobą, ale od pierwszej chwili było oczywiste, że Michael nie miał ochoty na tę randkę. Jego niechęć przejawiała się w każdym geście, słowie, postawie, nawet w drobnych drgnięciach kąciaków oczu. Michael nie chciał przebywać z Martha.

Przeplakała całą noc. Nie rozumiała, czyim życiem teraz żyła, ale na pewno nie swoim własnym.

Na takich „randkach” Martha i Michael spotykali się raz w tygodniu. Szli napić się czegoś, zjeść coś albo do kina. Za każdym razem to Martha organizowała czas, miejsce i wydarzenie oraz załatwiała opiekę nad dziećmi. Michael miał się tylko pojawić na spotkaniu.

Randki były z góry skazane na nieodwołalną klęskę, gdyż Martha pragnęła jedynie wyjaśnienia, dlaczego Michael postąpił w ten sposób. Michael zaś uznał, że już wszystko wyjaśnił.

Nie kochał Marthy.

Silna mieszanina tchórzostwa i uprzejmości kazała mu przychodzić na spotkania. Czuł, że nie ma wielkiego wyboru; Martha namawiała i prosiła, właściwie domagała się ich. Nie przyjmowała jego odmowy. Miał ochotę powiedzieć jej, że od wielu miesięcy oglądał się za kobietami w barach, w pracy i na ulicy. One też się za nim oglądały. Niewiele z nich dorównywało jej urodę, ale zastanawiał się, czy byłyby w stanie pokochać go bardziej, niż ona kochała dzieci. Czy mniej czepiałyby się o jego nadgodziny w biurze, powstrzymałaby się od prób kontrolowania całego jego życia, jednocześnie dogadzając mu w łóżku? Czy inna lepiej zrozumiałaby, jak bardzo stresująca jest jego praca? Uważał, że znalazłaby się taka, miał spore szanse. Był pewien, że gdzieś na świecie istnieje kobieta, przy której będzie szczęśliwszy niż teraz. Może już ją spotkał. Wiedział, że nie takie wyjaśnienie chciała usłyszeć Martha, ale nie mógł jej powiedzieć nic innego. W rezultacie rozmawiał z nią o trywialnych sprawach w rodzaju pogody i dojazdów do pracy. Używał neutralnego tonu — uprzejmego, chłodnego i stanowczego. Marthę upokarzała jego obojętność i niechęć. Nigdy nie umiała ukrywać swego bólu i dezorientacji; kończyło się jej płaczem, co go żenowało, albo krzykiem, co go drażniło. Wiedziała, że powinna stawać się dla niego bardziej, a nie mniej atrakcyjna, jednakże Martha zawsze była raczej typem kobiety stojącej obok swego mężczyzny w każdej chwili życia niż takiej, która umie go zdobyć z powrotem i absolutnie nie umiała przerobić się na femme fatale.

Ściągała rady ze wszystkich źródeł, jakie wpadły jej pod rękę: od Elizy, matki, z czasopism, starych filmów i porannych programów telewizyjnych. Początkowo usiłowała kupować na randki nowe ubrania. Przyjęła strategię „Bądź lekka i wyluzowana”, sprawdzoną w przypadku bohaterki Dusty'ego Springfieldda. Kupiła przepiękną, dopasowaną sukienkę z kaszmiru, gdyż niejasno pamiętała z jakiegoś artykułu, że wzbudzenie w mężczyźnie chęci dotknięcia kobiety to połowa sukcesu, a przecież każdy chętnie dotyka kaszmiru. Eliza uważała tę teorię (i praktykę) za bzdurę, ale jako wierna siostra popierała Marthę, choć podpowiedziała jej, że nowoczesne podejście do teorii może przynieść większe sukcesy. Zaproponowała kupno seksownych skórzanych gaci.

— Gacie? — Marcie zaparło dech z wrażenia. — Nigdy nie byłam w sklepie Anny Summers. Nie wiem, czy miałabym śmiałość, zresztą nie jesteśmy w tej chwili na etapie, w którym Michael ma szansę oglądać moje gacie.

— Miałam na myśli spodnie — uściśliła Eliza.

— Od pobytu w Kalifornii nie można się z tobą dogadać — westchnęła Martha. Ale mimo ceny, dała się przekonać. Spróbowałaby wszystkiego. Rzadko wydawała większe sumy na swoje ubrania, ale ponieważ szybko chudła, dodatkowe zakupy odzieżowe można było uznać za konieczność, a nie folgowanie słabości.

Nie zdało się to na nic; Michael nie zwrócił uwagi na jej nowe ubranie ani na nową figurę.

— Jak wyglądam? — pytała na początku spotkań. Nie znosiła się za to napraszanie się o komplementy, lecz czasy, w których Michael obsypywał ją nimi spontanicznie, szybko odchodziły w zamierzchłą historię. Okręciła się wokół niego w nadziei, że da się nabrać na jej udawaną pogodę.

— Ładnie — odpowiadał, jak zawsze wtedy, kiedy mówił jej kiedyś komplementy. Usiłowała to docenić, ale szczerze mówiąc, nigdy nie lubiła być oceniana jako „ładnie wyglądająca”. Wolałaby, gdyby powiedział: „pięknie”, „wystrzałow” czy też „zabójczo”.

— Zamawiamy? — zapytał, biorąc menu i zagłębiając się w nim, nie czekając na jej zgodę.

Za każdym razem usiłowali być dla siebie mili. Ale były to tylko próby. Martha przychodziła spóźniona i zmęczona; chciała zawsze przygotować się o wiele wcześniej, ale akurat kiedy wychodziła, któreś z dzieci budziło się i trzeba je było na nowo otulić albo też przypominała sobie, że następnego dnia będzie wywóz śmieci i należy wywieźć pojemniki na ulicę, co nie jest najłatwiejsze w butach na obcasach. Trudno było wydawać się — jak radziła Eliza — „pewną siebie i obojętną”, kiedy cały świat zniknął jak zamek z piasku w czasie przypływu. Trudno było utrzymać pozę zniewalającej i uwodzicielskiej, jak robiła Doris Day w filmie, którego urywek Martha złapała na kanale piątym, kiedy czuła się ponizona i dezorientowana. Praktycznie niemożliwe było prowadzić ciekawe, rozwijające rozmowy, gdy jedyne, na co zdobywał się marnotrawny mąż, to monosylaby (często „Nie” albo „Nie wiem”), rzucane w odpowiedzi na trudne pytania.

Na każdej randce Michaelowi było coraz trudniej utrzymać kontakt wzrokowy z żoną. Dlaczego obnosiła się ze swoim bólem jak całunem? Dlaczego upierała się, że ma tak ciężkie życie? Chryste, czy naprawdę tak trudno jest dotrzeć na czas do restauracji? Był przekonany, że celowo się spóźniała, by mieć okazję do kolejnych narzekań dotyczących tego, jak jej ciężko, zwłaszcza teraz, bez niego. Nie uda się jej wzbudzić w nim poczucia winy, choć najwyraźniej do tego zmierzała. Usiłowała nim manipulować. Spojrzenie Marthy wzbudzało w Michaelu mieszankę dziwnych uczuć. Miał wrażenie, że postępuje podle i haniebnie, co oczywiście mu się nie podobało, więc pokrywał wstyd oburzeniem i niechęcią. Nie było z nią zabawy. A on teraz potrzebował rozrywki. Czy nie mogła tego zrozumieć? Cóż, niech ją cholera; inni rozumieli to doskonale. Spanie w pokoju hotelowym nie było przepisem na wypoczynek, podobnie przemieszkwanie w gościnnym pokoju u znajomego, ale Michael widział już przed sobą czas, kiedy łóżko znów dostarczy mu rozrywki. Nigdy nie wspominał Marcie o swoich nowych znajomych.

Martha czuła, jakby Michael w rękawicach bokserskich przeprowadził operację na jej otwartym sercu, po czym zapomniał zaszyć otwartą ranę. Wydawało się jej nawet, że ciągle jest pod wpływem narkozy, gdyż w codzienności czuła się jak w sennym koszmarze. Wstydziała się swojej bolesnej rany, ale pokrywała zakłopotanie entuzjastycznym szczebiotem na temat dzieci i codziennego życia. Jednak jej codziennością były właśnie dzieci, nie umiała mówić o niczym innym. Oprócz dzieci, do chwili

rozstania jej głównym tematem rozmów był Michael. Teraz zaś, gdyby zapytał o Elizę albo rodziców, czego zresztą nie czynił, nie mogłaby odpowiedzieć mu szczerze. Martha nie znosiła ukrywania czegokolwiek, ale nie mogła przecież przyznać, że palili jego zdjęcia i wbijali szpilki w genitalia laleczki wudu. Kiedy oznajmiła Michaelowi, że zadzwonił właściciel sklepu Majestic Wine z wiadomością, że otrzymał skrzynkę doskonałego rocznika, który może zainteresować Michaela, nie zostało jej nic więcej do powiedzenia.

Martha zdała sobie sprawę, że go nudzi.

Na każde spotkanie wychodziła z domu wyelegantowana i pełna nadziei. Wracała przygnębiona i rozżalona. Wkładając klucz do zamka, zbierała wszystkie siły, by zdobyć się na uśmiech powitania dla Elizy. Dzielny, ale niepotrzebny gest. Eliza za każdym razem czekała na powrót siostry, sprawdzając jej postępy czy też raczej ich brak z równym zaangażowaniem, jak sama Martha. Na dźwięk podjeżdżającego pod dom samochodu Eliza biegła do okna. Patrzyła, jak Michael zimno całuje Marthę w policzek. Co to za randka, po której facet nie próbuje wsunąć kobiecie dłoni pod bieliznę? To wręcz brak manier. Widziała przygarbioną sylwetkę idącej do domu Marthy; jej zaciśnięte usta. Dlatego Eliza nigdy nie dała się zwieść szerokim, niby szczerym uśmiechom siostry stojącej w drzwiach.

Raport składany po randce stał się nieodłączną częścią dnia, choć był równie zniechęcający i krótki, jak sama randka.

Na ogół przebiegał następująco: kiedy Martha otwierała drzwi, Eliza wkładała w jej dłoń kieliszek wina i pytała:

— I co tym razem pieprzony guru miał do powiedzenia?

Zaczęła nazywać Michaela „guru”, odkąd usłyszała, że powiedział Marcie, iż przechodzi coś w rodzaju kryzysu oraz że musi poszukać odpowiedzi na pytania dotyczące jego samego.

— Nie żartuj! Tyle wiemy już od dawna! — wrzasnęła Eliza, kiedy Martha przekazała jej słowa Michaela. Potem Martha żałowała, że w ogóle powtórzyła je siostrze. Eliza zawsze spłaszczała znaczenie słów Michaela. Może to Martha nie umiała przekazać ich pełnego znaczenia, gdyż kiedy sama je usłyszała, miała wrażenie, że w ich kontaktach nastąpił znaczący przełom na lepsze.

— Proszę, nie przeklinaj przy dzieciach.

— Już śpią.

— No to nie przeklinaj przy mnie — uściśliła Martha.

— Nic na to nie poradzę, Martha, on mnie doprowadza do szału. Po dziesięciu latach nie można tak po prostu wstać i odejść, bez żadnego powodu.

— Podał powód: nie jest szczęśliwy.

— A dlaczego nie jest szczęśliwy? Kiedy to uświadomił sobie, że jest nieszczęśliwy?

Oczywiście Martha zadawała sobie te pytania, z mniejszą lub większą częstotliwością, od dnia odejścia Michaela. Jednakże nie przybliżyła się ani na krok do znalezienia odpowiedzi.

Eliza szalała. Co to za gadanie o byciu szczęśliwym, na miłość boską? Był żonaty czy nie? Od życia małżeńskiego trudno oczekiwać nieustającego szczęścia. Czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wygląda prawdziwe życie? I jeszcze do krzywdy dodał obrazę — nie dość, że zostawił żonę i dzieci, to jeszcze kompletnie nie umiał poradzić sobie z sytuacją, w jaką się wpakował. Przecież zupełnie nic nie robił, żeby sobie z nią poradzić. Martha nieustannie rozmyślała o ich związku, rozbierała go na części pierwsze, usiłowała zrozumieć, zracjonalizować, a w końcu znaleźć rozwiązanie. Z drugiej strony, Michael twierdził, że ma zbyt wiele pracy, by pracować nad ich upadającym małżeństwem.

— Gdyby mnie się to przytrafiło, absolutnie nie byłoby mowy o szukaniu odpowiedzi. Natychmiast poszłabym do poradni małżeńskiej i poprosiła o numer dobrego prawnika! — krzyknęła Eliza.

— Ale to nie tobie się przytrafiło, nie jesteśmy takie same, a ty nie jesteś mną — odparła Martha.

— I chwała Bogu — mruknęła Eliza. Odetchnęła głęboko i spróbowała zdobyć się na współczucie. — No dobrze, powiedz mi, co ci dzisiaj opowiadał.

— W sumie chyba zaczynam rozumieć, dlaczego nie jest szczęśliwy.

— No i dlaczego? — zapytała Eliza przez zaciśnięte zęby.

— Nasze ciągle kłótnie i moje czepianie się działały mu na nerwy. Poza tym nie miał możliwości spotykać się z przyjaciółmi. — Słowom tym towarzyszył dzielny, udawany uśmiech.

Elizie na moment zabrakło słów. Po chwili podparła się swoim ulubionym powiedzonkiem.

— Boże, co za pierdolone bzdury!

— Elizo! — Martha w popłochu wskazała na sufit. Wybuch wulgaryzmów siostry na pewno mógł sprawić, by dziadkowie przewrócili się w grobach, a tym bardziej obudzić czujnie śpiące, ciekawskie dzieci.

— Martha, ty chyba w to nie wierzysz, prawda?

— No, naprawdę często się kłóciliśmy. — Martha wciąż miała nawyk zgadzania się ze słowami Michaela. W końcu robiła tak od lat.

— Kłóciliście się, bo jego ciągle nie było, bo zostawiał cię samą z dziećmi, bo Mathew dawał ci popalić, bo Maisie miała kolkę, bo Michael nalegał, żebyś chodziła na siłownię, by poprawić figurę, bo wysyłał cię do pośredników, żebyś znalazła ten wasz wymarzony dom, bo w końcu miałaś za dużo na głowie! — Każde „bo” Eliza wypowiadała coraz bardziej przenikliwym tonem, w miarę jak rosło jej oburzenie.

— Może, ale to mu się nie podobało. Nie podobały mu się moje awantury i narzekania. Dlatego tak często wychodził.

— A nie wpadło mu do łba, żeby zostać i może ci pomóc?

— Nie.

— I co to za pieprzenie, że nie może spotykać się ze znajomymi? Gdyby nie ty, w ogóle by się nimi nie spotykał. To ty zapraszałaś ich na kolacje, organizowałaś weekendowe pikniki, urządzałaś wypadki do kina, pamiętałaś o ich urodzinach i znałaś imiona ich dzieci.

— Wiem, ale on chce częściej spotykać się ze swoimi kolegami. Sam, beze mnie. Faktycznie strasznie dużo pracuje, siedzi wieczorami w pracy.

— Tak, najczęściej pracuje w restauracjach.

— To są kontakty z klientami — wyjaśniła Martha.

— Pieprzenie w bambus — westchnęła Eliza.

Martha zrobiła urażoną minę i Eliza pożałowała swojej arogancji.

— Muszę o niego zawalczyć — ciągnęła Martha.

— Dlaczego?

— Ponieważ to mój mąż. Ponieważ tak się robi. Walczy się o swojego męża — odparła Martha, choć nie wierzyła, by Eliza ją zrozumiała. Nigdy nie miała męża. Na pewno to Martha miała rację, jako żona Michaela i matka jego dzieci powinna zrobić absolutnie wszystko, wszystko, by uratować swoje małżeństwo. Nawet jeśli czasami wydawała się sama sobie jedyną osobą na tyle staromodną, by w to uwierzyć.

Kochała go. I nienawidziła.

Kochała czy nienawidziła? Niemal niemożliwe było to ustalić. Eliza czuła się straszliwie sfrustrowana. Przede wszystkim z powodu Michaela, za to, że był takim słabym, niedojrzałym szczeniakiem, ale też z powodu siostry, która tak beznadziejnie broniła jego postępowania. Eliza sama nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak bardzo potępiała styl życia Michaela. Czasami przemykało jej przez głowę, że siostra żyła, jakby nie skończyły się jeszcze lata pięćdziesiąte, ale nie kwestionowała jej roli w rodzinie, a czasem wręcz pragnęła podobnego życia. Przynajmniej niektórych jego zalet. To, że Martha nie musiała pracować, miało na pewno swoje dobre strony. Eliza zazdrościła jej, że nie musi przejmować się napięciem przedmiesiączkowym szefowej, nie musi co rano i co wieczór bić się z dojeżdżającymi do pracy ludźmi, nie musi składać uprzykrzonych zamówień, które nigdy nie zgadzały się z napływającymi później fakturami. W porównaniu z tym spacerować z dziećmi po parku, pieczenie ciast i malowanie obrazków wydawało się rajem. Poza tym Martha zawsze wydawała się szczęśliwa. Eliza nie chciała ani nie musiała interweniować. Zresztą, co ona naprawdę wiedziała o małżeństwie, zwłaszcza cudzym?

A jednak nawet ślepy, głuchy i niemy przybysz z innej planety dostrzegłby w tej chwili rzeczy, które umykały Marcie. Michael zachowywał się teraz jak nierozsądny, nieodpowiedzialny, arogancki sukinsyn.

Ach, od razu po wypowiedzeniu tych słów poczuła się lepiej, mimo że wypowiedziała je tylko w myślach.

Niemal codziennie Eliza usiłowała namówić siostrę do zmiany taktyki. Argumentowała, że Martha próbowała już podejścia pod tytułem „roześmiana i uwodzicielska”, „chłodna i racjonalna”, „tolerancyjna i stoicka”, ale nie doczekała się żadnej reakcji ze strony Michaela. Dlaczego więc nie spróbować odzyskać nieco pewności siebie, a jednocześnie nie przejąć z powrotem odrobiny kontroli nad sytuacją? Eliza miała na myśli, że Martha powinna przestać zachowywać się jak wycieraczka do butów, choć udało się jej powstrzymać od wygłoszenia tego porównania.

— Spróbuj stać się niedostępna. Powinnaś więcej wychodzić. Nie możesz spędzić reszty życia pod telefonem.

Martha rzuciła jej przerażone spojrzenie.

— No nie, nie twierdzę, że będzie to trwało do końca życia, ale... — Eliza dała za wygraną, i tak już za daleko zabrnęła.

— A gdzie i z kim mam wychodzić? Właściwie nie mam znajomych.

— To nieprawda.

— No, nie mam takich, z którymi mogłabym w tej chwili porozmawiać.

— Tylko dlatego, że nie chcesz z nikim rozmawiać o tym, co się stało. Gdybyś zdobyła się na większą otwartość, na pewno bardziej by ci pomogli. — Eliza faktycznie miała już dość bycia jedyną godną zaufania osobą, przy której Martha mogła wciąż i wciąż obsesyjnie omawiać swoje położenie. Oczywiście, jako siostra była jej najbliższą przyjaciółką, ale jako siostra miała również prawo do mówienia jej prosto w oczy nieprzyjemnych prawd.

— Ale to takie upokarzające. Michael na pewno niedługo wróci do domu. Nie wytrzymałabym ich protekcyjnych spojrzeń przez resztę życia, ich współczucia i uśmiezków za plecami. Wyobraź sobie, co by powiedzieli, gdybym przyjęła go do domu po takim...

— Brutalnym porzuceniu — dokończyła za nią Eliza. — Wydaje mi się, że jesteś wobec nich niesprawiedliwa. Myślę, że ludzie okażą ci o wiele więcej współczucia, niż się spodziewasz.

Jednak na to Martha nie mogła się zdobyć. Czuła się jak idiotka, jak przegrana. Nawet nie wiedziała, dlaczego odszedł. Nie rozumiała. Wiedziała, że nie jest doskonała, ale kto jest? Przecież zawsze starała się dać z siebie wszystko. Cholerne wszystko. Przysięgali sobie miłość „póki śmierć nas nie rozłączy”. „Na dobre i na złe”. I naprawdę miała taki zamiar. Przecież najgorsze, co ich spotkało, to kilka nieprzespanych nocy oraz okres ataków kolki, chyba można to przeżyć? Kłótnie wychodzą związkowi na dobre. Czytała o parach, które wspólnie przechodziły najbardziej przerażające problemy — choroby, brak pracy, niepłodność, śmierć... Niektóre z nich musiały stawiać czoło najprawdziwszym burzom, jak więc mogła przyznać, że jej mąż uciekł przy pierwszej mżawce? Martwiła się, że jeśli powie innym, iż Michael odszedł, gdyż nie czuł się szczęśliwy, zaczną podejrzewać ją o ukrywanie czegoś ważnego. Pomyślą, że wplątała się w jakiś gorący romans, popadła w alkoholizm, że oddała się hazardowi lub wymyślą inne, równie sensacyjne przyczyny ich rozejścia.

Albo jeszcze gorzej: uznają Michaela — niesłusznie — za nieodpowiedzialnego tchórza bez kręgosłupa, gdyż z zewnątrz — jeśli nie znało się go zbyt dobrze — ktoś mógł wyciągnąć takie wnioski. W końcu porzucenie żony i dzieci to niezbyt przyjemny postępek, prawda? O wiele bardziej odpowiedzialnie i odważnie byłoby zostać, spróbować wszystko uporządkować. Martha nie chciała, by ludzie uznali, że była żoną nieodpowiedzialnego tchórza bez kręgosłupa. Poza wszystkim, jeśli nie powie nikomu o tym, co się stało, będzie mogła udawać, że nic nie zaszło. Jeżeli nie będzie odbierać telefonów ani przyjmować zaproszeń, jeśli zamknie się sama w domu, być może zdoła sprawić, by czas stanął w miejscu. Może.

— Nie chcę spotykać się z nikim innym. Nie chcę widzieć nikogo innego — powtórzyła Martha.

Eliza westchnęła. Absolutnie nie zgadzała się z siostrą i zastanawiała się, kiedy będzie wypadało to powiedzieć. Czy warto walczyć o małżeństwo tylko dlatego, że to małżeństwo? Ugryzła się w język.

— No dobrze, ale w takim razie nie odpuszczaj mu tak łatwo. Domagaj się od niego odpowiedzi. Zmusz go, żeby pomyślał nad tym, co robi — zaproponowała.

Martha była zdesperowana i zmęczona. Cierpliwość powoli się jej kończyła. Może Eliza miała słuszość, może Michael będzie ją bardziej szanował, jeśli zacznie więcej wymagać. No i sam Michael naprawdę potrzebował pomocy. Martha poważnie rozważała możliwość, że przechodził załamanie nerwowe, był to jednak bardziej wiarygodny powód niż ten, że dorwali go porywacze ciała. Fakt, obecna taktyka prowadziła ją na razie donikąd. Za każdym dniem, kiedy skreślała dzień w kalendarzu, coraz bardziej obawiała się, że małżeństwo wymyka się jej z rąk.

Martha zmieniła więc taktykę. Korzystając z okazji, jaką dawała czwarta randka, wzięła Michaela w krzyżowy ogień pytań. Uczepiła się otwartej rany, jaką była ich separacja, po czym stwierdziła, że pokazała mu głębię swojego cierpienia i frustracji, jeszcze zanim zdążyli złożyć zamówienie u kelnera. Nowe podejście nie przyniosło lepszych skutków, a wręcz jeszcze pogorszyło ich stosunki. Dotychczas Martha nie przypuszczała, że to możliwe, ale w miarę upływu wieczoru Michael jeszcze bardziej się od niej odsuwał i traktował ją z coraz większą niechęcią.

— Kiedy przestałeś mnie kochać? — dopytywała. Była przekonana, że jeśli dowie się tego, będzie też w stanie coś na to poradzić. Będzie w stanie cofnąć czas, wrócić do Marthy, którą Michael kochał.

— Nie przestałem — westchnął; naprawdę chciał, żeby Martha już mu odpuściła. Nie znosił uczucia, że ma zobowiązania wobec tej kobiety, w której już nie był zakochany. Chciałby być, ale nie był.

— Wciąż więc mnie kochasz. — Martha nie mogła ukryć emocji.

— No, w pewien sposób. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

— To chyba wystarczy, prawda? — powiedziała Martha błagalnie, ale i z nadzieją.

Dlaczego sama się narażała na takie traktowanie? — zastanawiał się Michael.

— Nie. Nie chcę zostać tylko dlatego, że się do ciebie przyzwyczaiłem — odparł niechętnie.

Jego słowa trafiły ją prosto w dołek. Martha poczuła, jakby uszło z niej całe powietrze. Leżała twarzą do ziemi na ringu bokserskim, czuła smak krwi w ustach, a w uszach dźwięczał głos sędziego. Odetchnęła głęboko, przypominając sobie, że owszem, przegrała bitwę, ale nie wojnę.

— Co zrobiłam źle? — zapytała desperacko. Michael nie odpowiedział.

— Czy jestem złą matką?

— Jesteś doskonałą matką — przyznał.

— Złą żoną?

— Jesteś idealną żoną.

— Zatem to, że mnie kochasz, uważasz za najbliższego przyjaciela, za idealną matkę i żonę, to, że mamy dwoje dzieci — to wszystko ci nie wystarcza? — dociekała Martha.

— Nie, nie wystarcza. Czegoś brakuje.

— Ty zachłanny draniu! — Martha nie była pewna, jak się to stało. Musiał to być odruch — rzuciła w niego kieliszkiem wina.

To była ich ostatnia randka.

Martha nie widziała sensu umawiania się po raz kolejny. Wątpiła zresztą, czy Michael zgodziłby się z nią spotkać. Nie znosił scen, na pewno nie wybaczył jej przedstawienia w restauracji. Poza tym tydzień wcześniej, kiedy podczas wyjścia do kina przypadkowo dotknął kolanem jej kolana — kolana swojej żony — odsunął się z niechęcią. Martha omal nie zwymiotowała z bólu.

Tej nocy leżała samotnie w łóżku, już nie czekając na sen i nie mając nadziei, że nadejdzie. Jego słowa o tym, że jako idealna żona i matka wciąż nie jest dla niego dość dobra, zraniły bardziej niż odejście męża. Były bardziej okrutne niż narzekania. Skoro uznawał ją za doskonałą żonę i matkę, a jednak nadal jej nie chciał, oznaczało to, że najlepsze, na co było ją stać, dla niego było nie dość dobre. Spędziła dziesięć lat, starając się ze wszystkich sił zrobić na nim wrażenie, zabiegając, by był z niej dumny, by uznał jej wartość — i wszystko na marne.

Ostatnie cztery tygodnie były najprawdziwszym piekłem.

Po scenie w restauracji Martha przyrzekła Elizie, że nie będzie już kontaktowała się z Michałem, co najwyżej poczeka, aż on się odezwie. Eliza miała nadzieję, że Michael faktycznie zadzwoni, ale tylko ze względu na siostrę, gdyż nie była tego zbyt pewna. Martha przez całe cztery dni (które ciągnęły się jak cztery lata) okazywała wzorowe opanowanie, aż do dziś, kiedy zadzwonił pośrednik nieruchomości z pytaniem, skąd się wzięła zwłoka w podpisaniu umowy. Czy pojawiły się jakieś problemy, w których mógłby pomóc? Martha miała ochotę wrzasnąć: „Tak, mam wielki problem, nie, nie może mi pan pomóc. Chyba że umie pan cofnąć czas!”. Zamiast tego zadzwoniła do Michaela.

Nie miała zamiaru dać się ponieść emocjom. Przysięgła sobie, że się nie rozplacze. Nie będzie próbowała drażnić go komentarzami na temat braku odpowiedzialności (mimo że Martha czuła się przede wszystkim wstrząśnięta i przerażona swoim ostatnim występem w restauracji, w głębi ducha poczuła się też wyzwolona; mogłaby się wręcz uzależnić od podobnych akcji). Stłumi gniew. Będzie dumna, chłodna, dokładnie jak Lauren Bacall. Dlatego też tak samo jak Elizę zaskoczyła ją jej własna reakcja, powrót do histerycznego szloch i błagań o powrót Michaela.

Nie mogła ufać nawet własnym emocjom.

Martha wzięła herbatę od Elizy i zacisnęła dłonie na kubku. Październik był całkiem ciepły, lecz ona wciąż marzła.

— Zadzwoń za ciebie do pośrednika? — zapytała Eliza. Usiadła na podłodze obok Marty, plecami oparta o ścianę. — Nawet jeśli Michael wróci, masz tyle do załatwienia...

— Co to znaczy „jeśli”? Oczywiście, że wróci — odparła uparcie Martha, przelękając herbatę zmieszana z łzami.

— No dobrze, w porządku. No więc, kiedy Michael wróci, nie możecie kupować nowego domu. Będziecie potrzebowali odpoczynku, będziecie musieli znów się do siebie przyzwyczaić, zanim dojdziecie do siebie na tyle, by zdobyć się na kolejny wysiłek.

— Ale Bridleway idealnie nadaje się na nowy początek! — wyjąkała zapłakana Martha.

— Będzie się wam kojarzyć z całym tym zamieszaniem. Kiedy nadejdzie właściwy czas, znajdziecie odpowiedni dom — przekonywała Eliza. Uspokajająco ścisnęła siostrę za kolano.

— To dla mnie więcej niż dom! — wydusiła Martha.

— Wiem, kochana. Ale musisz dać sobie z nim spokój. Martha poczuła kolejny przeszywający paroksyzm bólu. Uczepiła się myśli o domu, gdyż wszelkie siły skupiała na tym, by poradzić sobie z olbrzymią zmianą, jaka na nią spadła. Czy nie dość, że porzucił ją mąż? Że pozbawił dzieci normalnej rodziny, jaką zawsze chciała im zapewnić? Że wymazał z pamięci jej przeszłość oraz zrujnował przyszłość?

Ale z drugiej strony, co znaczył dom w wielkim planie wszechświata?

Martha wzięła głęboki oddech i spróbowała odzyskać część samokontroli, z której ją kiedyś znano.

— No dobrze, podaj mi telefon. Zadzwoń do pośrednika. — Uśmiechnęła się słabo, ale szczerze.

Randki Elizy nie były o wiele bardziej udane niż Marthy. Jej wiara w „żyli długo i szczęśliwie” u boku mężczyzny z ubezpieczeniem emerytalnym mocno się zachwiała po rozpadzie małżeństwa Marthy i Michaela, lecz Eliza nie miała zamiaru przyznawać się do tego.

Przyjeżdżając do nich w poniedziałek rano, oczekiwała, że otrzyma wsparcie i radę. Spodziewała się, że ucieszy ich jej dojrzała decyzja o zakończeniu dzieciennego związku oraz postanowienie znalezienia kogoś, kto chce mieć dzieci i polisę ubezpieczeniową. Miała nawet nadzieję, że poznają ją z jakimś znajomym Michaela z klubu golfowego. Z góry cieszyła się na to, że będzie uczestniczyć w ich szczęśliwym życiu rodzinnym, które często podziwiała. Chciała w ciepłym świetle lampy czytać dzieciom bajki na dobranoc w ich pokojach pełnych zabawek i marzeń. Z radością myślała, że będzie czasem odwoziła je do szkoły i na basen. Chciała zasiadać z nimi do kolacji, może nawet spróbować chiocki. Jednak wizja tej oazy domowego szczęścia rozwiązała się.

Znikła.

Całkowicie.

Jeśli Eliza czuła się oszukana, to jak musiała się czuć Martha? Bóg jeden wie!

Zamiast przyjmować kubki gorącej czekolady i pochłaniać talerze herbatników owsianych, Eliza znalazła się w środku małżeńskiego huraganu, skomplikowanych i wprawiających w zakłopotanie emocji. W pierwszym odruchu miała ochotę obrócić się na pięcie i uciec do rodziców, a może nawet do Grega, ale jedno spojrzenie na twarz siostry przegnało wszelkie myśli o ucieczce. Eliza była potrzebna.

Oczywiście jako kobieta trzydziestoletnia (plus kilka miesięcy), żyjąca w dwudziestym pierwszym wieku, z dużą liczbą znajomych znajdujących się w podobnej sytuacji, Eliza miała olbrzymie doświadczenie w powtarzaniu utartego zwrotu: „wszyscy mężczyźni to świny”. Wiedziała również, że wstrząs spowodowany rozstaniem można złagodzić jedynie dużą ilością wina, czekolady i płaczu. Kolejnym etapem było odsądzanie mężczyzny od czci i wiary; można go obrzucić wszelkimi wyzwiskami, jakie wpadną do głowy, od dupka po bezmózgiego gada, przydaje się również wymienienie wszelkich jego zbrodni przeciw rodzajowi kobiecemu. Ostatnim etapem dochodzenia do siebie było szukanie klina, choćby ryzykowne łapanie na oślep pierwszego lepszego. Ta metoda klejenia złamanego serca była wykorzystywana przez Elizę i jej przyjaciółki po rozpadzie niezliczonych związków. Mimo to jednak Martha natychmiast odrzuciła sprawdzone recepty siostry. Czasami przyjmowała kieliszek wina, raz czy dwa wypijała nawet pół butelki za jednym posiedzeniem, ale nie tykała czekolady. Nie chciała też wyzywać Michaela. Wciąż powtarzała, że on sam także czuje się zdezorientowany lub przygnębiony. Zastanawiała się, jaki błąd popełniła, cały czas przekonana, że mąż jest równie poraniony jak ona sama.

— Wątpię! — wrzasnęła Eliza w desperacji.

Spędziła wiele dni, obserwując, jak siostra na kolanach ściera plamy po rozlanych napojach, zmienia pieluchy, zbiera zabawki, błaga dzieci, żeby jadły lub szły spać o odpowiedniej porze. Patrzyła, jak Martha sprząta szafki, myje podłogę, okna i wierzchy szaf. Nie była pewna, czy robi to, bo tak trzeba, czy po prostu wyszukuje sobie zajęcia. Usiłowała pomóc, kąpiąc dzieci i czytając im na dobranoc, ale Mathew czuł, że coś jest nie w porządku, i żałośnie czepiał się matki. Eliza często zastawała Marthę śpiącą w łóżku synka, a pewnej nocy znalazła ją nawet zwiniętą ciasno w łóżeczku Maisie. Wstrząsnęło nią nie tylko to, że matka mogła aż tak się poświęcić, by uspokoić dzieci, ale i rozmiary siostry. Jej starsza siostra wyglądała na tak małą. Kruchą.

Oprócz tego, że nie chciała gadać bez sensu, utyc ani też zrównać z ziemią eks-męża, Martha złamała również tradycję trzeciego etapu dochodzenia do siebie. Nawet Eliza nie potrafiła wyobrazić sobie siostry wskakującej do czyjegoś łóżka po to, by poprawić sobie samopoczucie.

Z drugiej strony, Eliza bardzo chętnie by to zrobiła. Nie zdawała sobie sprawy, jak doskonale układało się jej życie seksualne z Gregiem, dopóki go nie zabrakło. Teraz za tym tęskniła. Oczywiście nie tęskniła za Gregiem. Była pewna, że nie za nim. Jak mogła tęsknić za całym tym chaosem i bałaganem? Jednakże czegoś jej brakowało, więc musiał to być seks. Ale znalezienie klina okazało się trudniejsze, niż sądziła.

Na samym początku nie wypadało wspominać siostrze o tym, jak bardzo chciałyby przejrzeć jej notatnik z telefonami znajomych; byłoby to absolutnym nietaktem. Dziwne, ale Martha zareagowała na wieść o porzuceniu Grega z mniejszym entuzjazmem, niż Eliza się spodziewała.

— Biedny Greg, ty też jesteś biedna — skomentowała po prostu. Eliza uznała, że trafiła na złą chwilę.

Po kilku tygodniach wspólnego mieszkania Martha nagle wzbudziła w sobie nieco zapału do pomysłu Elizy szukania nowego mężczyzny życia. Prawdziwego mężczyzny jej życia.

— Znam kilku gości, którzy mogą ci się spodobać — rzuciła od niechcienia pewnego wieczoru, przeglądając swój notes z adresami.

Eliza uważała, że posiadanie notesu, a nie palmtopa, jest nieco staroświeckie. Wszystkie jej koleżanki miały notesy elektroniczne. Staroświeckie wydawało się jej także nazywanie facetów „gośćmi”.

— No kogo, kogo? — zainteresowała się, nawet nie ukrywając ożywienia.

— Mogłabyś zacząć od Teda.

— Teda? — Eliza mimo woli pomyślała o *Ulicy Sezamkowej*. Co to za imię dla dorosłego faceta? Czy to znaczy, że ten ktoś jest wyjątkowo włochaty? Jednakże nie mogła pozwolić sobie na grymsy już w fazie embrionalnej poszukiwań. Jeśli coś z tego wyjdzie, zawsze może wymyślić mu przezwisko znacznie bardziej trendy.

Martha uśmiechała się; znała siostrę na tyle dobrze, że wiedziała, co jej w tej chwili przebiega przez głowę.

— Mam kontynuować? — droczyła się.

— Tak, tak, oczywiście. Jak wygląda?

— Nie powinnaś raczej zapytać o jego perspektywy? Podobno teraz najbardziej interesuje cię znalezienie męża godnego szacunku, z planem emerytalnym...

— No tak, faktycznie — przyznała Eliza. — Ale wiesz co, nie chciałabym spotykać się z jakimś potworem, choćby to był prezes najlepszej giełdowej spółki w kraju.

— A, rozumiem — odparła Martha z uśmiechem zdradzającym, iż zna swoją siostrę, która nie spotka się z kimś gorszym niż przystojniak.

— Co?

— Nic. Nic nie mówię. Tak więc Ted pracuje w banku, jest wysokim blondynem, na ogół uznawany za przystojnego.

— Blondyn?

— Tak.

— Hm.

— Co?

— Nic.

— Elizo, nie mów „nic”, skoro wyraźnie coś jest na rzeczy.

— Wolę ciemne włosy.

— W takim razie Teda skreślamy?

— Zostawmy go na później. Zróbmy listę. — Eliza skoczyła po długopis i kartkę. Fakt, że Martha zdołała wypowiedzieć kilkanaście zdań bez kierowania rozmowy na Michaela, uznała za bardzo dobry omen. Może właśnie tego Martha potrzebowała — czegoś, co odwróci uwagę od jej własnych problemów.

Eliza usiadła na kanapie obok Marthy i podzieliła kartkę na trzy kolumny. Na górze napisała: „Świetna okazja”, „Może być” oraz „Nigdy, choćby był jedynym mężczyzną na świecie”. Martha uśmiechnęła się szeroko. W kolumnie „Może być” Eliza wpisała „Ted”.

— Teraz Tarquin. Jest radcą prawnym.

— To jego prawdziwe imię? Naprawdę znasz jakiegoś Tarquina? — zapytała zaskoczona. — Nie, daj spokój, odpada. Za każdym razem wybuchałabym śmiechem. Jak można krzyknąć: „tak, tak, Tarquin!” w gorączce namiętności? Nie, to za wiele.

— No wiesz, nie jego wina, że ma tak na imię — roześmiała się Martha. — Rodzice go uszczęśliwili, zanim był w stanie wyrazić słowami swój sprzeciw.

— Ale mógł je sobie zmienić sądownie. Ja widać, nie skorzystał z tej możliwości.

— Jest bardzo miły.

Eliza westchnęła i pod Tedem wpisała „Tarquin”.

Martha przejrzała cały swój notes z adresami, usiłując wybrać jak najwięcej odpowiednich kandydatów. Eliza w każdym znalazła coś, co się jej nie podobało. „To chyba za wysoka półka” albo: „Za krótkie”, albo często: „Beznadziejne imię”, równie często: „Nie umie tańczyć”, „Wydaje się nudny”, „To chyba egoista”, „Rozwodnik — o nie, za duże obciążenie”. Przy ostatnim komentarzu dodała:

— Przepraszam, Martho. Nie miałam nic szczególnego na myśli.

— Dlaczego mnie przepraszasz?

— No... nie chciałam powiedzieć, że każdy myśli o ludziach po rozwodzie jako o obciążeniu — skłamała Eliza, zażenowana swoim nietaktem.

— Dlaczego mnie przepraszasz? — powtórzyła Martha lodowato.

— Dajmy spokój — skwitowała Eliza i wróciła do notesu.

Kiedy skończyły, Eliza z rozczarowaniem stwierdziła, że na jej kartce w kolumnie „Świetna okazja” nie ma ani jednego imienia, cztery figurują pod „Może być”, a siedem w ostatniej kolumnie.

— Może jesteś trochę zbyt wymagająca — podpowiedziała Martha. Uważała, że jedenastu przedstawionych przez nią mężczyzn raczej spełniało wymagania przedstawione przez Elizę. Sama zresztą dokonywała selekcji, wybierając ich nazwiska; trzy odrzuciła od razu i w ogóle nie zaprezentowała ich siostrze. Fakt, że znała aż tylu samotnych mężczyzn w tym wieku, należał do rzadkości, i kilka jej koleżanek już wcześniej korzystało z tego notesu. Żadna z nich nie była tak wybredna jak Eliza. Według Marthy żaden z nich nie pasował do Elizy tak dobrze jak Greg, ale z drugiej strony, Eliza była dość dorosła, by dokonywać wyborów i popełniać błędy.

— No dobrze, podsumujmy. — Słuchając komentarzy siostry, Martha robiła notatki. Tak działał jej umysł. Wzięła notes do ręki i głosem, którym mogłaby przemawiać na zebraniu zarządu, powtórzyła kryteria Elizy. — Zatem szukasz wysokiego, wysportowanego...

— Szczupły, giętki, stworzony do kochania — przerwała Eliza, chichocząc. Miała już w głowie lwią część butelki chardonnay.

— Cóż, z oczywistych powodów nie mogę ci zareklamować ich umiejętności łóżkowych. Zapraszałam ich na kolacje, a nie...

— Żeby się gzić — dokończyła Eliza, gdyż wątpiła, czy zrobi to Martha.

— No właśnie, gzić — powtórzyła Martha, jakby uczyła się nowego słowa w obcym języku. W pewnym sensie tak było. Obie kobiety odrzuciły głowy do tyłu i wybuchnęły śmiechem. Elizie przemknęło przez głowę, że dawno już nie słyszała tak głośnego śmiechu Marthy. W tym domu głośny śmiech nie rozbrzmiewał od dawna, nawet przed odejściem Michaela.

— A teraz skup się — ciągnęła Martha z udawaną powagą. — Szukasz wysokiego, wysportowanego bruneta, wiek trzydzieści kilka lat, który zarabia powyżej czterdziestu tysięcy, umie tańczyć,

lubi indyjskie dania na wynos, ale też lubi urządzać kolacje, żeby jeszcze był muzykalny, czytał książki, miał wielu przyjaciół, ale też chętnie spotykał się z twoimi. Małżeństwo w przeszłości wykluczone. Dzieci wykluczone, tak jak i śmierdzący oddech, musi zdecydować się na małżeństwo z tobą najpóźniej latem.

— To mniej więcej tyle.

— Znosi się na długie polowanie — stwierdziła Martha, kręcąc głową.

— Myślisz?

— Tak.

— Hm... no dobrze, odpuścę mu parę lat — zdecydowała Eliza.

— O, to na pewno pomoże. — Martha się uśmiechnęła, sięgając po butelkę chardonnay. —
Przynieść drugą?

16

Na pewno nie był to facet w typie Elizy. Szybko jednak przypomniała sobie, że w tej chwili właśnie szukała kogoś nie w swoim typie. Szczupły, z opadającymi ramionami nachylonymi nad brzuchem. Za długo przesiadywał przy biurku. Czy kiedykolwiek widział siłownię od wewnątrz? Nie był ciemny, jak obiecywała Martha, ale nie był też blondynem. Coś pomiędzy, w sumie ciężko określić. Miał jednak miły uśmiech, ale czy to wystarczająca rekompensata za spocone ręce?

— Zapewne Eliza? — zapytał Tarquin. Skoczył na równe nogi, żeby się z nią przywitać, przy czym uderzył krzesłem o sąsiedni stół i przewrócił kieliszek wina. Było to białe wino, rozlało się na podłogę, nie na jedzących, ale i tak narobili kłopotu. Tarquin wielkodusznie postawił im całą butelkę wina, żeby zadośćuczynić za stracony kieliszek. Eliza uznała, że to bardzo miłe z jego strony. Usiadła przy stoliku. Bardzo chciała, żeby się jej spodobał.

— W ogóle nie jesteś podobna do Marthy. — Uszy Tarquina wciąż płonęły jaskrawą czerwienią rumieńca, jaki zalał go po rozlaniu wina. Eliza chciała przestać się wpatrywać w jego uszy, ale było to ponad jej siły. Tarquin odwrócił się, by sprawdzić, czy za jego plecami dzieje się coś fascynującego.

W końcu zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy, które wyglądały na całkiem miłe, a na pewno przyjazne.

— Nie, nie jesteśmy podobne, ani z wyglądu, ani z charakteru.

— Zawsze uważałem, że Martha do fantastyczna dziewczyna. Piękna, po prostu doskonała — stwierdził Tarquin entuzjastycznie. — Ten Michael miał naprawdę szczęście.

Eliza czuła się rozdarta. Z jednej strony bardzo się ucieszyła ze względu na siostrę; wyobrażała sobie jej minę, kiedy przekaże ten komplement wieczorem po powrocie. Martha potrzebowała wszel-

kich bodźców, które mogły pomóc jej podnieść samoocenę. Z drugiej strony, nie ma na świecie nic bardziej zniechęcającego niż spotkanie się z facetem, który woli twoją siostrę.

— Boże, co to za superkobieta! — powtarzał Tarquin.

— Może zamówimy wino? — zasugerowała Eliza. W myślach już wykreśliła go z rubryki „Może być” i zmieniła mu status na niższy. Zresztą, i tak nie podobało się jej jego imię. Mimo wszystko jednak Elizie rzadko trafiała się kolacja w miejscu takim jak Quaglino, więc postanowiła jak najlepiej wykorzystać okazję.

— Dobry pomysł. Lubisz pouilly fumé? Wiem, że to ulubione wino Marty.

Eliza uśmiechnęła się dzielnie, zastanawiając w duchu, czy wytrzyma aż do gęstego puddingu o smaku toffi.

Następnym razem spotkała się z dziennikarzem o imieniu Sebastian. Jeszcze przed randką miała wątpliwości.

— Według mnie dziennikarz to niezbyt wiarygodny materiał na faceta — mówiła siostrze. — Ciągle tylko pracuje, zawsze kocha pracę bardziej niż swoją kobietę.

— O rany, Elizo! Jeśli chcesz dodać do swoich kryteriów punkt, że facet ma cię kochać ponad wszystko, to z już trudnego przedsięwzięcia zrobi się jedno z zadań Herkulesa! — przygadała Martha.

— Nie musi kochać mnie ponad wszystko. No, przynajmniej nie od razu. Ale musi woleć mnie od mojej siostry albo pracy — odpaliła Eliza. Przy każdej okazji przypominała Marcie o zakochanym w niej Tarquinie, gdyż widziała, jak siostra się tym cieszy. Nie dlatego, żeby Martha była zainteresowana jakimkolwiek innym mężczyzną poza Michaelem, ale po prostu potrzebowała potwierdzenia własnej wartości.

— Sebastian jest rzeczywiście przystojny. Naprawdę powinnaś dać mu szansę.

Sebastian był piękny. Elizę trochę zdeprymował fakt, że z wyglądu byli do siebie dość podobni: oboje wysocy, opaleni i smukli. Stworzyliby oszałamiającą parę — ale zaraz, czy on nie miał kresiek na powiekach?

Spotkali się w modnym barze, co spodobało się Elizie. Poprzednim razem nie była pewna, jak się ubrać do Quaglino — w końcu włożyła czarny kostium ze spodniami, który nosiła tylko na oficjalne spotkania i pogrzeby — choć, ciekawa rzecz, okazało się to bardzo odpowiednim strojem na tamten wieczór. Bar B był przynajmniej bardziej w jej stylu. Mogła bez obaw włożyć swoje ciuchy z Diesla.

Bar był maleńki, ale wydawał się o wiele większy, gdyż ściany razem z sufitem pokrywały drobne, szklane płytki. Trochę to przeszkadzało w rozmowie, gdyż Eliza nie mogła utrzymać na sobie uwagi Sebastiana, który zajmował się głównie ściganiem wzrokiem swego odbicia w lustrze.

Po półtoragodzinnej rywalizacji z lustrami i wdziękami atrakcyjnego barmana Eliza przeprosiła na chwilę i wyszła do telefonu.

— To gej — oznajmiła siostrze.

— Zawsze się zastanawiałam...

— No to teraz wiesz.

— Wiem, wiem. Czyli co, nie dał się poderwać?

— Nawet go nie podrywałam. Ale uwierz mi, Martha, ten facet jest gejem.

— No cóż, to poczekam na ciebie.

— Poczekaj. Na pewno nie wrócę późno.

Za trzecim razem Eliza spotkała się z mężczyzną o imieniu Henry. Tym razem znów zaczęła się zastanawiać, czy jednak imię nie odzwierciedla osobowości. Jej znajomi nosili imiona w rodzaju Neil, Mark, Matt, Dave i tym podobne. Znajomi Marthy nazywali się Henry, Piers, Sebastian i Tarquin. Jak to możliwe? Czy Tarquinowie na tym świecie faktycznie ciągną do Piersów? Czy może specjalnie się szukają? Usiłowała wyobrazić sobie, co by było, gdyby jakiś bliski kolega Grega miał na imię Gerard. Było to możliwe, bo Greg był osobą niekonfliktową i nie oceniał ludzi po imionach (w przeciwieństwie do Elizy), ale zapewne wymyśliłby mu jakiś prosty skrót, na przykład „Jed” albo inne odjazdowe przydomko. Jednak przypomniała sobie, że mężczyźni o imieniu Henry, Piers, Sebastian albo Tarquin o wiele częściej miewają kredyt na kupno domu i opcje na akcje. To tylko kwestia priorytetów.

Henry był konsultantem do spraw zarządzania. Eliza nie miała bladego pojęcia, o co w tym chodzi, ale obiecała sobie, że będzie zafascynowana. Henry zaproponował, żeby spotkali się na Aldwych 1 i napili szampana. Według Elizy był to właśnie ten styl luksusu, o którym marzyła, więc przystała na propozycję z radością.

— No i jak? — zapytała Martha w chwili, kiedy Eliza stanęła w drzwiach.

— No w porządku, świetny gość.

— W porządku czy świetny? — dopytywała Martha, która znała język siostry: faceta „w porządku” dzieliły całe lata świetlne od „świetnego”.

Eliza usiadła na wielkiej, miękkiej sofie i odpięła buty. Poruszyła palcami u stóp. Dziesięciocentymetrowe obcasy zapewne wyglądają fantastycznie, ale na pewno zostały wymyślone przez mizogina jako narzędzie tortur dla kobiet. Przyjęła od Marthy filiżankę czekolady, spłotła palce na filiżance i podwinęła nogi pod siebie.

— No to gadaj, czekam na szczegóły — ponagliła Martha. Elizie coraz trudniej przychodziło składać sprawozdania.

W końcu byli to znajomi i koledzy Marthy.

— Był trochę arogancki. No wiesz, jeden z tych, co to uważają mężczyzn za wyższą rasę tylko dlatego, że umieją sami sobie otworzyć słoiki.

Wydawało się, że nie powie nic więcej, więc Martha uznała, że musi ją zachęcić.

— Nie wydaje ci się, że jest przystojny?

— No, dość.

— Dość? — Marcie z trudem przychodziło ocenianie atrakcyjności znajomych mężczyzn, gdyż nigdy nie zwracała uwagi na nikogo oprócz Michaela, przynajmniej przez te lata, które spędzili razem. Ale wiedziała, że w kręgu znajomych Henry był uważany za bóstwo. Samo wspomnienie jego imienia w rozmowie przyprawiało kobiety o przyśpieszone bicie serca. Szczerze mówiąc, Martha trochę się bała, umawiając go z Elizą, gdyż Henry miał opinię casanowy unikającego zaangażowania. „Zabawić się i porzucić” — to było jego hasło. Z drugiej jednak strony, Martha uznała, że Eliza będzie umiała dość dobrze poradzić sobie z takim typem, i jak się okazało, miała rację: Eliza okazała się godnym przeciwnikiem. Najwyraźniej Henry nie zdołał znaleźć słabych punktów w jej zbroi, a sama Eliza oparła się jego urokowi.

— Jest przystojny w zbyt oczywistym stylu — oceniła, ale była to z jej strony czysta uprzejmość.

— No to jakiej urody szukasz? — zapytała Martha, już lekko poirytowana wybrednością siostry.

— No, ten był trochę za bardzo wymuskany. Wolę kogoś trochę...

— Mniej cywilizowanego.

— O, właśnie.

— Bardziej seksownego.

— Tak.

— Niebezpiecznego.

— Otóż to.

— Tylko że faceci w takim typie rzadko zostają współnikami w jednej z największych firm konsultingowych. W czasie rekrutacji stawia się na pewnych kandydatów.

— Pewnie tak. Ale ten zdaje sobie sprawę ze swojej urody, a ja nie cierpię próżności. Nie znoszę, kiedy facet zachowuje się tak, jakby umawiając się z tobą, robił ci łaskę. Boże, czy nie wystarczy, że nie umieją udawać orgazmu?

— To mężczyzna. Czego się spodziewałaś?

— Tego, że przynajmniej zapamięta, jak mam na imię.

— No tak, to minimalne wymagania — przytaknęła Martha. Kobiety zamilkły na chwilę; Martha zastanawiała się, czy

Eliza w końcu przyzna się przed samą sobą, że poszukiwania nie mają sensu. Czy zda sobie sprawę, że mężczyzną jej życia jest Greg. Czy wróci do niego, zanim powrót stanie się niemożliwy. Cisza przedłużała się, aż w końcu przerwała ją Eliza.

— No to kto następny na liście?

Martha chodziła po niemal pustej galerii, starając się skupić uwagę na eksponatach. Dwa tygodnie po odejściu Michaela rodzice wymogli na niej, żeby znalazła czas dla siebie, i zaofiarowali się, że zajmą się dziećmi we wtorki i środy tak długo, jak będzie to konieczne. Państwo Evergreen niewiele rozmawiali z Marthą o odejściu Michaela, ale fakt, że nie wspominali go w rozmowach, mówił sam za siebie. Martha była zadowolona z ich powściągliwości, chociaż nie wiedziała, czy jest ona zamierzona czy przypadkowa; w każdym razie dawała jej czas na znalezienie resztek dumy, której całkowicie jej pozbawiono.

Milczenie rodziców wynikało z faktu, że sami nie wiedzieli, jak zareagować. Lubili, nawet kochali Michaela; od wielu lat traktowali go jak syna. Nie mogli zrozumieć, dlaczego jedna córka rzuciła swojego narzeczonego, a druga została porzucona przez męża w ciągu jednego wieczoru. W ich czasach życie było mniej skomplikowane. Prawda, nie znali zmywarek do naczyń ani odtwarzaczy płyt DVD, czy jak się tam nazywały, ale ludzie mieli też mniej wygórowane wymagania. Chyba bardziej cieszyli się życiem i doceniali to, co mieli.

Fakt, Martha i Michael wcześniej się pobrali, ale państwo Evergreen zrobili to samo. Oczywiście, życie małżeńskie nie zawsze jest usłane różami, każdy w pewnym momencie zaczyna się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest stan absolutnie nienaturalny. Zawsze pojawiają się pokusy, różne możliwości, tęsknota za innym życiem, chęć obejrzenia się za inną spódniczką czy spodniami. Ale ogólnie rzecz biorąc, małżeństwo ma więcej plusów niż minusów. Nic nie równa się z cudownym poczuciem spełnienia, kiedy patrząc wstecz, wspomina się wspólne życie. Wspólne życie z kimś, kto uczynił je lepszym. Jak Michael mógł zostawić dzieci? Ich wnuki! Biedak na pewno przeszedł załamanie nerwowe. A Martha, biedactwo, schudła i wydawała się tak kompletnie wytrącona z równowagi. Zresztą oni też się tak czuli. Ani ojciec, ani matka Marthy nie mogli zrozumieć, dlaczego Michael postanowił odejść.

„Nie był szczęśliwy” — powiedziała Martha. Ale do licha, dlaczego?

Ze smutkiem patrzyli, jak ich dorosła córka zamienia się znów w małą, nieśmiałą dziewczynkę. Zawsze byli dumni z jej rozsądku i skupienia się na rzeczach najważniejszych; jak chciała przebić uszy, to je przebiła, ale tylko raz. Ciężko pracowała w szkole i na studiach, spotykała się z różnymi chłopakami, lecz zawsze z jednym na raz. Państwo Evergreen oczywiście kochali również Elizę i byli z niej dumni, jednak cały czas trochę bardziej się o nią martwili. Nigdy nie wiedziała, czego chce. Przeskakiwała między grupami znajomych w szkole, umawiała się równolegle z kilkoma chłopakami, po czym zmieniała front i przestawiała się na inny typ — zmieniała pracę, a jednak nigdy nie wyglądała na naprawdę zadowoloną.

Nabrali nadziei, kiedy znalazła sobie pracę w agencji promującej wideo. Nieważne, co tam robiła, wracała późno, nie była to zbyt stabilna praca, w dodatku Eliza bardzo późno dokonała wyboru zawodu — dwadzieścia siedem lat to na pewno nie jest najlepszy wiek na start w nowym zawodzie — ale wydawało się, że cieszy się pracą. Chociaż nie mogli być pewni, jak długo to potrwa. W każdym razie zawsze wyglądała na szczęśliwą z Gregiem. I mimo że Greg był zdecydowanie niekonwencjonalną osobą, był też dobrze wychowany; państwo Evergreen lubili go. Odczuwali przykrość, że zniknie z ich życia. Za dużo tych zmian. W ich czasach było prościej.

Martha, z drugiej strony, zawsze była zadowolona. Spełniała się w roli żony i matki, co w dzisiejszych czasach zdarza się rzadko, więc tym bardziej cieszyło to rodziców. Jedna córka włączająca się po klubach i unikająca więzów małżeńskich, pomimo skończonej trzydziestki, to dość jak na jedną rodzinę. Kto by pomyślał, że skupienie Marthy na jednym celu może przyczynić jej tyle kłopotów? Jej całe życie obracało się wokół męża i dzieci. Nigdy nie chciała być nikim innym niż żoną i matką. Teraz jednak, kiedy tak wielka część jej osobowości została odcięta, nagle poczuła się niepełnowartościowa.

Państwu Evergreen trudno było rozmawiać z córką o tym, co się stało, także z tego powodu, że Martha z wielkim trudem przyznawała się do problemów. Jak dotąd jej taktyka polegała na tym, by żyć jak przed odejściem Michaela, z tą różnicą, że odcięła się od życia towarzyskiego. Jej zamknięcie się w domu martwiło rodziców. Kiedy zaś pytali, czego by chciała, nie umiała odpowiedzieć. Wydawało się, że stać ją jedynie na wyczekiwanie kolejnego kroku Michaela. Państwo Evergreen obawiali się jednak, iż może to nigdy nie nastąpić. Dlatego też spokojnie, choć stanowczo nalegali, by zająć się dziećmi co jakiś czas i dać córce możliwość rozsądnego zastanowienia się nad swoim życiem przez chwilę dłuższą niż trzy minuty.

A jeśli nie, to chcieli chociaż zapewnić jej luksus pójścia do toalety bez towarzystwa.

Państwo Evergreen mieli rację, ale tylko częściowo. Wolny czas rzeczywiście dawał Marcie okazję do rozpatrywania sytuacji, w jakiej się znalazła. Z drugiej jednak strony, nawet w ferworze zmywania czy gotowania zawsze tylko to miała w głowie.

Nie myślała o niczym innym. Myślała intensywnie, do bólu głowy, ale poza nim nie wyłaniały się żadne wnioski.

Wiedziała, że rodzice chcieli jak najlepiej. Oczywiście miło było wyrwać się z domu, zamknąć drzwi i pójść ścieżką w parku bez targania podwójnego wózka, torby z zapasowymi ubraniami, pieluchami, słoiczkami z warzywami z upraw ekologicznych, miękkiego kocyka, pluszowego królika i dziesiątków innych artykułów.

Jednak kiedy już zamknęła za sobą drzwi, nie wiedziała, dokąd ma iść. Zwykle odwiedzała jedynie place zabaw albo supermarkety. Za pierwszym razem, kiedy wyszła z domu, ciążyło jej to, że nic nie niesie; pośpieszyła więc do najbliższego sklepu, by kupić coś do noszenia i wypełnić pustkę. Kupi-

ła spodnie dla Mathew, a dla Maisie gumkę do włosów oraz pluszowego szczeniaczka o dziwnie realistycznym wyglądzie. Dla Elizy kupiła lakier do paznokci, kilka kwiatów do ogrodu ojca, a dla matki najnowszą książkę Jamiego Olivera. W ten sposób przyczyniła się do wzrostu zadłużenia narodowego. Czasami metoda działała, zagłuszyła ból, ale czasami Martha dochodziła jedynie to wniosku, że życie składa się z nieistotnych szczegółów. Zastanawiała się, ile musiałaby wydawać dziennie, by nadać sens swojemu życiu.

— Okropna pogoda, prawda? — zagadnęła uśmiechnięta sprzedawczynie w BabyGap. Znały się z widzenia, gdyż Martha była częstą klientką. — Czyżby złapała pani przeziębienie? Nie wygląda pani najlepiej. Dobrze się pani czuje?

Paskudnie. Czuła się wdeptana w ziemię, upokorzona do ostatka.

Opowiadanie znajomym o odejściu Michaela byłoby przyznaniem się do porażki; to była jednak osoba obca i Martha nagle doceniła pocieszenie, jakie można znaleźć w rozmowie z osobą niezaangażowaną. Może dystans między nimi pozwoli jej dostrzec perspektywę, której nie dostrzegała, tkwiąc w środku wydarzeń.

— Wie pani, mąż mnie zostawił — powiedziała Martha bez wstępów, sama raczej zdziwiona.

— To okropne. Naprawdę pani współczuję. Kiedy się to stało?

Martha opowiedziała więc, co się stało. Rzeczywiście poczuła się lepiej. Sprzedawczynie okazała jej proste, bezwarunkowe współczucie. Na fali chwilowego sukcesu Martha dodała jeszcze, że teraz mieszka sama. Kobieta uściśnęła jej rękę. Miała miękką, suchą dłoń. Sprzedawca w sklepie ogrodniczym zapewnił, że może jej dowozić cięższe zakupy, skoro nie ma mężczyzny, który by je nosił.

Ich uprzejmość w pewnym stopniu złagodziła nieznośne cierpienie. Martha wpadła w ciąg; uznała, że jeśli zwierzy się odpowiedniej liczbie obcych, jeśli zostanie obdarzona odpowiednią liczbą ciepłych uśmiechów, uścisków dłoni, pomocy w niesieniu ciężkich siatek — być może uda się jej załatać nieznośną dziurę w sercu i w życiu. Dlatego nie mogła się powstrzymać. Mówiła im, jaki to był dla niej wstrząs, jak nie mogła zrozumieć tego, co się stało, jak okropnie się czuła i jak czekała, by mąż wrócił do domu, bo co innego mogła zrobić? W ten sposób wprowadziła w zakłopotanie sprzedawczynie, fryzjerki i miłe starsze panie siedzące obok w autobusie, zatroskane rachunkami za gaz. Martha nie uważała ich zakłopotania, zbyt zajęta użalaniem się nad sobą.

— Okropne — powtarzali ludzie. Kręcili głowami, zasmuceni faktem, że historia Marthy była kolejną z wielu podobnych.

— Dlaczego odszedł? — zapytała kobieta z lizakiem, przeprowadzająca dzieci przez ulicę.

Martha czuła się znów opuszczona i bezradna. Nie wiedziała. Na dodatek Michael zostawił ją w kompletnej nieświadomości co do swoich motywów. Głupio odpowiedzieć: „Nie wiem”. Co za brak odpowiedzialności.

Mimo wszystko usiłowała wprowadzić w swoje myśli jakąś logikę. „Jestem miła, ładna, uwielbiam dzieci i dobrze gotuję. Doskonale prowadzę dom. Nie wydaję za dużo na siebie. No, przynajmniej dotąd nie wydawałam”.

„I kocham go”.

„Kochałam?”.

— Ma inną? — zapytała uprzejmie pani z lizakiem.

— Chyba nie.

— Na pewno — zapewniła ją kobieta.

Naprawdę? Martha nie wiedziała, a przecież powinna, prawda? Powinna mieć pojęcie, czy jej mąż ma romans. Inne kobiety wydawały się mieć nosa do takich spraw. Sheila od rzeźnika uznała, że „musi mieć”. Pani z rejestracji u lekarza uważała, że „oni myślą tylko o jednym”. Nawet Eliza dała do zrozumienia, że nie wyklucza takiej możliwości. Ale jak Martha miała w to uwierzyć? Jak można nagle przestać komuś ufać i stracić nadzieję? Jak po dziesięciu latach uwielbienia dla męża mogła zacząć tak źle o nim myśleć?

Nie wiedziała, jak tak można.

Martha najbardziej lubiła, kiedy obcy cierpliwie wysłuchiwali jej opowieści, nie przerywając niczym więcej niż nieartykułowanymi dźwiękami oburzenia czy współczucia. Nie lubiła, kiedy sami przywoływali własne niemiłe doświadczenia zawodów miłosnych. A było takich pełno. Ale czy miała ją pocieszyć świadomość, że niemal każdy przeżył podobny koszmar? Każdy znał kogoś, komu przytrafiło się dokładnie to samo. Czy to pocieszające? Zatem brak odpowiedzialności i zdrada były szeroko rozpowszechnione — faktycznie nowina!

— Moją siostrę mąż zostawił w ciąży z bliźniakami — powiedziała kobieta w pralni chemicznej.

— Moją koleżankę właśnie rzucił mąż po szesnastu latach małżeństwa. Okazuje się, że przez cały ten czas romansował z sekretarką, nawet z nią spał — mam na myśli sekretarkę — w dzień ich ślubu!

— Okropne — mruknęła Martha. Naprawdę było to okropne. Naprawdę.

Jednak brak odpowiedzialności innych ludzi nie zmniejszał winy Michaela. Ból innych nie zmniejszał jej bólu, a wręcz go potęgował. Czowała się tak, jakby spadła na nią gęsta, dusząca chmura utkana z oszustw innych. Rozglądając się wokół, Martha widziała wszędzie ponure twarze, połamane życie, utracone marzenia i złamane serca. Absolutnie nie pocieszało jej to, że według słuchaczy jedynie naprawdę smutny w jej historii był fakt, iż była tak powszechna. Nikogo nie obchodziło, że jej małżeństwo się skończyło. Wszyscy wydawali się uważać, że rozpad małżeństwa to rzecz normalna. Martha miała wrażenie, że to jak z obcięciem włosów — nie zauważa go nikt oprócz osoby zainte-

resowanej. Nie chciała uwierzyć, że łamanie obietnic to nieodłączny element życia, do którego wychowywała swoje dzieci. Już prędzej była gotowa uwierzyć, że to ona jest nieudacznikiem.

Był to jej szósty dzień wolny i poczucie, że wychodząc, zapomniała o czymś ważnym — czyli dzieciach — powoli ustępowało. Po pierwszym wyjściu i poddaniu się intensywnej terapii zakupowej Martha korzystała z okazji, by robić coś, o czym będzie mogła później porozmawiać z Michaeliem — choć wątpiła, by po oblaniu go winem miała duże szanse na rozmowę o niczym. W poprzednią środę poszła na siłownię, a potem poczytała „Financial Times”. Kolejnego dnia była w South Bank Centre na wykładzie korespondenta wojennego, który spędził kilka bardzo ciekawych lat, obserwując wyrzynających się nawzajem ludzi. Dziś poszła do małej galerii niedaleko Caledonian Road. Była to wystawa sztuki bardzo nowoczesnej, opisywana szeroko we wszystkich niedzielnych dodatkach prasowych. Miała tytuł *Wymazywanie z pamięci*. Może mądrzej byłoby pójść gdzie indziej, ale Michael uwielbiał sztukę współczesną.

Martha nie była pewna, czy ona też ją uwielbia.

Niejasno czuła, że w dużej mierze jest to coś w rodzaju nowych szat dla króla, który w rzeczywistości jest nagi. Białe płótno powieszona na białej ścianie? Doceniała jego symbolizm, ale... szarpnąć się na pięćdziesiąt tysięcy funtów za ten obraz, podczas gdy dzieciom w niezliczonych krajach można byłoby uratować życie za siedem funtów — to chyba nie jest w porządku. Jak mogło ją poruszyć coś do tego stopnia udawanego?

Galeria nie cieszyła się wielkim zainteresowaniem. Wielkie galerie w centrum miasta codziennie przyciągały tłumy turystów, ale wystawa tak zawężona nie mogła na to liczyć — może nawet nie zamierzała. Kurator wystawy brał ją o wiele zbyt poważnie, by zniżyć się do walki o zainteresowanie mas. Martha zastanawiała się, czy czegoś jej nie brakuje — oprócz męża, oczywiście. Czy była niedouczona kulturalnie? Trzy czy cztery pozostałe osoby w galerii wydawały się całkowicie pochłonięte obrazami. Może to ona jest drobnomieszczańska. Jakiś mężczyzna stał przed czarnym obrazem (*Odejsie*) przez ponad dwanaście minut. Martha zmierzyła czas. Co go w nim tak zafascynowało?

Dlaczego przechodząc przez galerię, ludzie zwalniali kroku? Co ich urzekało? Czy to tylko oznaka szacunku?

Czy może monotonia w końcu wyczerpywała rezerwy ich energii i zwalniali, gdyż pokonywało ich przygnębienie?

Może tego mężczyznę też rzuciła żona? Jeśli tak, Martha w pełni rozumiała, dlaczego tak zniechęcił przed obrazem pod tytułem *Odejsie*.

Boże, co za dołująca wystawa.

Drzwi galerii otworzyły się z rozmachem i do zatechłego wnętrza wpadł blask jesienno-słoneczny. Ulicą przemykali ludzie i samochody — dochodził z niej niski szum świata obojętnego na kulturę. Martha bardzo chciałaby być tam, na zewnątrz, cieszyć się słońcem, a nie przebijając przez nudny kata-

log w szczegółach opisujący znaczenie niezliczonych form zapomnienia. Nagle Martha pozazdrościła przechodniom ich błogiej nieświadomości.

Co tu właściwie robiła? To Michael lubił sztukę nowoczesną, a nie ona. Miała jeszcze do zobaczenia cztery płótna oraz trzy w kolejnym, mniejszym pomieszczeniu obok.

Mogłaby po prostu wyjść.

Zostawić to.

Dołączyć do grona obojętnych na sztukę, szczęśliwych ludzi na ulicy. Ta myśl uderzyła ją jak herezja; ale jednocześnie wywołała uśmiech. Martha nigdy nie wychodziła z filmu w połowie, mimo że zdarzało jej się pójść na kompletnie denne filmy; wydawało się jej to nieuprzejmością wobec tych, którym film się podobał. Nigdy nie porzucała książki w połowie, zawsze ją kończyła, niezależnie od tego, jak źle była napisana — wydawało się to nieuprzejmością wobec autora. Gdyby teraz wyszła z galerii, mogłaby urazić personel, narazić się na ich dezaprobatę. Ale na dworze było naprawdę pięknie, a Marcie wystawa rzeczywiście się nie podobała.

Nagle stwierdziła, że znalazła się na ulicy. Jasne jesienne słońce ogrzewało jej skórę, lekki wiatr rozwiewał włosy i połę długiego płaszcza, który trzepotał jak bajkowe szaty na filmach wideo, które Mathew tak uwielbiał. Najbardziej lubił *Kopciuszka*. Martha nigdy nie wspomniała o tym Michaelowi, gdyż miała wrażenie, że nie spodoba mu się to.

Znalazła kawiarnię i weszła do niej na kawę latté i muffinkę z jagodami. Teraz mogła jeść, co chciała, a i tak nie przybierała na wadze. Mogła więc z tego skorzystać. W ciągu ostatnich kilku tygodni i tak niewiele jadła. Przygotowywała mnóstwo posiłków, które zamierzała zjeść, ale po pierwszym kęsie żołądek zwijał się jej w węzeł. Jednak wyjście z galerii mocno poprawiło jej apetyt, zjadła więc całe ciastko. Potem polizała palec i przeciągnęła nim po talerzyku, zbierając okruchy. Po posiłku poszła na poszukiwanie budki telefonicznej.

Było koło wpół do piątej, po ulicach przewalały się tłumy. Tyle życia. Tyle zgiełku. Człowiek za człowiekiem, a każdy to osobna historia. Marcie wydawało się dziwne, że życie wokół toczy się dalej, jakby nic się nie stało. Tak wielu ludzi uparcie twierdziło, że nie zdarzyła się żadna kosmiczna katastrofa; upierali się przy tym, czekając na przystankach, jedząc hamburgery w McDonalddie, wychodząc na spacer z psami zanieczyszczającymi chodniki.

W tłumie przemykały niezliczone matki z wózkami, z trudem przepychające je przez zbyt wąskie, zbyt ciężkie drzwi sklepów. Ostatnio Martha nabrała nawyku rzucania spojrzenia na lewą dłoń takich kobiet. Mężatki czy nie? Spośród wszystkich znajomych była jedyną samotną matką. No nie, naprawdę nie była samotną matką — na pewno za jakiś czas sytuacja się zmieni — ale powiedzmy, że czasowo została samotną matką, naprawdę samotną, w każdym razie nie знаła nikogo innego w takiej sytuacji. To jej nie pocieszało. Po pierwsze, nie lubiła się wyróżniać. Lubiła wtapiać się w tłum. Po drugie — znacznie ważniejsze — skoro innym się udało, dlaczego oni sobie nie poradzili? Co było w niej

takiego, że odstręczało Michaela, co sprawiło, że nie mógł z nią żyć? Wstrząsnęła się. Ostatnio rzucała takie spojrzenia na lewe dłonie innych kobiet w wieku dwudziestu kilku lat. Mając tyle lat, marzyła o zaręczynach. Wtedy, jak teraz, każda z nich wydawała się nosić pierścionek. Spojrzała na swoje piękne, klasyczne w stylu pierścionki. Prosta, złota obrączka i kółko z diamentów. Mieniły się jasno, szyderczo i drwiąco. Oszustwo.

Martha przyjrzała się im uważniej. Matki bez wyjątku wyglądały na zabiegane. Zabiegane i zatroskane. Pierścionki nie chroniły więc przed zmęczeniem ani go nie zmniejszały. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się lekko do jednej i drugiej. Na sekundę przestawały zastanawiać się, co kupić na kolację, i odpowiadały pośpiesznym uśmiechem.

Od odejścia Michaela Martha nie przywiązywała żadnej uwagi do tego, co ona i dzieci jadali na kolację. Nagle ogarnęła ją ochota, by ponownie zanurzyć się w życiowe drobiazgi; zawsze wyznawała pogląd, że życie właśnie z nich się składa. Drobiazgi takie jak znalezienie dla Mathew kubka z właściwym Teletubisiem (musiała to być Lala). To Martha przywiązywała wagę do drobiazgów, Michael nie zwracał na nie żadnej uwagi. Zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek zdobędzie się na to, by znów się w coś zaangażować. Miała nadzieję. Odetchnęła głęboko. Powietrze naprawdę pachniało. Było ostre i krystaliczne. Rozprostowała ramiona, które do tej pory podnosiła niemal do uszu.

Przyglądała się, jak młoda mama wybiera z córką dynię. Martha też powinna taką kupić. Mogłaby wyciąć w niej twarz, nic strasznego, może pyszczek kota? Maisie była jeszcze za mała na zabawę z potworami, przestraszyłaby się. Jeśli Martha kupi teraz dynię, wieczorem zapewni sobie zajęcie — będzie ją wycinać. Podała sprzedawczyni pieniądze; ogarnęło ją lekkie poczucie powrotu do świata, przynależności do miejsca. Samotność, która niemal nie opuszczała jej od odejścia Michaela, jakby się lekko odsunęła.

Czy będzie mogła należeć do kogoś lub czegoś innego niż Michael?

Poza kobietami z wózkami na ulicach spotykało się niezliczone grupy dzieci w wieku szkolnym, wlokących się w kierunku domu, odciągających jak najdalej nieuchronny powrót i konieczność zabrania się za pracę domową. Czy wszystkie miały pełne rodziny? Biorąc pod uwagę statystyki, było to niemożliwe, uznała Martha. Przypomniła się jej Dawn, jedna z najstarszych i najbliższych przyjaciółek. Jej rodzice rozeszli się, kiedy Dawn była jeszcze dzieckiem. Może wieczorem zadzwoni do niej i... hm... opowie, co się stało.

Wspomniała swoją grupę poporodową; świetne kobiety; trzy z nich pochodziły z rozbitych rodzin. Martha nabrała pewności, że gdyby zadzwoniła do którejś z nich i przyznała się do swego położenia, na pewno uzyskałaby wsparcie. Była może pierwszą ze swego kręgu rówieśniczego, która się rozwiodła, ale na pewno nie pierwszą taką osobą na świecie. Ludzie po rozwodzie niekoniecznie musieli być gorszymi rodzicami niż ci, którzy zostali ze sobą, a ich dzieci nie musiały w przyszłości mieć

problemów emocjonalnych. Martha знаła mnóstwo emocjonalnie okaleczonych, niezdolnych do życia psychotyków pochodzących z pełnych rodzin. Na przykład Michael.

Nie, żeby Marcie groził rozwód.

Ale powiedzmy, gdyby tak miało być.

Przypomniała sobie, że chciała znaleźć budkę telefoniczną; spytała jakiegoś chłopca, skąd może zadzwonić. Po jego drobnej posturze oceniła go na jakieś dwanaście lat; miał w ustach papierosa, a w uchu kolczyk. Wydawał się zaskoczony, że elegancka babka prosi go o pomoc, ale grzecznie, choć niegramatycznie i jękając się z zakłopotania, pokazał jej drogę. Tylko raz użył niecenzuralnego słowa.

Martha przeszukała torebkę. Zawsze miała w portmonetce pełno drobnych na telefon, metro i napiwki. Najpierw zadzwoniła do matki, by przekonać się, czy z dziećmi wszystko w porządku — oczywiście tak.

Pani Evergreen nie okazywała wielkiej ochoty do pogawędki o dzieciach.

— Doskonale się bawimy — zapewniła córkę. — Nie musisz się śpieszyć z powrotem. Razem z tatą damy im kolację i wykąpiemy je. Jeśli chcesz, możemy zostać do późna. A może zadzwoń do znajomych i umów się na drinka? Kupiłeś sobie coś?

— Jagodową muffinkę.

— To wszystko? Żadnych ubrań, żadnych kaset? — Matka nigdy nie przywykła do kompaktów.

— Mamo, nie rozmawiasz z Elizą.

— Kiedyś byliście całkiem podobne — stwierdziła pani Evergreen. — Kiedy miałyście po kilkanaście lat, obie przepadałyście za tym samym. Fakt, że ty byłaś zawsze spokojniejsza, ale obie kupowałyście płyty i ciuchy.

— Naprawdę? — Martha niemal nie pamiętała czasów, kiedy miała kilkanaście lat. Nie pamiętała zbyt wiele z tego, co działo się przed Michaeliem. Kiedy teraz spróbowała sobie przypomnieć tamte czasy, kojarzyła niejasno, że dobrze się wtedy bawiła. Dobrze jej się żyło.

— Tak. Obie uwielbiałyście głośny pop, ciuchy, kosmetyki i latałyście za chłopcami — przypomniała matka. Usiłowała mówić karcąco, ale nie udało się jej. W rzeczywistości lata, kiedy obserwowała wkraczające w dorosłą kobiecość córki, były dla niej najszcześniejszym okresem w życiu. Dziewczynki były wtedy tak pełne życia i nadziei, zajęte plotkami, rozmowami i przyjemnościami. Ciężiej przyszło jej obserwować je w dorosłym życiu: Marthę rozczarowaną, a Elizę jako niespokojnego ducha. — Nie pamiętasz? — dodała.

— Szczerze mówiąc, nie bardzo — przyznała Martha.

— Co sobotę wychodziłyśmy w trójkę na zakupy. Potrzebowałyście wciąż nowych ciuchów na sobotnie randki.

— No pewnie.

Nagle Martha przypomniała sobie nieskończone godziny ciągnięcia matki po przymierzalniach wszelkich możliwych sklepów. „Jak wyglądam?” — pytały.

„Doskonale” — odpowiadała zawsze z entuzjazmem (i szczerze) pani Evergreen.

„Nieprawda, brzuch mi wystaje!”. „Nogi mam krótkie!”.

„Kompletne dno!” — to był ostateczny wyrok.

— Boże, byliśmy nie do zniesienia — westchnęła Martha na wspomnienie swojego braku wdzięczności.

— Nie, byliście normalnymi nastolatkami. Często dostarczałyście mi radości.

Wtedy dużo się śmiały. Śmiały się z nieudanych randek, nowych stylów tańca, na wspomnienie swoich zdeterminowanych wielbicieli, śmiały na widok bombkowych spódniczek i getrów.

Martha wróciła do bardziej ponurej rzeczywistości.

— Pamiętaj, że Maisie trzeba...

— Natrzeć maścią po kąpieli. Pamiętam.

— A Mathew jest bardzo wybredny. W lodówce jest nóżka kurczaka, ale musisz zdjąć skórę i pokroić mięso na bardzo drobne kawałki, inaczej nie zje.

— Nie, Martho, uśmiełabyś się dzisiaj przy obiedzie. Mathew razem z tatą rzucił się na nogę kurczaka. Pochłonał ją ze skórą, wcale nie krojoną. Sam odrywał mięso od kości. Kurczak zjedzony, na kolację chcę dać dzieciom spaghetti.

— A dla Maisie?

— Dla Maisie też. Nie bój się, pokroję na kawałki. Wiesz, mam wprawę — dodała pogodnie pani Evergreen. Była najwyraźniej w swoim żywiole. Uwielbiała spędzać czas z wnukami, ale przede wszystkim, z czego Martha może nie do końca zdawała sobie sprawę, bardzo chciała pomóc córce, dać jej czas dla siebie.

Martha uparła się, że wróci na kąpiel dzieci, i odwiesiła słuchawkę. Wyjrzała przez brudną szybę budki. Dzieci znikły, nie widziała też już żadnej młodej matki, ale ulicą szły teraz dziesiątki uśmiechniętych par. Nie czuła do nich nienawiści, lecz coś bardzo bliskiego temu uczuciu. Wokół dreptało też sporo zmęczonych emerytów. Nie uszło jej uwagi, że w rękach mieli na ogół duże siatki, ale w nich tylko jeden albo dwa produkty. Puskę jedzenia dla kota, kilka plastrów szynki, małeńki kalafior. W ten sposób następnego dnia też będą musieli wyjść z domu i kupić coś do jedzenia. Będą pewnie mieli coś do roboty.

Boże, z kim ona się zestarzeje?

Zadzwoiła do siostry.

— Eliza? To ja.

— Cześć Ty, co u ciebie?

— Nic wielkiego. Wiesz, mama i tata zajęli się dziś dziećmi.

— Super. Jesteś młoda, samodzielna i wolna, szczęściaro!

Beztroskie słowa wyleciały Elizie z ust, zanim zdążyła je powstrzymać. Szczerze mówiąc, Martha zadzwoniła do niej w samym środku bardzo ważnego spotkania dotyczącego nagrania i promocji pewnej znaczącej kasety. Nie można przecież spodziewać się, że rozpad małżeństwa siostry będzie jej priorytetem dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Oczywiście Martha nie chciała być młoda, samodzielna i wolna, dlatego też wcale nie czuła się szczęściarą. Eliza chętnie cofnęłaby swoje słowa, ale było już za późno. Ostatnio Martha zrobiła się niemożliwie wrażliwa. Eliza tęskniła za siostrą z dawnych czasów — spokojną i rozsądną.

— Przed chwilą dzwoniłam do mamy; dzieci doskonale sobie radzą beze mnie. — Głos Marthy był zduszony i niepewny, jakby usiłowała zdławić słowa, zanim przejdą jej przez gardło.

— To chyba dobrze, prawda? — zapytała Eliza. Sama tak uważała, ale już czuła, że siostra jest innego zdania.

— Chyba nie — mruknęła Martha.

— Dlaczego, mała? — Eliza dała znać szefowi, że musi wyjść z sali. Szef niecierpliwie machnął ręką; chodziło o rozwód, przecież nikt nie umarł. Jednakże Eliza nie skończyła rozmowy.

— Wiem, że mama i tata mają jak najlepsze intencje, naprawdę chcą się zająć dziećmi dwa dni w tygodniu, oczywiście to bardzo miłe z ich strony... — Wątle poczucie szczęścia, które Martha podtrzymywała w sobie po wyjściu z nudnej wystawy, zjedzeniu babeczki oraz kupnie dyni, prysło jak bańka mydlana. Przez kilka minut życie wydawało się znośne, teraz jednak znów powróciła pustka i samotność. Słońce wybrało sobie akurat tę sekundę, żeby skryć się za chmurę. Martha zadrzała. — Nikt mnie nie potrzebuje. Nie mogłam nauczyć Mathew jeść kurczaka ze skórą. Do niczego się nie nadaje! — Jeszcze kilka słów, a gotowa się rozplakać. Fakt, że dzieci dobrze sobie radziły pod jej nieobecność, w rzeczywistości dobrze świadczył o jej umiejętnościach jako matki; zawsze chciała, by nie bały się obcych. Poza tym przecież nie zostawiła ich na dworcu z błagalną karteczką na szyi, tylko z ich własnymi dziadkami. Nigdy jednak nie czuła się tak opuszczona i niepotrzebna.

— Co takiego? — Eliza nie rozumiała, o co chodzi. Do oceny swoich sukcesów i porażek jako osoby wykorzystywała najróżniejsze kryteria: sukcesy w pracy, udany związek lub jego brak, wysłanie rodzicom kartki na rocznicę ślubu albo zapomnienie o niej. Ale nakłonienie Mathew do jedzenia kurczaka ze skórą było całkowicie nowym miernikiem. — Słuchaj, pogadamy, jak wrócę wieczorem do domu. Teraz muszę lecieć, szef mnie szuka.

— Czuła się okropnie, jednak miała sporo do zrobienia.

— No tak, jasne. I tak kończą mi się pieniądze. — Martha desperacko próbowała powstrzymać łzy z gardle, ale Eliza i tak je słyszała.

— Pieniądze? A skąd dzwonicz?

— Z budki na Caledonian Road.

— Z budki? — Co za staroświecki styl. — Nie masz komórki?

— Nie mam. Michael miał.

Siostry zamilkły. Eliza zdusiła cisnące się jej na usta słowa: „No, teraz ci to na nic, prawda?”. Martha wciąż walczyła ze sobą, żeby się nie rozplakać.

— No tak, więc skoro zostałam wolna jak ptak, musisz postarać się o komórkę. Jest niezbędna — podsumowała Eliza z całkowicie udawaną beztrąską.

— Nie chcę być wolna jak ptak. — Martha miała bardzo niewygórowane potrzeby i marzenia. Marzyła o domu, ciepłym, czystym i bezpiecznym. Domu, na jaki ktoś z jej pozycją, z jej klasy i w jej wieku na pewno zasługiwał. Chciała zdrowych, szczęśliwych dzieci, które nie będą najgorszymi chuliganami na podwórku. Chciała męża, który będzie przyzwoicie zarabiał, ale

— to było najważniejsze — w pracy, którą lubi. Marzyła o tym, by rodzice w spokoju przeżywali jesień życia. Chciała pamiętać o urodzinach przyjaciół.

Nie chciała zostać rozwódką.

Nie chciała w wieku pięćdziesięciu pięciu lat samotnie chodzić do sklepów ogrodniczych. Nie chciała być wolna jak ptak.

— Wiem, Martho. — Eliza powiedziała to bardziej stanowczo. — Ale jesteś.

Czy jej się to podoba czy nie.

18

Tego wieczoru Eliza dotarła do domu tuż po dziewiątej, niezbyt późno jak na nią, wzięwszy pod uwagę, że pracowała nad końcową wersją kasety całkiem znanego zespołu. Dość często zespoły pracowały w ten sposób, że o dwudziestą trzecią przyjeżdżały do studia, po czym życzyły sobie zamawiania posiłków, alkoholu i narkotyków. Czasami właściwa praca zaczynała się dopiero gdzieś w okolicach pierwszej w nocy. Końcowa wersja mogła zostać zaakceptowana nawet dopiero wczesnym raniem. Jako pracownika z najkrótszym stażem, Elizę najczęściej proszono o zostanie do samego gorzkiego końca. Czasami miała wrażenie, że podstawowym jej zadaniem pod koniec sesji jest możliwie najdyskretniejsze ładowanie członków zespołu do taksówki. Jednak ten zespół składał się z absolutnych profesjonalistów. Tak jak było uzgodnione, o drugiej po południu przyjechali do studia, w czasie nagrania nie było żadnych niespodzianek ze strony montażystów, zespół nie zgłosił też żadnych poprawek ani zmian w ostatniej chwili. Video wyszło dość psychodeliczne, bardzo chwytliwe; Eliza czuła dumę, że nawet w skromnym zakresie mogła uczestniczyć w jego tworzeniu. O wpół do ósmej wszystko było podpisane, uzgodnione i zakończone, a chociaż zaproszono ją na zasłużonego drinka, wykręciła się. Chciała szybko wpaść na Tottenham Court Road, a potem jak najszybciej dotrzeć do domu.

Od czasu rozmowy z Marthą o skórce kurczaka kilka godzin martwiła się o nią.

Pieprzony Michael.

Kiedy weszła do domu, dzieci spały, a rodzice już poszli.

— Gdzie mama i tata? Odstraszyłaś ich?

Martha miała na tyle przyzwoitości, by zrobić nieco winną i niespokojną minę.

— Może nie dość wyraźnie okazałam wdzięczność...

W rzeczywistości była na nich wściekła. Pan Evergreen naprawił cieknący kran w łazience na dole; zmienił dwie żarówki i powiesił półkę w pokoju Mathew. Najwyraźniej niewysoko cenił umiejętności Michaela w zakresie majsterkowania, na co Martha się obraziła. Poza sukcesem z kurczakiem, pani Evergreen również znalazła czas na zaopatrzenie lodówki, szafek i zamrażarki. Odkurzyła podłogę i zmieniła pościel na łóżku. To prawda, Martha znacznie zaniżyła standardy utrzymania porządku w domu, odkąd Michael odszedł. Dom, kiedyś niemal pokazowy, teraz przypominał chlewik.

Martha nie widziała sensu w sprzątaniu, skoro następnego dnia nie wiadomo jak znów robił się bałagan. Kiedyś bardzo pilnowała, żeby najpóźniej o siódmej wieczorem zabawki dzieci były poukładane, a wiszące w ciągu dnia na kaloryferach ubrania poskładane. Michael nie znosił ich widoku, twierdził, że wygląda to jak w rodzinie robotniczej, poza tym po co mieć suszarkę, skoro wieszka się ubrania na kaloryferze? Teraz zabawki leżały porozrzucane na podłodze dzień w dzień; zaskakujące, ile Martha oszczędzała w ten sposób czasu. Nie traciła go na składanie skarpetek w pary ani krojenie warzyw na plasterki, co często robiła w wolnych chwilach, kiedy Michael mieszkał w domu. Teraz zaszczydzone chwile trwoniła na oglądanie telenoweli albo czytanie kolorowych czasopism. Trochę pociechy czerpała z faktu, że losy bohaterów wydawały się jeszcze bardziej poplątane niż jej własny. Nie pamiętała, kiedy ostatnio umyła wnętrze lodówki. Osiągnięcia matki tego dnia sprawiły, że Martha poczuła się niekompetentna i zdemaskowana. Zawiodła jako pani domu.

— Mogli chociaż poczekać, żeby się ze mną przywitać — powiedziała Eliza z lekką pretensją.

Martha nie przyznała się, że wpoila w rodziców przekonanie, iż Eliza wróci z pracy bardzo późno. Zmieniła temat.

— Ktoś do ciebie dzwonił.

— Kto?

— Jakiś Hubert.

— A tak, poznaliśmy się u twojej koleżanki Chloe na kolacji w zeszły weekend. Byłam zalana, więc dałam mu swój numer — westchnęła Eliza.

— No to zadzwoń do niego — ponagliła Martha.

Eliza zrobiła, jak mówiła Martha. Szczerze mówiąc, traciła zapał do poszukiwania mężczyzny z ubezpieczeniem emerytalnym, ale czuła, że musi to ciągnąć, bo co innego jej pozostawało?

— Cześć, Hubert, mówi Eliza Evergreen.

— Cześć, Eliza, fajnie, że dzwonisz. Co u ciebie?

— Świetnie. — Eliza nie zamierzała silić się na bycie interesującą.

— To fajnie, u mnie też. Wiesz, zdarzyło mi się dzisiaj coś zabawnego...

Gadanie bez sensu. Eliza nie wierzyła, by cokolwiek zabawnego mogło się przytrafić osobie o imieniu Hubert, więc wyłączyła się na chwilę.

Włączyła uwagę na słowa:

— Może byśmy się spotkali?

— Dlaczego nie — zgodziła się.

Nie potrzebował wyraźniejszej zachęty.

— Mogę podjechać rowerem, napijemy się herbaty. Herbata! Boże, miała się zgodzić na randkę z misiem Rupertem!

— Świetny pomysł — przytaknęła z udawanym entuzjazmem. Na szczęście miś Rupert nie wyczuwał niuansów. Żył w świecie, w którym spotkanie się na herbatę naprawdę było świetnym pomysłem. Eliza uzgodniła dzień i godzinę, po czym odłożyła słuchawkę. Wyglądała na zniechęconą. Herbata brzmi tak tanio... Nawet nie usiłował zrobić na niej wrażenia. Miał trzydzieści lat, był wolny, ale był mężczyzną, dlatego nikt tego nie zauważał. To najważniejsza różnica.

— Mama zostawiła zapiekankę. Podać ci? — zapytała Martha.

— Tak! — Eliza natychmiast się rozpromieniła. — Ale najpierw mam dla ciebie niespodziankę.

Wyszła z pokoju; Martha słyszała, jak ze stęknieniem przesuwa coś w korytarzu. Skrzyżowała palce i pomodliła się szybko, żeby nie był to szczeniak.

Siostra weszła z powrotem, dźwigając duże pudło.

— Zrób miejsce.

— Komputer? — zapytała Martha z nieukrywanym wstrętem.

— Nie tylko komputer, ale i klucz do twojego pasa cnoty, piękna dziewico.

— Co?

— Brak komórki to brak SMS-ów. Brak komputera to brak maili. Jak inaczej chciałabyś flirtować w dwudziestym pierwszym wieku?

— Wcale nie chcę flirtować.

— Co za wstrętą, defetystyczną postawą — skomentowała Eliza władczo. Przez moment to Martha poczuła się jak młodsza siostra.

— Trzymaj — rzuciła jej małe pudełko; była to komórka.

Połączenie i zainstalowanie wszystkiego zajęło im cztery i pół godziny. Żadna z nich nie mogłaby z czystym sumieniem wpisać do swojego CV rozumienia instrukcji obsługi urządzeń, ale obie mogły się przyznać do olbrzymiej satysfakcji, kiedy w końcu włączyły urządzenie, a na ekranie ukazały się małe ikonki: „moje dokumenty”, „poczta”, „Internet Explorer” i „kosz”.

Eliza czuła się wniebowzięta. Nigdy jeszcze nie kupiła nikomu tak drogich prezentów jak komórka czy komputer, więc teraz upajała się własną hojnością. Martha nie chciała przyjąć żadnych opłat za mieszkanie, toteż po raz pierwszy od przeprowadzki do Londynu Eliza czuła się prawie jak dziedziczka fortuny.

Martha miała swoje wątpliwości.

— Na co mi się to przyda?

— No przecież potrzebujesz dostępu do Internetu.

— Po co?

— Bo życie w średniowieczu oznacza odcięcie od ludzi. Martha miała zatroskaną i czujną minę.

— To świetna zabawa — zachęciła Eliza.

Martha wciąż nie wyglądała na przekonaną. Obawiała się, że e-mail może okazać się, tak jak automatyczna sekretarka, kolejnym dowodem na to, że nikomu na niej nie zależy.

Eliza jakby wyczuła jej nastawienie.

— No, cóż, w ostateczności możesz robić zakupy — pocieszyła.

LISTOPAD

19

W listopadzie Maisie kończyła rok. Martha postanowiła sobie, że zanim mała zdmuchnie swoją świeczkę na urodzinowym torcie, nakłoni Michaela do powrotu do domu. Miała jeszcze dziesięć dni, żeby spełnić owo zamierzenie. Przecież ta idiotyczna sytuacja nie mogła trwać dłużej.

Na pewno?

Martha nie była już taka pewna.

Od kiedy oblała Michaela winem, nie spotykali się już bez dzieci, które mocno ograniczały swobodę rozmowy. Michael wykorzystywał je jako tarczę, by osłonić się przed trudnymi pytaniami lub dyskusją, Martha więc nie miała pojęcia, co właściwie myśli o ich położeniu. Od ciągłego tłuczenia w wyrosłą między nimi niewidzialną ścianę nabawiła się permanentnego bólu głowy. Gdyby tylko odważyła się przyznać choćby sama przed sobą, że coraz bardziej miała dość tych jego świętoszkowatych pomrukiwań: „Nie przy dzieciach, Martho, później o tym porozmawiamy”. Później? Kiedy będzie to cholerne później? Cała sytuacja nabierała coraz bardziej nieprzyjemnego posmaku „już za późno”.

Odwiedziny Michaela u dzieci były mniej niż zadowalające. Często się spóźniał i szybko wychodził. Zawsze miał w zanadrzu tę samą wymówkę: zmęczenie, wciąż tyle pracy. Jakimś cudem udało mu się nie stracić dobrego mniemania o sobie. Cały czas utrzymywał, że to Martha zachowuje się jak histeryczka i nie można z nią porozmawiać.

To prawda, dlatego przywoływanie tego faktu było wielką nieuprzejmością.

Martha była przemęczona, sfrustrowana i wciąż zdezorientowana, co często przejawiało się atakami hysterii. Miotła się od łez skruchy do wściekłości, jak nastolatka przed okresem, przed egzaminem, z cerą pokrytą trądzikiem. Pomimo tej rozpiętości emocji wciąż nie mogła wywołać w sobie żalu za incydent z winem.

Michael widział w tym dowód jej hysterii.

Eliza uznawała to za dowód postępów Marthy.

Martha nie wiedziała, co o tym myśleć.

— Widzę, że kupiłaś komputer — zauważył Michael tego akurat wieczoru. Stali z Marthą w kuchni; jednak skoro widział komputer, musiał wcześniej wejść do pokoju. Martha nie celebrowała teraz kolacji, rodzina zaczęła jadać w kuchni, gdzie było przytulniej, więc komputer ustawiono w jadalni. Początkowo Eliza chciała ustawić go w pokoju Michaela, ale Martha absolutnie to wykluczyła. Utrzymywała pokój jak świątynię, w stanie nienaruszonym, mimo że ścieranie kurzu z kolekcji ponad stu samochodzików Michaela wymagało sporo cierpliwości. Z drugiej strony, dlaczego Martha poczuła

lekką irytację, stwierdziwszy, że Michael rozglądał się po domu? To sprzeczność. I niedorzeczność. Był to wciąż dom Michaela, ich dom, przecież Martha tego właśnie chciała. Tylko że ostatnio dom wydawał się jakby bardziej jej domem niż ich wspólnym domem.

Oczywiście Michael mógł zaglądać, gdzie chciał, łącznie z jadalnią. Martha nie miała przecież żadnych sekretów.

Oprócz stosu ubrań do prasowania, które akurat w pośpiechu wrzuciła do jadalni. Trochę wstyd, że Michael przyłapał ją na zaległościach w prasowaniu. Kiedy mieszkał z nimi, nigdy nie zapuszczała się aż tak, ale ostatnio prasowanie już nie było dla niej pierwszorzędą sprawą, jak kiedyś. Martha zarumieniła się w duchu; nie chciała, by Michael dostrzegł jakiegokolwiek skazy na jej doskonałym wizerunku.

Nagle jego obecność, nie wiadomo czemu, zaczęła jej przeszkadzać.

— Nie, to nie ja kupiłam. Eliza mi go podarowała. Bardzo ładnie z jej strony, nie uważasz? — Martha uśmiechnęła się, usiłując pozbyć się myśli o stosie pogniecionych ubrań.

— Hm, w końcu nie płaci ci za mieszkanie tutaj.

— Chcesz mój adres e-mailowy? Odkrywam właśnie Internet, jest fascynujący. Znalazłam doskonale strony edukacyjne dla Mathew. — Michael zawsze bardzo przejmował się kształceniem dzieci. Nie zadawała sobie trudu wyjaśniania, że nigdy nie kazałaby własnej siostrze płacić za mieszkanie. — Mam też komórkę. — Pokazała swój zestaw.

Michael wziął telefon do ręki i obejrzał go okiem eksperta od gadżetów i błyskotek.

— Najnowszy model. Czy Eliza wygrała na loterii?

Martha poczuła się urażona. W skrytości ducha liczyła, że swoją nowoczesnością zrobi na Michaelu wrażenie. Na ogół spędzał dużo czasu, surfując po Internecie, więc miała nadzieję, że ucieszy się z jej nowych zainteresowań. Kiedyś często namawiał żonę, żeby znalazła sobie nowe hobby. Choć Bóg wie, jak miałyby znaleźć sobie czas na nowe zainteresowania w czasach, kiedy Michael jeszcze mieszkał w domu. Jednak ani jej nie pogratulował, ani nie poprosił o numer komórkowy, ani nie zauważył jej makijażu. Szkoda, bo przecież często ją zachęcał, żeby zaczęła w siebie inwestować, a teraz, kiedy już się wysiliła... kompletnie tego nie dostrzegął.

Martha odsunęła od siebie tę myśl i skupiła się na tym, co mówił Michael, usiłując wzbudzić w sobie zainteresowanie.

Ostatnio Michael dużo rozprawiał o pieniądzach. Zapytał, ile kosztowały nowe buty Mathew, po czym mruknął, że przecież kilka dni temu kupili mu buty. To prawda; tak bywa, kiedy dzieci rosną. Przejrzał rachunek telefoniczny i zauważył, że Martha mogłaby dzwonić do rodziców po osiemnastej. Kiedy Martha powiedziała mu, co kupiła Maisie na urodziny, skomentował, że pudełko z kartonu byłoby tańsze, a bardziej ucieszyłoby dziecko. Podobne komentarze często wygłasza się w przypadku

dzieci, ale tym razem nie była to prawda. Maisie nie podobały się kartonowe pudełka; podobały się jej plastikowe zabawki z przyciskami i dzwonekami.

— Rozesłałam zaproszenia na urodziny Maisie w przyszłym tygodniu — powiedziała Martha. — Sami je zrobiliśmy: Maisie, Mathew i ja. W sumie głównie ja, ale doskonale się bawiliśmy. — Pokazała mu zaproszenie. Miało kształt balonika wyciętego z różowej tektury; Mathew poobklejał je naklejkami i brokatem, a Maisie obśliniła i zostawiła odciski palców. Spędzili nad nimi cudowne, zgodne popołudnie; Martha była naprawdę dumna ze wspólnego dzieła. Teraz jednak, patrząc na nie wzrokiem Michaela, miała wrażenie, że zalatują amatorszczyzną i są mocno niechlujne.

— Bardzo ładne — mruknął Michael takim samym tonem, jak stwierdzał, że pogoda jest „bardzo ładna”, ciasteczka upieczone przez Marthę były „bardzo ładne”; kolor ścian w korytarzu też był „bardzo ładny”. Martha nie wiedziała, w jaki sposób słowo „ładne” może brzmieć równie krytycznie, wyrażać tak wielkie znudzenie.

Martha dużo myślała o urodzinach córki. Pierwsze urodziny każdego dziecka są ważną datą, ale zwłaszcza te miały dla Marthy fundamentalne znaczenie. Jak to możliwe, że rok wcześniej Michael liczył sekundy między jej skurczami, mówił jej, jaka jest dzielna, że jest z niej dumny, płakał z radości, kiedy położna podała mu Maisie... a teraz mieszkał samotnie w hotelu? Jak to możliwe? Martha nie znalazła odpowiedzi, ale była gotowa na wszystko, by naprawić to, co się stało. By ściągnąć Michaela do domu, skończyć z tą dziecinadą.

Zaplanowała dla Michaela niespodziankę. Trzy lata wcześniej zmarła babcia, zostawiając jej i Elizie skromny spadek. Michael namawiał Marthę, by założyła konto w banku pocztowym i złożyła tam pieniądze; w ten sposób nie roztrwoni ich na ubrania albo zabawki dla dzieci. Chciał, żeby wydała je na coś większego, coś ważnego. Coś, co będzie przypominało jej babcię. To było z jego strony naprawdę miłe i świadczyło o tym, że kiedyś naprawdę bardzo ją kochał.

Czyli znów może ją pokochać, prawda?

Martha postanowiła, że kiedy już kupią swój wymarzony dom, wyda pieniądze na coś niezwykłego: stół do jadalni i komplet krzeseł. Jednakże ostatnio zaczęła się coraz bardziej obawiać, że jeśli nie podejmie radykalnych środków, nigdy nie zamieszkają w wymarzonym domu, ani w Bridleway, ani gdziekolwiek indziej.

Dlatego też rano poszła do banku i podjęła wszystkie pieniądze. Potem w biurze podróży wykupiła tygodniową wycieczkę do Euro Disneylandu dla całej rodziny. Nie żałowała na nic. Kupiła bilety kolejowe w pierwszej klasie, wybrała najlepszy hotel, a nawet wynajęła opiekunkę do dzieci na dwa wieczory, żeby mogli z Michaeliem zjeść sami kolację. Kupiła bilety na dzień po przyjęciu Maisie, w dzień jej urodzin.

Michael na pewno będzie poruszony. Przecież na pewno tego właśnie oboje potrzebowali — wszyscy potrzebowali. Powinni sobie przypomnieć, jak dobrze jest być rodziną. Ostatnie miesiące były

ciężkie, trudne, nie miały nic wspólnego z rodzinną radością. Powinni spędzić razem kilka wspaniałych dni, żeby oderwać się od trudnych wspomnień i wrócić do równowagi. Kiedyś często planowali zabranie dzieci do Disneylandu. Zgadźli się, że lot do Stanów jest o wiele za męczący dla małych dzieci, dlatego też planowali wspólny wypad do Paryża, kiedy Maisie skończy dwa i pół roku, a Mathew cztery lata. Postanowili tak oboje, gdyż w tym wieku dzieci więcej wyniosą z wycieczki; być może Mathew nawet zapamięta ją na dłużej. Oboje bardzo lubili planować.

Teraz jednak Martha zrezygnowała z rozsądku; uznała wycieczkę za jej asa w rękawie w grze o powrót Michaela do domu.

Bilety leżały za kubkiem na półce w kuchni. Rozemocjonowana Martha czuła, że jej spojrzenie co chwilę ucieka w tamtą stronę. Nie mogła się doczekać chwili, w której pokaże mężowi bilety. Cały dzień spędziła na oczekiwaniu i wyobrażaniu sobie radości na jego twarzy.

Michael przyszedł poczytać dzieciom na dobranoc. Martha zamierzała zaproponować mu kieliszek wina, a potem pokazać niespodziankę. Wiedziała, że będzie zachwycony i jej gestem, i możliwością urwania się na urlop. Dziwne, jak z biegiem czasu podzielili między siebie obowiązki domowe: to Michael zawsze zajmował się organizowaniem wakacji. Martha była pewna, że odmiana bardzo go ucieszy. Tym razem ktoś inny przejmie odpowiedzialność. Tak samo ona sama ucieszyłaby się, gdyby ktoś inny ugotował obiad, wyjął naczynia ze zmywarki czy zatankował samochód.

Jednym z największych marzeń Marthy był wieczór, kiedy Michael kąpał dzieci, wycierał je, kremował, nakładał pieluszki, nacierał maścią, walczył, żeby umyły zęby, podgrzewał mleko, nakładał piżamy, czytał na dobranoc i usypiał. Odkąd odszedł, trzy razy zjawił się w domu pod wieczór, kiedy mógł to zrobić, ale w ciągu niemal trzech lat rodzicielstwa Martha nigdy nie widziała, żeby odprawił wieczorny rytuał w całości.

— Napiłbyś się wina? — zaproponowała.

— Tak, dobry pomysł — odparł.

Martha wolałaby, żeby jego twarz bardziej zgrywała się z tonem słów; jednakże Michael wyglądał wyjątkowo nieszczęśliwie, jak para źle dobranych butów.

„Boże, skąd się bierze ta niecierpliwość? — pomyślała. — Jeszcze nie wypiałam ani kieliszka chardonnay”.

Przystąpiła do głównej części planu.

— Chciałam z tobą porozmawiać o urodzinach Maisie — zaczęła. Poczowała przyływ nerwowego podniecenia; naprawdę uwielbiała dawać prezenty. Lubiała je wybierać, ładnie pakować, kochała owijać je wstążkami, których zawsze używała zbyt dużo. Jej prezenty często przypominały kapelusze wielkanocne robione przez małe dzieci. Ubóstwiała sprawiać bliskim niespodzianki, teraz też była absolutnie przekonana, że ta okaże się przełomowa, że dzięki niej rodzina znów się zjednoczy.

— Tak, ja też chcę o tym porozmawiać — odparł Michael, po czym zamilkł, nie okazując chęci do rozmowy na jakikolwiek temat.

Martha odczytała to jako zachętę.

— Zaplanowałam... ee... — wyrzuciła z siebie.

— Chcę się rozwieść — przerwał.

— ...niespodziankę — dokończyła.

Słowo bezużytecznie zawisło w powietrzu.

— Po urodzinach — dodał jeszcze.

Wyjaśnił, że chociaż myśl o niepowodzeniu jego małżeństwa bardzo go przygnębia, lepsze to niż poczucie, że przegrało się życie. Życie ma się tylko jedno, a on przestał się nim cieszyć.

Ślubne zdjęcie okazało się kłamstwem. Dom również. Ich wspólne wakacje były oszustwem. Dzieci i chomik prawdopodobnie nie istniały. Co ten człowiek teraz mówił?

Mówił, że pobyt w hotelu jest drogi, więc musi się rozejrzeć za mieszkaniem; brzmiało to potwornie, jak ostateczna klęska. Mówił, że już przed odejściem czuł się nieszczęśliwy, a kłótnie, które potem urządzała, jeszcze bardziej wytrącały go z równowagi. Nie wyobrażał sobie, by kiedykolwiek mogli się porozumieć.

Słyszała siebie wspominającą o paryskim Disneylandzie. Michael parsknął dziwnie, jak lew morski; był to dźwięk oburzenia i wstrząsu, po czym odparł, że w tej chwili nie mógłby się zdobyć na spędzenie z nią siedmiu godzin, nie mówiąc o siedmiu dniach. Martha usłyszała swój krzyk — musi spędzić z nią te siedem dni, przecież ona jest jego żoną, jego żoną, jego żoną!

Znowu powiedział, że chce się rozwieść. Od dawna, od wielu miesięcy przestała go słuchać. Powtórzyła, że jest jego żoną. Wzruszył ramionami z pełną politowania miną.

W końcu przestała powtarzać te słowa. Wypowiedziała je zbyt wiele razy, brzmiały niedorzecznie. Najwidoczniej idea żony wyszła z użytku.

Miał rację, Martha nie słuchała tego, co mówił. Była tak bardzo przekonana, że przechodzili jedynie okres kryzysu. Wczesny przypadek kryzysu wieku średniego. Drobiazg, który wymknął się spod kontroli. Problem, który na pewno uda im się rozwiązać. Przecież byli małżeństwem. Małżeństwem. Ludzie nie przestają być małżeństwem. To znaczy tak, oczywiście się to zdarza, ale nie ludziom takim jak ona. Nie Marcie. Martha całe życie wierzyła, że małżeństwo ma istnieć do końca życia. Wierzyła całym sercem. Sercem. Dotąd Martha nie zajmowała się za bardzo swoim sercem, starała się jedynie utrzymywać je w jako takiej kondycji, wybierając tłuszcze roślinne i częściej pijąc czerwone wino, a nie białe (ale i tak zdarzało się jej pić białe, bo nie brudziło zębów). Jeśli chodzi o to, czym jeszcze jest serce oprócz pompy regulującej przepływ krwi przez organizm, to przecież nie ma to nic wspólnego z nauką, prawda?

Nie rozumiała ludzi, którzy mówili o złamanym sercu, zwłaszcza że często używali tego określenia na opisanie dość drobnych rozczarowań. „Mam złamane serce, bo nie mieli butów w moim rozmiarze”. „Ktoś podrapał mu samochód, złamali mu serce”. „Manchester United przegrywa z Leeds 1:2, piłkarze złamali serca kibicom”. Przez ciągle nadużywanie to wyrażenie całkowicie straciło wymowę. Zresztą, i tak nie miało nic wspólnego z nauką.

Usłyszała trzask własnego pękającego serca. Poczuła, jak rozpada się w pył. Czy kiedykolwiek będzie w stanie powiedzieć dzieciom, że świat to jednak przyjemne miejsce, że nie należy kłamać, a zawsze należy być uprzejmym? Jak możliwe jest zakończenie „żyli długo i szczęśliwie”? Choć nie było to modne, Martha zawsze wierzyła w dobroć, prawdę i uprzejmość. Myślała, że w jej wypadku sprawdziło się stwierdzenie „żyli długo i szczęśliwie”. Ale jaki sens ma dawanie pieniędzy na cele dobroczynne, pomaganie staruszkom w sklepach, ciągle znajdowanie czasu na wysłuchanie przyjaciół, gotowanie, sprzątanie, troszczenie się o męża, skoro i tak wszystko mogło się tak popsuć? Jej wiara w ludzi, w dobroć, prawdę, życzliwość, w życie bez reszty opierała się na fakcie, że byli z Michaeliem szczęśliwi.

A teraz Michael wypiął się na to wszystko. Oto i całe przedstawienie. Po prostu się wypiął.

Martha skupiła się z całej siły. Poprzez dzwonienie w uszach słyszała słowa: „dzieci... najważniejsza sprawa... sprzedać dom, bez pośpiechu, wiosna to dobry czas na rynku... adwokaci... chyba nie będzie potrzeby... na pewno zostaniemy przyjaciółmi... naprawdę niemożliwe tak żyć... jedno życie, żadnej zabawy...”.

— Masz kogoś?

— Chryste, Martho, znów zaczynasz?

— Wszyscy uważają, że tak jest.

— Spotykasz się z bardzo ograniczonymi ludźmi.

Zignorowała tę impertynencję i skupiła się na tym, o co jej chodziło — na odpowiedzi.

— Masz kogoś?

— Nie będę się zniżał do odpowiedzi.

— A więc masz.

— Dorośnij wreszcie.

— Po prostu mi powiedz! Masz romans? A może nie romans, jeszcze nie, ale... ale myślisz, że się w kimś zakochałeś? Albo ci się podoba... albo... — Marthę zdławił ból i łzy. — Po prostu mi powiedz. Chcę zrozumieć, dlaczego wszystko zniszczyłeś. To co, masz kogoś? — Pragnęła, żeby zaprzeczył. Uwierzyłaby mu mimo dowodów wskazujących coś przeciwnego. Nie przyznała się nikomu, nawet Elizie, ale ostatnio znalazła rachunek za siłownię Michaela. Zabrał gościa. Kto to był? I dlaczego Michael ostatnio tak często zostawał długo po godzinach? Naprawdę pracował? W któryś weekend wyjechał — czy naprawdę do Paryża jeździ się samemu?

Martha chciała wierzyć, że to wszystko można wyjaśnić w prosty sposób. Wciąż ufała mu najbardziej ze wszystkich. Ale jeśli rzeczywiście miał romans, chciała o tym wiedzieć. Po prostu chciała, by zdobył się na uczciwość względem niej. Przynajmniej tyle był jej winien. Na pewno zdawał sobie sprawę, że powinna czuć choć odrobinę szacunku do ojca swoich dzieci. Nawet jeśli to niechętny szacunek, gdyby powiedział jej niemiłą prawdę.

— Porozmawiaj ze mną — powiedziała przez łzy.

— Nie mogę z tobą rozmawiać, Martho. Nie rozumiesz? Tłamsisz mnie. Wiem, że cię rozczarowałem, dałaś mi to jasno do zrozumienia, ale przykro mi, już cię nie Kocham. I mimo że trudno ci się z tym pogodzić, musisz to przyjąć. Nie spędzę reszty życia z kimś, kogo nie Kocham. Nie zrobię tego, żeby oszczędzić ci bólu albo dla dobra dzieci, albo dlatego, że chcą tego rodzice czy przyjaciele. To moje życie. Nie chcę cię w nim.

— W takim razie odpuść sobie. Wynocha stąd, ty popieprzony, niewierny kutasie.

Marcie naprawdę coraz bardziej podobały się wulgaryzmy.

20

Eliza zaliczyła tę randkę do udanych. Właśnie zastanawiała się, czy zamówić pudding i kawę czy tylko kawę. Nie chciała patrzeć na swój wypchany brzuch, jak już będzie leżeć na plecach, a chciała znaleźć się w pozycji leżącej na plecach (choć również nie miałyby nic przeciwko znalezieniu się na wierzchu). Zastanawiała się, czy zabrać go do siebie, czy pojechać do niego. Oczywiście według zasad randkowania bezpieczniej jest pojechać do siebie, ale jej dom był właściwie domem Marthy, więc Eliza postanowiła pojechać do Charliego. Niemożliwe, by okazał się psychopatycznym mordercą, był przecież znajomym jej siostry; poza tym tego wieczoru Martha usiłowała uwodzić Michaela biletami do Euro Disneylandu. Jeśli jej się uda, zapewne wkrótce ogarnie ich szal namiętności; jeśli nie, Martha spędzi wieczór, łkając w chusteczkę.

Znów.

Eliza nie wierzyła w powodzenie tego planu. Uważała, że Martha źle odczytuje motywy Michaela. Według Elizy Michael uciekł, ponieważ miał dość odpowiedzialności związanej z ojcostwem. Zawsze wymigiwał się od obowiązków, jak tylko mógł — Eliza nie wierzyła własnym uszom, kiedy Martha przyznała się, że jej mąż ani razu nie wstał w nocy do żadnego z dzieci. Jednakże jego miganie się od obowiązków wywołało wściekłość Marthy, a tego akurat nie przewidział; najwyraźniej Martha wciąż przypominała mu o jego niedociągnięciach, co dla niego musiało być równie wygodne jak podmywanie się w wybielaczu do firan. Zostało mu jedyne wyjście: wycofać się z zabawy. Na samą myśl Elizie zbierało się na wymioty.

Czuła lekkie ukłucie winy, wiedząc, że Martha zapewne wyplakuje sobie teraz oczy; z drugiej strony, naprawdę miała ochotę na faceta. Od rozstania z Gregiem minęły miesiące, a ten facet był w miarę najsensowniejszy z tych, których spotkała od tego czasu.

Dzięki spółce internetowej Charlie został milionerem. Starczyło mu rozsądku, by sprzedać swoje akcje wcześniej, zanim ludzi ogarnęła chciwość. Zyskał na nich tyle, że w wieku dwudziestu ośmiu lat mógłby już odejść na emeryturę. Jednak nie zrobił tego, lecz założył własną firmę. Zajmował się licencjami na DVD albo czymś podobnym. Eliza nie bardzo wsłuchiwała się w jego wyjaśnienia, chociaż duże wrażenie zrobił na niej fakt, że facet nadal pracował, choć nie musiał. Wiedziała, że gdyby Greg zarobił dość, by skończyć z pracą, na pewno skorzystałby z tego. I oczywiście po krótkim czasie znów by nic nie miał. Choć z drugiej strony Gregowi nie groziło zarobienie aż tak dużych pieniędzy.

Elizę samą zaskakiwało, jak często myślała o Gregu.

Oczywiście nigdy pozytywnie. No, z wyjątkiem randki z Tarquinem, kiedy uznała, że woli imię Greg. Jeszcze podczas randki z Sebastianem, kiedy stwierdziła, że woli heteroseksualizm Grega. I kiedy porównywała bardziej pokornego Grega z zarozumiałym Henrym. A, jeszcze podczas randki z Willem, gdy uznała, że woli poczucie humoru Grega. I kiedy spotkała się z Gilem, który był całkiem w porządku, ale w momencie akcji z językiem, uznała, że woli pocałunki Grega.

Jednak Charlie miał nie najgorsze imię, był heteroseksualny, wydawał się miły, zabawny, pamiętał, jak miała na imię, nieźle wyglądał. Musiałaby jedynie zająć się jego garderobą; wełniany sweter był nie do przyjęcia, Greg nigdy by czegoś takiego nie włożył. Ale Charlie zapłacił za kolację, poza tym Eliza była naprawdę spragniona.

*

Nie udało się nie z braku starań. Nie z braku wysiłku czy woli — ale coś jednak nie wyszło. Charlie zabrał Elizę do siebie; oboje z radością wskoczyli w taksówkę, doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co naprawdę oznaczała jej zgoda na wypicie kawy, więc nie było pełnych zakłopotania chwil milczenia. Charlie wręcz od początku się do niej przykleił, choć Eliza wolałaby właściwie poczekać, aż znajdą się na miejscu. Owszem, zależało jej na tym, by sprawy ruszyły z miejsca, ale niekoniecznie już w taksówce. Obściskiwanie się w taksówce zawsze kojarzyło się jej z czymś wstrętnym; para obściskująca się w samochodzie zwykle albo miała romans, albo niewiele lat.

Mieszkanie miał dobre. Czyste i wygodne. Sprząty były na pewno drogie, ale ogólnie nie robiły wrażenia kupionych na pokaz. W łazience nie czaiły się potworne niespodzianki, żadnych zagubionych włosów łonowych na pościeli. Charlie musiał mieć sprzątaczkę; Eliza zauważyła czyste parapety, a żaden mężczyzna nie zawraca sobie głowy ścieraniem kurzu z parapetów. Przynajmniej taką miała nadzieję; ona sama w każdym razie nigdy nie ścierała kurzu z parapetów, więc chociaż jej standardy utrzymania domu nie były wysokie, chciała wierzyć, że i tak przewyższały przeciętne męskie wymagania w tej dziedzinie.

Nalał jej kieliszek wina. Miał imponującą kolekcję win, ale nie rozgadywał się o niej bez końca ani nie podkreślał ignorancji Elizy, prosząc ją o wybór. Sam zaproponował rodzaj wina, powiedział, że jest mocne i aromatyczne, treściwe, że na pewno będzie jej smakować, po czym otworzył butelkę.

Kiedy uznała, że jest dość wstawiona, by posunąć się dalej, ale nie dość pijana, by następnego dnia nie pamiętać, co się stało, zaproponowała przejście do sypialni.

Technicznie wszystko było chyba w porządku. Bywało gorzej. Jednak problem polegał na tym, że zdarzały się jej o wiele, wiele lepsze razy. To zresztą nie była jego wina. Wiedział przecież, że wypada zacząć od chwili gry wstępnej, i zapewnił jej to. Nie był ani zbyt nieśmiały, ani pruderyjny, ani perwersyjny, ani leniwy. Ale nie znał jej ciała, nie umiał się z nim obchodzić.

Nie chciała się z nim tylko drażnić; skoro już leżała na jego łóżku jedynie w stringach (on był całkowicie nagi, mężczyźni uwielbiali rozbierać się do rosołu), czuła, że nie może się teraz wycofać. Podskakiwała więc, ocierając miednicę o jego palce, w nadziei, że kiedy on się podniesie, sytuacja się poprawi. Jednak nie. Im głębiej sięgał, tym bardziej czuła się rozczarowana. Wydawało się, że nie umie znaleźć miejsca, które zareaguje. Eliza usiłowała przesunąć jego dłoń w odpowiednim kierunku, podążył za nią, ale bez rezultatu, choć jego palce weszły w nią tak głęboko, że za chwilę mógłby polaskotać ją w migdałki. Dziwne. Kiedy Greg pieścił ją palcami, wyła z rozkoszy. Kiedyś sąsiedzi zapukali w ścianę i poprosili, by zachowywali się ciszej. O co chodziło? Czy Charlie miał za małe palce? Eliza nigdy nie uważała się za przesadnie obszerną wewnątrz, często ćwiczyła miednicę i nie miała dotąd dzieci.

Być może gdyby doszli do końca, byłoby lepiej; Charlie miał penisa odpowiedniego rozmiaru, normalnego. Eliza z doświadczenia wiedziała, że zwykle wyglądały one podobnie, jedynie podniecająco wielkie lub szczególnie małe wywoływały komentarze. Charlie wszedł w nią i zaczął stękać. Chyba w końcu poczuł się dobrze. Czy to nie dziwne, Eliza od długiego czasu tęskniła za seksem. A teraz, leżąc na plecach na egipskich prześcieradłach, z całkiem przyjemnym facetem, miała jedynie ochotę odwrócić się i zasnąć. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić. Byłoby to niewybaczalnie nieuprzejme, a przecież biedak starał się, jak mógł. Eliza spróbowała się wykręcić tak, by znaleźć się na nim, bo zwykle w tej pozycji szybciej osiągała orgazm, a miała wrażenie, że on nie dojdzie, jeśli jej się nie uda. Tak w dwudziestym pierwszym wieku rozpoznaje się dżentelmena. Na ogół doceniała tę uprzejmość, ale tego wieczoru raczej ją to drażniło.

Złapał ją za piersi i zaczął je ugniatać. Siła, z jaką to czynił, była akurat odpowiednia, nie za łagodna, ale i nie przesadnie brutalna, ale Eliza i tak nie czuła się zadowolona. Mimo to zaczęła rzucać głową i jęczeć. Od dawna nie musiała udawać orgazmu, jednak w swoim czasie mogłaby dostać za to Oscara. Na szczęście nowy partner nie znał jej jeszcze na tyle, by rozpoznać różnicę między przedstawieniem a rzeczywistością — to była dobra strona sytuacji. Złą było to, że uzna się za zdolnego ją za-

dowolić, więc przy następnej okazji powtórzy te same, niezbyt podniecające manewry. Ale dla Elizy to się już nie liczyło; jeśli o nią chodziło, następnego razu z Charliem nie będzie.

21

Eliza popchnęła drzwi wejściowe; dom był niezwykle cichy. Może Martha zabrała dzieci do parku. Podniosła pocztę z podłogi. Dwa rachunki, ulotka z reklamą drogich, francuskich ubranek dziecięcych oraz kolejna pocztówka od Grega. Dziwne, ale tydzień po tym, jak Eliza przeniosła się do Marthy, jego grupę poproszono o wsparcie boysbandu, dość znanej grupy i wschodzącej gwiazdy muzyki, wyruszającego na tournée po Wielkiej Brytanii i Niemczech. Greg uznawał ich muzykę za szajs, nie był to może nadzwyczajny przełom, raczej lekka zmiana — większość koncertów miała się odbywać w klubach, nie na stadionach, ale jednak było to sześć tygodni systematycznej pracy. Po raz pierwszy w dorosłym życiu Greg miał otrzymywać regularne wynagrodzenie. Eliza cieszyła się z tego.

Jego pocztówki były dziwnie niepokojące.

Nie dlatego, że mówiły o wiecznej miłości i błagały ją, by wróciła.

Właśnie dlatego, że tego nie robiły.

Eliza w swoim czasie miała wprawę w rzucaniu facetów. I to całkiem niezłą. Wiedziała, jak to na ogół wygląda. Najpierw się mówiło, że to nie ich wina (co częściowo było prawdą i wiedziała o tym). Błagali, żeby wyjaśniła, co złego zrobili (nigdy nie potrafiła), czasami płakali, czasami wysyłali kwiaty, czasami wiersze, a raz pudełko od Tiffany'ego. Zawsze chcieli, żeby wróciła. Greg nie zrobił nic podobnego. Oprócz nocnego telefonu do niej, zresztą po pijanemu, kilka dni po rozstaniu, nie usiłował otwarcie namawiać jej do powrotu. Jego utrzymane w lekkim tonie pocztówki z humorem opisywały przygody zespołu. Równie dobrze mógł je wysyłać do któregoś ze swych licznych znajomych. Nigdy nie zawierały najmniejszej aluzji do ich przeszłego związku. Najwyraźniej już o niej zapomniał. Cztery lata nic dla niego nie znaczyły. Taki był płytki.

— Ciocia Liza, ciocia Liza! — wrzasnął Mathew z kuchni albo z podwórka za domem.

Eliza wsunęła pocztówkę do najgłębszej kieszonki w torebce i w umyśle, po czym poszła za głosem siostrzeńca.

— Mamo, tato, co za miła niespodzianka — rzekła, całując rodziców. — Nie wiedziałam, że mieliście dzisiaj zająć się dziećmi.

— Mama jest pijana — powiedział Mathew. — Pijana jak ściana, pijana jak ściana. Pijana! — wrzasnął radośnie. — Pijana jak ściana!

— Ćśś, Mathew, idź z dziadkiem do ogrodu i poszukajcie robaków — pogoniła go pani Evergreen. Mathew zastanowił się, co wybrać; uznał, że znęcanie się nad robakami to lepsza zabawa niż odsłanianie przed sąsiedztwem słabości matki, więc chętnie wziął dziadka za rękę.

— Co się dzieje? — zapytała Eliza. — Dlaczego wszyscy jesteście na dworze?

— Dzieje się to, że Martha dochodzi do siebie. Zabraliśmy dzieci z domu, aby nie hałasowały.

— Dochodzi do siebie po picciu?

— Po picciu i po nieudanym małżeństwie — westchnęła matka. — Nie rozpoznajesz, Elizo? To twój sławny pierwszy etap. Przy następnym będzie pochłaniała marsy i obrzucała go wyzwiskami, na które zresztą zasłużył.

Eliza spojrzała w górę, w okno pokoju Marthy; zasłonki były zaciągnięte.

— A więc w końcu przekonała się, że to poważna sprawa.

— Wczoraj wieczorem poprosił o rozwód — oznajmiła pani Evergreen.

— Rozwód? Tak szybko? Nie za wcześnie? — zdziwiła się Eliza. — Podobno byli tak szczęśliwi, pokłócili się na dobre dopiero siedem tygodni temu. Nie powinni najpierw pójść do jakiejś poradni, spróbować się pogodzić?

— Może według Marthy byli bardzo szczęśliwi, ale jak widać, Michael miał zupełnie inne zdanie. Nie wiemy, od jakiego czasu zastanawiał się nad odejściem. Martha musi się chyba dowiedzieć wielu rzeczy o swoim małżeństwie. Co to za hałas?

— Chyba drzwi — odparła Eliza. — Pójdę zobaczyć.

Martha szybko zatrzasnęła za sobą furtkę i poszła ulicą. Słyszała wołanie Elizy, lecz nie zwróciła na nie uwagi. Nie miała ochoty rozmawiać ani z siostrą, ani kimkolwiek innym. Ani z rodzicami, ani z dziećmi, ani nawet z Michaelem. Chciała pomyśleć. I zjeść jajecnicę. Nie miała kaca, ale nie mogła się oszukiwać: bynajmniej nie dlatego, że nie upiła się poprzedniego dnia. Upiła się bardzo. Bardzo. Właściwie wciąż jeszcze była pijana — i tylko dlatego nie miała kaca.

Czuła się dziwnie odcięta od świata, jak w surrealistycznym śnie. Nie wiedziała, czy to dlatego, że poprzedniego wieczoru wypiła dwie i pół butelki wina, czy też dlatego, że jej mąż zażądał rozwodu. Rozwód — o co chodzi? Czuła się tak, jakby sama poruszała się w zwolnionym tempie, podczas gdy wszystko wokół niej — ludzie, pies sikający pod latarnią, przemykające samochody — mknęło z podwójną prędkością. Michael przynajmniej działał szybciej, niż mogła zrozumieć. Ona z kolei była nietypowo powolna, wręcz opóźniona, w swoim odgadywaniu motywów jego postępowania.

Dwie i pół butelki wina. Ostatnio wypiła aż tyle alkoholu w okresie, kiedy poznała Michaela. W piątkowe wieczory często wpadali do nich znajomi z sześciopakami puszek albo butelkami wina; były to butelki z odkręcanymi korkami, siara, ale jak się przy tym bawili! Jak się bawili... Do gotowania w stylu gwiazd z przewodników Michelin zbliżyli się na tyle, że czasami wrzucali do miski paczkę chip-sów Phileas Fogg. Grali w nedorzeczne pijackie gry, wszyscy kończyli zalani. W tamtych czasach byli zbyt młodzi, by przejmować się kacem, zbyt nieodpowiedzialni, mieli zbyt wiele szczęścia. Czy Michaelowi brakowało właśnie zabawy? Kiedy zaczęli kupować oryginalny makaron włoski i ograniczać kalorie? Kiedy stali się aseptyczni? Nudni? Bo przecież w końcu musieli zrobić się nudni, prawda?

Czy ogień w Michaelu zanikł przytłumiony zbyt wielką liczbą planów rozsądzenia gości przy stole i ilością oliwy z oliwek?

Martha nie miała zamiaru wypić aż tyle. Kiedy Michael trzasnął drzwiami wyjściowymi, a ona skopała je wielokrotnie, żałując, że nie kopie samego Michaela, i obijając sobie stopę — wiedziała dokładnie, czego nie powinna robić. Nie powinna włączać łzawych piosenek o miłości. To na pewno był zły pomysł. Jak słuchanie piosenek, które grano na ich weselu, mogłoby pomóc jej poczuć się lepiej?

Na pewno by nie pomogło.

Mimo wszystko włączyła je.

Płakała. Szlochała, wyła i zanosila się łzami. Płakała tak mocno, że jej koszulka zamokła do samego pępka. Kiedy dotarła do *All Women* części pierwszej i drugiej — miała za sobą całą butelkę białego wina. Przez ostatnie cztery lata albo usiłowała zajść w ciążę, albo była w ciąży, albo karmiła piersią, więc jej odporność na alkohol znacznie zmalała. Przełykała wino wielkimi porcjami. Wiedziała, że powinna przestać pić, ale wiedziała też, że tego nie zrobi. Była spragniona, potrzebowała alkoholu. Poza tym wino naprawdę dobrze smakowało. Cierpki, wytrawny smak szedł do głowy, a potem do żołądka. Kręcąc głową w rytm muzyki, czuła ból; zdawała sobie sprawę, że właśnie pracuje na kaca giganta. Nie obchodziło jej to, wręcz na niego czekała. Na ten ból przynajmniej pomaga tabletki.

Najgorszym pomysłem byłoby przeglądanie starych zdjęć. To by ją rozstroiło do reszty. Po opróżnieniu do połowy drugiej butelki, sięgnęła po pierwszy gruby album ze zdjęciami. Wypełniały go zdjęcia z ich pierwszych wspólnych urlopów, przyjęcia zaręczynowego, Marthy w ciąży z Mathew, pierwszej kąpieli Mathew. Na wielu zdjęciach Martha i Michael byli razem. Żadne z nich nie było zbyt dobrym fotografem, więc postanowili kupić automat. Michael często otaczał Marthę lewym ramieniem, wyciągał przed siebie prawą rękę z aparatem, celował i pstrykał. Na wielu zdjęciach przeważały ściany, sufity i szafy, podczas gdy oni oboje mieścili się w kącie, czasem bez głów, a czasem dziwnie zniekształceni, gdyż zdjęcie zrobiono pod niezwykle kątem.

Ale zawsze szeroko się uśmiechali. Śmiali się jak szaleni, jak ktoś, kto wierzy w szczęśliwe zakończenia. Boże, nie wystarczy, że straciła tę świnię (na pewno straciła i na pewno był on świnią), to jeszcze teraz przypominała sobie, że kiedyś był wyjątkowym, porządnym mężczyzną, wartym jej miłości. Miała ochotę się gryźć. Po kolejnym kieliszku wina uderzyła ją myśl, że nie rozpoznaje tego wesołego, młodego, miłego mężczyzny na zdjęciach. Znikł. Mężczyzna, w którym się zakochała, uciekł z miejsca przestępstwa; zostały jej tylko jego żalosne przeprosiny.

Kończyła właśnie drugą butelkę, kiedy dotarła do samej końcówki zdjęć. Robili je w sierpniu w Center Parcs. Marta nie znalazła jeszcze czasu, a raczej chęci, by poukładać fotki w albumie. Obejrzała je dokładnie. Tu było jedno piękne zdjęcie Michaela obejmującego Maisie, naprawdę słodkie. Inne dobre zdjęcie Mathew skaczącego w nadmuchiwanym zamku, i kolejne — zachwycone miny Maisie po raz pierwszy w życiu próbującej lody. Chociaż był to dzień urodzin Marthy, pokłócili się wtedy

właśnie o te lody. Michel oczywiście miał rację, Maisie jest pulchnym dzieckiem i nie powinno się jej uczyć jedzenia słodczy. Ale to była naprawdę odrobina; trudno przypuszczać, że bez ich wiedzy pobiegnie do sklepu i przepuści całe kieszonkowe na lody; zresztą, nie umiała jeszcze chodzić. Poza tym Martha również była kiedyś pulchnym dzieckiem, a zostały z niej skóra i kości. Dzieci powinny być okrągłe.

Martha przerzuciła pozostałe zdjęcia w poszukiwaniu takiego, na którym będzie razem z Michałem. Nie znalazła ani jednego. Na zdjęciu dzieci na kocu piknikowym widać było kawałek jej spódnicy, poza tym były jeszcze trzy zdjęcia Michaela zrobione przez Marthę. Pozowane; Martha podała mu Maisie i poprosiła, by usiadł obok Mathew, gdyż chciała wysłać jego rodzicom jakieś ładne zdjęcie swojej rodziny. Nie były to udane fotografie. Być może Michael mrużył oczy, bo raziło go słońce, ale minę miał nadaśaną, jakby niechętną.

Otwierając trzecią butelkę, Martha już ledwie patrzyła na oczy. Jej koszulka została przemoczona po raz drugi tego wieczoru — tym razem winem, które rozlała, podnosząc je do ust. Alkohol zmięczył jej mózg, ale nie mógł znieczulić serca, które nadal bolało, dosłownie wyło w piersi. Chciała zrozumieć Michaela, co w tej chwili było niemożliwe, gdyż po prostu go nie знаła. Już nie. Nie chciał jej. To, że jej nie chciał, było najgorsze. Nie, nie to. Najgorsze było to, że nie chciał dzieci. Nie, najgorsze było to, że wymazał całą jej przeszłość. Ludzie na zdjęciach byli obcy. Wymazał również jej przyszłość. Duża rodzina, dom rodzinny, dobre zakończenie „żyli długo i szczęśliwie” znikły. Co za potworne marnotrawstwo.

To do niego zwracała się, żeby pogadać, dyskutować, zwierzać się, opowiadać — przez ostatnie dziesięć lat, przez większość dorosłego życia. Był jej najbliższy; tak przecież twierdziły niezliczone oficjalne dokumenty. Był przy narodzinach jej dwojga dzieci. Jego dwojga dzieci. Widział wewnątrz jej brzucha i to, co miała między nogami. Widział, jak ją zaszywali i wyrzucali łożyska w szpitalu. Był jej najbliższym przyjacielem, sojusznikiem i kochankiem.

A teraz miał nic dla niej nie znaczyć.

Już zaczynała określać go jako ojca swoich dzieci.

O wpół do drugiej w nocy w końcu zasnęła. Nie rozebrała się, zostawiła zapalone światło, puste butelki potoczyły się po podłodze kuchni i zatrzymały niedaleko szafek, przy drzwiach do ogródka; zabawki leżały porzucane, podobnie jak strzępy zdjęć. Martha obudziła się o wpół do siódmej, jak zazwyczaj. Zmieniła Maisie pieluszkę, dała jej mleko i śniadanie. Potem obudziła Mathew, ubrała go, po czym spróbowała wmusić w niego odrobinę tosta bez glutenu. O wpół do ósmej zadzwoniła do rodziców i wysłała sygnał SOS.

Kiedy obudziła się po raz kolejny, słyszała dochodzące z ogrodu głosy rodziny. Wyjrzała przez okno; jej ojciec i Mathew pochylali się nad grządką z warzywami, z zapalem szukając robaków. Lekka łysinka na głowie ojca i drobna figurka Mathew sprawiły, że ścisnęło się jej gardło. Obaj wydawali się

tacy delikatni. Zobaczyła też Elizę i matkę skupione na Maisie; zachęcały dziewczynkę, by szła od jednej do drugiej, uczyły ją samodzielności. Rozmawiały przyciszonymi głosami; Martha mogła się domyślić, o kim mówią. Poczowała wstyd, że przyczynia im tylu kłopotów.

Spojrzała w lustro — twarz miała zapuchniętą od alkoholu, niewyspania i płaczu. Po przepłakanej nocy z oczu zostały jedynie wąskie szparki. Była zbyt zmęczona, by żałować swojego pijackiego wieczoru. Zbyt zmęczona, by zdobyć się na dobry humor dla rodziny. Nie zadając sobie trudu, by się przebrać, włożyć skarpetki, uczesać albo umyć zęby, Martha wyruszyła do pobliskiej jadłodajni. Często mijala ją w drodze na huśtawki, ale nigdy nie weszła do środka.

Naprawdę musiała zjeść jajecznicę.

Herbata smakowała płynem do naczyń. Martha usiłowała się pocieszyć myślą, że przynajmniej świadczyło to o tym, że filiżanka została umyta. Zastanawiała się, jak łatwo było wejść do baru, pełnego zwalistych robotników budowlanych, bez żadnych innych kobiet i zamówić mocną herbatę oraz jedno („Nie, chwileczkę, niech będą dwa”) smażone jajka. Robotnicy czytali brukowce. Ich wielkie tyłki przelewały się przez małe siedzenia drewnianych krzesełek, a brzuchy spływały na stoliki. Chyba się tym nie przejmowali; Martha pozazdrościła im beztroski.

Był jasny listopadowy poranek. Martha nie zmarzła, jak chyba powinna, może dzięki temu, że wciąż grzał ją alkohol. Wybrała stolik przy oknie.

Promienie jesiennego słońca zalewały pokrytą przymrozkiem ulicę; ich migotanie sprawiało, że asfalt wyglądał jak przysypany nawet nie złotym, ale diamentowym pyłem. Odbijały się od okien, bawiąc się chromowanymi solniczkami, nożem i widelcem Marthy, a także masłem na jajecznicy; wszystko wydawało się drogocenne. Gdyby nie była tak przejęta, mogłaby uznać tę tanią jadłodajnię za niemal niebiański zakątek.

Siedziała i rozmyślała. Myślenie było nieprzyjemne, bolesne, ale konieczne.

Czy naprawdę chciał to zrobić?

Tak.

Naprawdę.

Czy dałaby radę nakłonić go do zmiany zdania? Przebiegła myślą kilka poprzednich miesięcy. Błagała, namawiała, szlochała, prosiła, groziła, wysyłała miłosne liściki, przemawiała do rozsądku, wrzeszczała, urządzała awantury i obrażała się — Michael był jak skała.

Nie potrafiła nakłonić go do zmiany zdania.

Już jej nie kochał. Ujmując rzecz dokładnie, miał ją za czepialską nudziarę. Uważał, że się nim nie interesuje, że już jej nie obchodzi.

Poprzedniego wieczoru powiedzieli sobie to wszystko i jeszcze wiele więcej. Pomimo jej najszerszych wysiłków, by zapomnieć o scenie pożegnania, pamiętała, że na końcu obrzucili się wyzwiskami, zjechali nawzajem swoje charaktery i nie zostawili na sobie suchej nitki. Michael powiedział,

że z ich związku uszła cała radość, że teraz nic już nie czuje. Odkrzyknęła, że jest płytki, nie ma siły, by walczyć o związek. Na to Michael uznał, iż rzucanie bezpodstawnych oskarżeń jest dla niej typowe. Po czym dodał: „Nigdy mi nie wybaczysz, Martho. Nie będziesz w stanie wybaczyć”. To zdezorientowało ją do reszty. Czyżby jednak chciał, żeby mu wybaczyła? Czy chciał wrócić do domu?

Odparła natychmiast: „Mylisz się, wszystko można naprawić. Kocham cię, jesteśmy rodziną. Powinniśmy być razem. Powinniśmy jeździć do Kew Gardens na majówki. Wróć do domu.

Wróć do domu. Skończ z tym idiotyzmem, Michael, i po prostu wróć do domu, proszę”.

Ale on odparł jedynie: „Nie znoszę majówek”.

Martha nienawidziła siebie za to, że tak go błagała, by wrócił, że tak się poniżyła. Nie znosiła siebie za niezliczone dawane mu okazje.

Okazje, z których nie skorzystał.

Powiedziała mu, że była wykończona i czuła się zaniedbana. On na to odparł, że wolałby być w pracy, na siłowni, w ramionach innej kobiety, gdziekolwiek, byle nie przy niej. Wrzasnęła, że w takim razie ma spieszyć i znaleźć sobie inną kobietę, jeśli mu się uda, ale wątpi, by znalazła się kolejna idiotka, która zniesie jego egoizm i krótkowzroczność. Na całe życie trafia się jedna taka. Odkrzyknął, że być może właśnie tak robi, i złowróźnie dodał, iż być może już mu się udało. Dodał jeszcze, że nie znosi przekleństw w ustach kobiet, to do niej nie pasowało, było pozbawione godności i odrażające. Te słowa nadwerężyły jej i tak już nadszarpnięte nerwy. Obrzuciła go wszelkimi przekleństwami, jakie kiedykolwiek w życiu słyszała. Co dowodziło, że jej mózg naprawdę miał jakąś ukrytą wadę. Myślała o mężu jako o aroganckim, niedojrzałym nieudaczniku, ale jej mózg przetłumaczył to wszystko na krótkie słowa pochodzenia anglosaskiego.

Nie była szczególnie z siebie dumna, ale nie знаła innego sposobu, by go zranić. A naprawdę chciała tego.

Jakim sposobem w tak krótkim czasie wszystko się do tego stopnia zepsuło?

Kłócili się, wrzeszczeli, obrażali, krzyczeli, napadali na siebie, oblewali się winem — po czym nadszedł koniec.

Koniec.

Naprawdę.

To ta pewność najbardziej ją dręczyła. Z tego, co widziała, Michael ani razu nie zawahał się w swej decyzji pozostawienia jej, Mathew, Maisie i Bridleway. Wiedział, czego chce. Boże, kiedyś uwielbiała w nim to zdecydowanie, ale teraz nienawidziła go za nie.

Zamówiła kolejną herbatę i kolejną jajecznicę. Chyba nigdy w życiu nie jadła lepszego posiłku. Nawet w wyszukanych restauracjach, do których kiedyś chodziła. Był o wiele lepszy niż zagraniczne dania, których tyle razy próbowała. Jedząc, porównywała białko do opalu, a żółtko do płynnego złota.

Tak wyszukany opis zwykłego jajka dowodził, że nadal jest pijana. Nie wyobrażała sobie pójścia do modnej restauracji bez Michaela. Ale czy naprawdę będzie jej ich brakować?

Czas, który spędziła samotnie, był przerażający, upokarzający, wstrząsający.

Ale nie całkowicie nieudany.

Podobało się jej posiadanie komórki, a Internet okazał się naprawdę fascynujący. Fakt, początkowo zainteresowała się nowoczesną techniką po to, by zaimponować Michaelowi, ale kiedy jej wypadły w wirtualny świat nadal nie robiły na nim żadnego wrażenia, zdała sobie sprawę, iż to nie umniejsza jej radości. Przyjemność posiadania wszystkich tych rzeczy nie miała związku z Michaelem.

Podobało się jej, że nie musiała co wieczór odkładać zabawek na miejsce. Obserwowanie rosnącej góry prania budziło w niej uczucie wyzwolenia. Któregoś dnia ubrała siebie i dzieci w ubrania pochodzące ze stosu nieuprasowanych rzeczy — a świat jakoś z tego powodu się nie skończył. Wydatki na jedzenie zmalały o połowę, podobnie jak czas spędzany w supermarketach. Miała więcej miejsca w szafie, poza tym naprawdę uwielbiała swoje skórzane spodnie.

Nie, nie był to całkiem nieudany czas, uznała Martha. Była to najbardziej przerażająca myśl tego dnia.

Wyliczyła czas jedzenia tak, by skończyć tosta dokładnie w chwili, kiedy zjadła jajecznicę i włożyła do ust ostatnią łyżeczkę sosu pomidorowego. Po jajecznicy wypła jeszcze cztery filiżanki herbaty i zjadła dwa czekoladowe rogaliki.

Zwycięstwo.

Czy naprawdę chciała, żeby wrócił? Myśl, która nagle wyłoniła się z głębi umysłu, wstrząsnęła nią. To na pewno działanie alkoholu. Porządna jajecznica i słoneczna kawiarnia nie powodują, że chce się zrezygnować z walki o uratowanie małżeństwa.

Podniosła wzrok; robotnicy wyszli. Za ladą plotkowały dwie tęgie kobiety. Z ich twarzy można było bez trudu wyczytać, że plotkowanie to ich codzienne zajęcie, rutyna, konieczność, ale już nic ciekawego.

Zatęskniła za Elizą; chciała z nią porozmawiać. Przerzuciła torebkę w poszukiwaniu komórki.

— Cześć, to ja.

— Cześć, Ty. Gdzie jesteś?

— W kafejce naprzeciw Esso. — Martha rzuciła wyzywające spojrzenie na logo. Kiedyś za każdym razem, kiedy mijała stację Esso, czuła przyływ dumy na myśl, że jej mąż jest częścią tej wielkiej firmy, że w niej spędza dni. Michael uważał, że Esso jest ważne, więc ona też tak myślała. Teraz logo wydawało się po prostu szpetne i odstręczające.

— Zamów mi jajecznicę z wszystkimi dodatkami, będę za kilka minut. Cebula, grzyby, pełny zestaw. OK?

— OK.

Eliza spojrzała na resztki śniadania Marthy.

— Lepiej ci?

— Fatalnie.

— Kac czy życie?

— Jeszcze nie wiem — mruknęła Martha. — Mama pewnie przekazała ci szczegóły?

— Tak, kochanie, powiedziała mi wszystko — westchnęła Eliza, rzucając się na krzesło naprzeciwko.

— Zażądał rozwodu.

— Wiem.

— Dlaczego? O co mu chodzi?

— Nie wiem.

— Ja też. — Martha zamilkła i wpatrzyła się w swoją pustą filiżankę. Chciała być dzielna. Naprawdę nie chciała sprawiać kłopotu siostrze, której właśnie przyniesiono śniadanie; nie chciała go jej obrzydzić, załamując się i mocząc łzami jej tosta. Jednakże dzielność nie jest łatwa. — Czuję się jak idiotka. Jakby przyłapano mnie śpiącą na służbie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Myślałam, że nasze małżeństwo było udane. Myślałam, że byliśmy szczęśliwi. Mówił, że był szczęśliwy.

— Kiedy?

— Kiedy go pytałam.

— A, więc musiałaś go pytać. — Eliza żarłocznie wgryzła się w kielbasę, przeżuła kawałek i spytała z wahaniem: — Może kogoś ma?

— Tak. Nie. Nie wiem. Wciąż go o to pytam.

— Jakies podejrzenia?

— W jego biurze jest kobieta, o której często wspominał. Karen.

— Jak wygląda?

— Wiesz, to właśnie jest dziwne — nigdy jej nie poznałam. Bardzo często umawiał się z nią i jej znajomymi, ale mnie nie zapraszał. Myślisz, że to może z nią kręci?

Według Elizy bardziej prawdopodobne było to, że kręcił z jedną z koleżanek Karen, która była jedynie wymówką. Jednak nie odezwała się. To tylko jej przecucie, nie miała dowodów.

— Kiedy ostatnio on sprawił, że poczułaś się szczęśliwa? — zapytała więc.

— No... — Martha nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Kiedy ostatnio zrobił dla ciebie coś miłego? — nie ustępowała Eliza.

— Zawsze robi miłe rzeczy.

— Naprawdę?

— No tak. W zeszłym tygodniu zabrał dzieci do parku, żebym mogła pójść na siłownię.

— To także jego dzieci. Zrobił to dla nich i dla siebie, nie dla ciebie. — Eliza z zapalem rzuciła się na jajko. Marthę kusiło, żeby zamówić sobie kolejną porcję. — Kiedy ostatnio zapytał, co u ciebie?

— Nie przesadzaj, zawsze pyta. — Przechyliła się i ukradła kiełbasę z talerza Elizy. Skąd nagle ten apetyt?

— I słucha tego, co mówisz?

Martha nie odpowiedziała; Eliza uznała to za odpowiedź przeczącą.

— Dlaczego tak okrutnie go traktujesz? — spytała Martha ze szczerym zdziwieniem.

— Bo przez kilka ostatnie miesięcy traktował cię jak ścierkę. Zachowywał się jak ostatni egoista. To nie jest produkt „pokolenia X”, tylko „pokolenia »ego«”. Wykazał się lenistwem i brakiem odpowiedzialności. Skrzywdził cię, a jesteś moją siostrą. Mam ochotę urwać mu głowę.

— Rozumiem.

Obie zamilkły i wyjrzały przez okno. Londyn jak zawsze tętnił życiem. Ulice już o tej porze były zapchane samochodami. Właściciele kawiarni stali w drzwiach swoich lokali, paląc, sprawdzając pogodę, zastanawiając się, czy warto rozstawić metalowe krzesła na czas przerwy obiadowej. Po ulicach przelewały się tłumy pieszych spacerujących z psami, poganiających swoje dzieci, między nimi przemykały się skutery, rowery i deskorolki. Każdy się śpieszył.

Martha lubiła tę porę roku chyba najbardziej ze wszystkich. Z dzieciństwa pamiętała, że był to czas pełen emocjonujących wydarzeń. Połowa semestru, Halloween, Noc Guy Fawkesa, a zanim się zorientowała, nadchodziło Boże Narodzenie. Nawet teraz była to dla niej ciekawa pora. Uwielbiała chłodne, rześkie dni; niezwykle błękitne, kobaltowe niebo. Cudownie było chodzić po londyńskich parkach, rozkopując liście i nasłuchiwać ich szelestu pod nogami. Nie martwiło jej, że może wdepnąć w psią kupę. Natknięcie się na lśniącego, tłustego kasztana wciąż wydawało się jej znalezieniem skarbu. Podobały się jej krzykliwe wystawy sklepów, pełne czarownic i fajerwerków; lubiła zawieszać jabłka na sznurku, a potem chwycić je zębami bez pomocy rąk, jak to robili w Halloween, zapach smażonej cebuli, hamburgerów i hot dogów, płonących ognisk oraz wypalonych fajerwerków pięć dni później. Dla Marthy jesień o wiele bardziej niż wiosna symbolizowała początek. Może wiązało się to z rokiem szkolnym. Jesień była porą pełną drobnych, przyjemnych niespodzianek, które sumowały się w znacznie większą całość. Przyjemności te zupełnie nie zależały od obecności Michaela.

Eliza sięgnęła poprzez stół i uściśnęła jej rękę. Czy to właściwa chwila? Starczy jej odwagi? Może właśnie Martha potrzebowała takich słów.

— Wiesz co, on naprawdę nie był idealny.

Czekała na efekt piorunujących słów. Obrazi się czy nie?

— A nie uważałaś, że jest? — westchnęła Martha.

— A ty tak uważałaś?

Martha otworzyła usta, żeby powiedzieć „tak”, ale zamknęła je. Przywykła do wygłaszania peanów na cześć Michaela i do szukania w nim samych dobrych stron. Do mówienia wszystkim wokoło i samej sobie, jakie miała szczęście, że za niego wyszła. Ale czy to prawda?

Przez dziesięć lat wyfruwały jej z ust tylko zachwyty: „Jestem najszczęśliwszą osobą pod słońcem, Michael to cudowny człowiek, jest tak miłym, odpowiedzialnym, doskonałym mężem”. I taki był. Naprawdę taki był.

Kiedyś.

Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy ostatnio zrobił cokolwiek konkretnego. Nic nie przychodziło jej do głowy. Ostatnio nie pomagał jej nawet w przenoszeniu zakupów z samochodu do domu. Był stale zmęczony, ciągle niezadowolony. To ona przyjęła rolę supermana, radząc sobie z nieskończoną ilością pracy, kłopotów i złych humorów.

Już jej nie fascynował, przeciwnie — czuła się przy nim nudziarą. A czasami czuła się nim znużona.

Oboje się zmienili.

Wierzyła w trwałość małżeństwa. Naprawdę wierzyła. Nie spodziewała się też, że będzie łatwo. Nic naprawdę wartościowego nie przychodzi łatwo; wydawało się jej jednak, że im się uda. Przysięgał kochać ją i trwać przy niej w zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. A przecież nie spotkało ich nic naprawdę złego. Dwójka ślicznych dzieci pochłaniających jej czas i energię — czy to naprawdę takie straszne?

Marcie zawsze się wydawało, że to Michael był ambitną połową ich związku. On nie cierpiał porażek, ale jednak to ona była ambitniejsza. Myśl o rozpadzie ich małżeństwa była dla niej straszna. Ostatnio Martha miała ochotę powiedzieć Michaelowi, żeby wziął się w garść, okazał odrobinę starań, pokazał, że ma kręgosłup. A jednocześnie nie znosiła jego braku kręgosłupa.

Może w ogóle nie chciała go już przy sobie?

Dla tego małżeństwa wiele poświęciła. Rzuciła pracę, przeniosła się do Londynu, choć w rzeczywistości wolałaby mieszkać w bardziej zielonej okolicy. Chociaż Michael sądził, że jeśli ludzie naprawdę się kochają, to nie ma mowy o poświęceniu, Martha uważała ten pogląd za niedojrzały. Jego niezdolność do wybaczenia jej zmęczenia, roztargnienia, gniewu i frustracji była dla niej niedojrzała. Każdy wchodzi w małżeństwo z bagażem przeszłości. Trzeba być osobą bardzo płytką i niedojrzałą, by w drodze do dorosłości nie zebrać kilku blizn.

Michael okazał się bardziej przeciętny, niż Martha przypuszczała. Czuła się oszukana.

— Nie zawsze był idealny — przyznała. Natychmiast poczuła się winna zbrodni nielojalności, szybko więc dodała: — Ale nikt nie jest doskonały. Małżeństwo to sztuka kompromisu.

Choć szczerze mówiąc, nie potrafią sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Michael poszedł na jakikolwiek kompromis.

Oprócz dodatkowego miejsca w garderobie oraz wyzwolenia spod stosów prasowania Martha miała jeszcze jeden dowód, że Michael nie był doskonały — a przynajmniej nie był doskonałym partnerem dla niej ani przy niej. Przez ostatnie kilka tygodni czuła się nieco swobodniej, nieco lepiej jej było z samą sobą. Oczywiście nie przez cały czas. Dość często zachowywała się jak wódz Wandali, równie często czuła się niczym zrozpaczony łabędź z *Jeziora łabędziego*. Czasami niemal paraliżowała ją zimna, wkradająca się do serca samotność. Wtedy czuła się mała, bezradna i całkowicie osamotniona. Ale co jakiś czas zdarzała się chwila, kiedy ogarniało ją poczucie, że rodzi się nowa Martha, bardziej pewna siebie i energiczna. Na przykład wtedy, kiedy kupowała dynię albo kiedy pierwszy raz weszła na czat w Internecie, albo gdy na kolację zjadła frytki z rybą — wtedy czuła się świetnie.

Naprawdę świetnie.

Ale czasami czuła się strasznie. Nieopisanie przygnębiona, jakby całe jej życie rozpadło się w gruzy.

— Spotkasz kogoś innego — pocieszyła ją Eliza. Martha spojrzała na nią ostro, oburzona.

— Nie chcę nikogo innego. Jak mogę mówić o spotkaniu innego faceta, kiedy jeszcze wczoraj miałyśmy nadzieję, że plan z Disneylandem się powiedzie?

— No, oczywiście nie teraz, zaraz. — Eliza wycofała się niezręcznie. Żałowała, że nie ma przy nich matki; Eliza chyba posiadała dar mówienia niewłaściwych rzeczy w niewłaściwym momencie.

— Boże, Elizo, za chwilę mi powiesz, że mam nosić jasne kolory, czerwony albo różowy, bo są optymistyczne, oraz że powinnam myśleć pozytywnie. Spójrz w lustro i powiedz sobie, że jesteś wspaniała — coś w tym stylu.

— Podobno to pomaga.

Martha rzuciła Elizie mordercze spojrzenie w nadziei, że jej wyraźny gniew uciszy siostrę. Nie uciszył.

— Ja tylko mówię, że kiedyś w końcu spotkasz kogoś innego, jesteś superkobietą i... — ciągnęła Eliza.

— Ale *Kopciuszek* nie kończy się słowami: „I żyli szczęśliwie przez jakiś czas, a potem zmienili partnerów” — warknęła Martha.

— *Kopciuszek* to bajka. Życie nie jest bajką — sprzeciwiła się Eliza. — Nie wierzysz przecież w szklane pantofelki, prawda? To zabójstwo dla stóp. Ani w dobre wróżki, ani w wybór żony po trzecim tańcu, ani w to, że wychodzi się za mąż, będąc dziewczyną.

Martha mimo woli uśmiechnęła się na ten ostatni przykład.

— Racja — przyznała. — Ale jednak wierzyłam w szczęśliwe zakończenie — dodała.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

— Ja też — przyznała Eliza. Kolejna chwila milczenia.

— Wciąż jeszcze myślę, że ciebie czeka takie szczęśliwe zakończenie. Jestem nawet pewna — przekonywała Eliza.

— No co ty, z dwójką dzieci? — zapytała Martha ze zwątpieniem.

— Idealne dla niepłodnego faceta — uznała Eliza.

— I całą moją przeszłością? — martwiła się Martha.

— Nie wspominaj o niej. Bądź tajemnicza, pociągająca i małomówna. — Eliza spojrzała siostrze w oczy. Była to chwila bolesna dla nich obu. Martha czuła się przegrana i zawstydzona; Eliza była przygnębiona z jej powodu.

— Ale Michael był spełnieniem moich marzeń od czasu Bodego, poprzez fascynację Johnem Travoltą i Paulem Youngiem.

— O co ci chodzi?

— Ja tylko chciałam, żeby ktoś mnie kochał. Czy to naprawdę takie wielkie wymagania? Przecież nie jestem do niczego, prawda?

— Jesteś wspaniała, kochana.

— No to dlaczego nie wyszło?

— Nie wiem. Życie...

— ...jest to bani — dokończyła Martha z westchnieniem, ale nie mogła pozbyć się przygniatającego smutku. — Elizo, komu będę opowiadać o codziennych sprawach? O głupotach? O tym, co kupiłam na kolację i ile wziął facet od mycia okien?

— Mnie.

— A co zrobię, jak mi się akumulator rozładuje?

— Zadzwońisz do warsztatu.

— Ale mechanik prędzej powie prawdę facetowi. — Zapisz się do klubu kierowców.

— A co z dniami sportu w szkole?

— Naprawdę myślisz, że Michael wzięłby wolne z pracy, żeby iść do szkoły?

— No nie, ale... komu będę pokazywać obrazki Mathew?

— Mnie. Jak zawsze.

— No tak — zakończyła Martha.

Odetchnęła głęboko i pomyślała o Mathew i Maisie. Wyobraziła ich sobie z zaróżowionymi, pulchnymi policzkami na huśtawkach w parku, ubranych na cebulę, roześmianych, machających nogami. Dzieci to wielka odpowiedzialność. Ale przecież Martha zawsze uważała odpowiedzialność za dobrą rzecz.

Dzieci ją kochały, potrzebowały jej i polegały na niej. Nie było czasu na uzalanie się nad sobą. Nawet jeśli by miała ochotę rzucić się na łóżko i zagrzebać w kołdrze (dosłownie), nie miała takiej możliwości. Płacz w kafejce za rogiem również nie wchodził w grę.

Poprzedniego wieczoru, kiedy Michael poprosił o rozwód, Martha czuła, że jej serce rozpada się na tysiące kawałków. Była przerażona. Bała się — a widziała mnóstwo przykładów — że jej serce zamieni się w kulkę rozpaczliwego, bolesnego cynizmu. Cynizmu przez kolejne lata podsycanego dziesiątkami drobnych nieuprzejmości wyrządzanych przez ludzi, które dotąd spływały po niej jak woda po kaczcze. Teraz zaczęła się bać, że zmieni się w złośliwą, poranioną babę. Jak zdoła przejść do porządku dziennego nad tym, że w sklepie wydadzą jej o pięćdziesiąt pensów za mało? Być może wtedy pobiegnie z powrotem, gotowa urwać głowę tej złodziejce ekspedientce. Może zmieni się w kobietę, która na widok kierowcy wjeżdżającego jej przed nosem na miejsce parkingowe, na które cierpliwie czekała, zacznie naciskać klakson i wystawiać środkowy palec. Może w końcu, jak cała reszta, znienawidzi strażników parkingowych, choć do tej pory broniła ich, twierdząc, że przecież ktoś musi wykonywać tę pracę.

Zastanawiała się, czy starczy jej energii, by znów być życzliwą i optymistyczną. Czy zdobędzie się na to, by zaprosić na drinka sąsiadów-nudziarzy. Czy zamieni się w zgorzkniałą jędzę, która na ślubie znajomych rzuca niewybredne żarciki? Coś w rodzaju, że małżeństwo to dobra rzecz, póki trwa, ale z doświadczenia wie, że trwa niezbyt długo.

Nie chciała chować w sobie aż takiego gniewu.

Nadszedł czas, by skończyć z rzucaniem oskarżeń, narzekaniami i żałami. Czas, by znów zająć się życiem i zdecydować, czego właściwie chce. Kim chce być, dokąd pójść, jak żyć. Z czym chce się ludziom kojarzyć.

Martha postanowiła pogrzebać przeszłość. Co więcej — postanowiła być elegancka, wyrozumiała i wspaniałomyślna, jak tylko się da.

Zamierzała żyć dalej.

I kto wie, może będzie to bardzo dobre życie.

Eliza miała rację: kiedy Martha zaczęła otwarcie mówić znajomym o rozstaniu z Michaelem i możliwym — nie, raczej nieuniknionym — rozwodzie, poczuła się lepiej. Nikt się nie cieszył z jej nieszczęścia. Nikt nie wzdychał z ulgą, że tym razem na nich padło wyrównanie do średniej statystycznej. Nikt nie uznał, że ich rozwód daje większe szanse innym małżeństwom. Martha z ulgą zauważyła, że wszyscy wydawali się równie wstrząśnięci nowiną jak ona sama. Wszyscy, jak i ona jakiś czas temu, wydawali się zakładać, że na pewno uda się im pogodzić. Kiedy Martha uprzejmie, ale stanowczo wyjaśniła im, że pogodzenie nie wchodzi w grę, zresztą nie chciała pogodzenia, jej oświadczenie zostało przyjęte.

To olbrzymia ulga.

Przyznanie, że życie nie jest idealne.

Dokładnie ujmując, przyznanie, że życie wywróciło się do góry nogami — jak to ujęła Eliza? Spieprzyło się. Przyznanie, że życie się spieprzyło, sprawiło jej niewymowną ulgę.

Martha z zaskoczeniem odkryła, że wyzwoliła się z tyranii prac domowych, planów na kolejny dzień, książek kucharskich, butelek z mlekiem, siłowni, książek o rozwoju dzieci — i spod ciężaru oczekiwań Michaela.

Oczekiwań, które chyba zawsze zawodziła.

Nie będzie już musiała urządzać wystawnych kolacji; przestawiła się na improwizowane spotkania, po których goście zostawali na noc, gdyż byli zbyt pijani, by jechać do domu. Za czasów Michaela taki pomysł był absolutnie niemożliwy i nigdy nie przyszedł jej do głowy. Coraz częściej dochodziła do wniosku, że nocne bieganie ze ścierką i wycieranie śladów palców z powierzchni mebli nie ma sensu, gdyż ślady pojawią się ponownie przed ósmą trzydzieści następnego dnia; wkrótce też odkryła, jaką przyjemność sprawia jej, po zapakowaniu dzieci do łóżek, wrzucenie do mikrofalówki jakiegoś prostego dania. O wiele mniej zmywania, zakupów i sprzątan.

Rzadziej rodziły się kłótnie. Napięcie, niepokój i rozdrażnienie też zmalowały.

A jednak w domu nie było mniej miłości, co skłoniło Marthę do zastanawiania się, kiedy z ich związku odeszła miłość. Zapewne na długo przed Michaelem.

Zacząła sporządzać listy rzeczy, które chciała załatwić w ciągu następnych kilku dni. Kiedy zdarzyła się jej wolna chwila, grożąca tym, że zacznie myśleć — co nieodmiennie kończyło się łzami — Martha zawsze mogła zajrzeć do listy i znaleźć sobie coś do zrobienia. Czasami były to naprawdę drobne zadania — jak: „kupić kartki, wypisać, kupić znaczki, pocztówki”. Napisanie „wysłać kartki” oznaczałoby odhaczenie tylko jednego zadania, podczas gdy cztery haczyki na liście wyglądały o wiele lepiej. Haczyk bardzo wzmacniał poczucie własnej wartości, a tego akurat potrzebowała najbardziej.

Problem z poczuciem własnej wartości polegał na tym, że nikt inny nie mógł tej pracy wykonać za nią — choć trzeba uczciwie przyznać, iż wszyscy starali się, jak mogli. Rodzina i przyjaciele zaskakiwali ją swoją chęcią pomocy; dzwonili, rozmawiali, słuchali, zachęcali i wspierali. Nie komentowali, kiedy twierdziła, że Michaelowi należy się szacunek i życzliwość jako ojcu jej dzieci, ani wtedy, kiedy zaklinała się, że wyśledzi, gdzie on się teraz obraca, znajdzie go i odrąbie mu jaja.

Zaskakująco wielu z nich radziło, żeby wynajęła prywatnego detektywa. Nikt naprawdę nie pojmował, dlaczego Michael odszedł. „Nie dość szczęśliwy” wydawało się absolutnie niewystarczającym powodem porzucenia rodziny. Marthę kusilo, by pójść za ich radą. Doręczenie przez detektywa czarno-białych zdjęć Michaela wychodzącego z mieszkania, w drzwiach którego stała rozczochrana, zadowolona kobieta, owijająca się falbaniastym szlafrocikiem, sprawiłoby jej niemal ulgę. Martha chciała tylko zrozumieć Michaela, co w tej chwili było niemożliwe, gdyż nawet go nie знаła. Już nie.

Przyjęcie urodzinowe niezwykle się udało. Były balony, bańki mydlane, konkursy z nagrodami, muzyka i śmiech. Nie brakowało niczego. Michael się nie pojawił, a jednak niczego nie brakowało.

Po wręczeniu ostatniej paczki z prezentami, zebraniu do worków na śmieci resztek kolorowych papierów i bibulek, po ułożeniu wykończonych dzieci w łóżkach Eliza i Martha zrzuciły buty i usiadły, by napawać się ciszą.

— Zostaw zmywanie na jutro — powiedziała Martha, która naprawdę bardzo się starała, by jeszcze bardziej się odprężyć. Z zaskoczeniem odkryła, że starania o odprężenie się to wcale nie sprzeczność sama w sobie.

Elizie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Z radością porzuciła zlew i sięgnęła po butelkę wina.

— Masz ochotę na lampkę?

— Chętnie. — Martha entuzjastycznie pokiwała głową. — Chyba się udało, prawda?

— O tak. Lody z galaretką na ścianach, chipsy na dywanie, ani kawałka zdrowej żywności w zasięgu wzroku, czyli dokładnie tak, jak powinna wyglądać udana impreza — zakpiła Eliza. — Czy była choć jedna chwila, w której jakieś dziecko się nie darło?

— Chyba nie.

— Tak myślałam.

Przeszły do salonu. Martha wybrała płytę i nastawiła ją. W pokoju rozbrzmiał śpiew Billie Holiday.

— Przydałoby ci się trochę nowości — zauważyła Eliza.

— Nie podoba ci się?

— Tego nie powiedziałam. To klasyka, ale słuchasz tego od lat.

— Niezupełnie tak. Słuchałam tego na studiach, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat... Nie przypominam sobie.

— Naprawdę? — Eliza wiedziała, że okres dziesięciu lat odnosił się do czasów przed-Michaelowych. Z ulgą zauważyła, że Martha jednak nie wymówiła jego imienia.

— Studia to był chyba twój świetny czas — zauważyła.

— O tak, naprawdę. — Studenckie pokoje Marthy stanowiły uderzającą mieszankę romantyzmu, oczekiwań i możliwości. Wiszące na ścianach obrazki nie przemawiały zbytnio do Elizy — zbyt wiele tonących lub płaczących panien czekających na księcia z bajki — ale pasowały do Marthy, nieuleczalnej romantyczki. Starą, wytartą wykładzinę pokrywał równie stary dywanik kupiony w sklepie z używanymi rzeczami. Martha studiowała anglistykę i historię sztuki, więc jej pokój był zawsze pełen książek. Żywiła dla nich ogromy szacunek; na półce stała rzędem, jak żołnierze na musztrze, klasyka w wydaniu Penguina, ułożona w ścisłym porządku alfabetycznym. Elizie zawsze łatwiej przychodziło rzucić książkę na podłogę; w końcu jedynym zagrożeniem, jakie tam stwarzała, była możliwość potknięcia się o rosnący stos, zwłaszcza po kilku głębszych.

— Martho, pamiętasz, jak uwielbiałaś te szpetne złoto-zielone kubki?

— Wielkie dzięki. Nie były wcale szpetne — roześmiała się Martha.

— I ta twoja okropna fioletowa narzuta na łóżko!

— Ostatni krzyk mody — broniła się Martha, chichocząc.

— Muszę ci oddać, że w swoim czasie byłaś naprawdę na bieżąco z modą.

Dlaczego nie zabrzmiało to jak komplement? Przecież miało tak brzmieć. Martha wolałaby, żeby tak było.

— W tamtych czasach nosiłaś krótkie spódniczki i martensy.

— Żakiety ze sztruksu — dodała Martha.

— Ze skórzanymi łatami na łokciach.

— Podarte dzinsy z ciucholandu.

Obie pisnęły ze zdziwienia na to wspomnienie.

— Co się stało...

— Ze mną?

— Chodziło mi raczej o twój skórzany beret.

Zamilkły. W powietrzu zawisło pytanie: „Co się stało z Martha?”. Kiedy romantyczna indywidualistka włożyła gumowe rękawice i wzięła do ręki pastę do mebli?

— Ostatnio sporo myślę o czasach studenckich — odezwała się Martha. — Wtedy po raz ostatni naprawdę myślałam o sobie. Po raz ostatni mogłam to robić. Patrząc realnie, już nigdy nie znajdę się w takiej sytuacji.

— No, przynajmniej nie do pięćdziesiątki.

Martha roześmiała się. Pięćdziesiątka wydawała się im obu tak odległa, że zaliczała się do kategorii „nigdy”.

— Nie zrozum mnie źle. Nie żałuję niczego. Nie żałuję, że wyszłam za Michaela, i na pewno nie żałuję, że mam dzieci. Chodzi mi tylko o to, że chętnie powitałabym okazję do bycia po trosze egoistką.

Jako że na ogół Martha wyteźała wszystkie siły, by stworzyć dzieciom jak najszczęśliwsze życie, tym razem także poświęciła mnóstwo czasu i wysiłku, by przyjęcie się udało. Papierowe talerzyki, balony i serpentyny miały dobrane kolory, czego nie można powiedzieć o jej własnej garderobie. Spędziła dużo czasu, strojąc dzieci na przyjęcie, ale jedynie kilka sekund poświęciła na nałożenie szminki. Z wielką starannością wybierała prezent dla Maisie. Chciała znaleźć dla niej zabawki, które będą jednocześnie wartościowe, ciekawe, przemyślane i edukacyjne. Wyjątkowo cieszyła się z kolorowych lampek w kształcie serca oraz drewnianego rowerka na trzech kółkach. A jednak sama od wielu miesięcy nie wzięła długiej, relaksującej kąpieli; jak twierdziła, nie miała na to czasu.

Jakby czytając w jej myślach, Eliza stwierdziła:

— Możesz od czasu do czasu pobyć trochę egoistką. Nie cały czas, oczywiście. Ale nie musisz odgrywać męczennicy, żeby być dobrą matką.

Prawda.

— Powinnaś częściej wychodzić. Przyjmij kilka z tych zaproszeń, które dostajesz.

— Przecież przyjmuję — zaoponowała Martha.

— Nieprawda. Słyszałam cię dzisiaj, przyjęłaś wszystkie zaproszenia na imprezy dla dzieci. Idziesz na balik do Syon House i na zajęcia muzyczne, ale odmówiłaś Claire, kiedy zapraszała cię na trzydzieste urodziny.

— Nie mogę tam iść.

— A dlaczego?

— Bo wszyscy inni będą w parach.

— Wcale nie, sprawdziłam z Claire. Martho, musisz się przełamać i wyjść z wygodnej skorupki.

— Claire robi urodziny w barze salsa. Nie mam pojęcia, jak się to tańczy.

— Nie bądź śmieszna, wystarczy kręcić biodrami.

— No ale chodzi nie tylko kręcenie biodrami, prawda? To dość ostra jazda. Tam się podobno trudno utrzymać na nogach, tak szybko trzeba tańczyć.

Eliza powstrzymała śmiech.

— No to raz pójdz na całość. Co się może zdarzyć? Nie możesz przejść przez życie, ryzykując jedynie w gotowaniu, kiedy zamiast pietruszki wrzucisz bazylię. Trudno to nazwać ryzykiem.

— Nie przesadzaj, czasem też ryzykuję.

— Tak? No to może jeden przykład?

— Jeden?

— Tak, jeden. Jedna ryzykowna rzecz, którą zrobiłaś w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Marthę ogarnął gniew. Częściowo na siostrę, która miała sporo racji, ale głównie na siebie samą.

— A co na siebie włożę? — Coś w jej głosie mówiło, że jej opór słabnie. Chciała dać się przekonać.

— Dobra uwaga, musimy nad tobą popracować.

— Popracować?

Eliza skoczyła na równe nogi i pobięła po stos czasopism, które zbierała od pewnego czasu. Najwyraźniej czekała na okazję. Szybko przerzuciła kilka z nich i pokazała siostrze długonogie modelki; wyglądały niesamowicie w dzinsach i kusych bluzeczkach.

— Absolutnie nie włożę czegoś takiego! — zawołała przerażona Martha. — Zresztą już kupiłam trochę ciuchów.

— Tylko kilka sztuk i kilka tygodni temu. Masz superfigurę, powinnaś to wykorzystać.

— Superfigurę... — Komplement ledwie dotarł do świadomości Marthy, kiedy uderzyły ją jego konsekwencje. — Chcesz mnie przerobić? — Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

— Zmiana wizerunku — odparła z przekonaniem Eliza. — Musimy iść na zakupy!

GRUDZIEŃ

24

„Nie lubią mnie. Widzę, że mnie nie znoszą — myślała Martha, mierząc wzrokiem innych gości na urodzinach. — Mam na czole wypisane: »kobieta porzucona«. Szkarłatnymi literami. Każda obecna tu kobieta myśli tylko o tym, żeby nie dopuścić swojego męża blisko mnie. A każdy mężczyzna jest przekonany, że mam w sobie jakąś wadę; może niewidoczną gołym okiem, ale na pewno coś jest ze mną nie porządku, bo niby dlaczego rzuciłby mnie mąż? Według nich na pewno jestem beznadziejna w łóżku albo mam okropny charakter, albo też jestem zazdrosna i robię sceny. Są absolutnie przekonani, że coś jest na rzeczy”.

„Tylko nie wiedzą co”.

Martha także nie wiedziała. Cierpienie wywołane faktem, że nie chciał jej ktoś, kto przysięgał, że będzie ją zawsze chciał, wciąż obezwładniało. Rozczarowanie, niedowierzanie, wstręt. Martha nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek zdołałby spędzić z nią chociaż pięć minut bez pomocy w postaci telewizji kablowej.

— Czego się napijesz, Martho? — zapytał jeden z nich życzliwie. Życzliwie, bo jej znajomi byli życzliwi. Nieprawda, że jej nienawidzili. Lubili ją. Miała rację, nie rozumieli, dlaczego znalazła się tutaj sama, ale nie wyobrażali sobie, by ten stan rzeczy potrwał długo.

Przez chwilę Martha miała ochotę poprosić o sok pomarańczowy, ale uznała, że witamina C nie wystarczy, żeby pomóc jej przetrwać ten wieczór. Nie znosiła tego pytania. Nigdy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mimo że ostatnio kilka razy pozwoliła sobie z Elizą na pijaństwo, zawsze zalewała robaka porządym chardonnay. Nie znosiła piwa ani mocnego alkoholu, lubiła jedynie od czasu do czasu wypić lampkę wina, i to najczęściej do posiłku; wina sprzedawane w pubach i barach takich jak ten na ogół nie grzeszyły jakością.

— Poproszę białe wino z wodą mineralną — powiedziała w końcu, choć zdawała sobie sprawę, że jej wybór może wydawać się dość banalny. Kolega przyniósł jej duży kieliszek białego wina.

Martha przełknęła je i zaproponowała, że postawi wszystkim następną kolejkę. Nie znosiła kobiet, które uważały, że nie muszą nigdy nic stawiać tylko dlatego, że są same. Ona nie chciała zostać jedną z nich, więc postawiła wszystkim kolejkę, a potem obeszła towarzystwo i zorganizowała szybką zrzutkę. Bardzo hojną zrzutkę. Uznała, że to całkiem przyjemne miejsce. Można się odprężyć. Co prawda, nie miała zbyt wielu możliwości porównania; nie pamiętała, kiedy ostatnio byli z Michaeliem w klubie. Osiem lat temu? Naprawdę tak dawno?

Oczywiście później wychodziła do knajp — dość często robili wypadki ze znajomymi z biura. Michael również był zaproszony, ale zawsze albo już się gdzieś umówił, albo miał zbyt wiele do roboty. Ale potem — trzy lata temu — zrezygnowała z pracy. Czy to możliwe, że od trzech lat nie tańczyła? Oczywiście chodzili na wesela. Lubiła się rozruszać, ale ostatnio jej partnerzy mieli mniej niż metr wzrostu, byli to Mathew i jego koledzy. Zabawy z dziećmi przecież się nie liczą. Kiedy przestała tańczyć z Michaeliem? Kiedy w ogóle przestała tańczyć? Martha nagle uświadomiła sobie, że kieliszek rozplywa się jej przed oczami. Zamrugła, by odpędzić gorące, gniewne, sentymentalne łzy, skupiła się na kieliszku i naląła sobie kolejny. Wiedziała, że z myślenia o Michaelu nie wynika nic dobrego. Nie mogła znów zastanawiać się godzinami, dlaczego jej nie chciał. Brutalna prawda była taka, że jej nie chciał.

Jego strata.

Naczekali się na jedzenie, ale, pomimo obaw Marthy, rozmowa się kleiła. Sporo kobiet miało dzieci, więc znalazła bezpieczny temat do rozmowy, kiedy omawiała z nimi wady i zalety łączonej szczepionki przeciwko śwince, odrze i różyczce. W pomieszczeniu było duszno, a Martha miała chęć się napić. I poflirtować.

Boże, czy naprawdę przyszło jej to na myśl? Ale nie da się zaprzeczyć, czuła się lekko podemojjonowana. Kto kupił szampana? Zawsze lubiła szampana, nigdy nie odmawiała lampki. Czy wciąż jeszcze rozmawiali o szczepieniach dzieci, czy naprawdę nie mieli o czym mówić? Martha natychmiast poczuła się winna. Co za złośliwa myśl. Jeszcze nie tak dawno z rozkoszą przegadałaby o dzieciach nawet całą noc. W końcu od trzech lat nie myślała o niczym innym, ale nagle dzisiaj zapragnęła zająć się innymi tematami. Dzisiaj chciała zrobić sobie wolne. Może to nowa zamszowa spódnica i czarna bluzka w cygańskim stylu tak na nią podziały.

Choć nie umiała wyjaśnić, dlaczego zamszowa spódnica i czarna cygańska bluzka miałyby sprawić, że zauważyła facetów siedzących przy sąsiednim stole. Zwróciła uwagę na to, jak byli przystojni, zwłaszcza jeden z nich.

Martha zarumieniła się, zadowolona, że nikt nie umie czytać w myślach. Na miłość boską, co jej się kłębiło w głowie? Za dużo przebywała z Elizą. Sięgnęła po jedyną butelkę, w której zostało jeszcze trochę wina i wlała resztę do kieliszka, a butelkę odstawiła obok innych, które w dużej liczbie zgromadziły się na jej stoliku.

— Może zamówimy jeszcze? — zaproponowała.

— Dobry pomysł, przynajmniej nie będziemy się nudzić, czekając na jedzenie — odpowiedział ktoś przy stoliku, po czym, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stanęły przed nimi dwie butelki białego wina i dwie czerwonego. Dziwne, ale kiedy się już przyzwyczaiło do smaku, domowe wino okazało się całkiem dobre.

W końcu przyniesiono jedzenie, podobno doskonałe. Martha jednak nie zdołała się przekonać. Wkładała je widelcem do ust, ale drobne kawałki spadały na talerz. Nieustannie. Nie było to zbyt dystygowane. Muzyka z parkietu tanecznego na dole zaczęła krążyć jej w żyłach, coraz trudniej było usiedzieć.

— Chodźmy poskakać. — Martha rozejrzała się wokół, sprawdzając, kto rzucił tę propozycję i ze zdziwieniem stwierdziła, że ona sama. To na pewno salsa. Nagle poczuła, że taniec w rytmie salsy może okazać się przyjemną rozrywką. Nikt nie umiał zbyt dobrze jej tańczyć, ale co mówiła Eliza? Wystarczy potrząsać biodrami. Tyle umiała.

Nikt nie tańczył. Ściany podpierali liczni mężczyźni w typie latynoskim o podejrzanym wyglądzie. Zwykle Martha w takim wypadku łapała torebkę i czekała w pewnej odległości, aż parkiet się zapełni. Wtedy być może dyskretnie zaczęłaby tańczyć na uboczu. Jednak tego wieczoru, pełna odwagi płynącej z południowokalifornijskiego wina, chciała pokazać swój nowy, ostry styl, i to teraz, zaraz.

— No chodźcie — rozkazała.

Mężczyźni przy stoliku wykręcili się, ale dołączyły do niej ze dwie równie wstawione kobiety. Podejrzani Latynosi nie potrzebowali innej zachęty. Skoczyli jak gepardy i przyssali się do nich jak pijawki. Nagle otoczyło ją z ośmiu uśmiechających się głupawo mężczyzn. Martha czuła się rozdarta między zakłopotaniem (koszule mieli bardziej wyzywające niż muzyka, a ilość zarostu przekraczała przeciętną) a podziwem (naprawdę umieli tańczyć, tylko czy musieli przysuwać się aż tak blisko?). Pamiętała słowa matki, która pewnego razu poradziła jej, by nigdy nie odmawiała tańca, skoro już ktoś ją poprosił, gdyż zaproszenie kobiety do tańca kosztowało mężczyznę wiele odwagi, a przecież są to w końcu tylko ludzie.

To jedynie ukazywało głębię wiedzy jej matki.

Jednakże Martha zbyt przywykła do przestrzegania zasad, by nagle się zbuntować, więc uprzejmie zatańczyła z każdym, kto poprosił. Dziwiło ją, że jej kamienna, urażona cisza była odbierana jako przyzwolenie, więc w rezultacie tańczyła jeden taniec po drugim.

Wirowała od jednego niskiego mężczyzny do drugiego, a potem do kolejnego, aż była przekonana, że jej głowa i cały pokój orbitowały wokół niej.

O, znowu on.

Ten przystojniak.

Eliza określiłaby go jako gorący towar. Cholernie gorący.

Mimo że na szyi miał sznurek ze spinką.

— Zatańczysz ze mną? Musisz mnie wyratować od tych piekielnych koszul! — Stała przed przystojniakiem, cholernym przystojniakiem, oraz jego dwoma kolegami, zastanawiając się, jakim cudem do niego dotarła i jak poradzi sobie z upokorzeniem, jeśli facet odmówi. Po co w ogóle się wyrwała? Może to z powodu słów siostry, że stać ją jedynie na ryzyko wprowadzenia zmian do przepisów

kulinarnych. No to, kochana siostrzyczko, teraz możesz podziwiać. Martha modliła się tylko, by matka piekielnego przystojniaka nauczyła go tej samej reguły, co jej matka. Nie pamiętała, kiedy ostatnio zaprosiła do tańca absolutnie obcego faceta. Na pewno było to przed poznaniem Michaela. W sumie, jak sobie przypominała, przed poznaniem Michaela na ogół pierwsza wyskakiwała na parkiet i nie miała problemów z proszeniem mężczyzn do tańca. To w końcu tylko taniec.

— Jasne. — Podał kieliszek koledze i poszedł za nią. — Nie boisz się więc zatańczyć z diabłem, mimo że nie można nazwać tego światła poświęcą księżycową?

— Że co?

— No wiesz, Jack Nicholson, Joker w *Batmanie*. Zwykle pyta swoje ofiary, czy... — Piekielny przystojniak przystopował. Widział, że Martha nie łapie sensu jego słów.

— A, tak — odparła. Nie wiedziała, co powiedzieć.

To zawsze wiązało się z ryzykiem. A jeśli tańczy w stylu wujka na weselu? Martha odważyła się na dłuższe spojrzenie, starając się skupić wzrok. Naprawdę był świetny. Uznała, że nie szkodzi, nawet jeśli tańczy jak pradziadek. Nie był zbyt wysoki, ale Martha, która miała ledwie metr sześćdziesiąt, nie lubiła drągali ponad metr osiemdziesiąt. Nie chciała wyglądać jak Lucy Ewing. Ten miał metr siedemdziesiąt parę, szczupły, o szerokich ramionach, z krótkimi włosami, w dobrym ubraniu i... tyle mogła o nim powiedzieć, gdyż jego twarz rozpływała się przed jej oczami. Nie, żeby miał aż tak niewyraźne rysy, chyba po prostu za dużo wypila.

Umiał tańczyć; był naprawdę bardzo dobry. I śmieszny. Wyginał się żartobliwie, przez co wyglądał zabawnie i — co tu ukrywać — seksownie. Żarty z siebie samego wymagają pewności siebie, a pewna dawka pewności siebie jest seksowna. Patrząc na niego, poczuła dziwny skurcz, na pewno tęskny, gdzieś między brzuchem a udami. Mimo opinii Elizy nie była naiwna; rozpoznała ten skurcz jako cudowny przyływ pożądania.

Salsa nagle wydała się jej kusząca, nie głupia. A pomysł niewinnego tańca bez żadnych konsekwencji nagle rozpląnął się w niebycie. Martha wiedziała, że facet bardzo się jej podoba. Od tak dawna nie czuła się w ten sposób, że wydało się to jej wręcz przestępstwem. Chociaż jednocześnie było to słuszne uczucie. Słuszne przestępstwo. Fascynujące. Melodia zmieniła się i Martha zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa: teraz facet mógł jej uprzejmie podziękować i pójść do kolegów, na zawsze znikając jej z oczu.

Nie poszedł.

Został; tańczyli jeszcze z pięć czy sześć razy. Uwagi Marthy nie uszły pełne podziwu spojrzenia kobiet w klubie, wpatrzonych w nią ze źle ukrywaną zazdrością. Czowała się bosko.

— Napijesz się czegoś? — zapytał. Kiwnęła głową.

— Czego?

— Białego wina — odparła bez wahania. Nawet nie usiłowała wydać się bardziej nowoczesną, niż była, wybierając modną markę piwa czy drinka.

— Jak masz na imię?! — wrzasnęła, przekrzykując muzykę i gwar tłumu.

— Muad' Dib, imię może być bronią!

Martha spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Co za dziwne imię.

— Muad' Dib to postać z filmu *Diuna*.

— Chyba nie widziałam! — odkrzyknęła Martha, czując się jak nudna kura domowa, którą była.

— Grał tam Sting! — dodał, na koniec zawieszając głos, jakby oczekiwał, że teraz zorientuje się, o co chodzi. Ale Martha potrząsnęła głową. Nadal nic nie rozumiała. Zresztą często nie pojmowała odniesień do popkultury, o ile w grę nie wchodziły bajki dla dzieci, jak *Bob Budowniczy* albo *Tweenies*.

— A jak masz naprawdę na imię?

— Jack. Jack Hope.

Martha kiwnęła głową, desperacko usiłując zapisać je w pamięci. Wiedziała, że jest straszliwie pijana, ale nie chciała go urazić, zapominając jego imię, przynajmniej nie w ciągu najbliższych dwudziestu minut.

— A ty jesteś...?

Martha natychmiast pożałowała, że rodzice nie nazwali jej Scarlet.

— Martha.

— Oryginalnie — odparł, nie wypadając z rytmu.

— Okropne, prawda? — Zachichotała. — Nie znoszę go. — Cóż, mała, a nazwisko?

— Evergreen. — Martha odruchowo podała nazwisko panięskie, nie zastanawiając się nad tym, że formalnie wciąż jeszcze nazywała się West.

— W takim razie będziesz dla mnie panienką E.

„Panienska E” — pomyślała Martha. Podobało się jej to.

Panienska E i Jack Hope przegadali całą noc. Opowiedzieli sobie nawzajem o swoim życiu; przeskakiwali na oślep między tematami, zaczynając od ulubionych kolorów, przez muzykę, której słuchali, sklepy, w których kupowali ubrania, oraz opowieść o tym, jak w dzieciństwie Jack za pomocą cyrkla wytatuował sobie na ramieniu „Rambo”. Po czym, świadoma, że Eliza będzie chciała to wiedzieć, Martha zapytała go o znak zodiaku.

— Co wolisz: *Starsky and Hutch* czy *Diuków Hazzardu*? — zapytała go.

— *Diuków Hazzardu* — odparł.

— Jasne, o wiele więcej cycków i pup.

— Aha.

Martha przyznała się, że słucha Billie Holiday, chociaż Eliza surowo poleciła jej wtrącić do rozmowy nazwy w rodzaju Chemical Brothers czy Freestylers, gdyby ktoś zapytał ją o ulubione zespoły. Wyznała też, że podobał się jej Paul Young, podczas gdy wyraźnie bardziej akceptowane było zakochanie się w kimkolwiek ze Spandau Ballet. Stwierdziła, że obecnie jej ulubiony kolor to zielony, gdyż oznaczał wolność i uzdrawianie, chociaż na ogół wołała srebrny i niebieski. Przyznała się także do dwójki dzieci oraz rozpoczynającej się sprawy rozwodowej. Uznała, że powiedziała, co najważniejsze. Teraz czekała na jego ruch — powie pewnie, że koniecznie musi do toalety. Miło było poplirtować, ale to wszystko. Skończy się, zanim się zaczęło. Czekala, aż zniknie. Nie zniknął. Zapytał jedynie:

— *Blue Peter* czy *Magpie*?

— *Blue Peter*.

— Ja też. *Morecambo the Wise* czy *The Two Ronnies*?

— Oj, trudne — westchnęła Martha. — Oba są świetne, choć z trochę innych epok. Niemal na równi, ale jednak wybieram *Morecambo the Wise*.

— Absolutnie się zgadzam. — Jack uśmiechnął się szeroko, poprawiając nieistniejące okulary. Martha odpowiedziała uśmiechem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś zapytał ją o zdanie i wysłuchał odpowiedzi. Czula się fantastycznie, jakby otworzyły się w niej nowe możliwości. Miała wrażenie, jakby gadała z jedną ze swoich przyjaciółek albo z Elizą, nie z mężczyzną. Łatwo było z nim rozmawiać, łatwo było przeskakiwać od tematów zupełnie banalnych po najbardziej intymne. Opowiedział jej o swojej rodzinie, o matce, która go rozczarowała, i podziwianym ojcu. Opowiedział jej o swojej pierwszej miłości i o ostatniej. Zastanawiała się, czy ze wszystkimi jest taki szczery i otwarty; miała nadzieję, że nie. Miała nadzieję, że coś w nim otworzyła. Zapytała go o to — jednak nie. Wobec wszystkich był taki szczery i otwarty. „Dlaczego nie?”. Szczerość bardzo się liczyła dla Jacka Hope'a.

Rozmowa zaczęła się jej rwać w głowie. Nie była pewna, co mówi, ale musiało to być fascynujące. A przynajmniej ciekawe. Jack wydawał się zasluchany. On zaś mówił interesująco, zabawnie, inteligentnie i przenikliwie. Nie była pewna, jak przeszli do pocałunków. Całkiem możliwe, że to ona poprosiła go, żeby ją pocałował.

Tak po prostu.

Tak odważnie.

Całował doskonale.

Miał delikatne, mocne usta. Gładkie, równe, pasowały do jej ust.

Nie pamiętała, kiedy ją poderwał. Dosłownie. W pewnej chwili uniósł ją, a ona owinęła nogi wokół niego, jak Julia Roberts w jakimś filmie. Sprawiał, iż wydawała się sobie dziewczęca i delikatna. Pasowali do siebie. I tak siedzieli w klubie, dopasowani, całując się. Przy nim czula się jak gwiazda filmowa.

— Nie pijesz? — zapytała Martha, doskonale świadoma faktu, że piła za nich oboje.

— Nie.

— Prowadzisz?

— Tak, ale nie dlatego nie piję. Nigdy nie piję.

„Jest alkoholikiem” — uznała w duchu. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy starczy jej sił, by sobie z tym poradzić. Jeśli rzeczywiście był alkoholikiem i potrzebował kogoś, kto zapewni mu wsparcie emocjonalne, chciałaby być tą osobą.

— Jesteś alkoholikiem? — zapytała Martha, zbyt pijana, by silić się na dyplomację lub zauważyć swój nietakt.

— Wszyscy o to pytają — odparł.

Martha poczuła się urażona; nie chciała być jak wszyscy. Przynajmniej chyba go nie obraziła.

— Nie jestem alkoholikiem, po prostu nie lubię smaku alkoholu — wyjaśnił.

Od kiedy to słowo „smak” brzmiało tak pociągająco?

*

Całe doświadczenie Marthy sprzeciwiało się kolejnemu posunięciu. Jej wychowanie, obecna sytuacja, ogólnie przyjęte zwyczaje i zasady. Nie powinna się zgodzić, by ją odwoził do domu. Z pewnością nie powinna wskazać mu dogodnego miejsca na zaparkowanie. A już z pewnością nie powinna pójść aż tak daleko. Ale co miała zrobić? Nie chciała, by dni przepływały bezowocnie, pragnęła nadrobić stracone możliwości.

Może to alkohol tak ją ośmielił. A może świadomość, że zawsze przestrzegała zasad i proszę, jak skończyła. Nieważne.

Jego penis pachniał czystością. On cały pachniał czystością. Był piękny. Duży, wspaniały, silny, prosty i symetryczny. Martha zawsze uważała penis za raczej śmieszny część ciała. Dziwaczne kształty i kolory — ale na ten radość było patrzeć. Jack był radością.

Usiadła z policzkami w ślinie i spermie, jednak czuła się czystą. Nie łatwa, chociaż przecież powinna, zważywszy na to, że posunęła się o wiele dalej niż pieszczoty, w wieku trzydziestu dwóch lat, w samochodzie zaparkowanym kilkaset metrów od domu.

Ufała mu.

Podwiózł ją pod drzwi. Dom był ciemny; Martha poczuła ulgę na myśl, że Eliza śpi. Nie chciała z nikim rozmawiać — jedynie położyć się do łóżka i marzyć.

Z wysiłkiem otworzyła oczy; z zaskoczeniem ujrzała wpadające przez zasłonki promienie słońca. Przecież był grudzień, powinno być szaro. Obróciła głowę; nie bolało, a powinna mieć kaca. Czy natychmiast po obudzeniu nie powinna się poczuć okropnie, po czym doprawić się mieszanką wstydu i żalu?

Nic podobnego.

Martha rozprostowała nogi i ramiona. Boże, poszła do łóżka nago. Sięgnęła po piżamę i ledwie zdążyła nałożyć górę na głowę i wciągnąć spodnie, kiedy Eliza, Mathew i Maisie wpadli do pokoju.

— Wstawaj! Przyniosłam ci herbatę, mam nadzieję, że czujesz się okropnie. — Eliza podała Maisie Marcie, a filiżankę postawiła na stoliku obok. Mathew skakał po łóżku, niemal przewrócił filiżankę, potem wślizgnął się pod kołdrę obok matki i siostry. Mimo że Eliza była już ubrana, nie oparła się pokusie i dołączyła do nich, siadając po stronie, którą Martha nadal określała jako „stronę Michała”.

— I co, fajnie było?

— Świetnie.

— Tak myślałam. Widzisz, byłam pewna, że jak już się wybierzesz, to ci się spodoba. O której wróciłaś? Chyba bardzo późno, bo do trzeciej oglądałam jakiś film na Sky.

— A tak, chyba było przed czwartą.

— To co robiłaś tak długo? Wróciłaś do Claire na kolejne drinki?

— Nie.

— No to co?

— Nie uwierzysz.

— Spróbuj.

— Byłam w Holland Park, o-b-c-i-ą-g-a-l-a-m. — Martha powiedziała ostatnie słowo po literze, choć niemożliwe, żeby Mathew zorientował się, o co chodzi.

— Co takiego?! — Eliza usiadła wyprostowana; tym razem filiżanka w końcu spadła ze stolika. Szybko poszukały papierowych ręczników, wytarły kołdrę, ale nic nie mogło zmyć wstrząsu na twarzy Elizy.

— Przyznaj się, nabierasz mnie.

— Nie.

— Kto to? Znam go?

— Nie, poznaliśmy się na imprezie.

— Cholera jasna, Martha. — Eliza zastanawiała się, co powiedzieć. Była przekonana, iż siostra pogrzyży się w poczuciu upokorzenia i wstydu, nie chciała więc potraktować jej zbyt ostro, choć czuła się naprawdę wstrząśnięta. — No cóż, nie przejmuj się za bardzo. Po pijaku ludzie wyczyniają różne głupoty. Zalicz to do doświadczenia życiowego i nie czuj się upokorzona.

— Nie czuję.

— No to nie czuj do siebie nienawiści. To równie zła rzecz, a nawet więcej. Nie zatrzymuj się nad tym i nie zacznij się nienawidzić.

— Nie zaczynam.

— Naprawdę?

— Super było — zapewniła Martha i uśmiechnęła się w kubek, gdyż przed oczami stanęła jej scena z poprzedniego wieczoru: Jack unoszący ją, przytuloną do niego. „Zuchwała babka z ciebie” — powiedział. Był imponujący, piękny, duży, a nawet wielki. Chyba naprawdę zrobiła mu dobrze; ciężko się napracowała. Podniecający był fakt, że ktoś jej pragnął tak szczerze i otwarcie. Martha podrapała się po nosie, zastanawiając się, jakim cudem zamienia się w kobietę zainteresowaną urodą męskich penisów.

Eliza gapiała się na siostrę. Nie mogła się zdecydować, jaką przyjąć taktykę. Jej mina wyrażała jednocześnie zdziwienie, zaskoczenie, radość i wściekłość. Martha nie powinna przecież tak się zachowywać. Eliza nigdy nie myślała, że może jej być tak trudno zaakceptować zmiany, a chyba stąd brało się jej rozdrażnienie. Choć czy to na pewno zmiany? W czasach szkolnych Martha obściskiwala się po kątach na imprezach w przykościelnym klubie. W sobotnie poranki siostry chowały się w sypialni, jadły tosty, piły herbatę, ignorowały rodziców i używały języków.

Do rozmów, do niczego innego.

— No to jak było? — mruknęła.

— Bardzo miło.

— Miło? Brzmi parszywie. Poproszę o szczegóły.

Martha dała sobie czas do namysłu, unosząc Mathew i sadzając go na podłodze z łamigłówką. Nie wiedziała, jak zacząć. Po pierwsze, zapomniała o codziennej procedurze omawiania wszystkiego, co się wydarzyło, nie pamiętała, że powinna opisać swoje przeżycia co do najmniejszego szczegółu, ale też brakło jej słów, by go opisać, a gdyby nawet umiała to zrobić, nikt by jej nie uwierzył.

Był boski.

Absolutnie idealny.

Facet, którego można spotkać w książce albo filmie, lecz nie w życiu.

Spojrzała na Elizę, myśląc, od czego zacząć. Eliza czekała z twarzą ożywioną zaciekawieniem.

— No, trudno to dokładnie powiedzieć...

— To zacznij od rzeczy fizycznych. Jak wygląda?

— Bosko, doskonale. Jak bohater filmowy. — Martha mimo woli uśmiechnęła się szeroko. Elizie mina zrzędła; kiwnęła głową i usiłowała zachęcić siostrę uśmiechem, ale uwagi Marthy nie uszła czujność w jej wzroku.

— O co chodzi? — zapytała rozdrażniona.

— Nic, nic. Mów dalej.

— Dlaczego tak się zatroskałaś?

— Wcale nie.

— Właśnie tak. — Martha pocałowała Maisie w głowę i automatycznie wystukała na jej stopce rytm wierszyka o misiu biegającym po ogrodzie. Maisie zachichotała.

— Po prostu mężczyźni tacy jak w książkach albo filmach nie istnieją. Nie w realnym życiu. Dlatego czytamy książki i chodzimy na filmy; żeby sobie pomarzyć — wyjaśniła Eliza. Przykro jej było, że rozwiewa złudzenia siostry, lecz ktoś musiał to zrobić. Martha przypominała owieczkę z napisem na szyi: „zjedź mnie żywcem”, która weszła do jaskini lwa.

— Jack jest takim facetem. Wygląda jak bóg, ma ciało, za które można dać się posiekać, jest szczerzy, bardzo miły i dobrze się ubiera — upierała się Martha.

„Ciało? — pomyślała Eliza. — Ciało, za które można dać się posiekać?”. Czy to naprawdę powiedziała jej siostra?

— Skąd wiesz, skoro dopiero się poznaliście?

— Nie wiem, skąd wiem, ale wiem.

— Umie tańczyć? — wypytywała Eliza.

— Bardzo dobrze. I nie pije.

— A, zawsze jest jakaś wada. Dlaczego nie pije? Może to alkoholik?

— Mówi, że nie. — Martha była rozdrażniona, także dlatego, że to samo przyszło jej do głowy.

— A jeśli nawet, to co? — zapytała zaczepnie.

Eliza jedynie uniosła brwi.

— Może jest jednym z tych, którzy traktują swoje ciało jak świątynię? Nie pije, bo alkohol ma mnóstwo kalorii, a on musi wszystko kontrolować.

— Po prostu nie lubi smaku alkoholu — westchnęła Martha, żałując, że Eliza uparła się wylewać na nią kubły zimnej wody. — Słuchaj, spędziłam cudowną noc. I tyle. Nie czuję się zawstydzona, nie mam poczucia winy. Nie czuję się nieprzyzwoita ani łatwa. To było wspaniałe przeżycie. Sama przecież poradziłaś mi, żebym trochę zaryzykowała.

— Mówiłam o kupnie zamszowej spódnicy, a nie obciążaniu fiuta obcym facetom w miejscach publicznych!

— Nie czuję się przy nim jak przy obcym.

— Ale jest obcy. Mógł się okazać mordercą.

— Ale się nie okazał.

— Nie będzie cię szanował.

— Chyba mnie szanuje.

— Jesteś taka naiwna.

— A ty cyniczna.

— Nie zadzwoni.

— I tu się mylisz! — Martha sięgnęła pod łóżko. Znalazła komórkę i triumfalnie wyciągnęła ją ku siostrze. Na ekranie widniała treść SMS-a: „Cześć, piękna. Spotkamy się później?”.

Elizę zamurowało. Dlatego, że Martha wymieniła się numerami telefonów, ale też i z tego powodu, że doczekała się odzewu, oraz — w końcu — że z powodzeniem posłużyła się komórką do odebrania SMS-a.

— Nie mam zamiaru wychodzić za niego, chcę tylko z nim powychodzić — broniła się Martha.

— Powychodzić — powtórzyła Eliza. Martha na ogół wychodziła do ogródka z praniem. — Muszę ci przyznać, że szybko się uczysz. Mathew, Maisie, zostawmy mamę na chwilę, idziemy na śniadanie. — Zgarnęła dzieci i majestatycznie wypłynęła z pokoju. Do pełni efektu brakowało jej jedynie sukni z tiurniurą.

Martha nie oczekiwała aż takiej cenzury ze strony siostry. W końcu ona wysłuchiwała niezliczonych relacji z podobnych przeżyć Elizy, nigdy nie wygłaszając swojej opinii, choć często ją kusiło, żeby to zrobić. Eliza zawsze utrzymywała, że kilka dobrze wybranych w czasie, jednonocnych przygód pomaga podtrzymać poczucie własnej wartości; nie należała do tych, które uważają je za plamy na honorze. Do wściekłości doprowadzał Marthę fakt, że nie chodziło tu o moralną ocenę jej postępowania. Słowa Elizy wypływały z troski o siostrę. Eliza nie wierzyła, by Martha poradziła sobie emocjonalnie z takim trybem życia, uważała ją za zbyt niedoświadczoną, gdyż seks był domeną Elizy, nie Marthy. „Jakbym była dzieckiem — pomyślała Martha. — Przecież urodziłam dwoje dzieci, oczywiście, że umiem sobie poradzić. Poza tym właśnie rzucił mnie mąż, nie mam serca, które można by złamać. Ono już nie istnieje. Jestem bezpieczna”.

25

— Posiedzisz wieczorem z dziećmi? — zapytała Martha Elizę. Od godziny zbierała się na odwagę, by zadać to pytanie. Dała dzieciom kolację i wykąpała je, więc siostra nie powinna mieć dużo pracy, zresztą na ogół chętnie jej pomagała. W sumie to sama Eliza stwierdziła, że Martha powinna częściej wychodzić. Jednakże tym razem Martha miała wrażenie, iż Eliza nie przykłada się do jej planom.

— Dlaczego? Dokąd idziesz? — odparła pytaniem Eliza, nie unosząc wzroku znad czasopisma.

Martha знаła siostrę na tyle, by wiedzieć, że w tej chwili najbardziej zajmuje Elizę jej życie towarzyskie, a nie artykuł o odwyku.

— Umówiłam się z Jackiem, jeśli nie masz nic przeciwko temu, mam — odparła lekko, starając się nie zwracać uwagi na nadgorliwość i wścibstwo siostry, ale w rzeczywistości już ją to irytowało. Zaciągnęła zasłonki, odcinając się od mroku zimowej nocy i skupiając się na idyllicznej scenie w pokoju. Mathew bawił się cicho pociągami, Maisie piła mleko. Martha pochyliła się, wzięła córeczkę w ramiona i przytuliła ją, wdychając zapach jej świeżo umytych włosów — najpiękniejsze perfumy świata. Calvin Klein nigdy nie zdoła zamknąć tego zapachu w butelce.

— Już się zgodziłaś, tak? — zapytała Eliza podenerwowana.

— Nie. Zgodziłam się pod warunkiem, że będziesz mogła zająć się dziećmi. Tak mu powiedziałam — odparła Martha cierpliwie.

I nieprawdziwie.

Już się umówiła z Jackiem. Uznała, że w poniedziałek wieczorem siostra raczej nie będzie miała żadnych planów, pewnie zgodzi się posiedzieć z dziećmi.

— A więc przyznałeś się mu, że masz dzieci? — spytała wyzywająco Eliza. — I jak zareagował?

— Spoko.

„Spoko. Spoko”. — Eliza powtarzała w myślach to słowo, tak często powtarzane, ale w ustach siostry tak niezwykle. Rzuciła okiem na Marthę, sprawdzając, czy ten nowy, emocjonalny język przypadkiem jej nie żenuje. Martha wydawała się niewzruszona. W sumie ostatnio zaskakiwało jedynie to, że Martha wydawała się tak zadowolona i naturalna.

— Hm, tyle ci powiem, wpadłeś mi w oko. SMS niemal natychmiast, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin po tym, jak się spotkaliście, już się z tobą umawia — skwitowała Eliza.

— Myślisz, że wpadłam mu w oko? — Martha podrzuciła Maisie w górę i złapała ją wśród chichotów i śmiechu. Martha również zaczęła się śmiać; Eliza nie była pewna, czy z Maisie, czy z radości na wieść o tym, że wpadła Jackowi w oko.

— No jasne.

— Naprawdę? — Martha nie umiała ukryć radości.

— No tak, jeszcze z nim nie spałaś.

— Zajmiesz się dziećmi czy mam wynająć kogoś z agencji? — kontynuowała Martha spokojnie, nie dając się złapać.

— Zajmę — westchnęła Eliza.

— Dzięki. — Martha odwróciła się, żeby wyjść z pokoju.

— Słuchaj, nie chodzi o to, że nie chcę zajmować się dziećmi — dodała Eliza, kiedy siostra stała już w drzwiach.

— Wiem. — Martha zamknęła drzwi. Nie padło wiele słów, ale były znaczące.

Według Marthy Eliza całkiem niepotrzebnie się o nią denerwowała. Przecież nie spędziła ostatnich dwóch dni, snując się i rozmyślając o Jacku. Nie rozpamiętywała wszystkich jego słów, jego uśmiechu i sposobu poruszania. Nie wypisywała kredą jego imienia na tablicy Mathew. Nie planowała, co ubrać i powiedzieć na pierwszej randce. Nie waliła pięścią w powietrze, kiedy zadzwonił, nie skakała z radości po domu, gdy zaproponował, żeby się spotkali.

No dobrze. Zrobiła to wszystko.

A jednak uczucie takiego życia, takie emocje, na pewno nie są niczym złym.

W przeciwieństwie do większości kobiet przed ważną randką, Martha nie miała czasu na długą kąpiel w zmysłowych olejkach zapachowych marki Body Shop czy też na peeling, wcieranie kremu przeciw cellulitisowi, nawilżenie ciała czy twarzy ani nałożenie pełnego makijażu. Nie zwróciła żadnej uwagi na swoją bieliznę ani nawet na ubranie wierzchnie. Mathew miał lekką gorączkę. Nic poważnego, lecz zrobił się marudny i nie chciał jej puścić. Martha wbiegała i wybiegała z pokoju, usiłując uspokoić go książeczkami, pluszakami i calpołem. Właśnie przymierzyła dwie niemal jednakowe czarne bluzki i dwie niemal jednakowe białe, kiedy Maisie zwymiotowała w łóżku, co pociągnęło za sobą zmianę pościeli.

— Jak się czuje? — zapytała Eliza.

— Za dużo jedzenia i wrażeń — odparła Martha, ściągając z łóżka mokre prześcieradło.

Eliza stała w drzwiach, usiłując nie okazywać niechęci.

— Mathew, dałeś Maisie swoje cukierki?

— Mówiłaś, że trzeba się dzielić. — Mathew podniósł na nią swoje duże, niebieskie oczy, co ją całkowicie rozbroiło.

— Mówiłam, kochanie, to prawda. — Martha pochyliła się do synka i uściskała go. Maisie rzuciła się na mamę i brata, dołączając do grupowego uścisku.

— Może nie powinnam wychodzić — odezwała się Martha, tknięta poczuciem winy.

— Nie idź, mamusiu. Zostań z Mathew i Maisie — błagał chłopiec. Zdziwiał, jak w jednej sekundzie przeskakiwał od radości do rozpacz.

Martha spojrzała na Elizę w oczekiwaniu na jej opinię. Była już spóźniona i z pewnością nie wyglądała najlepiej. Jeśli dzieci naprawdę zachorują, nigdy sobie nie wybaczy.

Eliza była przekonana, że Jack Hope przyniesie im kłopoty. Marta najwyraźniej nie wiedziała, co robić. Mogła skorzystać z okazji i namówić siostrę, żeby została w domu. Otworzyłyby butelkę chardonnay i pudełko czekoladek i spędziłyby przemiły wieczór.

Westchnęła.

— No już, Mathew, puść mamę i szykuj się do snu. Martho, zostaw, ja to zmienię. Jeśli zaraz nie wyjdiesz, będziesz naprawdę mocno spóźniona.

Chyba chodziło o to, że Martha wyglądała na bardzo szczęśliwą.

Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Martha nie pamiętała jego wyglądu, a przynajmniej niedokładnie. Wiedziała, że był zabójczo przystojny, ale Boże, jeśli to był efekt piwa, które z niedojdy robiło przystojniaka? A jeśli go nie rozpozna? A jeśli to jakiś frajer? A jeśli uzna ją za puszczałką? W sumie tak się zachowała. Czy zorientuje się, że wcale taka nie jest — i czy będzie mu zależało? A jeśli okaże się nudny albo arogancki? Może uznała go za interesującego tylko przez porównanie z Michaeliem. Zachichotała na tę myśl; okrucieństwo naprawdę bywa przyjemne.

Włosy miała jeszcze mokre, na rzęsach odrobinę mascary, a na ustach błyszczak, na sobie dzin-sy i czarną koszulę. Martha jęknęła; na pewno nie można jej było posądzić o nadmierne starania. Co ona wyprawiała? Zaledwie trzy miesiące po rozejściu z mężem już ugania się za innym facetem? Czy nie za szybko? A zawsze była tak ostrożna. Powinna czuć się nieswojo.

Nie czuła się tak.

Pchnęła ciężkie, drewniane drzwi. Zabawne, że zaproponował randkę właśnie tutaj. Sieć All Bar One. Spodziewała się raczej, że wybierze jakiś modny klub w West End, do którego jej nie wpuszczą z powodu niewłaściwego ubrania. All Bar One był jej ulubionym miejscem jeszcze ze starych czasów; przed urodzeniem dzieci często tu bywała. Czuła się w nim swobodnie.

No, na ogół czuła się swobodnie. Nie dzisiaj. Dzisiaj miała serce w gardle.

Wtedy go zobaczyła.

I serce uciekło jej w bieliznę, co uznała za naprawdę dziwaczne.

Stał przy barze. Najwyraźniej dopiero przyszedł, gdyż płacił za sok pomarańczowy. Uśmiechnął się.

— Kupić ci coś do picia? Pięknie wyglądasz.

Pocałował ją w usta, jakby była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Wyglądał nieziemsko. Jak mogła w to wątpić? Dlaczego nie wspomniała Elizie, że ma fantastyczne ciało? Niewiarygodne bary, wystarczyłoby spojrzeć tylko na ramiona! Jak mogła nie pamiętać takich oczu? Niesamowita mieszanka zieleni i żółci. Przypominała jej spacer w lesie w letni dzień. Był to kolor liści wysokich dębów, przez które przenikały promienie słońca. Jak to możliwe, żeby mieć oczy koloru letniego dnia?

Okazał się naprawdę interesujący, to nie była tylko sprawka wina. Inteligentny, troskliwy, do-ciekliwy i doświadczony. Jak wtedy, kiedy się poznali, nie mogli się nagadać. Rozmawiali o pracy (był specjalistą w projektowaniu stron internetowych, w dodatku, z tego, co zrozumiała, zajmował wysokie stanowisko), jego kumplach (byli dla niego jak rodzina), ojcu (który go wychował) oraz reszcie rodzi-ny (z którą zerwał kontakt).

Był przerażająco modny. Mówił o swoich zainteresowaniach i chociaż nie wyrażał się dosłow-nie, jasno wynikało, że zna się na najnowszych trendach. Nosił ubrania Diesla, nie zawiązywał sznu-rowadeł, lecz wsuwał je w buty, gdyż tak widocznie było modniej. Martha wiedziała, że Mathew bę-dzie zachwycony tą nowiną, i zastanawiała się, jak długo zdoła przed nim ukrywać ów cenny sekret. Jack słuchał zespołów, o których Martha nigdy w życiu nie słyszała. Używał języka, którego za bardzo nie znała, choć go rozumiała. On „wszedł w strefę”, ona była „fajną laską”. Kolegów nazywał „kole-siami”, a superkurtkę określił słowem „zarabista”. Grał w gry wideo i kochał się w Ulali, gdyż Lara Croft była przeżytkiem. Bujał się po mieście. Chciała się bujać z nim.

A najdziwniejsze, że był też stuprocentowym dżentelmenem, niemal niedzisiejszym w swoim pełnym galanterii stosunku do niej. Nie przychodziło mu to naturalnie, choć miał wielką wprawę; w szkole podstawowej — państwowej zresztą — nie nauczono go otwierać kobietom drzwi. Nauczono go otwierać siłą drzwi samochodów. Kobietom otwierał drzwi, gdyż lubił kobiety. Nie był nieśmiały. Zabawiał ją opowieściami o tym, jak w wieku lat czternastu przestał być prawiczkim (a raczej sam z tego zrezygnował; jednak wzruszyło ją, że podłożył wtedy dziewczynie swoją kurtkę, żeby nie zmarzła). Nie miał zbyt wysokiego formalnego wykształcenia, ale posiadał żywy, poszukujący wyzwania umysł, jakby od lat należał do stowarzyszenia absolwentów Oksfordu. Słuchał ze szczerym zainteresowaniem. Stawiał pytania świadczące o tym, że naprawdę skupiał uwagę. Rozmawiał z ożywieniem.

Chyba zaczęła się w nim zakochiwać.

Nie, to nie może być prawda.

To o wiele za wcześnie. Niedorzeczność. Nie mogła się zakochać.

Ale tak wyglądało.

Był naprawdę bardzo, bardzo zabawny. Doskonale się z nim gadało, dużo wiedział. Kiedy na nią spoglądał, jego oczy docierały do najgłębszych zakątków jej duszy, przepalając je niesamowitą mieszaniną bólu i przyjemności.

Był naprawdę cholernie seksowny.

— Powiedz mi jeszcze raz, kim byli ci goście, z którymi przyszedłeś do baru? — zapytała Martha, starając się omijać wzrokiem zawartość jego spodni.

— Dave i Drew. Kumple z pracy.

— Chyba mówiłeś. — Martha poczuła, że z głębin pamięci wypływają mgliste wspomnienia z ostatniej soboty.

— Tak.

— Przepraszam, byłam wstawiona.

— Wiem.

Uśmiechnęli się; Martha z ulgą, że nie musi przeproszać. W jakiś sposób wszystko, co robiła i mówiła przy Jacku, było w porządku.

— Co u Mathew i Maisie? — zapytał. Marcie pochlebiło, że pamięta imiona jej dzieci.

— Wysoko w najlepszym porządku. No, w tej chwili są trochę marudne, bo chore, wiesz, jak to jest, ale ogólnie świetnie.

— Właściwie to nie wiem. Prawie nie mam kontaktu z dziećmi.

— Nikt z twoich znajomych nie ma dzieci? — zapytała Martha zaskoczona. Jej świat wypełniały dzieci jej i znajomych.

— Niewielu moich kolegów ma dziewczyny, nie wspominając o dzieciach.

Doskonale. Martha nie miała ochoty spędzać całego dnia na rozmowach o dzieciach, mogła o nich rozmawiać z przyjaciółkami. Chciała tylko odrobiny zabawy, odprężenia.

— Jesteśmy zdeklarowanymi singlami — dodał. Zdeklarowanymi singlami?

To nie brzmiało za dobrze. Nie, żeby chciała stałego związku, Chciała tylko odrobiny zabawy, odprężenia. A czasami wydawało się jej, że organista dopiero co spakował nuty po jej marszu weselnym.

— Nie szukam ojca dla dzieci, bo one mają ojca. Nie szukam również męża, gdyż formalnie rzecz biorąc, jeszcze go mam.

Dlaczego to powiedziała? Pewnie zadziałał kieliszek chardonnay.

— Szukasz faceta?

— Nie. — Martha absolutnie nie szukała faceta, przynajmniej nie czyniła starań w tym kierunku.

— To dobrze, bo właśnie rozpadł mi się związek; chciałbym przez jakiś czas być sam.

Martha poczuła się trochę dezorientowana. Jeśli chciał być sam, dlaczego trzymał dłoń na jej kolanie? Czemu pocałował ją na przywitanie? Kim więc była dla niego?

— Właśnie?

— No, rozeszliśmy się latem.

Według niej był to przyzwoity odstęp czasu.

— Zostawiła cię? Brakuje ci jej?

— Ehm... nie, to ja z nią zerwałem. Nie, nie cierpię za bardzo. Nie zgorzkniałem i nie zdziwiałem. Zbyt dobrze bawię się z moimi nagimi koleżankami, nie mam ochoty na dziewczynę.

— Nagie koleżanki?

— No, opowiadałem ci w sobotę. Martha spojrzała na niego tępo. Jack był zaskoczony.

— Nie pamiętasz, tak?

— Czego nie pamiętam?

— O nagich koleżankach.

— Przypomnij mi.

Wyjaśnił jej, na czym to polegało. Krótko mówiąc, miał ochotę na namiętny seks z dużą liczbą kobiet, kiedy tylko mu przyjdzie ochota, ale nie chciał kłamać. Nie lubił kłamstw. Wprowadzały zamieszanie. Wyłożył jej jasno, że naga koleżanka to coś zupełnie innego niż kobieta, gdyż — jak większość mężczyzn — przespałby się z każdą osobą płci żeńskiej posiadającą ciało i krew w żyłach. Jego nagimi koleżankami były zawsze dziewczyny, które lubił, z którymi dobrze mu się rozmawiało i bawiło, a nie słodkie idiotki.

Martha ze zdziwieniem stwierdziła, że pomysł nagich koleżanek jakoś nie wzbudził w niej wstrętu. Udało mu się wyjaśnić swoje potrzeby i chęci w tak szczery, naturalny sposób, że naprawdę

uznała to za świetny pomysł. Wręcz ją podkreślił. Pochlebilo jej, że mogłaby zostać jedną z jego koleżanek. Nie chciała związku. Nie szukała nikogo, kto mógłby zastąpić Michaela, uważała to za niemożliwe. Nie da się zastąpić męża i ojca dzieci. Ale jak po takiej stracie, po takim zawodzie, można oddać mężczyźnie cokolwiek innego oprócz ciała? Jak oddać serce i umysł? A jednak chciała, żeby ktoś ją trzymał w ramionach. Chciała, by jej dotykał, gdyż kiedy Jack musnął ją w policzek, kiedy odsunął kosmyk włosów z jej oczu i zatknął go za ucho, czuła się cudownie. Kiedy całował koniuszki jej palców, każdy z osobna, czuła się cudownie. Kiedy całował ją w usta, czuła się cudownie, cudownie.

Przyjechali do niej do domu i robili zwykłe rzeczy, których zazwyczaj Martha nie robiła.

— Ehm... kawy czy herbaty? — zapytała promiennie uśmiechnięta, w nadziei, że uśmiech pokryje zmieszanie.

Była zmieszana, gdyż przyjechali tu na gorący seks, a nie na gorące napoje. Omówili wszystko w barze i uzgodnili warunki, niemal tak, jakby zawierali umowę handlową. Jack przyznał się, że uważa ją za niesamowicie atrakcyjną i z przyjemnością zabawi się z nią do rana. Martha była wniebowzięta; potrzebowała poczucia, że ktoś jej pragnie. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że są inne osoby, które mają prawo do ich troski i serca, co też uzgodnili między sobą. Obiecali szanować rolę tych ludzi. W przypadku Marthy były to dzieci, w przypadku Jacka — nieokreślona liczba jego „nagich koleżanek”.

Nie była to być może najbardziej romantyczna propozycja w życiu Marthy — zbyt nowoczesna, by była romantyczna — ale miała na razie absolutnie dość romantyzmu. Przysięga małżeńska brzmiała niesłychanie romantycznie, a jednak — kiedy przychodziło co do czego — okazywała się zbyt ciężka do wypełnienia. Marcie podobało się takie postawienie sprawy. Było jasne. Sytuacja wydawała się prosta, obie strony mogły coś zyskać. A przynajmniej była to propozycja na tyle dobra, na ile może się spodziewać osoba z odzysku, czyli już nie pierwszej jakości. Jej własny mąż jej nie chciał, więc kto może zainteresować się resztkami? Bliskość, do jakiej Martha przywykła, została boleśnie zerwana; brakowało jej tego. Chciała ją odtworzyć, choćby na krótko. Pragnęła, żeby jej łóżko ogrzewał mężczyzna, nie termofor. Chociaż na jedną noc. Dalej w przyszłość nie sięgała.

— Nie przepadam za gorącymi napojami, masz może sok?

— Zero alkoholu, zero kofeiny, co za dziwak — zakpiła Martha i natychmiast tego pożałowała. Miało brzmieć śmiesznie, lecz wyszło raczej obelżywie. Spojrzała na Jacka; uśmiechał się swoim łagodnym, wyrozumiałym uśmiechem. Martha w pośpiechu usiłowała nadrobić nietakt.

— Jack, nie pijesz, Jack, nie palisz, Jack, po co żyjesz? — zaśpiewała. Zakręciła się w sposób, który miał być seksowny, a przynajmniej zabawny, ale — jak się obawiała — wyszło żałośnie. Jej parodia Mrówki Adama wyszła nie najgorzej, ale i nie najlepiej, a już na pewno nie oryginalnie. Jack uśmiechnął się odrobinę szerzej, lecz Martha miała wrażenie, że była to z jego strony jedynie uprzejmość, a w rzeczywistości nawet nie zorientował się, kogo naśladowała. Żeby ukryć zmieszanie, się-

gnęła do lodówki i zaczęła wymieniać, czym go może poczęstować. Sprawdzała się przynajmniej jako gospodyni.

— Mam sok pomarańczowy, soki Ribeny, napój truskawkowy i mleko.

— Poproszę mleko.

Martha poczuła ściskającą wewnątrz radość. Jack przypominał w tej chwili małego chłopca. Bardzo grzeczny i prosi o mleko. Nagle jego oszałamiająca atrakcyjność przestała ją onieśmielać; był po prostu facetem, który lubi mleko. Pod wpływem impulsu Martha zanurzyła palec w kubku jogurtu i namalowała sobie nim wąsy przypominające Mrówkę Adama.

— Wstawaj i melduj! — krzyknęła, odwracając się do Jacka. Nie pamiętała słów piosenki z programu, więc niemal nie fałszując, zanuciła samą melodię.

Tym razem Jack uśmiechnął się od ucha do ucha, a nawet oczami. To był chyba największy uśmiech z wielu, jakimi obdarzył ją tego wieczoru. Rozejrzał się po kuchni i jakby dzięki czarom (Martha zawsze potem wierzyła, że były w tym czary) zauważył maskę Batmana należącą do Mathew. Nałożył ją na twarz.

— Hej, kowboju! — zawołała Martha.

Jack zaczął śpiewać. Oczywiście nie znał słów. Skacząc po kuchni strzelał z palców jak z pistoletów i zdmuchiwał z nich dym po wystrzale.

Martha dołączała, kiedy tylko mogła.

— Czy w następnej linijce nie ma czegoś o tym, żeby wydać kasę i dobrze wyglądać?

— I mieć klasę — zaśpiewał rozemocjonowany Jack.

— A może, nawet się rymuje. A potem coś o tym, by zwrócić na siebie uwagę?

— Masz rację, mała. — Powinno to zabrzmieć jak część piosenki, ale nie zabrzmiało.

Pocałunki wychodziły im nadzwyczajnie. Niektórzy ludzie umieją całować, inni — co może być wielkim wstrząsem — nie. To dar. Martha umiała. Jack również. Umieli całować się nawzajem, doskonale im szło. Całowali się bez końca. On całował jej usta, szczęki, policzki, powieki, uszy i szyję. Chyba naprawdę mu się to podobało. Nie śpieszył się, nie liczył czasu, po prostu dał się ponieść fali. Nie zdradzał oznak chęci przejścia do następnego etapu. I dobrze, gdyż Martha nie miała pojęcia, jak się przechodzi do następnego etapu.

Nie do końca.

Nie za dobrze pamiętała.

W końcu minęło dużo czasu.

Usiłowała o tym nie myśleć. Prawdopodobnie Jack miał o tym pojęcie. Jego pocałunki różniły się intensywnością, od romantycznych do namiętnych i znów romantycznych, aż kręciło się jej w głowie.

I hmm... w dolnych częściach ciała.

O Boże, jaką bieliznę miała na sobie? Całkiem możliwe, że reformy ze sklepu Mothercare. Nigdy nie zdobyła się, żeby je wyrzucić, bo biała bawełna to jednak najwygodniejsza rzecz. Mimo że niekoniecznie najlepsza do wzbudzenia pożądania.

Chociaż miejmy nadzieję, że po dojściu do etapu bielizny Jack nie będzie już chciał się wycofywać.

Całując, jednocześnie cały czas ją głaskał, jakby świadomie odsuwał od niej samotność. Za każdym pociągnięciem ręki starannie zmniejszał dystans dzielący ich ciała oraz samotność czającą się w jej myślach. Jego dotyk koił, pocieszał, a wkrótce, kiedy przestała się martwić, co udawało się jej nie dłużej niż na kilka sekund — zaczął ją również podniecać. Wprawnie przestawiał ją i przekładał, sprawiając, że czuła się mała i poddana całkowicie jego sile. Utarty schemat, w jaki weszli, sprawił, że miała ochotę śpiewać, skakać i tańczyć. Dotyk jego palców na jej żebrach rozpalał jej skórę; kiedy przesunął palcem po jej biodrach w kierunku zamka dżinsów, wygięła się, bezsłownie zachęcając go, by je rozpiął.

Czy naprawdę chciała to kontynuować?

Jednym szybkim, wprawnym ruchem ściągnął T-shirt przez głowę. Miał olśniewający tors. Nigdy nie widziała podobnego, ani u chłopaków koleżanek, ani u przechodniów na ulicy, ani nawet na reklamach. Szerokie ramiona, złocista skóra, zarys mięśni i żadnej skazy. Na środku pleców widniał mały tatuaż. Fantastyczny. Martha nie zdawała sobie dotąd sprawy, że aż tak działało na nią fizyczne piękno.

Bardzo dobrze, że zdecydowała się kontynuować.

Śmieszne, zawsze najbardziej pociągał ją w mężczyznach umysł, nie mięśnie. Ale po wieczorze spędzonym z Jackiem wiedziała, że w tym wypadku mogła mieć do dyspozycji jedno i drugie. Jak to możliwe? Czy to w porządku? Czy fakt istnienia takiego Jacka oznaczał, że gdzie indziej musiał żyć ktoś niewiarygodnie brzydki i głupi, kto bez powodzenia usiłował poderwać dziewczynę w All Bar One? Zapewne tak, może nawet niejeden. Co za cholerna niesprawiedliwość.

Nie pamiętała, kiedy zsunęła z siebie spodnie, centymetr po centymetrze, ale z pewnością nie przedwcześnie. Pamiętała tyle, że leżała na dywanie w salonie. Może dlatego właśnie, że leżąc na dywanie w salonie, usiłowała zachowywać się jak najciszej, żeby nie obudzić Elizy ani dzieci, poczuła się dokładnie tak, jak w młodości, gdy obściskując się ze swoim chłopakiem na kanapie rodziców, była świadoma, że jeden jęk może ściągnąć ich uwagę.

Jego chłodne palce wędrowały po jej piegowatych ramionach, od jednego piega do drugiego, jakby rysował między nimi linie. Szybkim, niemal nieoczekiwanym ruchem zdjął trzymającą się jeszcze na nadgarstkach koszulę i rozpiął jej stanik. Wziął jej piersi w dłonie. Wydawał się domyślać, gdzie ma dotykać i jak silnie, by sprawić jak najwięcej przyjemności. Jęcząc cicho, poruszając się po-

woli, jakby miał przed sobą całą wieczność, chłodnymi palcami doprowadzał jej system nerwowy do stanu przegrzania.

Już nigdy nie będą to tylko piersi. Martha miała teraz cycuszki. Ładne, godne pożądania, seksowne. Czuła się pożądana, niemal ścigana jak zwierzyna łowna. Pełna emocji i dostarczająca emocji.

Położył ją z powrotem na dywanie. I wszedł w nią.

Poruszali się wolno i szybko, długimi i krótkimi skokami. Pot spływał po plecach Marthy między pośladki, jej skóra migotała jak posypana złotem. Jack ssał, gładził i w końcu pchał z precyzją, od której traciła dech, mowę, zdolność poruszania się, mając tylko nadzieję na więcej. Czuła, jak pokonuje wszelkie jej zahamowania. Jego wielki, piękny penis zawładnął nią, doprowadzając ją do orgazmu kilka razy z rzędu. Z każdym nowym potokiem spermy spływającej jej między udami przeszłość odpływała. Jego pocałunki paliły jej usta, jak kwas usuwający ślady tego, co przeszło. Przed nim nie było niczego.

Czuła zapach własnego pożądania, fantastyczny zapach. Cudowny. Jej nogi jakby się wydłużyły, piersi były bardziej sterczące, talia węższa. Jack stanowił dla niej nową szansę, nowe marzenie, możliwości. Myślała, nawet spodziewała się, że po tylu latach z jednym mężczyzną będzie jej dziwnie kochać się z kimś nowym.

Nie było dziwnie.

Miała wrażenie, jakby jego czyste, gładkie, sprężyste ciało zostało stworzone wyłącznie dla dostarczenia przyjemności jej czystemu, gładkiemu, sprężystemu ciału. Czuła się tak, jakby stworzono ją tylko dla niego, tylko po to, by go przyjmować w siebie i obejmować.

Wszystko znikło w bieli, a potem w czerni.

Myślała, że otworzyła oczy, ale nie była pewna. Nie widziała wyraźnie. Powoli wzrok się jej wyostrzał; miała przed sobą jego półprzymknięte oczy. Uśmiechnął się nerwowo. Czy dobrze sobie poradził? Czy była zadowolona? Czy czuła się tak jak on? Czy on czuł się tak jak ona? Wpatrywała się w niego, w każdy szczegół, nawet w delikatną, niemal przezroczystą skórę powiek. Strukturę jego mocnych, twardych ust. Chciała go zapamiętać, wchłonąć, zjeść, chciała się stać jego ciałem. Chciała dotrzeć do niego tak blisko, by wejść pod jego skórę, stać się nią.

Leżeli w ciemnym pokoju, oświetleni jedynie latarnią z ulicy. Martha potarła twarzą o jego ramię, stapiając swoje życie z jego życiem. Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

Możliwe, że wycalaował każdy centymetr jej ciała i umysłu. Dotarł do niej. Zdała sobie sprawę, że powinna być mniej otwarta, bardziej ostrożna. Resztki rozsądku wołały, by zachowała odrobinę rezerwy, dyskrecji, rozwagi i czujności. Ale Martha rzuciła się jednak głową w dół. Zanurkowała. Upadła. Odrzucając wszelką ostrożność, jaką powinna była zachować.

Wcześniej znalazła się na dnie, ale teraz miała już nadzieję. Kochała i utraciła, ale wciąż miała nadzieję.

— Poczekaj, wyjaśnijmy to — zażądała Eliza. — Całą noc?

— Tak.

— Nie wierzę.

— Ja też nigdy nie wierzyłam w takie opowieści, ale to prawda.

— To podaj mi liczby. Ile razy?

— Cztery.

— Czyli zakochałaś się w nim, tak?

— Ha, ha, tego nie powiedziałam. — Martha już nie wiedziała, jak się objawia zakochanie, ale uznała, że bezpieczniej będzie zmienić temat. — Ma wspaniałe brwi.

— Brwi. — Elizę zatkało. — Boże, musi być naprawdę potworem, jeśli pozostaje ci jedynie komplementować jego brwi.

Martha uśmiechnęła się i zanuciła cicho.

— Wręcz przeciwnie. Wygląda tak bosko, że nawet jego brwi są boskie. Tak idealne, jakby co tydzień odwiedzał Amy. — Była to ich doskonała kosmetyczka; obie zdawały sobie sprawę z tego, jak wielki był to komplement. — Znasz to uczucie, kiedy widzisz na ulicy kogoś sławnego? Kogoś z ulubionego serialu, kto zawsze ci się podobał?

— No tak.

— Zawsze spotyka cię rozczarowanie. Okazują się za niscy albo mają brzydką cerę.

— No właśnie.

— A on nie rozczarowuje. Za drugim razem był nawet piękniejszy niż za pierwszym. Ma tak długie rzęsy, że opierają się na policzkach. Kości policzkowe jak wyrzeźbione. Skóra promienieje. Ma trzydniowy zarost jak bohater. Wiesz, Elizo, tak można sobie wyobrazić gladiatora. Nawet niewyspany wygląda cudownie.

Eliza podniosła brwi z miną odpowiednio sceptyczną oraz zdrową dawką irytacji. Martha uzmysłowiła sobie, że chyba nie udało się jej zmienić tematu.

— Martha, kochanie, ty na niego leczysz.

Rozmowa odbywała się następnego dnia w salonie. Kobiety ubierały choinkę. Zamierzały skończyć, zanim Mathew wróci z przedszkola, a Maisie obudzi się z popołudniowej drzemki. Były na etapie stawiania drzewka w donicy w pozycji mniej więcej pionowej. Olbrzymie pudło z ozdobami zostało zniesione ze strychu. Miały już nawet za sobą niewiarygodnie nudne sprawdzanie jakości lampek choinkowych. Oczywiście przy okazji odkryły — jak zwykle — że lampki, w zeszłym roku odłożone do skrytki w idealnym stanie, już nie migały ani nie świeciły. Były martwe jak kamienie i żadne do-

kręcanie nie przywróciło im życia. Martha dała za wygraną i poszła kupić nowe. Jako że skoczyła do pobliskiej galeryjki, zapłaciła o wiele więcej niż w supermarkecie. Ale były piękne. „Do licha — pomyślała Martha. — Należy nam się zabawa”. Wzruszyło ją, że Eliza wzięła wolne popołudnie, by pomóc jej ubrać choinkę.

Eliza postanowiła poświęcić część swojego cennego, bo krótkiego urlopu i pomóc Marcie w przetrwaniu tego niewątpliwie ciężkiego okresu, żeby Martha nie była sama; na pewno każda bombka była obciążona bagażem wspomnień.

— Wyrzuc tę okropną gwiazdę. W tym roku na czubku choinki powiesimy aniołka — zarządziła Martha.

— Co takiego?

— Czasy jej świetności dawno minęły. Spójrz, całe ręce masz w brokacie z gwiazdy.

— Ale przecież na tym polega jej urok — sprzeciwiła się wstrząśnięta Eliza. — O to chodzi w ozdobach świątecznych, żeby były stare.

— Nigdy nie uważałam cię za przesadnie sentymentalną — skomentowała Martha. — Nie, wyrzuc ją, te łańcuchy też, i jeszcze wszystkie mikołajki bez bród.

— Choinka będzie goła.

— Kupię nowe ozdoby.

Elizie bardzo się to nie spodobało. Nigdy by się tego nie spodziewała. Czy Martha nie powinna być bardziej zamyślona? Bardziej uczuciowa? Nie powinna jej ogarnąć nostalgia? Wcale nie chciała, żeby Martha nadal oddawała się żałobie po Michaelu, ale przecież Jack nie mógł całkowicie usunąć wspomnień tak szybko i tak dokładnie, prawda? Eliza uznała siostrę za nieuleczalnie naiwną — Martha nie miała pojęcia o tych sprawach. Oczywiście, Jack sprawił, że poczuła się cudownie, miał w tym wprawę; był maszynką do wywoływania w kobietach orgazmu. Zapewne w swoim czasie sprawił, że mnóstwo innych kobiet poczuło się cudownie. Biedna Martha. Jak można w takim wieku i w tych czasach być tak bezwstydnie romantycznym?

Eliza uznała, iż czas wprowadzić nieco ostrożności do klejącego się związku Marthy.

— Poczekaj, chcę zrozumieć jeszcze raz ten interes z nagimi koleżankami. Facet ma ileś tam koleżanek, że ujmę to słowo w wielki cudzysłów.

Martha westchnęła, ale Eliza zignorowała ją i mówiła dalej.

— Ma ileś tam koleżanek, z którymi sypia, ale nie są to żadne związki.

— Tak.

— Zabiera je jednak do restauracji, do kina, do barów, spotyka się z nimi regularnie.

— Tak.

— No to dlaczego nie zejdzie się z jedną z nich?

— Bo mówi, że dziewczyna to osoba, z którą się kłóci w supermarkecie.

— Jakież to romantyczne. I cholernie błyskotliwe. Boże, facet ma tupet. Mam nadzieję, że sprowadziłaś go na ziemię. — Eliza ścisnęła w ręce pozbawionego brody mikołajka. Nacisk okazał się zbyt silny, głowa figurki zapadła się pod jej kciukiem. Najwyraźniej wyobrażała sobie, że to głowa Jacka. Albo Michaela. Albo Tarquina, Piersa, Charliego czy Sebastiana. A może wszyscy byli na tej liście.

— Nie do końca — przyznała Martha, wyjmując siostrze z ręki zmaltretowaną figurkę i wyrzucając do śmieci. Zanotowała w pamięci, żeby kupić Elizie gumową, antystresową piłeczkę. Od czasu zerwania z Gregiem o wiele łatwiej się denerwowała, Greg miał na nią doskonały wpływ.

— Co to znaczy „nie do końca”? — zażądała Eliza wyjaśnień.

— No, on nie chce stałego związku, i co z tego? — Martha wzruszyła ramionami.

— Dużo z tego. To nie dla ciebie.

— Skąd wiesz? — Martha skupiła się na znalezieniu właściwego miejsca dla drewnianego rudzika.

— Nie jesteś typem, który idzie na takie układy, jesteś stworzona do monogamii.

— W tej chwili mi to odpowiada. Nie chcę się pakować w żaden nowy związek. Poza tym ja też mogę mieć nagich kolegów.

Eliza omal się nie udławiła; powstrzymała się jedynie olbrzymią siłą woli. Okropne byłoby udławić się przed zareagowaniem.

— Kogo? Od tygodni usiłuję znaleźć sobie nagiego kolegę, ale w kółku twoich znajomych to właściwie niemożliwe. Faceci z twojego notesu raczej zaproszą dziewczynę na herbatę niż do łóżka.

Martha pochyliła się nad pudłem po kolejną ozdóbkę. Tym razem wybrała żołnierzyka o marsowej minie.

— Zostaw mnie w spokoju, Elizo.

Ale Eliza nie mogła zostawić jej w spokoju.

— Martha, nie uda ci się. I przestań nucić, do cholery! — nakazała, coraz bardziej przejęta. — Chodzi o to, że taki stan jest u ciebie nienaturalny. Przypomnij sobie, zawsze zakochiwałaś się w faceciach, z którymi spałaś.

Martha na sekundę przestała nucić, ale tylko dlatego, że w pamięci błysnął jej moment, kiedy piękny, wielki penis Jacka wsunął się w jej rozgrzane, niecierpliwe ciało. Cały czas mężczyzna wpatrywał się w jej oczy, jakby rzucał na nią urok, a jego spojrzenie wwierało się w mózg kobiety z taką samą intensywnością, z jaką on sam wwierał się w jej ciało.

— Michael dzwonił wczoraj wieczorem — rzuciła Eliza.

— Tak?

— Nie zapytasz, co powiedział?

— Co powiedział? — zapytała Martha posłusznie, ale Eliza wyraźnie widziała, że siostra myśli o czymś innym. Na krótką chwilę rozważała możliwość, iż po raz pierwszy Martha sięgnęła po narkotyki, ale odrzuciła ją. Jednak musiało być jakieś wyjaśnienie, oprócz seksualnego doświadczenia tego faceta, prawda?

— Mówił, że chce z tobą porozmawiać o podziale mebli.

— Wybrał doskonały czas — skomentowała Martha, po czym wróciła do tematu, który naprawdę ją interesował. — Jack zapytał mnie, co myślę. Po wszystkim, kiedy leżeliśmy razem.

— Nie wierzę ci. Żaden mężczyzna nie pyta kobiety, co myśli. Ich to nie obchodzi. Wymyśliłaś to sobie.

— Nie, naprawdę zapytał.

Eliza nie dowierzała, ale rozmawiała przecież z Martha, niezdolną do kłamstwa, więc postanowiła wziąć jej słowa za dobrą monetę.

— No to w takim razie, co myślisz?

— Nie wiem — odparła Martha. — To nieważne.

— Chyba nie.

Zamilkły obie, przez jakiś czas skupiając się wyłącznie na choince. Kiedy Eliza ostrożnie wieszła gołąbka pokoju na jednej z kolczastych gałązek, odezwała się.

— Jedno musisz wiedzieć. Każda kobieta, która umawiała się z kobieciarzem, ma to samo złudzenie.

— Tak? A jakie?

— Że właśnie ona skłoni tego frajera, by się ustatkował.

— Naprawdę?

— Tak. I wiesz co?

— Nie, co?

— Żadnej się nie udało.

— Naprawdę?

— Zapewne powiedział ci, że zadzwoni.

— Owszem.

— Nie zadzwoni.

— Już zadzwonił.

Eliza usiłowała nie pokazać swojego zaskoczenia, a Martha swojej radości.

— Przyjedzie dzisiaj wieczorem — dodała.

— To naprawdę nie ma przyszłości.

— Jeśli nawet, kogo to obchodzi?

— Robisz duży błąd — ostrzegła Eliza.

— Ale przynajmniej swój błąd — odpaliła Martha.

27

Jak zwykle w grudniu Eliza czuła się podle. Dni zlewały się w chaotyczny ciąg imprez, długich lunchów oraz obowiązkowego po nich kaca. Wszelkie jej postanowienia, że tego roku wykaże się bardziej dojrzałą postawą wobec okresu dobrej woli, spełzły na niczym. Wręcz przeciwnie, przyjęła więcej zaproszeń niż przed rokiem. Poza tym nie bardzo miała dokąd wracać. Przebywanie z Martha już nie było przyjemne, a nie miała własnego kąta.

Eliza była zła. Nie miała do końca pewności, na kogo czy na co, podejrzanych było wielu. Zarówno w skali makro, jak i mikro. Wściekała się na Freda i Elle, z którymi spędziła większość poprzedniej nocy, podpierając bar w Atlanticu. Dlaczego Fred zaproponował trzecią kolejkę tequili? I dlaczego żadne z nich nie pomyślało o tym, żeby zamówić najpierw coś do zjedzenia? Kupowanie kolejnej butelki chardonnay tylko dlatego, że poprzednia się skończyła, trudno nazwać odpowiedzialnym zachowaniem. No dobrze, zrzygała się, a Ella pomogła jej wczłogać się do taksówki. Na dodatek rano zadzwoniła, czy Eliza nadal istnieje w jednym kawałku (Eliza ledwie była w stanie odpowiedzieć twierdząco), ale to nie usprawiedliwiała nieodpowiedzialności z poprzedniego wieczoru.

Na dodatek, Eliza miała serdecznie dość sklepów pełnych ludzi robiących przedświąteczne zakupy. Dlaczego wszyscy odkładali do dwudziestego drugiego grudnia kupno prezentów dla rodziny, przyjaciół, kolegów z pracy i znajomych? Oczywiście sama nie miała wyboru, była zbyt zajęta przeróżnymi imprezami, przyjęciami, obiadami i kolacjami, które przemysł muzyczny organizował o tej porze roku w przerażających ilościach. Boże, miała zbyt silnego kaca, by próbować się nad tym poważnie zastanawiać.

Miała też po trosze dość Marthy. Mieszkanie z nią, odkąd spotkała tego całego Jacka Hope'a, już nie było tym samym. Teraz Martha nigdy nie miała czasu na kobiece pogwarki. Fakt, pytała, czy te albo inne spodnie pasują do bluzki, można z nią było porozmawiać o nowych piosenkach, ale chyba już nie potrzebowała Elizy tak jak na początku jesieni. Eliza już nie musiała podawać jej chusteczek, ocierać łez i podtrzymywać na duchu, choć z nieprzyzwoitą regularnością bywała proszona o zajęcie się dziećmi. Któregoś dnia Martha wpadła do jej pokoju z pytaniem, czy siostra ma może zapasową prezerwatywę. Cholera jasna. Szczerze mówiąc, Elizę to mocno żenowało. Świadomość, że siostra uprawia seks, jest tylko odrobinę lepsza od świadomości, że rodzice uprawiają seks. Przerazająca myśl. Traumatyczna.

À propos rodziców, Eliza miała również dość troski rodziców. Przecież gołym okiem było widać, że Martha ma się doskonale. Uprawiała seks częściej niż przeciętny napalony kogucik wypuszczony z więzienia, wyglądała lepiej niż kiedykolwiek przedtem, jej nowa, krótka, potargana fryzura

bardzo do niej pasowała, jak również nowe ubrania i biżuteria. Ale czy to przekonało państwo Evergreen? Najwyraźniej nie. Wydzwaniali do Marthy codziennie z pytaniem, jak się czuje. Córka wciąż ich zapewniała, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale jakoś w to nie wierzyli. Na końcu dodali obrazę do krzywdy, kiedy zadzwonili do Elizy do pracy, chcąc się upewnić, czy u Marthy „wszystko na pewno dobrze, bo może stara się tylko nas chronić, jest taka opiekuńcza”.

Cholera, a co z nią samą? Nikt nie pytał, co u niej. Nie miała seksu na zawołanie, a właściwie nie uprawiała seksu w ogóle. Nie wydawała co sobotę fortuny na ciuchy. Jej włosy nie rosły w sposób, który wszyscy określiliby jako doskonały. Wręcz przeciwnie. Podczas gdy Martha eksperymentowała z nowym, bardziej swobodnym wizerunkiem, Eliza usiłowała poskromić swoje niesforne loki. Nierozważnie obcięła je bardzo surowo i krótko, co miało zwracać uwagę na jej elfie rysy twarzy, ale nie wyszło. Wyglądała, jakby przeszła sześciomiesięczny staż w Holloway. Fryzura nie wypaliła i Eliza miała ochotę płakać za każdym razem, kiedy spozrzała w lustro.

Pozostawienie Grega nie oznaczało, że wyrzuciła go z pamięci. W końcu przez cztery lata byli razem. Nie jako małżeństwo, ale prawie. Greg był właściwie pierwszą wielką miłością jej życia. I jeśli mężczyźni, z którymi się spotykała, stanowili próbkę reprezentacyjną, a obawiała się, że tak jest — miała duże szanse, że tak zostanie.

— Cześć.

— Cześć.

To on. Stał przy kasie w sklepie Bootsa, kupował krem do golenia, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Wcale nie była. Nie wtedy, kiedy na jego widok zapierało dech w piersiach; płuca jej skłęły jak przekłute baloniki. Odbyła przecież trzy randkowe kolacje i sześć obiadów. Cztery razy umówiła się do kina, trzy razy na koncerty, dwa razy na bowling, a raz nawet na squasha, ale żaden z możliwych kandydatów zaproponowanych przez Marthę nie wywołał w jej sercu takich fanfar, jak widok Grega, żaden nie poruszył jej w żaden sposób. Nie czuła do nich nic.

No i przybierała na wadze.

— O rany, Greg.

Wyciągnęła ramiona, żeby go objąć, gdyż wydawało się naturalniejsze dotknąć go, niż zachować dystans. Greg wyglądał i pachniał znajomo, ale jednak obco. Znajomo — domem. Obco, jak piękny nowy mebel w domu.

— Co u ciebie? — Uśmiechnął się swoim charakterystycznym, leniwym, szerokim uśmiechem.

— Zmieniłaś się.

— A tak, włosy. — Eliza odruchowo sięgnęła dłonią to tego, co zostało z jej włosów. Czy sprawiały, że wyglądała doroślej?

— Nowy płaszcz?

— Czy wyglądam w nim jak młoda, przedsiębiorcza profesjonalistka?

— No nie bardzo, Lizo. Raczej ktoś w rodzaju... hm... nie obraż się, ale czy mama pomagała ci go wybrać?

Eliza roześmiała się i pokiwała głową.

— No to poza okropną fryzurą i zacofaniem w dziedzinie mody, co u ciebie?

Powinna czuć się urażona, ale nie była.

— Doskonale. Tak, świetnie, doskonale, cudownie się układa — szczebiotała. Greg znów się uśmiechnął; jego uśmiech był jak masaż ramion.

— O, to dobrze.

— A u ciebie? — zapytała.

— Hm, wiesz, nie najgorzej.

„Wiesz”? Nie wiedziała. Co oznaczały te słowa? Tęsknił za nią? Cierpiał z powodu złamanego serca? Czy był obojętny? A może poderwał jakąś nimfomankę metr osiemdziesiąt pięć, rozmiar osiem, która była jej chętną przyjaciółką?

Dlaczego ją to obchodziło?

— Jak tournée?

— A świetnie, doskonale. Superzabawa. Ale teraz wracam do rzeczywistości.

— Rzeczywistości? Sprzedajesz kapelusze czy co? — zadrwiła Eliza. Zabrzmiało niezbyt uprzejmie, choć nie miała takiego zamiaru; chciała tylko zażartować.

Greg wzruszył ramionami.

— Lubię to.

Eliza poczuła się przywołana do porządku; miała ochotę uciec. W niezręcznych sytuacjach zawsze chciała uciekać. Ilu znanych jej z dotychczasowych randek mężczyzn przyznało, że lubi swoją pracę? Żaden. Najlepsze, co o niej powiedzieli, to: „opłacalna” albo „przynajmniej mam co robić”.

Chciała już pożegnać się i odejść, ale Greg zapytał:

— A co z Martha?

— Wiesz już?

— Tak, wiem.

— Doskonale.

Greg wydawał się zdziwiony.

— Zadzwoń kilka razy, chciałem zapytać, czy nie mogę w czymś pomóc.

— Tak, wspominała mi o tym, ale nie musisz się martwić. U niej wszystko w porządku. Ma ją kto pocieszać, bardzo jej to służy. — Eliza znów chciała się ugryźć w język. Dlaczego gadała takie bzdury? — Tęskniłam za tobą. — To były naprawdę głupie słowa.

Gdyż w takiej sytuacji on mógł tylko powiedzieć:

— Ja też tęskniłem.

I co na to odrzec? Eliza spojrzała na stos reklamówek Bootsa z nadrukami specjalnie na czas dobrej woli. Życzyły jej „Wesołych Świąt i Spokojnego Nowego Roku”. Dla niej były to życzenia nie do spełnienia.

— Co u Bianchich?

— Też za tobą tęsknią.

— Ja za nimi także.

Boże, co za kretyńska rozmowa. Dlaczego nagle wrosła w ziemię? Dlaczego zwyczajnie nie odwróci się i nie odejdzie?

Dlaczego jej po prostu nie pocałował? Nawet na sekundę nie odwrócił od niej wzroku; chociaż ona skakała spojrzeniem po całym sklepie, od podłogi przez sufit i ozdobione lady, jakby cierpiała na szczególnie ciężki astygmatyzm, wszędzie, byle nie na niego — Gregowi udało się mniej więcej utrzymać kontakt wzrokowy. Przynajmniej próbował, jak tylko mógł.

— Nie brakuje ci tego, Lizo?

— Czego?

— Tego. Nas. Tego, co robiliśmy razem.

Natychmiast uznała, iż chodzi mu o łóżko, więc zaskoczyły ją jego kolejne słowa.

— Na przykład wysyłania sobie śmiesznych kartek.

— Zapominania o urodzinach — podpowiedziała złośliwie.

— Ubierania się jedynie w nasz pot.

— Niepłacenia rachunków.

— Karmienia się nawzajem palcami z naszych ciał jako talerzy.

— Robienia tygodniowych zakupów w Cullenie, zamiast w supermarkecie, co byłoby o wiele rozsądniejsze.

— A tak, rozsądniejsze. — Greg uśmiechnął się do siebie; nie pytając, Eliza wiedziała, o co chodzi; żadne z nich nie było przykładem szczególnego rozsądku.

— Czytania przy świecy — dodał.

— I płamienia dywanu woskiem — uzupełniła.

Ale nie była tak zagniewana, jak można by sądzić z jej tonu.

— Muszę lecieć — poddał się Greg. — Mam jeszcze dużo do kupienia. Skoro teraz jesteś taka rozsądna, pewnie wszystko już kupiłaś w listopadzie.

— Oczywiście — skłamała Eliza. Szczęśliwie miała rękawiczki, więc mogła skrzyżować palce tak, by Greg tego nie zauważył. Wierzyła w przesąd, że kłamstwo wypowiedziane przy skrzyżowanych palcach przestaje być kłamstwem. Wtedy nie jest to naprawdę nieuczciwe.

— Ehm... no cóż, to wesołych świąt.

— No, nawzajem.

Greg pochylał się, żeby ją pocałować. Czy zamierzał pocałować ją w policzek czy w usta? Eliza szybko odwróciła głowę, żeby nie zostawić żadnych wątpliwości. Uznała, że gdyby naprawdę pocałował ją w policzek, z rozczarowania mogłaby się popłakać. To na pewno skutek kaca. Dlatego była tak uczuciowa. W rezultacie Greg trafił ją w małżowinę ucha. Trwał około jednej nanosekundy, a był najbardziej erotycznym pocałunkiem, jaki otrzymała w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

— Możesz odmienić fryzurę i ciuchy, Elizo, ale nie serce — wyszeptał jej Greg do ucha.

Eliza odskoczyła do tyłu.

— Można się zmienić.

— Owszem, ale nie serce.

Odwrócił się i wmieszał w tłum świątecznych klientów.

Eliza patrzyła, jak się oddalał. Greg był mężczyzną, więc nie obchodziło go, czy ktokolwiek zauważy jego nową fryzurę, ale... przystanął i odwrócił się.

— Przy okazji, Lizo, masz naprawdę słodką fryzurę! — zawołał.

Nareszcie!

Cholera.

28

Martha spędziła grudzień, robiąc to, co zawsze robiła w grudniu. Kupiła kartki świąteczne, wysłała je z odpowiednim wyprzedzeniem, jak doradzała poczta Jej Królewskiej Mości. Przez tłumy klientów w sklepach przeciskała się z długą listą zakupów i krótkim czasem na ich zrobienie. Wybrała przemyślane prezenty dla rodziny i przyjaciół. Opakowała je w olbrzymie ilości papieru oraz obwiązała przesadną ilością wstążek i kokardek. Urządziła przyjęcie dla dzieci i ich kolegów. Kupiła indyka, upiekła ciasto i zrobiła pudding. Poszła na mszę w opactwie Westminster. Na jasełka zrobiła Mathew kostium karczmarza. Wywiesiła skarpety na świąteczne prezenty.

Wykonywanie tych zajęć sprawiało, że życie stawało się znośne.

Jedynie różnice między grudniem tego roku a wszystkimi poprzednimi polegały na tym, że o wiele częściej kłóciła się z Michaeliem — ponieważ bardzo trudno przychodziło jej być elegancką, miłosierną oraz wielkoduszną; z drugiej strony bardzo często kochała się z Jackiem — gdyż coraz łatwiej przychodziło jej być godną pożądaną, słodką i fascynującą.

Pokłóciła się z Michaeliem, bo nie przyjął jej zaproszenia na pierwszy dzień świąt. Martha przywykała do myśli, że Michael ją porzucił, ale wciąż nie mogła zrozumieć, jak mógł porzucić dzieci. Czy nie chciał zobaczyć ich buź, kiedy niszczyły przygotowane przez nią opakowania prezentów? Pokłócili się, gdyż Michael chciał zabrać część jej ozdób, żeby udekorować swoje mieszkanie. Pokłócili się, gdyż Michael kupił jej drogi prezent, chociaż na ogół dawali sobie symboliczne podarunki. Co to

miało znaczyć? Chciał ją nim splącić? Przekupić? Nie powiedział. A może chciał uciszyć sumienie? Pokłócili się, gdyż powiedział, że cieszy się świętami, co Martha uznała za obraźliwe.

Okropne, metaliczne wykonania świątecznych piosenek w sklepach wprawiały ją w przygnębienie. Anielskie głosiki dzieci śpiewających kolędy w Westminsterze nie poprawiały jej nastroju. Dostała kilka kartek skierowanych jeszcze do niej i do Michaela, gdyż wielu znajomych nie wiedziało, że się rozwodzą; czuła się tym zakłopotana. Wszystkie kartki życzyły jej „Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku”, co brzmiało jak złośliwość.

Nie kłócili się o Jacka. Martha zadzwoniła do Michaela i opowiedziała mu o Jacku. Motywy jej postępowania były dość złożone. Jak powiedziała Elizie, chciała postępować otwarcie i uczciwie; nigdy nie lubiła uników. W końcu to Michael pierwszy powiedział, że jej nie chce. Powiedział, żeby robiła, co jej się podoba. Jednakże w głębi Martha była przekonana, iż Michael zauważy różnicę między teorią a praktyką, czyli faktem, że sobie kogoś znalazła. Nie przyznała się Elizie do znacznie mniej szlachetnego motywu — chciała wzbudzić zazdrość Michaela. Jednak on nie wydawał się w najmniejszym stopniu zmartwiony tym, że tak szybko zaczęła się spotykać z kimś innym; wręcz przeciwnie, z ulgą zaczął ją zachęcać.

Dla Marthy było to wyjątkowo obraźliwe.

Przez cały grudzień Martha oczywiście nadal zajmowała się dziećmi, jak zawsze doskonale, a nawet jeszcze lepiej. Czytała im książeczki, bawiła się z nimi, ubierała je, uczyła i prowadziła. Gotowała, sprzątała oraz zapewniała atrakcje. Dzięki temu czuła, że jej życie ma jednak sens. Ale odprężała się dopiero przy Jacku. Bez niego jej życie było znośne, nawet sensowne, lecz z nim stawało się również przyjemne. Jeśli wysłał jej SMS-a, zadzwonił albo, co najlepsze, odwiedził — dzień stawał się prawdę radosny. Jack był tylko dla niej. Jeśli nawet kilkanaście innych kobiet miało takie same odczucia, no cóż, Martha była gotowa podjąć takie ryzyko. Potrzebowała go. I często uprawiali seks.

Seks z nim był doskonały — tak jak się umówili.

Miała nadzieję, że jego piękny penis wypełni ją na tyle, by powstrzymać uciekający z niej optymizm. Bardzo często Marthę dopadała samotność, a przy nim czuła się nieco mniej samotna. Kiedy się kochali, było jej po prostu wspaniale. Odczuwała ulgę.

— Czy w tym wszystkim nie chodzi tylko o żądzę? — zapytała Eliza.

— Żądzę i zabawę — odparła Martha, chichocząc.

Eliza nie była pewna, czy siostra widziała różnicę. Ostatnio zachowywała się jak gwiazdka filmów pornograficznych. Nosila obcisłe bluzeczki oraz wydekoltowane, przezroczyste koszule. Fakt, Eliza i jej koleżanki ubierały się tak samo, poza tym Martha nie wyglądała w nich zbyt prowokacyjnie, gdyż w okolicach dekoltu była równie mało rozwinięta, jak siostra, ale jednak Eliza czuła się niezręcznie. Poza tym Martha wciąż mówiła o seksie. „Czy kiedykolwiek robiłaś zdjęcia? Myślałaś o tym, żeby nakręcić film?”. Jezu, Eliza czuła się jak purytanka.

— Opowiedz mi o tej zabawie — poprosiła Eliza sceptycznie. O żądy słyszała już więcej, niż mogła strawić. Czuła, że za chwilę rozerwie ją zazdrość.

— Nago oglądaliśmy na DVD świetne filmy.

Nago oglądali filmy, o których Martha nawet nie słyszała. Najlepszy był kawałek o tym, jak jedli popcorn ze swoich ciał. I to opowiadała kobieta, która zamykała się na klucz w łazience, biorąc prysznic, a sypiała w pizamie! Teraz zapadała w sen jedynie w swoim pocie.

— W nocy recytuje mi do snu *Silly Old Baboon* Spike'a Milligana. Pamiętasz? Czytałyśmy to w dzieciństwie.

— Pamiętam — odparła Eliza niecierpliwie.

Jack recytował Spike'a zwykle po tym, jak doprowadził Marthę do szczytowania przynajmniej dwukrotnie, ale Martha wyczuła, że siostra nie ma ochoty słuchać takich szczegółów.

— Graliśmy w gry komputerowe. — Martha wiedziała już, co to jest konsola, i chociaż nie wydawało się możliwe, by kiedykolwiek zapamiętała imię szybkiego, kolczastego języka, nie mówiąc już o tym, by pomogła mu ocalić świat, ale jednak grywała w Rez, czyli niemal już stała się trendy. W dodatku grywali w to nago, jednak i ten detal Martha wołała zatrzymać dla siebie.

— Założyliśmy się u bukmachera, że święta będą białe. Byłaś tam kiedyś? — Tym razem byli ubrani, w końcu to już grudzień.

— Co w nim jest takiego niezwykłego? — zapytała Eliza.

— Nie mówiłam ci?

— Nie. No owszem, wspomniałaś, że na myśl o nim zamieniasz się w galaretę, że ma dużego, sprawnego penisa, dużo cię całuje i pracuje w Holland Park, bardzo wygodnie. A, jeszcze dobrze się ubiera oraz — co ważne — nie pije, więc może odwozić cię do domu. Ale poza tym chyba nie wiem o nim nic.

— Dziwne — powiedziała szczerze zaskoczona Martha. — Hm... od czego zacząć? Jest cudownym przyjacielem. Zrobi wszystko, żeby pomóc kolegom. Nigdy, nigdy nie zdradził. Kiedy miał dziewczynę, nie pocałował innej.

— Rzadka rzecz.

— Rzadka? Zanim go poznałam, myślałam, że tacy faceci wyginęli.

— Ale skoro ma te swoje nagie koleżanki, więc kiedy nic go nie powstrzymuje, używa sobie, ile wlezie.

Martha zignorowała tę uwagę.

— Miał niełatwe dzieciństwo. Mógł wyrosnąć na człowieka okrutnego i twardego, mógł się kompletnie wypaczyć, ale spróbował żyć porządnie. Na wszystko, co ma, ciężko zapracował; nie dostał nic od bogatych i kochających rodziców. Jedyne, co od nich otrzymał, to przykład, kim należy być, a kim nie należy — ojciec pokazał mu jedno, matka drugie. Rzucił szkołę, kiedy miał szesnaście lat,

ale pracuje na stanowisku takim, jakie mają nasi znajomi, którzy skończyli Oksford albo Cambridge. Jako nastolatek sprzedawał owoce i warzywa, by zarobić na rower. Uwielbia swoje koty, a z dziećmi bawi się tak czule, że serce mięknie. Jest wyjątkowy, bo wchodzi do pokoju z wysoko uniesioną głową, ma do tego wszelkie prawo.

— To żałosne, Martho, że nie rozumiesz podstawowej rzeczy: musi być w tym jakiś hak.

— Żałosne, że widzisz wszędzie same haki.

— Bardzo szybko wam poszło.

— Wiem, że tak wygląda. Ale nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi mnie, co ludzie pomyślą. —

Dopóki tego nie powiedziała, Martha nawet nie zdawała sobie sprawy, że tak myśli, ale teraz była pewna.

— Rany, przerażasz mnie. Najpierw zachowujesz się jak żona ze Stepford, a po chwili mogłabyś nauczyć Pammie A kilku łóżkowych sztuczek. Nie twierdzę, że bycie żoną ze Stepford pasowało do ciebie, bo nie, ale nie jesteś sobą. Chyba to wstrząs.

Martha odwróciła się do siostry.

— Czuję się sobą bardziej niż kiedykolwiek przedtem — powiedziała powoli.

Eliza z pewnym zaniepokojeniem stwierdziła, że nawet tak spokojny głos i krótkie zdanie mogą być tak naładowane siłą i przekonaniem. Postanowiła przy najbliższej okazji sprawdzić w Internecie traumę pourazową. Może to właśnie przypadek Marthy.

— A co z innym nagimi przyjaciółkami? — zapytała rozpaczliwie. — Mówił ci coś o nich?

— Nigdy nie pytałam.

Jack nie okłamywał Marthy. Czasami chciałaby, żeby to robił, sporo by ułatwił. Kiedyś popełniła błąd; zapytała go, czy spał z jedną ze swoich koleżanek. Lubiła ją, póki nie usłyszała odpowiedzi twierdzącej. Mówiąc to, Jack pocałował Marthę; nie wiedziała, czy chciał ją w ten sposób pocieszyć, czy zatkać jej usta. Udało mu się jedno i drugie. Postawił ją na nogi i wziął na ręce tak, jak się przenosi pannę młodą przez próg. Kołysał ją przy tym jak dziecko; Martha przymknęła oczy i ugryzła się w język.

Może uda im się przejść przez próg. Jeśli nie będzie zadawać zbyt wielu pytań i wymagać zbyt wielu odpowiedzi.

— To proste i jasne, Elizo. Dobrze się bawimy i z tego, co widzę, może to trwać w nieskończoność. Dlaczego nie? — W tej chwili powtarzała dokładnie słowa Jacka, gdyż rozmawiali o tym poprzedniego wieczoru. To on zaproponował, by w nieskończoność tak się bawili.

— Czy w nieskończoność znaczy na zawsze? — zapytała wtedy Martha.

— Może tak, mała.

Słowa „może nie” pozostały niewypowiedziane.

Doskonale się bawili i — jak powtarzała sobie Martha — zapewne dlatego, że żadne z nich nie miało zamiaru zakochać się. Czasami myślała, że może miałyby na to ochotę. Wyobrażała sobie, że zagląda w przyszłość i widzi chwilę, w której Jack prosi ją o rękę, po czym żyją długo i szczęśliwie; byłoby to życie bardziej uporządkowane. Ale zaraz zreflektowała się, że przecież nie ma to żadnego znaczenia. Małżeństwo niczego nie gwarantowało. Mężowie też rzucają żony. Papier, który do tej pory uważała za jednorazowe nieodwołalne zobowiązanie — jedyna odrobina magii w laickim świecie rządzonej przez technikę, zyski i wynik finansowy — to w końcu jedynie papier. Jak można komukolwiek zaufać w dzisiejszych czasach? Czasach kradzieży komórek na ulicach oraz internetowej pornografii? Jak można uwierzyć, że ktoś zamieni wszystko to, co mechaniczne, szatańskie i nienaturalne — w miłość?

Martha zdawała sobie sprawę, że nie istnieją gwarancje, jedynie mnóstwo luk w uzgodnieniach. Jedną z nich były nagie przyjaciółki. „Na zawsze” to długo; czas nieokreślony jest już wystarczająco dobrą propozycją. Przynajmniej dobrze brzmiącą. Po co komplikować?

Szeroko rozłożyła ramiona; Maisie przeszła od ciotki do matki, stawiając małe, niepewne kroczki.

— Doskonale. Powoli, dobrze... — zachęcała Martha. — Nie patrz w dół, patrz w górę.

Martha i Maisie uczyły się chodzić. Jedna stopa przed drugą. Dzień po dniu — nie ma innej metody. Najlepiej nie myśleć o niczym poza chwilą obecną. Martha musiała jedynie skupić się na tym, żeby być szczęśliwa.

To z powodu Jacka Martha zwracała uwagę na reklamy nowych zespołów lub restauracji w metrze. Czytała nowe książki i rozmawiała o nich. Przeczytała nawet powtórnie swoje ulubione powieści, wskutek czego nie miała już czasu odkurzać komórki pod schodami. Dzięki temu, że w jej życiu pojawił się Jack, wchodziła do sklepów, których wystaw kiedyś nie miała odwagi obejrzeć — okazało się też, że wcale nie są takie straszne. Sprzedawczynie w Miss Sixty wydawały się uważać, że ma pełne prawo do przymierzania najmodniejszych, postarzonych dzinsów. Wręcz pozazdrościły Marcie jej figury w rozmiarze 26 i zapytały, jakiej diety przestrzega. Powiedziała, że kapuścianej; nie chciała się przyznać, że za jej figurę odpowiada porzucenie przez męża. W Dieslu sprzedawcy wręcz z nią flirtowali — przynajmniej ci heteroseksualni — a ona odpowiadała zdecydowanie kokieteryjnym uśmiechem. Nikt nie wydawał się uważać, że jako matka dzieciom i wkrótce już była żona Martha nie ma prawa wyglądać odjazdowo. Wręcz przeciwnie, kiedy przyznawała się do swoich dzieci, spotykała się raczej z niedowierzaniem: „Naprawdę? Wygląda pani na ich ciocię albo opiekunkę”, po czym następowało pełne podziwu pytanie: „Jak udało się pani odzyskać taką figurę?”.

Martha wiedziała, że to sprzedawcy, którym płaci się za schlebienie klientom, by zostawili w sklepie pieniądze. Zapewne dostawali prowizję od obrotu — ale i tak było miło. Snobistyczni sprzedawcy w markowych sklepach nigdy nie poprawiali jej samopoczucia.

Od czasu odejścia Michaela Martha przestała co miesiąc chodzić do fryzjera; czasami stać ją było jedynie na to, by rano wciągnąć na siebie ubranie, a nie stać jej było na wysiłek, jakiego wymaga zadbanie o siebie — wizyty u kosmetyczki, fryzjera i tak dalej. Ale tuż przed Bożym Narodzeniem postanowiła zrobić coś z włosami. Kiedy przelotnie wspomniała Jackowi, że wybiera się do fryzjera, zapytał:

— Co chcesz zrobić?

— Pewnie podciąć, jak zwykle. Od dawna, właściwie od zawsze noszę taką fryzurę, no, na ogół wygląda porządniej i jest nieco krótsza. Chyba trochę zapuszczę włosy. — Martha nie planowała zapuszczania włosów, póki nie wypowiedziała tych słów.

— Super. — Jack się uśmiechnął. — Fajnie będziesz wyglądać z lekko potarganymi włosami. Ale z drugiej strony, cokolwiek byś miała na głowie, wyglądasz cudownie. — Pocałował ją, a potem kochali się na kuchennym stole.

Kuchennym stole!

Martha uświadomiła sobie, że do tej pory jedyne zabawne zajęcia związane z kuchennym stołem obejmowały przygotowanie zaproszeń na urodziny Maisie. Nie było porównania.

Jack zawsze chciał wiedzieć, co tego dnia kupiła oraz co ona i dzieci jadły na obiad. Pytał o plany na weekend oraz co kupiła rodzicom na święta. Pytał ją często, co czytała, czy podobał się jej drugi album *Fun Lovin' Criminals* pod tytułem *100% Colombian*; zakładał, że posiada własne zdanie, a ona z zaskoczeniem stwierdzała, że tak rzeczywiście było. Jako jedyna ze znanych jej osób nie myślał o niej jako o własności Michaela, co w jakiś niewytłumaczalny sposób pomagało jej dyskutować z nim o wszystkim, od poszukiwania tajemniczej przyczyny olbrzymiego wzrostu liczby ludzi uczulonych na orzeszki ziemne (oboje zgadzali się, że w czasach szkolnych nie znali nikogo z tym typem alergii) do zastanawiania się, czy podniecające jest kochanie się z zawiązanymi oczami (zgodzili się, że raz może być ciekawie, tak na próbę). Prześcieradła, na których się kochali, wchłaniały jak bibuła jej ból i jej przeszłość.

Rozmawiali o wszystkim, ale Eliza ostrzegła Marthę, by nie poruszała tematu swego małżeństwa z Michaeliem. Uznała, że go to znudzi. Martha faktycznie próbowała nie mieszać smutnych, nieprzyjemnych faktów z zabawą i przyjemnością, których dostarczał jej Jack. Nie chciała skalać czarodziejskiego świata, który sobie budowali, jednak trudno było nie rozmawiać o tym, kiedy na przykład dopiero co zakończyła taki oto dialog:

— Musimy porozmawiać o pieniądzach, Martho.

— O? — Martha rzadko myślała o pieniądzach.

— Tak. Jak wiesz, wynajmuję mieszkanie, co naprawdę nie jest tanie.

„A czyja to wina?” — pomyślała.

— A dom jest po prostu za duży dla was trojga — dodał Michael.

— Łącznie z Elizą jest nas czworo.

— Hm, Eliza nie będzie mieszkać z tobą zawsze, prawda? „No pewnie, nikt nie będzie” — przeszło Marcie przez głowę.

— Musimy wystawić dom na sprzedaż.

Martha zadzwoniła do Jacka; powiedział jej, że poprzedniej nocy śnił o Kylie oraz że w najgorętszym momencie stosunku Kylie zamieniła się w Marthę.

Rozbawił ją.

— Nie przejmuj się nim, panienko E. To stary numer.

— Poznają tytuł piosenki Basement Jaxx. — Martha uśmiechnęła się; powoli uczyła się jego aluzji i tego, co go interesowało.

— Nie, to moje słowa. Naprawdę tak myślę.

Dzwoniła do Jacka również wtedy, kiedy zrobiła wszystko, co zapisała na liście zadań, po czym popadała w melancholię, gdyż uzmysławiała sobie, że już nie jest żoną, więc czuła się niepotrzebna. Jeśli, jak w czasie jasełek, w których grał Mathew, czuła się aż obolała od samotności i wszechogarniającej, przytłaczającej pustki, gdyż jej syna jako jedyne nie oglądał na widowni ojciec, a ona jako jedyna przyszła bez męża — wtedy też dzwoniła do Jacka.

— Boże, życie jest do niczego, prawda? „Twoja matka była chomikiem, a ojciec śmierdział dzi kim bzem” — zacytował Jack.

— Słucham?

— Monty Python. Mała, nie poznajesz?

— Co, na miłość boską, zrobili nam Rzymianie? — zachichotała Martha, przez chwilę zapominając o tym, że jej plan na życie nie wyszedł. Po prostu cieszyła się chwilą.

— Drogi, kanalizację — wyliczał Jack i dodał wszelkie role, jakie Martha mogła pełnić oprócz bycia żoną: pielęgniarza, uczennica, dziwka...

Pragnął jej. Pożądał jej. Rozśmieszała go. Uważał ją za seksowną, inteligentną, interesującą. A skoro on, piękny, inteligentny bóg seksu, tak uważał, istniała szansa — mała, ale jednak — iż rzeczywiście tak było.

Zawsze dzwonił, kiedy obiecał, czasami nawet kilka razy dziennie. Odwiedzał ją wtedy, kiedy się umówili, często przynosząc ze sobą coś do jedzenia, nie oczekiwał, że Martha coś ugotuje. Był sezon imprez, więc znalezienie opiekunki do dzieci graniczyło z cudem, ale Jackowi wydawało się to nie przeszkadzać. Nie sądził, że siedzenie z Marthą w domu było nudne. Nie biegł do innych zajęć, do innych znajomych, do Internetu, nie czytał czasopism branżowych i nie ignorował jej. Początkowo Martha czuła się nieco onieśmielona, kiedy spędzali długie godziny, nie robiąc nic konstruktywnego. Kręciła się po kuchni, usiłując piec ciasta, pakować prezenty świąteczne, myć szafki. Starła się robić rzeczy, które dowodziły jej użyteczności i pracowitości. Jednak Jackowi wystarczyło chyba samo posia-

dywanie, jak to określał. Rozmowy, śmiech, opowieści, po prostu bycie. Czasami, jeśli mieli dużo energii, Martha wyciągała stary album i zabawiała go zdjęciami z czasów studiów.

— W ogóle się nie zmieniłaś, wiesz? — cieszył się. Martha spojrzała na zdjęcie, które Jack trzymał w ręce. Uśmiechała się z niego szczupła, rozchichotana dziewczyna. Miała na sobie obcisły, biały T-shirt i zblakłe, wystrzępione džinsy, a w uszach olbrzymie koła, modne na początku lat dziewięćdziesiątych. Nie nosiła skarpetek, tylko same adidas. Siedziała w barze z grupą znajomych. Pamiętała, kiedy zrobiono to zdjęcie; zaledwie kilka minut po ostatnim końcowym egzaminie. Dziewczyna uważała, że wszystkie życiowe egzaminy zostały już za nią, dlatego uśmiechała się tak niefrasobliwie i z taką pewnością siebie.

Nie zdawała sobie sprawy, iż życie okaże się serią egzaminów. I że obleje najważniejszy z nich, zanim skończy trzydzieści trzy lata. Mimo usilnych prób, mimo najszczerzej chęci nie zdołała utrzymać małżeństwa. Poczula, że robi się jej niedobrze. Zawiodła dziewczynę ze zdjęcia, jej życie się nie udało, oblała.

Jakby czytając w jej myślach, Jack powtórzył ostrożnie:

— Wcale się nie zmieniłaś, wiesz? Wyglądasz dokładnie tak, jak wtedy.

Martha była ubrana w džinsy i T-shirt. Nie miała skarpetek ani butów, ale paznokcie u stóp miała doskonale wypielęgnowane i pomalowane szkarłatnym lakierem. Faktycznie nieco przypominała dziewczynę ze zdjęcia.

— Czy naprawdę kiedykolwiek wyglądam na tak beztroską? Pełną optymizmu? — zapytała. Wiedziała, że powie jej prawdę. Obiecali sobie, że nigdy nie będą się okłamywać. Martha wierzyła w uczciwość Jacka także dlatego, że według niego ułatwiała ona życie, a on lubił łatwe życie.

— Tak, panienko E, zawsze się śmiejesz. Jesteś jedną z najbardziej uśmiechniętych osób, jakie znam. Jesteś swobodna, a biorąc pod uwagę to, przez co w tej chwili przechodzisz, radzisz sobie doskonale, udaje ci się zachować luz i stosunkową beztroskę. Ale jedynie ty sama wiesz, czy naprawdę jest w tobie optymizm. Jest?

Martha zastanawiała się przez chwilę.

— Czasami — odpowiedziała ostrożnie.

Czula się optymistycznie, kiedy wsunął dłoń po jej bluzkę. Miał duże ręce, a ona była szczupła, więc niemal objął ją w pasie. Zaczął ją całować, pociągając, ssąc i przygryzając jej usta, najpierw delikatnie, potem nieco mocniej. Jej ciało zareagowało natychmiast, wyginając się w jego stronę. Leżeli na podłodze; rzadko siadali na sofie czy na krzesłach, woleli położyć się na dywanie jak nastolatki. Przyciągnął ją do siebie, przeturlał się na plecy — i nagle leżała na nim, po czym Jack przesunął ją i rozchylił jej nogi. Dłoń mężczyzny wciąż leżała na żebrach kobiety. Przemieścił odrobinę kciuk, który znalazł się pod zakrzywieniem jej piersi. Od nóg w górę przebiegł ją dreszcz podniecenia; uśmiechnęła się zachęcająco, przechyliła, by go pocałować, ale trzymał ją na odległość, chciał, żeby jeszcze pocze-

kali. Ręce Jacka poruszały się, sięgały wszędzie, łapały Marthę za pośladki, pieściły jej sutki, głaskały po szyi. Ściągnęła bluzkę i półnaga usiadła przed nim.

— Uwielbiam twoje sterczące cycuszki, są takie seksowne — powiedział, podnosząc się i sięgając po nie ustami. Mimo że Martha nigdy nie przepadała za małymi piersiami, nagle poczuła się dumna ze swoich. Spojrzała w dół, na swoje czerwone brodawki, uniesione jego pocałunkami, i musiała się zgodzić — były bardzo seksowne, ona sama była seksowna. Zrzucili z siebie ubrania, nie zwracając uwagi, kto kogo rozbiera; najważniejsze, by jak najszybciej poczuć na skórze dotyk skóry drugiej osoby. Przerzucał ją wokół siebie, ale tak, że czuła się bezpiecznie i pod ochroną, a nie wykorzystywana czy zagrożona. Przesuwali palcami i językami po swoich ciałach, ona — wzdłuż jego penisa, po jądrach, ściskając jego pośladki. Jego dłonie przesuwwały się między jej nogami, wewnątrz, na zewnątrz, znów wewnątrz. Kiedy dotyk palców przestał im wystarczać, nie mogli się już tylko ścisnąć, łapać czy masować, użyli dłoni, potem miękkiego wnętrza przedramion, a wreszcie całych ciał, którymi pocierali o siebie nawzajem. Podskakując, wijąc się, wspinając, aż do zapierających dech w piersiach, porażających, fantastycznych orgazmów.

W takich chwilach Martha czuła się optymistycznie.

Jack zapytał Marthę, czy nie miałyby ochoty wyjść z nim, Dave'em, Drew i jego dziewczyną, Sarą. Mówili o clubbingu. Martha zgodziła się, zanim zdążyła pomyśleć o konsekwencjach swojej zgody. Uznała, że tak będzie lepiej. Gdyby zaczęła się zastanawiać, pierwotny strach tak by nią zawałdował, że z pewnością wybrałaby spędzenie kolejnego wieczoru przed telewizorem, przy powtórkach serialu *The Bill*.

Clubbing.

Z jego znajomymi.

Dla Marthy było to przeżycie równe sytuacji, kiedy osobie cierpiącej na agorafobię wmawia się, że wycieczka na Saharę może być bardzo przyjemnym doświadczeniem. Klub równał się dla niej polu minowemu. Prawdziwy klub był bardziej niebezpieczny niż tandetny bar z salsą. Martha miała przecucie, że tam nie wystarczy kręcenie biodrami. A jeśli nie spodoba się jego znajomym? Coś takiego może zrujnować związek. Jack był wyjątkowo otwarty i wyrozumiały; Martha nagle przelekkła się, że może to z jego strony jedynie litość, że naprawdę jest nieudana i do niczego. Jego znajomi na pewno to zauważą. Jak się teraz tańczy? Jak na osobę pozbawioną słuchu, Martha całkiem dobrze kiedyś tańczyła, jednak dawno temu. W jej czasach — zdawała sobie sprawę, że te słowa stawiają ją na równi z własną babcią — ale jednak w jej czasach wystarczyło gwizdać melodię i machać rękami w powietrzu, jakby chciało się desperacko zgasić płonąca patelnię z frytkami. Działo. Nie wiedziała, czy teraz też zadziała. Zapytała więc Elizę.

— Słyszałaś o klubie Fabric?

— A tak, jest w porządku.

Jej odpowiedź jakoś nie dodała Marcie otuchy.

— A... hm... jaką muzykę grają?

— Mieszankę. Mają różne pomieszczenia, w każdym leci coś innego: house, hip-hop, breakbeats.

— Aha. — To rzeczywiście wiele wyjaśniało.

— Jest olbrzymi, łatwo się zgubić.

Martha mogła w ostateczności skorzystać z tej okazji. A czy warto pytać?

— A... tego... co się tam nosi?

— Cokolwiek.

Istotnie bardzo wyczerpująca odpowiedź.

Nawet ze swoją ograniczoną wiedzą Martha domyśliła się, że „cokolwiek” nie oznaczało eleganckiego, granatowego kostiumu czy ładnej pary spodni z zamszu. Z obrzydzeniem zajrzała do garde-

roby. Nie wyobrażała, sobie, jak kiedykolwiek mogła lubić swoje stare ubrania. A Jack już widział wszystkie nowe ciuchy. Co włożyć?

Na nieszczęście jedną z wielu zalet Jacka była punktualność. Przyjechał dokładnie o godzinie, na którą się zapowiedział, czyli godzinę wcześniej, niż Martha się go spodziewała.

— Jedziesz w tym? Nie mam nic przeciwko, wyglądasz olśniewająco.

Martha otworzyła mu drzwi w bieliźnie, z mokrymi włosami owiniętymi ręcznikiem.

— Bardzo śmieszne. Wejdz, zanim złapię zapalenie płuc albo pani Benton spod czwórki wezwie obyczajówkę. Bardzo przejęła się programem „Bezpieczne miasto”. Widzę, że firanki już się u niej ruszają.

Jack roześmiał się, jakby naprawdę go to rozśmieszyło.

— Prawda jest taka, że nie wiem, co włożyć — przyznała Martha, czego natychmiast pożałowała; miała ochotę wyrwać sobie struny głosowe. Takie wyznanie obnażało ją jako osobę absolutnie nieciekawą.

Jack jednak uśmiechnął się.

— To normalne, jesteś dziewczyną. Chodźmy, pokaż mi swoją szafę. — Poszedł za nią na górę. Martha triumfalnie machnęła pięścią, nie tylko dlatego, że nazwał ją dziewczyną (co jest obraźliwe tylko wtedy, kiedy naprawdę się nią jest, gdy staje się kobietą, zaczyna się uganiać za takimi politycznie niepoprawnymi, ale rozkosznymi komplementami), lecz też dlatego, że obchodziło go to, co miała włożyć.

Jako mężatka z długim stażem Martha naturalnie była przyzwyczajona do ubierania się w obecności innej osoby. Na ogół odbywało się to tak: przymierzała kilka niemal jednakowych kompletów (czarne sukienki do kolan z kimonowym rękawem, jeśli szli na kolację, albo dzinsy Gapa i nieskazitelnie białą koszulkę, jeśli wybierali się do kina). Po kilkakrotnym przymierzeniu wszystkich niemal jednakowych ubrań Martha wybierała — oczywiście to, co przymierzyła na początku. Przeglądała się w lustrze, zadowolona z wyboru.

Przez jakieś dziesięć sekund.

Potem odwracała się do Michaela, by podbudował jej upadające poczucie własnej wartości.

— Jak wyglądam? — pytała niepewnie.

— Ładnie — odpowiadał, czasami nawet na nią spoglądając.

Marthy nigdy to nie przekonywało. Gdyby naprawdę ładnie wyglądała, nie musiałaby o to pytać.

Taką procedurę znała, więc Jack kompletnie ją zaskoczył, kiedy rzeczywiście zajrzał do garderoby, przerzucił wieszaki i zaczął komentować.

— To naprawdę wygląda sexy, próbowałaś już? Albo:

— W tym zawsze wyglądasz odłotowo, uwielbiam, kiedy wkładasz do tego wysokie buty.

Nie przeszkadzało mu, że wypróbowała kilka połączeń; kilka razy wręcz zaproponował, by przymierzyła jeszcze raz tę samą bluzkę, lecz ze spódnicą. W końcu uznał, że w kombinacji, którą wspólnie wybrali, wygląda zabójczo. Martha zaczęła się martwić, że Eliza ma chyba jednak rację; taki facet jest zbyt dobry, żeby był prawdziwy. Na pewno jest gejem.

Ale wtedy Jack chwycił ją za pierś, pocałował w szyję i sprawił, że się spóźnili, gdyż przed lustrem doprowadzili się nawzajem niemal do utraty zmysłów.

Kiedy zbliżali się do klubu, Marcie natychmiast przypomniał się jeden z powodów, dla których porzuciła kluby: był grudzień, ona miała na sobie skąpe ubranie, a przed lokalem stała kolejka sięgająca chyba samego Newcastle. Bramkarze wyglądali jak z podręcznika: olbrzymi — około metra osiemdziesięciu w pionie i w poziomie, ubrani na czarno, precyzji mogliby uczyć Vinny'ego Jonesa. Wyraźnie nie wpuszczali przyszłych amatorów clubbingu, mimo że najprawdopodobniej w środku nie było tłoku; właścicielowi zależało na długiej kolejce i trudnościach w dostępie do lokalu. Jediną rozrywką bardziej cenioną przez bramkarzy niż zmuszanie klientów, by bezsensownie czekali pod drzwiami, był widok ich żalonych min, kiedy członków klubu i uprzywilejowanych gości wpuszczano do środka. Martha uznała, że to obraźliwe i niesprawiedliwe, ale kiedy odkryła, że Jack należy do uprzywilejowanych, ogarnęło ją przelotne uczucie dumy, gdy całą grupą przeszli między barierkami i szybko weszli do wewnątrz.

Znajomi Jacka byli mili. Uznali, że Martha ma wszelkie prawo znaleźć się w towarzystwie. Nikt nie zaproponował, by wróciła do domu szorować grill. Śmiali się z jej żartów, a nie tańca. Nie przeszkadzało im, że pije białe wino czy cokolwiek innego, ważne, że nie omijała swojej szansy do postawienia wszystkim. Bezśownie przyjęli, że „była z Jackiem”. Jack za rękę oprowadził Marthę po lokalu. Nie afiszował się, nie zachowywał się, jakby była jego własnością, lecz trzymał ją dyskretnie i spokojnie. Wyciągnął za siebie rękę i przebierał palcami, a kiedy go chwyciła, uściśnął ją mocno. Gawędził z nią, jednocześnie wskazując sławy klasy B, przedstawiając tym, których znał, omawiając muzykę. Pocałował ją w szyję i usta, zadbał, by dobrze się bawiła.

Z tańcem nie było problemu. Dobrze się bawiła. Wręcz fantastycznie.

Martha z radością stwierdziła, że machanie rękami w powietrzu, tak popularne w jej czasach, wróciło do łask (a może nigdy nie wyszło z mody, może cały czas było popularne, nie wiedziała). Machanie rękami w powietrzu oraz udawanie potrząsania łupami z polowania wydawało się wystarczające.

Jack tańczył tak doskonale, iż Martha zastanawiała się, czy nie powinna czuć się onieśmielona; na pewno powinna i na pewno byłaby, gdyby nie przypominały się jej różne podniecające, wywołujące dreszcz momenty. Nie dało się zapomnieć, że kilka godzin wcześniej ten sam mężczyzna wślizgnął się w jej ciało, cały czas patrząc na nią z taką straszliwą, oburzającą intensywnością. Po chwilach takiej bliskości martwienie się — nowocześnie czy staroświecko porusza się na parkiecie — wydawało się

nie do końca odpowiednio. Tańczyli razem, kręcąc biodrami jak złączeni w jedność. Przyciągali spojrzenia podziwu i zazdrości; Martha wiedziała, że dobrze razem wyglądają. Jakby do siebie należeli, jakby byli razem.

Kiedy spojrzała na zegarek, z zaskoczeniem stwierdziła, że jest już dobrze po północy. Jack dojrzał jej spojrzenie.

— Masz rację, musimy pamiętać o opiekunce. Trzeba się zbierać. — Za taką troskę Martha miała ochotę go pocałować.

I tak zrobiła.

Drew i Sara wyszli z nimi, gdyż chcieli poprosić Jacka o podwiezienie; Dave został, bo miał szansę na całkowicie inny rodzaj jazdy. Drew i Sara natychmiast wskoczyli na tylne siedzenie, gdzie zaczęli chichotać i gawędzić, jak wszystkie pary chcące się odgradzić od reszty świata. Martha uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Ich wzajemne zaangażowanie dawało jej i Jackowi możliwość porozmawiania we dwójkę. Opadła na siedzenie i odwróciła się do niego.

— Cudowny wieczór, Jack.

— Było fajnie, prawda, mała? — Jack uśmiechnął się, opierając dłoń o udo Marthy.

Martha napawała się chwilą. Sprawdziła swoje mięśnie. Zaczęła od stopy; zakręciła nią ostrożnie — nic. Podniosła obie nogi o kilkanaście centymetrów, po czym opuściła je z powrotem na podłogę. Nie bolały. Pokręciła głową; nic nie strzyknęło, nie poczuła bólu. W końcu pochyliła się do przodu, rozciągnęła kręgosłup — nic nie bolało.

— Co się dzieje, mała, za dużo ruchu? — zapytał Jack bezczelnie.

— Nie, wręcz przeciwnie — odparła z uśmiechem. Zastanawiała się, gdzie ukryło się tłumione rozdrażnienie, które towarzyszyło jej na co dzień. Teraz ani śladu bólu głowy, nic nie strzela w dole kręgosłupa; nogi nie są ciężkie. — Jest doskonale, naprawdę świetnie. — Rozpromieniła się.

— A tak, te siedzenia są wspaniałe. Siedzenia w sportowym modelu recaro są o wiele lepsze niż w nowym subaru impreza WRX. Stare turbo impreza nie były aż tak wygodne.

Jack uwielbiał swój samochód, jednak... Martha miała ochotę go uderzyć. Powinien zrozumieć, o co jej chodziło. Szło jej przecież o emocje, nie siedzenia! Odwróciła się, żeby zmiażdżyć go spojrzeniem. Uśmiechał się szeroko.

— A, rozumiem, to był żart.

— Żart, mała — potwierdził. — Jest spoko, mała.

Spoko. Określenie Jacka na super.

To był wspaniały wieczór. Żadnego stresu czy komplikacji. Nikt się nie kłócił i nie wrzeszczał. Nie musiała stawać na rżęsach. Nikogo nie trzeba było odprowadzać do łazienki — no tak, oprócz Sary, ale tylko po to, by porozmawiać o makijażu, a nie po to, by ją podetrzeć. Nikt od niej niczego nie

wymagał i niczego nie oczekiwał. Nikt nie czuł się nią rozczarowany. Wszyscy chcieli przebywać w jej towarzystwie. Zwłaszcza Jack.

W drodze do domu zaczął padać śnieg.

— Może jednak wygramy nasz świąteczny zakład — zauważyła Martha z ożywieniem.

— Może, mała. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

W świetle reflektorów tańczyły rozmazane białe płatki, jakby jechali w scenerii hollywoodzkiego filmu. „Za chwilę będziemy się kochać przed kominkiem, przy ogniu” — pomyślała Martha, co zresztą się sprawdziło. Wirujące płatki śniegu przypominały jej tańczące świetliki. Jack stwierdził, że kojarzą mu się ze sceną z *Gwiezdnych wojen*.

— Słucham?

— Kiedy Sokół Millennium wyskakuje w nadprzestrzeń.

— A, jasne.

Jednak przyglądanie się, jak śnieg pada, było romantyczne. Martha znalazła się w romantycznej sytuacji, co bardzo się jej podobało. Znów zamilkli; jedynym dźwiękiem był szelest wycieraczek i skrzypienie śniegu pod oponami samochodu. Martha miała nadzieję, że śnieg utrzyma się do rana, aby dzieci mogły go zobaczyć. Zastanawiała się, czy ich nie obudzić po przyjeździe do domu, aby popatrzyły.

— „Zero pracy, pieniędzy w banku, nie jesteś nawet płatką śniegu” — zacytowała Martha.

— *Podziemny krąg*?

— Tak.

— Właśnie posłużyłaś się cytatem z *Podziemnego kręgu*, wielka Martho, i to nieprawidłowo! — Jack się uśmiechnął. Najwyraźniej mu zaimponowała.

— Właśnie tak. — Poczuli się, jakby dołączyła do elitarnego klubu.

To był wspaniały wieczór. W całości. Z wyjątkiem chwili, kiedy Jack wysiadł na stacji benzynowej.

— To co, jesteście już razem? — zapytał wtedy Drew.

— Nie — odparła Martha. — Gdybyśmy byli, wiedziałabym o tym — dodała, zadowolona ze swojej szybkiej odpowiedzi. Wiedziała, że Eliza byłaby dumna z takiego refleksu i zimnej krwi.

— To jaka jest różnica między wami a normalną parą? — wtrąciła Sara. Dopiero się poznały, ale obie były kobietami, wiedziały więc na pewno, że się lubią, dlatego mogły sobie odpuścić wstępne rozmówki o niczym. Gdyby były mężczyznami, przejście od omawiania gatunków piwa czy mistrzostwa Yody w posługiwaniu się świetlnym mieczem w *Ataku klonów* do takich tematów zajęłoby im piętnaście lat.

— Wydaje się, że bardzo wam dobrze ze sobą — ciągnęła Sara. — Wychodźcie razem, dobrze się bawicie, gadacie, zależy wam na sobie nawzajem.

— No, w sumie jesteśmy jak każda przeciętna para, z jednym wyjątkiem: jeśli chcemy, możemy spać z innymi — wyjaśniła Martha.

— Śpisz z innymi facetami? — zapytała Sara, nie wiedząc, czy powinna być pod wrażeniem czy przerażona.

— W sumie, nie. No nie. Właściwie nie.

— A on?

— Chyba tak.

— Och.

Oprócz tego był to wspaniały wieczór.

30

W pierwszy dzień świąt Martha obudziła się z pragnieniem, by już się to skończyło. Chciała, aby był wieczór, aby już mogła zasnąć z przepełnionym żołądkiem i zawrotami głowy. Nie bała się humorów dzieci ani tego, że rodzina pokłóci się przy świątecznym obiedzie. Nie bała się niemal nieuniknionego rozpakowywania niezliczonych buteleczek z solami kąpielowymi czy słoiczków potpourri, choć miała jeszcze pełną szufladę zeszłorocznych zapasów. Te drobne uciążliwości stanowiły nieodłączną część świąt; w pewien sposób Martha cieszyła się na nie, gdyż stanowiły jakiś pewnik. Tymczasem właśnie straszliwa niepewność skłaniała ją do życzenia, by dzień już się skończył.

Wszystko przez Hollywood.

Był pierwszy dzień Bożego Narodzenia, zdawała sobie sprawę, iż jej matka, jej synek, a do pewnego stopnia także jej ojciec i nawet siostra oczekiwali od Michaela jakiegoś ruchu. Szczerze mówiąc — ona również. Gdyby żyli w filmie, pojawiłby się z wielką torbą prezentów dla wszystkich — szczerych, przemyślanych prezentów. Powiedziałyby, że popełnił okropny błąd, sprawy wymknęły mu się spod kontroli i że nie potrafi żyć bez niej. Zapomnieliby wszystkie przykre rzeczy, które sobie powiedzieli, gdyż oboje byli na tyle rozsądni, by wiedzieć, że słowa wypowiedziane w gniewie się nie liczą. Objąłby ją mocno i przyrzekł, że nigdy już nie zawiedzie. Martha nie mogła się powstrzymać przed wspomnianiem poprzednich świąt. Byli tak szczęśliwi. Nie pamiętała ani jednej kłótni w święta.

Ile par mogło to o sobie powiedzieć? Ostatnie Boże Narodzenie było cudowne, prawda? Tak przynajmniej myślała Martha, lecz Michael chyba nie. Marcie robiło się niedobrze na myśl, że nawet teraz, gdyby to było możliwe, wymazałaby ostatnie trzy miesiące. Usunęłaby je z pamięci. Zapomniałaby o nowych ubraniach, świetnej zabawie z nowymi przyjaciółkami, figurze rozmiar osiem, a nawet fantastycznym seksie z Jackiem. Wymieniłaby to wszystko na swoje życie sprzed tego czasu. Na ramiona Michaela i jego szacunek.

Cofnęłaby czas, żeby z powrotem mieć całą rodzinę.

Wszystko przez te święta.

I cholerne Hollywood.

Boże, miała zamęt w głowie. Dlaczego nie potrafiła myśleć o nim źle albo dobrze dłużej niż pięć minut? Jak to możliwe, by czasami Jack całkowicie znikał z jej myśli, a momentami czuła, jakby cały czas był przy niej?

W Wigilię rano, przed przyjazdem państwa Evergreen, Michael odwiedził Mathew i Maisie. Eliza nazwała go tchórzem, bo choć był dorosłym mężczyzną, nie zdobył się na spotkanie twarzą w twarz z parą starszusków. Martha zauważyła, że taka sytuacja na pewno nie zachęci go do odwiedzin w pierwszy dzień świąt. Michael zresztą jasno określił swoje plany — spędzał ten dzień u rodziców. Martha przesłała przez niego życzenia i starannie wybrane, pracowicie opakowane prezenty.

Ale mimo oczywistych faktów wciąż na niego czekała.

Pani Evergreen zapukała do drzwi sypialni i od razu weszła.

— Wesołych Świąt, kochanie. Mathew już zajrzał do skarpety. Usiłowałam go przekonać, że za wcześnie na wstawanie, ale...

— Mamusiu, mamusiu, zobacz, co mi przyniósł Święty Mikołaj! — Przez głos babci przebił się rozemocjonowany okrzyk Mathew. Chłopiec wpadł do pokoju i wskoczył na łóżko.

Martha wysunęła nogi spod kołdry i zrobiła zaciekawioną minę, choć w rzeczywistości sama osobiście wybrała wszystkie prezenty. Ani Święty Mikołaj, ani ojciec Mathew nie przyłożyli się do tego.

— Gdzie Maisie?

— Eliza podała jej śniadanie. Chodź, dziecko, włóż szlafrok, zejdźmy na dół, tata smaży coś na śniadanie, mamy też rogaliki.

Tego roku najlepszym rozwiązaniem okazała się wizyta rodziców u Marthy, skoro na miejscu była już Eliza i zabawki dzieci. Mimo że na obcym gruncie, rodzice najwyraźniej nad wszystkim panowali. Martha z wdzięcznością oddała im kontrolę i pozwoliła się sobą opiekować.

Jak zwykle zjedli duże śniadanie, po którym przyszedł czas na rogaliki i szampana. Jedną z dobrych stron tego, że cała rodzina przebywała u Marthy, było to, że nikt nie musiał się przejmować koniecznością powrotu do domu, więc alkohol płynął strumieniem od samego rana. Pootwierali swoje skarpety; tego roku Święty Mikołaj okazał się wyjątkowo pomysłowy. Dla Marthy wybrał prezerwatywy o smaku piwa i cytryny, naklejany tatuaż oraz *Kamasutrę* („Dzięki, Elizo”), zestaw na biurko oraz portmonetkę dla Elizy („Dzięki, Martho”), a nie tradycyjne czekoladki w kształcie monet czy mandarynki, jak w poprzednich latach. Jednakże pan Evergreen znów otrzymał skarpetki oraz akcesoria do golfa, a pani Evergreen — miękkie wieszaki na ubrania i małe torebeczki z lawendą.

Mathew usiłował otwierać wszystkie prezenty, a Maisie nie chciała otworzyć nawet własnych. Usadowiła się pod choinką, bawiąc się najstarszymi zabawkami; nagle zaczęła okazywać najżywsze

uczucia starym zabawkom Mathew. Kiedy indyk dochodził, wyszli na spacer, a potem poszli z dziećmi na huśtawki. Po powrocie do domu Martha nie mogła już wytrzymać; zadzwoniła do Michaela.

— Wesołych Świąt — odezwała się z całą szczerością satanisty obiecującego świadkowi Jehowy, że tak, na pewno przeczyta ulotki.

— Wesołych Świąt.

— Ty świni.

— Cudownie, Martho. Trochę zmieniasz tradycyjny tekst, bo jeśli mnie pamięć nie myli, dalej idzie jakoś tak: „I szczęśliwego Nowego Roku”.

— Tak, po czym się dodaje: „Dla ciebie i twojej rodziny”. No więc, świni, do twojej informacji, twoja rodzina spędza wspaniałe święta.

— Właśnie słyszę.

— Miałeś w ogóle zamiar zadzwonić do dzieci z życzeniami?!

— Tak, Martho. Ale jest dopiero wpół do dwunastej.

Zaskoczył ją. No tak, Mathew obudził się o piątej, a reszta rodziny musiała poddać się jego świątecznemu nastrojowi jakieś dziesięć minut później. Do ósmej wszyscy skończyli śniadanie. Marcie wydawało się, że jest dużo później, dlatego tak się wściekła na brak telefonu od Michaela. Ciocia Flo z Australii zadzwoniła, jej koleżanki Claire i Dawn zadzwoniły.

— Maisie i Mathew wstały nad ranem, ty świni, i gdybyś wiedział cokolwiek o własnych dzieciach, zdawałbyś sobie z tego sprawę. Ty kutasie.

— Cudownie, Martho, kolejne umoralniające kazanie. Naprawdę wolałbym, żebyś przestała używać takich określeń.

— Pewnie, że byś wolał, egoistyczny fiucie, ale czasami tylko przekleństwa pomagają mi przetrwać dzień.

— Słuchaj, moje święta też nie należą do najlepszych. Rodzice kłócą się, na jaką temperaturę nastawić piekarnik, babcia upiera się, żeby po raz dziesiąty opowiadać historie wojenne, właśnie przyjechali Harry i Becky z dziećmi. Tęsknię za Mathew i Maisie.

— Ale nie na tyle, żeby zadzwonić, ty świni.

Martha odłożyła słuchawkę, by Michael nie usłyszał jej płaczu. Jaki kaprys ewolucji sprawia, że w dzień Bożego Narodzenia po prostu nie można być wielkodusznym, uprzejmym i miłosiernym? Nie poszła do kościoła, lecz została na kanapie, płacząc i zastanawiając się, dlaczego Michael — skoro czuł się tak nieszczęśliwy — wolał i tak być tam, niż dołączyć do żony i cudownych dzieci.

Cholera, to naprawdę niesprawiedliwe.

Zanim Eliza, rodzice i dzieci wrócili z kościoła, Martha ponownie nałożyła makijaż i przywołała na twarz uśmiech.

— Po raz ostatni płakałam przez niego — szepnęła do matki. Matka uścisnęła ją; starczyło jej rozsądku, by nie powiedzieć na głos, iż nie bardzo w to wierzy.

Wpadł Greg z prezentami dla wszystkich, co najwyraźniej uradowało Elizę, choć starała się wydawać rozdrażniona i dawała do zrozumienia, iż jego obecność przeszkadza. Stwierdziła, że zdenerwował ją pomysł matki, by zaprosić Grega na obiad.

— A gdzie duch świąt? — syknęła do niej pani Evergreen. Eliza nie zareagowała; nie była pobożna, a duch wszelkich świąt mieścił się dla niej w butelce.

— Nie możemy go puścić samego do domu w Boże Narodzenie — dodała matka. — Powinnaś najlepiej wiedzieć, że lodówkę ma na pewno pustą.

Eliza wsunęła głowę przez drzwi salonu. Greg przewalał się z Mathew po podłodze; najwyraźniej rozpracował, jak wydobyć dźwięk z gitary elektrycznej, którą właśnie mały otrzymał. Wcześniej próbowali tego dokonać inni członkowie rodziny, ale na próżno. Maisie siedziała oparta o jego nogi, gaworząc radośnie. Pan Evergreen pił Grega piwem, pewnie zachwycony, że ma do towarzystwa innego mężczyznę. Czuł się lekko nieswojo; tyle łez, tyle hysterii, a nie wysłuchali nawet jeszcze przemówienia królowej, co na pewno znów rozczuli jego żonę. Nawet Martha uśmiechała się, odpowiadając na pytania Grega; był to jej pierwszy prawdziwy uśmiech tego dnia.

Eliza umiała rozpoznać, kiedy została pokonana.

Poza tym chciała się przekonać, czy Gregowi będą smakowały babeczki, które sama zrobiła. Naprawdę, nawet ciasto. No, przynajmniej rozwałkowała kupione w supermarkecie surowe ciasto. Nie ma sensu dokładać sobie niepotrzebnie pracy.

Marthę cieszył widok Elizy rozmawiającej i żartującej z Gregiem; przypomniały się jej stare czasy. Z rozbawieniem patrzyła, jak Eliza wykurza Mathew z jego ulubionego miejsca obok Grega. Nie przyszło jej to łatwo, musiała chłopca przekupić, odpalając wszystkie świąteczne pukawki z zabawkami. No i Martha cieszyła się ze względu na siostrę, która miała szansę na hollywoodzkie zakończenie świąt. Oczywiście pod warunkiem, że nie zrobi nic głupiego, a jeśli chodzi o Elizę, nigdy nie było pewności, że nie zrobi czegoś szczególnie niemądrego. Jasne jak słońce, że przy Gregu czuła się lepiej niż przy kimkolwiek innym. A z tego, co widziała, Martha miała wrażenie, że i on wciąż był zakochany w jej siostrze. Uznała, że chociaż jedna z nich powinna być szczęśliwa.

— Czy to twoja komórka? — zapytała Eliza.

— Pewnie tak. — Martha skoczyła na równe nogi.

— Cześć, mała.

— Jack! — Na dźwięk jego głosu jej brodawki uniosły się, co trochę ją zmieszało. Było w końcu Boże Narodzenie, a rodzice siedzieli w zasięgu głosu.

— Miłe święta, panienko E?

— Tak. — Od tej chwili.

— Dzwonię tylko sprawdzić, jak żyjesz. Jak się mają maluchy? Dobrze się bawią? — Resztę rozmowy Martha odbyła poza pokojem. Kiedy wróciła, matka nakładała świąteczny pudding; nikt nie robił żadnych aluzji.

— Auć, chyba połknęłam nadzieję! — wrzasnęła Martha.

— To pewnie sześciopensówka — uznała pani Evergreen. — Musisz teraz pomyśleć życzenie.

Marcie przyszyły na myśl pewne machinacje mające doprowadzić do tego, by szczęśliwa sześciopensówka znalazła się w jej porcji. Reszta rodziny uśmiechała się uprzejmie, ale na pewno podejrzewała to samo. Martha pomyślała swoje życzenie — by Eliza odzyskała rozsądek, gdyż nie miała pojęcia, czego miałyby życzyć sobie samej.

STYCZEŃ

31

— Hm... twoja metoda sporządzania listy kandydatów jakoś nie przyniosła oszałamiających wyników, prawda?

— No faktycznie, nie bardzo się przydała. Mar, już nie chce mi się dalej szukać — jęknęła Eliza.

— Spotkałeś się z najlepszymi partiami w Londynie — przypomniała Martha.

— Wiem. To właśnie mnie martwi. — Zachichotały i zamilkły na chwilę, pijąc kawę.

— W takim razie, skoro robienie listy zalet wymarzonego mężczyzny okazało się klapą, dlaczego uważasz, że pomoże mi bardziej niż tobie?

— Chodzi o to, żeby uświadomić sobie, czego poszukujesz, to się zawsze przydaje — oświadczyła Eliza. — Problemem jest jedynie namówienie mężczyzny, żeby spełnił wymagania listy.

— Niczego mi nie brakuje. Doskonale się bawię z Jackiem, nie szukam niczego innego poza odrobiną zabawy.

— Czyżby?

— Tak.

Eliza zamilkła, co u niej na ogół oznaczało niezgodę. Nie chodziło jej o to, że Martha nie spędzała miło czasu z Jackiem, to rzucało się w oczy; martwiła się jednak, iż kiedy przestaną się bawić — a kiedyś na pewno się to stanie — Martha nie będzie miała planu awaryjnego, jaki każdy powinien mieć. Było dla niej jasne, jak dla każdej dorosłej osoby na Zachodzie — oprócz Marthy — że taki stan rzeczy nie potrwa długo. Martha zakocha się prędzej czy później, co więcej, okaże to, a co najgorsze, przyzna mu się; wtedy Jack odpłynie w siną dal. Eliza zgadzała się z siostrą co do jednego: Jack był

doskonały. Dowcipny, ujmujący i atrakcyjny; w tym właśnie leżał problem. Ktoś taki jak on raczej nie założy rodziny; miał przed sobą zbyt wiele możliwości wyboru.

Niewykluczone, że miał w życiu do spełnienia rolę boga seksu usługującego kobietom w zachodnim Londynie. A właściwie po co ograniczać terytorium? Może przecież obsługiwać kobiety na północ, południe, wschód i zachód od Londynu, jak również w całej Europie, a nawet w Stanach. Dawał kobietom przyjemność, gdzie się zdarzyło. Nie przyszło mu do głowy, że oprócz przyjemności sprawiał również ból. Z tego, co mówiła Martha, po tym, jak wzbudzał nadzieję, kobiety miały nadzieję, że zostanie z nimi nieco dłużej niż do śniadania. Normalne, że z nadziei rodzą się oczekiwania — gdzie wtedy będzie Martha? Aż się prosi o kolejny zawód. Według Elizy naprawdę powinna stworzyć sobie plan B. Może kiedy spisze listę zalet wymarzonego mężczyzny, zobaczy sama, jak daleko do niego Jackowi.

— Na samym początku twierdziłaś, że też możesz mieć nagich kolegów — przypomniała Eliza.

Faktycznie Martha tak powiedziała, ale sama w to nie wierzyła. To nie w jej stylu. Była absolutną monogamistką, choćby zdawało się to tak bardzo niemodne. Wtedy wspomniała o możliwości nagich kolegów dla siebie tylko po to, by usprawiedliwić postępowanie Jacka.

Poczuła się zdecydowanie niezręcznie, gdyż nie znosiła takich chwil ciszy. Eliza o tym wiedziała. Eliza nie lubiła, kiedy coś szło niezgodnie z jej wolą. Martha zdawała sobie z tego sprawę. Kwestia — która pierwsza się złamie.

— No dobrze. Masz długopis? — zapytała Martha.

— Proszę. — Eliza, natychmiast w doskonałym nastroju, rozpromieniła się, machając długopisem i notesem. Przypominała Marcie Mathew, kiedy wygrał jakąś ciężką bitwę, na przykład o niejedzenie marchewki z groszkiem.

— OK, zaczynamy. Po pierwsze: chcę mężczyzny, który będzie umiał odkamienić czajnik i zmienić filtr do wody.

— Czy to najważniejszy wymóg? — Eliza wydawała się rozczarowana.

— No, mówię w przenośni. Jeśli będzie umiał zrobić takie proste domowe naprawy, na pewno będzie też umiał włożyć białe rzeczy do pralki.

— W takim razie szukasz kogoś wyjątkowo kobiecego?

— Ha, ha, wcale nie. Zależy mi na kimś z odpowiednio dużym sprzętem, kto będzie umiał go używać z nieprzyzwoitą częstotliwością — zakpiła Martha.

Eliza roześmiała się. Podobała się jej ta nowa, ironiczna siostra; była o wiele zabawniejsza od Marthy martwiącej się głównie zmianą opakowania ulubionej margaryny.

— No dobrze, co jeszcze?

— Oczywiście, musi mnie kochać. Całą mnie. — Martha uśmiechnęła się na tę myśl. — Znasz chwile, kiedy jesteś naprawdę wkurzona, a ktoś cię pyta: „Co się stało?”, odpowiadasz uparcie: „Nic”?

— Jasne.

— A jednak naprawdę czekasz, żeby ten ktoś powiedział: „Ale tak naprawdę — co się stało?”, chcesz, żeby cię trochę przycisnął. Co więcej, chcesz, żeby to on cię odkrył.

— No. Tylko że tego nie zrobi żaden mężczyzna — westchnęła Eliza.

— Mój wymarzony mężczyzna musi trochę mnie przyciskać. Chcę, żeby mnie obrał, jak... — Martha zawahała się, szukając właściwych słów — ...jak cebulę.

— Ładne porównanie.

— Wiesz, o co mi chodzi.

Martha była gotowa się odkryć. Chciała, by ją poznano. Ostatnio zaczęła uważać, że na to zasługuje; jej wymarzony mężczyzna też powinien tak myśleć.

— No dobrze. — Eliza westchnęła; szkoda, że Martha jest taką romantyczką. Typowa Panna.

Martha myślała również, że jej wymarzony mężczyzna powinien uwielbiać, kiedy ona przejmuje kontrolę i pieści go umiejętnie tak, że on szybko dochodzi, rozlewając spermę po jej ciele. Ale podobnymi myślami nie chciała dzielić się ani z Elizą, ani z nikim innym.

Jedynie z Jackiem.

Rozmawiała z siostrą, stojąc w drzwiach między kuchnią a ogródkiem za domem. Mathew i Maisie karmili wróble; w londyńskich ogródkach rzadko pokazywały się bardziej egzotyczne ptaki, a gołębie zaglądały tylko wtedy, kiedy turyści na Trafalgar Square byli wyjątkowo skąpi. Uśmiechnięte twarzyczki dzieci oświetlało słabe, styczniowe słońce. Styczeń był zwykle ponury i zachmurzony, pełen starzyzny na półkach w sklepach, a najlepszą rozrywką było darmowe członkostwo w klubie puszystych. Tego roku jednak styczeń okazał się wyjątkowo piękny.

— Chodźcie do domu, umyćcie ręce! — zawołała Martha bez wielkiej nadziei, że Mathew posłucha, a Maisie zrozumie. Niemal jednym tchem ciągnęła w kierunku siostry: — Ale poza tym musi być naprawdę wart tego, żeby go w ogóle znać. Musi być silny. Fizycznie, emocjonalnie i moralnie.

— Hm, nie masz zbyt wygórowanych wymagań, prawda?

— Właśnie mam. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale potrafię również dużo dać.

Eliza cieszyła się, że Martha odzyskała poczucie własnej wartości; świetnie było jej słuchać, naprawdę podnosiło to na duchu.

Oczywiście nie miała żadnych szans.

Samo poszukiwanie ideału nie miało szans.

Eliza spróbowała skierować tok myśli siostry na nieco bardziej konwencjonalne tory.

— A co z tym, żeby lubił dzieci albo dobrze zarabiał?

— Moda z poprzedniego sezonu — skomentowała Martha, mrugnęła, po czym odezwała się poważniej. — To wymagania dla męża, a ja nie szukam męża. Jednego już miałam. Szukam rozrywki, przyjmuję więc zupełnie inne kryteria.

— Czy to odpowiedzialne?

— Całe życie byłam odpowiedzialna i proszę, dokąd mnie to doprowadziło. Myślę, że nadszedł czas na odrobinę nieodpowiedzialności. Może użyczysz mi trochę?

— To nie fair! W tej chwili usiłuję być naprawdę odpowiedzialna. Sprzątam swoje biurko, codziennie robię kopie zapasowe z palmtopa, obciąłam włosy i kupiłam kostium. Szukam męża z poważnymi dochodami, poważną garderobą i poważnym zawodem.

— I naprawdę uważasz, że porzucenie Grega było odpowiedzialne?

— Tak — odparła Eliza stanowczo.

— Zadziwiające.

Eliza zrobiła groźną minę.

— Mówimy o tobie, nie o mnie.

— No dobrze, chciałabym też tego, co większość kobiet. Wygląd, ładny uśmiech, dobre zęby, ciemne włosy, najlepiej zielone oczy, żadnych nieprzyjemnych zapachów, zero łupieżu, wielka nienawiść do piłki nożnej. Nie przeżyję kolejnego mundialu, oszaleję! Szerokie ramiona, jędrne pośladki, bez kobiety, bez obciążeń, z poczuciem humoru.

Eliza jeszcze raz przeczytała listę życzeń.

— Jezus Maria, a twierdziłaś, że to ja jestem wymagająca. To kompletnie obłąkane, taki facet nie istnieje nawet w marzeniach. Szukasz samotnego, przystojnego, wrażliwego, uśmiechniętego boga seksu, który potrafi nałożyć gumowe rękawice i zabrać się za zmywanie naczyń. Taki facet nie istnieje.

— Owszem, istnieje. — Martha się uśmiechnęła. Z nieprzyzwoicie zadowolonym wyrazem twarzy oparła się o blat kuchenny. „Jack jest taki — myślała. — Wiem, że ma wszystkie te cechy. Naprawdę”.

Postanowili przeprowadzić rozwód bez prawników. Taki sposób rozstania najbardziej zgadzał się z zasadą Marthy: zawsze należy starać się postępować elegancko, wielkodusznie i z klasą. Eliza uznała ją za wariatkę.

— Nie potrzebuję prawnika, ufam Michaelowi. Na pewno nie zostawi mnie bez pieniędzy na utrzymanie dzieci.

— Martho, kilka miesięcy temu nie uwierzyłybyś, że w ogóle cię zostawi, i kropka.

I kropka. Kolejne amerykańskie wyrażenie. Boże, czasami Martha nie znosiła bezpośredniości siostry. Wtedy Eliza jakby pokazywała pazury.

— Dlaczego tak się zachowujesz, Martho?

— Jak?

— Tak superrozsądnie, pod tytułem: „przecież i tak możemy zostać przyjaciółmi”. Nigdy nie bierze cię ochota rzucać talerzami albo powycinać dziury w kroczu jego najlepszych spodni?

Często.

Martha, która była przecież człowiekiem, zastanawiała się kiedyś nad wsypaniem cukru do baku jego boxtera. Miała też ochotę wysłać mailem kompromitujące zdjęcia do jego biura; miała ich sporo do wyboru. Na jednym z nich Michael paradował ubrany w baskinkę i podwiązki. Fakt, wybierał się wtedy na bal kostiumowy postaci z horrorów, ale jego koledzy przecież nie musieli o tym wiedzieć. Albo zdjęcia z jego kawalerskiego weekendu, i to nie tylko w moro (na których według Marthy wyglądał głupio, ale według kolegów na pewno nie). Było jeszcze zdjęcie zrobione przez drużbę na weselu, kiedy Michael padł na pysk po wypiciu obowiązkowych dwunastu piw. Koledzy ogolili mu całe ciało z wyjątkiem brwi. Martha się wściekła; odrastające włosy sprawiły im niemało kłopotu w czasie miesiąca miodowego; cieszyła się, że przynajmniej zostawili mu brwi, dzięki czemu nie zrujnowali zdjęć ślubnych.

Oczywiście teraz było nieważne, jak wyglądali na zdjęciach ślubnych. Ich ślubne zdjęcia właśnie zdejmowano z półek i ścian w różnych domach w kraju.

Jednak takie drobne akty zemsty były szaleństwem. Absolutnie nie rekompensowały bólu, jaki czuła Martha. Dlatego nie miały sensu.

— Po co miałabym się wysilać, żeby okazać się wredna? — zapytała Martha, zła na siebie, że dała się ponieść furii. Nie znosiła kłótni z Michaelem, ale czasami nie potrafiła się powstrzymać. Na pewno nie musiała robić zadymy. — Co by mi to dało?

— Spokojny umysł.

— Słucham?

— Poczulałabyś się lepiej — wyjaśniła Eliza.

— Nie jestem wcale taka pewna.

Procedura rozwodowa wymagała zakupu formularzy za dwa i pół funta, dostępnych w pewnym sklepie papierniczym na Chancery Lane. Dowiedziała się tego z wyjątkowo pomocnej strony internetowej pomagającej ludziom w podobnej sytuacji. Internet okazał się naprawdę przydatny.

Martha rzadko bywała na Chancery Lane, chociaż całe dorosłe życie spędziła w Londynie. Nie było na tej ulicy sklepów, supermarketów, bardzo nieliczne restauracje — nic, co by ją zachęcało do odwiedzin. Wiedziała jednak, że Chancery leży blisko Strandu, gdzie znajdują się sądy, gdyż oglądała wiadomości o szóstej, a tam często pokazywano zgromadzonych pod drzwiami dziennikarzy w oczekiwaniu na pojawienie się sławnych podejrzanych lub przynajmniej ich prawników.

Martha otworzyła drzwi sklepu; jej wejście oznajmił głośny dzwonek. Odebrał jej kompletnie pewność siebie; miała nadzieję wślizgnąć się po cichu, kupić wniosek i równie cicho uciec bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Pokręciła się po wnętrzu, pooglądała półki z dziurkaczami i różnych rozmiarów opakowaniami blue tack. Z wielkim zaskoczeniem stwierdziła, że za cenę wniosku rozwodowego nie kupi nawet segregatora, który kosztował dwa funty siedemdziesiąt pięć, chyba że brało się kilka. Cała procedura okazała się prosta i do bólu pozbawiona ceremoniału. Po jakimś miesiącu odwiedzania sklepu, kiedy tylko oglądała towary, Martha uznała, że nie da rady znaleźć tego, czego szukała — będzie musiała poprosić o pomoc.

Przypadek zrządził, że jednocześnie sprzedawca doszedł do tego samego wniosku.

— Czy w czymś pomóc? — zapytał młodszy z dwóch obecnych sprzedawców.

Nie powinno się liczyć, że to mężczyzna, ale jednak się liczyło. W swoich najgorszych chwilach Martha wierzyła (co było pozbawione logiki), że wszyscy mężczyźni tworzą jedną sitwę. Wszyscy zdradzają, kłamią oraz nie dotrzymują obietnic, zwłaszcza przysięg składanych w kościele w garniturze wypożyczonym z Moss Bros. Bolała ją taka myśl, ale myśl, że dokonała niewłaściwego wyboru, bolała jeszcze bardziej.

Sprzedawca był pulchny i dość zaniedbany, wydawał się lekko przykurzony, jak starszawy naukowiec, choć Martha uznała, że jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Brzuch wylewał mu się nad pasek u spodni, kompletnie go zasłaniając. Na ogół Martha nie zauważała takich szczegółów, ale teraz nie mogła unieść spojrzenia powyżej jego pasa; nie chciała napotkać wzroku mężczyzny. Kiedy w końcu podniosła oczy, nie spodobało się jej to, co ujrzała. Na pewno sprzedawca jakimś cudem odgadł, co chce kupić, i zabawia się jej kosztem. Czerpie przyjemność z jej widocznego zakłopotania i cierpienia.

— Poproszę wniosek rozwodowy. — Każde słowo wypowiedziała wyraźnie, jakby staranna dykcja mogła ją ochronić.

— Czy któraś ze stron dopuściła się zdrady? — zapytał.

W tej chwili Martha zauważyła, że facet obgryza paznokcie; jego palce wyglądały jak parówki. Na pewno miał na sobie nylonowe spodnie, choć zza lady nie mogła tego dojrzeć. W ogóle nie budził sympatii. Miałaby ochotę odpowiedzieć: „Tak, mój mąż sypia z twoją żoną, jak ci się to podoba?”. Ale może nieco przesadzała. Martha rozwodziła się z Michaeliem wskutek nierozsądnego zachowania; wymagano od niej podania trzech przykładów. Tylko trzech.

— W sumie co za różnica, ten sam wniosek. — Sprzedawca skrzywił się drwiąco.

Martha wolałaby nazwać jego grymas uśmiechem, ale nie dało się. Podejrzewała, iż na ogół udaje mu się zabawić kobiety takie jak ona, pytając, czy to one, czy ich mężowie przygruchali sobie kogoś na boku, ale nie miała dowodu. Mogła jedynie podać swoje dwa i pół funta, starając się zignorować jego wilgotną, spoconą łapę.

Już miała wyjść ze sklepu, kiedy przyszło jej coś do głowy.

— Może wezmę dwa — powiedziała. Wypełnianie formularzy szło jej fatalnie, na pewno narobi błędów.

— Ale bigamia to przestępstwo — roześmiał się sprzedawca. Nie miał pojęcia, jak wielkim przestępstwem było rozrywanie nierozdzielnie połączonych losów czterech osób. Martha obrzuciła go stalowym spojrzeniem i wyszła.

Kolejnym etapem było wypełnienie przeklętego wniosku. Wymagano podania przykładów nierozsądnego zachowania Michaela. „Nie kocha mnie” chyba się nie liczyło. Wcześniej spokojnie omówili, jakie przyczyny rozwodu podadzą, by uniknąć gorzkiej walki i wzajemnego obrzucania się błotem. Jednak Marcie takie powody też wydawały się obraźliwe. Przecież rozwód powinien wynikać z czegoś wielkiego i dramatycznego.

Następnie poszła na pocztę, gdzie zrobiła liczne kopie wniosku oraz świadectwa ślubu. Potem wysłała je do surowego sądu, pamiętając, by był to list polecony. Zdaje się, że cała procedura mogła potrwać mniej niż dwanaście tygodni; więcej czasu zajął jej wybór dekoracji na stoły weselne.

Powinno to być coś bardziej poważnego, ceremonialnego, stwierdziła Martha, wypychając wózek Maisie przez wąskie drzwi poczty na ulicę. Rozejrzała się. Ani widu żadnego kapelusza, nie mówiąc już o garstce konfetti.

Uznała, że to dobry dzień na zdjęcie pierścionka zaręczynowego i obrączki. Nie wiedziała, dlaczego w ogóle jeszcze ją nosiła. Z sentymentu? Żeby pokazać ludziom, iż przed poczęciem dwojga dzieci wyszła za mąż, jak należy? Hm. Jack nie lubił, kiedy miała je na ręce. Nie powiedział tego wyraźnie, ale pytanie, czemu jeszcze nosi obrączkę i pierścionek zaręczynowy, zadał tonem sugerującym, że nie bardzo mu się to podoba. Na tak ucziwe pytanie nie wystarczało chyba odpowiedzieć „z przyzwyczajenia”. Było coś słodko staroświeckiego w fakcie, że Jack z chęcią szedł do łóżka z mężatką, ale nie chciał, żeby nosiła obrączkę.

Martha nie czuła się jak mężatka. Czuła się jak kobieta samotna, więc obrączka właściwie nie miała sensu. Już nawet nie pomagała oszukiwać samej siebie. Palce tak jej schudły, że pierścionek i obrączka zsuwały się, łatwo było się ich pozbyć.

Czuła się bez nich naga; przez kilka tygodni pocierała kciukiem o czwarty palec, na którym nosiła je wcześniej, za każdym razem zdziwiona, że nie czuje oporu metalu. Kiedyś bardzo się nimi szczyciła. Wyjątkowo podobał się jej pierścionek zaręczynowy. Pamiętała pierwszy raz, kiedy kochała się z Michaeliem po zaręczynach. Wtedy wydawało się jej, że już nigdy nie pójdzie do łóżka z innym. Myślała, że jest bezpieczna, ustabilizowana. Ale to było dawno temu; teraz na czwartym palcu nie było nic.

Michael przyszedł po resztę swoich ubrań i rzeczy. Odbiło się to tak, jak sobie obiecała — w bardzo kulturalny sposób.

Przynajmniej do chwili, w której rozpląkała się i zaczęła wyć jak potępiona.

— Najgorsze, Michael, jest to, że za kilka lat, kiedy Mathew i Maisie zapytają, dlaczego nie jesteśmy już rodziną, nie będę im umiała wytłumaczyć!

Trzymał ją mocno, ale bez słowa.

Michael wynajął na ten dzień białą furgonetkę; zadzwonił tydzień wcześniej, że przyjedzie około jedenastej i do wpół do piątej powinien uporać się z pakowaniem. Martha, z całym doświadczeniem osoby zajmującej się organizacją ich życia przez ostatnie dziesięć lat, wiedziała, że to kilka godzin nie wystarczy Michaelowi na spakowanie wszystkiego. Michael nie zdawał sobie sprawy, gdyż to Martha zawsze wykonywała lwią część pracy związanej z przeprowadzkami z mieszkania do mieszkania, a w końcu do tego domu. Ich domu. Jako że trudno było jej zerwać z wieloletnim nawykiem, uczynnie pomogła mu spakować koszule, swetry, garnitury, koszulki, majtki, skarpetki i buty. Spakowała mu nawet granatowy szlafrok z frotté, taki sam jak jej własny. Przed pakowaniem uprała go; nie ma nic przyjemniejszego niż czysty, miękki szlafrok.

No, może oprócz dwóch czystych, miękkich szlafroków wiszących obok siebie na drzwiach łazienki.

Martha starannie spakowała książki, płyty DVD i kasety wideo. Nawet film *Billy Elliot*, choć go uwielbiała, gdyż formalnie rzecz biorąc, był to jego film, upominek „kupiony” przez Mathew i Maisie na Dzień Ojca. Wolne przestrzenie na półkach przypominały szczerby w uzębieniu siedmiolatka. Podzielili meble, naczynia, sztuce i pościel. Michael zabrał pastę do butów, patelnię teflonową oraz rower górski. Wszędzie zostawił braki. Fizyczne, emocjonalne, moralne. Podzielili swoje życie. Rozdzielili się.

— Jak poszło, panienko E? — zapytał Jack, kiedy już po wszystkim zadzwoniła do niego.

— Nieźle — stwierdziła. Nigdy go nie okłamywała, teraz też nie chciała zacząć nawet od kłamstwa z uprzejmości. — Stosunkowo — dodała.

— Musiało być nieciekawie.

— Owszem. — Martha rozejrzała się po domu. Wyglądał jak poraniony, jak po włamaniu. Nie przypominał jej domu. W ogóle nie przypominał domu. — Wciąż po coś sięgam i uświadamiam sobie, że tego już nie ma, bo Michael zabrał.

— Co na przykład?

— Pudełka tupperware.

— Co takiego?

Martha czuła zdziwienie w jego głosie; cieszyła się, że nie stoi obok w pokoju, mógłby zobaczyć jej łzy. Na pewno zdziwiłby się, że płacze nad plastikowymi pudełkami.

— Pudełka tupperware — powtórzyła.

— Co to jest?

— No wiesz, te plastikowe, hermetycznie zamykane pudełka; trzymam w nich jedzenie dla dzieci. Sprzątnęłam dzisiaj po kolacji; chciałam schować resztkę szynki do pudełka, a wtedy zdałam sobie sprawę, że już ich nie ma.

— I co zrobiłaś? — zapytał Jack z udawanym przerażeniem.

Martha zastanowiła się nad przebiegiem rozmowy; musiała się uśmiechnąć do siebie.

— Owinęłam ją w folię aluminiową — powiedziała, teraz już niemal się śmiejąc.

— Podoba mi się twój sposób myślenia, mała. Ocaliłaś świat — podsumował Jack, po czym dodał: — Mam przyjść?

Po półgodzinie Jack stanął w drzwiach. Przywiózł kolację, swój uśmiech i swój urok. Otworzyła mu, ale mężczyzna nie zadawał sobie trudu rozpoczęcia rozmowy o niczym; wiedział, że żadne słowa jej nie pocieszą; zamiast tego więc wziął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Naprawdę pocałował. Jego dłonie otoczyły jej głowę. Niemal bała się, że w nich utonie. Otworzyła oczy i przekonała się, że on swoich nie zamknął, lecz obserwował Marthę, jakby była dla niego ważna. Niezmiernie ważna. Pociągnął ją ustami za ucho — dreszcz przeszedł po jej kręgosłupie, po pośladkach, pod nimi i wewnątrz. Przeciągnął ręką od jej podbródka w dół, położył dłoń płasko na jej piersi i zaczął delikatnie, ale mocno masować jej sutek.

Cały czas trzymał usta na jej ustach, aż w końcu zaczął ją lekko gryźć, wywołując przyjemny ból. Bez zdejmowania ubrania, bez poruszania się z miejsca doprowadził kobietę do orgazmu; serce jej biło jak oszalałe, oddech się spłycił, piersi zaczerwieniły, a bieliznę miała mokrą. Doszła raz, potem kolejny raz i jeszcze jeden. Pomogło. Jej umysł wypełnił zapach seksu, pulsowanie krwi w jej kroczu, co przesłoniło wspomnienie utraconych pudełek, utraconego męża i utraconej rodziny. Wyłuskał Marthę z dzinsów i bluzy; poruszała się szybko, bezwstydnie, rozbierając Jacka, po czym odrzuciła własną koronkową bieliznę. Stali nago w kuchni, trzymając się nawzajem w ramionach i całując. Nie mogli przestać.

Ludzie twierdzą, że rozwód przypomina śmierć. Trzeba odbyć żałobę, naturalne są uczucia strachu, gniewu i żalu. Martha nie przyjmowała tego do wiadomości; chciała czuć, że żyje. Z każdym radosnym podrzutem czuła się bardziej energiczna, poruszona, pełna energii. Jack uniósł ją; oplótł ciało mężczyzny nogami. Pokierowała go w stronę stołu, żeby się na nim oprzeć i by Jack nie dźwigał całego jej ciężaru. Choć jemu to nie przeszkadzało, dla niego była lekka jak piórko. Przyciągał ją coraz bliżej, za każdym razem wchodził coraz głębiej, szybciej i mocniej. Zachowywali się jak zwierzęta, którym nigdy nie dość siebie nawzajem. Pieprzyli się często, gwałtownie, z wielką nadzieją i uczuciem. Była kiedyś dziewczyną, potem kobietą, teraz znów była dziewczyną.

LUTY

33

Martha na zawsze zapamięta luty tego roku jako słoneczny. To niezwykle, gdyż ten miesiąc najczęściej bywa ponury i bez wyrazu. Tego roku jednak każdy dzień witał ją błękitnym niebem, na którym świeciło jaskrawe, zimowe słońce. Często nosiła żółte ubrania i dużo się uśmiechała, pomimo ciągłych przypomnień Elizy w stylu: „Zdajesz sobie sprawę, że idealny mężczyzna nie istnieje, prawda?”. Uważała, że nie wymaga się od niej odpowiedzi, więc nie odpowiadała, co z kolei prowokowało odzywki w rodzaju: „Ale ty uważasz, że on jest doskonały, tak?” tonem, który wskazywał, iż oczekiwana odpowiedź powinna być przecząca.

— Na tyle doskonały, na ile to możliwe — mruknęła Martha, smarując masłem tost dla Maisie. Maisie wzięła go do ręki, pottrzymała przez jakieś dwie sekundy, po czym rzuciła na podłogę. Oczywiście zadziało prawo Murphy'ego i tost wyśladował posmarowaną stroną do dołu.

— O rany! — Martha się roześmiała. Posmarowała drugą kromkę i podała córce. Głupie drobniaki w rodzaju masła wdeptanego w wykładzinę już jej nie denerwowały. Przez pierwsze tygodnie po odejściu Michaela zdarzało się jej płakać nad rozlanym mlekiem, wbrew przysłowiu wskazującemu, że nie ma w tym sensu. Wtedy kaprysy dzieci niemal ją pokonywały; kiedy któreś z nich upadło i skaleczyło kolano, płakała rozpaczliwiej niż dziecko. Opieka nad Mathew i Maisie wydawała się wyzwaniem ponad jej siły. Teraz karmienie ich, pocieszanie, okazywanie miłości oraz chronienie znów przychodziło Marcie z łatwością.

A przynajmniej było możliwe.

Przewracanki z Jackiem wychodziły na dobre. Czuła, że to podnosi jej poczucie własnej wartości.

Ciągle zaczepki Elizy nie docierały do Marthy, chociaż ostatnio jedynym celem młodszej siostry wydawało się obrzydzanie starszej siostrze znajomości z Jackiem.

— Jack ma w sobie tyle energii, jak myślisz, wytrzymałabyś z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę? — zapytała raz Eliza, która właśnie przełknęła ostatnią łyżkę płatków, po czym zaczęła miotać się po kuchni, pakując rzeczy potrzebne do pracy.

Czy to możliwe, że któregoś dnia Martha może uznać jego ciągle gadanie za równie irytujące, jak milczące odcinanie się Michaela? Uważała to za niemożliwe. W tym Eliza się myliła.

— To ty powiedziałaś, że idealny mężczyzna nie istnieje. Jeśli to prawda, Jack musi mieć jakieś wady, a zbyt wielka ilość energii na pewno nie jest najgorszą z nich — stwierdziła Martha. — Poza tym nie mam zamiaru przebywać z nim dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Przedstawiłaś go już komuś?

— Co masz na myśli, czy przedstawiłam? Znasz go — odparła Martha, zabierając się za zbieranie naczyń po śniadaniu i wkładanie ich do zmywarki.

— Poznałam go, owszem, ale mi go nie przedstawiłaś. — Różnica, najwyraźniej oczywista dla Elizy, umknęła Marcie, która spojrzała na siostrę ze zdziwieniem. Eliza spróbowała tłumaczyć. — Byłam tutaj, on przyszedł, powiedziałaś mi, jak ma na imię. To nie to samo, co zaaranżowanie spotkania i przedstawienie kogoś. Poznałaś go już z rodzicami? — Eliza przestała szaleńczo poszukiwać komórki, karty kredytowej i sieciówki na metro, żeby z rękami na biodrach obrócić się twarzą do siostry.

Martha umiała rozpoznać wyzwanie.

— Hm, no nie, nie było okazji — przyznała.

— A Claire, Dawn, Dom, Tara — czy im go przedstawiłaś? Innym twoim znajomym? Michaelowi?

— Michaelowi? Na miłość boską, Elizo, po cóż miałabym przedstawiać Jacka Michaelowi?

— W takim razie nikt go jeszcze nie zna, zgadza się?

— Powiedziałam wszystkim to, co najważniejsze.

— Ale nikt z nich go nie widział?

— Nie.

— Trochę dziwne — podsumowała Eliza, powstrzymując się przed parsknięciem.

— Wcale nie aż tak.

— W takim razie to facet do łóżka, a nie związek?

— Facet do łóżka i do czułości.

— Ale nie związek — oznajmiła Eliza bezlitośnie.

— Zależy mu — sprzeciwiła się Martha.

— Wiesz, że wszystkie kobiety, z którymi czule chodzi do łóżka, myślą podobnie — powiedziała Eliza z naciskiem, po czym zapytała, czy Martha widziała jej sieciówkę.

Martha nie chciała się nad tym zastanawiać. Nie mogła nic poradzić, więc postanowiła się tym nie truć, bo to nic nie pomoże. Jack spotykał się z innymi kobietami; no i co z tego? Sypiał z nimi — no i co z tego? Przez jej umysł przemknął obraz Jacka całującego inną kobietę. Jej twarz była zamazana, niewyraźna. Martha zepchnęła nieprzyjemny obraz do podświadomości, ale zdążyła poczuć ukłucie. Ból w piersi. To bez sensu. Rozpatrywała to w myślach tysiące razy. Cóż, Jack pragnął różnorodności. Nie był gotów się ustabilizować — ona też nie. Zależało mu na niej. Ona doskonale się z nim bawiła. Tylko to się liczyło. Nie ma sensu myśleć o tym, co dalej. Na razie wystarczy.

Jak na jej możliwości.

Eliza pobiegła na górę. Martha słyszała, jak siostra odkręca kran do końca i myje zęby. Eliza zbiegła na dół, zawsze spóźniona, zawsze w pośpiechu. Martha podała jej sieciówkę.

— Dzięki.

— Widzisz, Elizo, ta dziwna mieszanka uczucia i dystansu bardzo mi odpowiada; chyba nie jestem gotowa na nic więcej.

— Mówisz tak tylko dlatego, że on nie chce ci zaproponować czegoś więcej — odpaliła Eliza, zapinając kozaki.

— Dobrze spędzam czas, spotykając się z guru mody, który nie bierze i nie pije, co w tym złego?

— Mnóstwo.

— Jest sexy, przystojny...

— I pytasz mnie, co w tym złego? Bo on nie jest w twoim typie. Ma tatuaż, nosi wisiołek i jeździ na motorze. — Przy takim podejściu do sprawy wydawało się niemal, że Eliza ma rację. Zwykle mężczyźni z tatuażem, biżuterią i motorami w ogóle Marthy nie pociągali, ale, dziwna rzecz, w przypadku Jacka te trzy cechy łączyły się w uosobienie męskiej atrakcyjności.

— Facet ma duże potrzeby. Spał ze striptizerką, a kobiety zalicza według kraju pochodzenia. Różnorodność to jego działka — przekonywała Eliza.

— No fakt, ma przeszłość. Wszyscy mamy. — Martha zapamiętała sobie, żeby nigdy nie dzielić się z Elizą zbyt wielu szczegółami. Służyły potem jako dowody używane przeciwko niej.

Młodsza siostra wślizgnęła się w zimowy płaszcz. I tak nie była w najlepszym nastroju, ale wkładanie tego brzydactwa zawsze pogarszało jej humor. Płaszcz naprawdę jej nie pasował. Kiepski zakup.

— Nie martwi mnie nawet jego przeszłość, tylko fakt, że facet ma podobne plany na przyszłość.

Martha westchnęła w duchu. Wiedziała, że Eliza ma rację. Pewnego dnia zapytała Jacka, czy kiedykolwiek próbował seksu we troje; był to żart, ale on wziął jej pytanie poważnie. „Jeszcze nie” — odpowiedział. Martha nie miała odwagi przyznać się do tego Elizie, która, jak wiedziała siostra, wpadłaby we wściekłość. Zapytała go również, czy kiedykolwiek wcześniej spał z mężatką. Dość nie-

zręczne pytanie, ale Martha wciąż szukała dziedziny, w której byłaby dla niego pierwsza lub przynajmniej jedyna.

Niestety, okazało się, że kilka lat wcześniej spotykał się krótko z kobietą w trakcie rozwodu, jak Martha.

Przynajmniej był szczery.

Niewielka pociecha.

Martha pocieszyła się myślą, że nie zapytała go jednak, czy jest pierwszą kobietą z dziećmi, z którą sypia; zapamiętała, by go o to nie zagadnąć.

Eliza, jakby czytając w jej myślach, westchnęła teatralnie.

— Och, Martho, pakujesz się w nieliczne kłopoty. Białe myszki w laboratoriach uczą się szybciej od ciebie.

Martha poczuła gniew. Miała ochotę zapytać, czego właściwie miałyby się według Elizy nauczyć. Jak się zamykać na ludzi? Jak być zimną i nieufną? Jak uzbroić się przed ponownym zakończeniem? Jeśli chodzi o nią, to nie byłoby życie. Jednak nie powiedziała tego wszystkiego; ograniczyła się do stwierdzenia:

— Przynajmniej w walentynki nie będę zajmowała się sprzątaniami zabawek.

— A jesteś tego pewna?

— Hm... — Martha nie wiedziała, co powiedzieć. Założyła, że Jack spędzi z nią walentynki, ale w sumie przecież nie miała żadnego prawa tak myśleć.

— Skąd wiesz, że nie będzie wolał spędzić ich z jakąś inną ze swoich nagich koleżanek? — zapytała Eliza.

No właśnie, skąd?

— Słuchaj, Martho, nie chcę być niepotrzebnie okrutna... — Ale miała zamiar być niepotrzebnie okrutna. Martha była tego pewna. — Wyglądasz odłotowo, zawsze miałaś cudowny, miły charakter, jednak, kochanie, po świecie chodzi mnóstwo atrakcyjnych kobiet, a faceci rzadko lecą na miły charakter.

Hm.

Martha nie miała ochoty zadawać tego pytania, ale wiedziała, że musi.

— No to na co lecą?

— Wielkie cycki. Wyzwanie. Kylie Minogue.

Martha spojrzała w dół, na swoje przeciętnych rozmiarów piersi; mogła je co najwyżej opisać jako „małe, ale doskonałe w kształcie”.

Według niej Eliza powiedziała jasno wszystko, co trzeba, lecz siostra najwyraźniej chciała postawić kropkę nad i.

— Wiem, wiem, wielu uważa, że więcej niż się mieści w dłoni to przesada, ale naprawdę żadna z nas nie ma nawet tyle. No i nie jesteś Kylie, nie umiesz nawet śpiewać, a co do stawiania wyzwań...

— Zatrzymała się w pół zdania, jakby nie miała nic więcej do powiedzenia.

— No co? — zapytała Martha. — Dlaczego nie stawiam wyzwań?

— Jesteś pod ręką, zależy ci i łatwo przewidzieć, co powiesz albo zrobisz. Czy to brzmi jak wyzwanie?

— Nie będę się bawić w gierki. To nie dla mnie. Poza tym i tak bym przegrała.

Eliza spojrzała na siostrę i po raz kolejny pomyślała, w jakiej okropnej sytuacji się znalazła. Martha nie powinna się rozwodzić, nie starczy jej brutalności, by radzić sobie w dzungli randkowego świata. Jack robi z niej siekane mięso, to tylko kwestia czasu. Martha co prawda uparcie twierdziła, że Jack to tylko zabawa, ale najwyraźniej zaczynała się w nim zakochiwać. Bardzo mocno.

Było też jasne, że apelując o rozsądek, Eliza traci czas. Nie chciała psuć Marcie zabawy, naprawdę się o nią martwiła.

— No dobrze, jeśli naprawdę chcesz ciągnąć ten... związek... — ostatnie słowo wypowiedziała takim tonem, jakim niektóre kobiety wymawiają słowo „pornografia” — ...przynajmniej zrób wysiłek, spróbuj go zrozumieć. Daj sobie szansę.

Martha zamieniła się w słuch.

— Mężczyźni w rodzaju Jacka... — kontynuowała Eliza.

— Co masz na myśli, mówiąc „mężczyźni w rodzaju Jacka”?

— Faceci zbyt przystojni, żeby im to wyszło na zdrowie. Wbrew zamiarom Elizy jej komentarz jeszcze wzmocnił zacięcie Marthy, która spuchła z dumy.

— Tacy mężczyźni nie snują planów — kończyła Eliza. —

Dlatego powinnaś znaleźć sposób, zrobić cokolwiek, wszystko, żeby zawsze o tobie pamiętał. Że tak powiem, by miał cię w pamięci podręcznej. Martho, na świecie rośnie konkurencja. Musisz umieć zawalczyć.

Martha odniosła wrażenie, że Eliza ćwiczy na niej przemówienie do nowej kampanii zwiększenia budżetu na produkcję wideo.

— O co ci chodzi?

— Musisz być pierwszą i ostatnią kobietą, o jakiej codziennie myśli.

— A jak niby mam to osiągnąć?

— O rany, nie wiem, wysił swoją kreatywność. — Eliza rzuciła okiem na kuchenny zegar. — Spóźniłam się do pracy, pogadamy wieczorem — Pocałowała siostrzenicę, siostrzeńca, a siostrze przesłała ręką całusa. — Zastanów się nad tym, uruchom swoją kreatywność.

Drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem.

— Co zrobiłaś?! — zapytała Eliza.

Była wstrząśnięta i nie umiała tego ukryć nawet za cenę własnego życia.

— No przecież sama powiedziałaś, że muszę zadbać o to, by cały czas o mnie pamiętał — broniła się Martha.

— Ale Martho, wysłałaś mu całkowicie błędny przekaz.

— Naprawdę?

— O Boże, jesteś niemożliwa. — Eliza wpatrzyła się w tabele arkusza kalkulacyjnego na ekranie. Liczby zaczęły zlewać się przed jej oczami. Niemal żałowała, że odebrała telefon; nie miała ochoty na taką rozmowę. — Naprawdę. To nie są dzieci. Do ciężkiej cholery, batoniki?! Dlaczego po prostu nie wzięłaś książeczki dla dzieci i mokrych chusteczek? Przynajmniej miałybyś go z głowy. Nie chcesz, żeby postrzegał cię jako matkę, tylko* osobę, z którą można dobrze spędzić czas.

— Ale ja jestem matką, a poza tym wydawało mi się, że będzie to zabawne. Znasz to piątkowe uczucie i batoniki Crunchy Friday. Dziś jest piątek.

— No cóż, dałaś ciała. Spaliłaś. Nigdy już do ciebie nie zadzwoni.

Olbrzymim, niewybaczalnym przestępstwem Marthy było to, że wpadła do biura Jacka i zostawiła w recepcji trzy batoniki Crunchy Friday: jeden dla niego oraz po jednym dla jego kolegów, Dave'a i Drew. Batoniki były zapakowane w szary papier, owinięte czarną wstążką i opatrzone napisem „pilne”. Nie dołączyła liściku. Była z siebie zadowolona. Musiała nad sobą zapanować, by nic nie napisać, ale uznała, że w ten sposób wyda się bardziej tajemnicza i interesująca.

Nie był to całkiem spontaniczny gest. Po pierwsze — faktycznie było piątkowe popołudnie i za kilka godzin Jack miał przyjechać do Marthy. Bardzo na niego czekała; cały dzień towarzyszyło jej uczucie piątkowej zabawy. Mówiąc ściślej, to uczucie towarzyszyło jej od miesiąca. Dziwne jedynie, że nie była w tym osamotniona; Jack przesłał jej SMS-a z wiadomością, że on czuje się podobnie. A Jack słodczyce uwielbiał w sposób skandaliczny i zaskakujący.

Kolejnym motywem była uwaga Elizy, że postępowanie Marthy łatwo przewidzieć. To jej dopiekło do żywego.

Wszystko to zaowocowało kupieniem batoników.

Zawiozła paczuszkę do jego biura o trzeciej piętnaście, po całym dniu intensywnego SMS-owego flirtu. Jednak teraz było wpół do siódmej, a Jack się nie odezwał; spodziewała się telefonu niemal od razu po doręczeniu paczki. Utknęła na ziemi niczyjej, w żalnym momencie wykluwania się związku. Cierpiała strasznie.

Oczywiście jego milczenie można było racjonalnie wytłumaczyć na wiele sposobów. Może nie dostał przesyłki, która wciąż zalegała niezauważona na jakiejś półce na korespondencję. Może dostanie

ją dopiero w poniedziałek rano, co całkowicie spali żart. A może ją dostał, ale myślał, że to od kogoś innego (jednak powinna była dołączyć karteczkę; wykazała się głupotą i arogancją). A może dostał ją, ale uznał, że to dziecinada i błazeństwo ze strony Marthy. Czy go skompromitowała? Na ogół w jego towarzystwie czuła się bardzo swobodnie, może jednak nie знаła go tak dobrze, jak myślała? W końcu nie tworzyli normalnego związku. Miał przecież nagie koleżanki. Czy batoniki okazały się przesadnym spoufalaniem?

Zadzwoiła do Elizy po wsparcie i poradę. Siostra faktycznie zmniejszyła jej niepewność, ale absolutnie nie pocieszyła. Eliza niewzruszenie wierzyła, że trzecie wyjaśnienie było słuszne.

— Kiedy mieliście się spotkać? — zapytała.

— Dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem? To po co w ogóle odzywałaś się do niego? Nie ma sensu dzwonić ani pisać, skoro i tak mieliście się spotkać.

— Odezwałam się, bo myślałam o nim i chciałam, żeby on też o mnie myślał. Sama mówiłaś, że miał myśleć o mnie co rano i co...

— Co wieczór. Tak, wiem, wiem, ale do jasnej cholery, Martho, jesteś kompletną ignorantką. Nie masz pojęcia o zasadach traktowania facetów?

— No, chyba nie — przyznała Martha. Niemal już chciała przypomnieć siostrze, że została świeżo porzucona, a przedtem wycofała się z interesu na ponad dziesięć lat. Nie interesowało jej, co powinna mówić, co robić i jak wywierać wpływ na mężczyzn. Nie miała pojęcia, jak kokietować. A kiedyś przecież znała się na tym. W młodości na pewno to umiała, ale teraz? Wszystko rozgrywało się przez SMS-y i telefony, które natychmiast zdradzały, ile razy się dzwoniło, o której i skąd; niełatwo o subtelności. Poza tym, ponieważ komórki mają tę wyrafinowaną opcję „połączenia nieodebrane”, nie można nawet się łudzić, że ten ktoś być może zadzwonił. Jeśli nie zadzwonił, nie dało się uciec od okrutnej prawdy. Martha nie umiała się w tym odnaleźć. Wydawało się jej jednak, że batonik był całkiem niewinny. Zabawny gest. Nie zdawała sobie sprawy, iż to naruszenie reguł, które skutkuje nieodwołalnym porzuceniem.

— SMS-owaliśmy wcześniej. Napisał, że ma uczucie jak w reklamie Crunchy Friday, odpisałam, że wiem dokładnie, co ma na myśli, bo też to samo czuję od jakiegoś czasu.

— Co takiego?! — Elizę najwyraźniej rozczarowały nieudolne usprawiedliwienia i wyjaśnienia Marthy. — Przede wszystkim: absolutnie nie powinnaś była do niego pisać. Wcale. Nie było potrzeby, skoro umówiliście się na wieczór. Musisz zachować zimną krew.

— Czyżby?

— Tak! — Eliza i tym razem nie prychnęła, choć Martha to wyczuła. — Ile SMS-ów dzisiaj wysłałaś?

— Nie wiem, straciłam rachubę. Może cztery.

— Martha! Do cholery, nigdy, nigdy nie wolno wysyłać więcej niż jedną wiadomość dziennie!

— Ale on też do mnie pisał — broniła się Martha. Eliza nie zwróciła na to uwagi.

— A potem jeszcze zostawiasz batoniki. No cóż, zapomnij o nim, to już skończone. Rozejrzyj się za innymi kandydatami. Mała, otworzyłaś się przed nim na oścież. Nie ma mowy, żeby do ciebie wrócił po tym, jak się mu podłożyłaś.

Po wygłoszeniu pocieszającego wniosku Eliza szybko zmieniła temat. Zaczęła mówić o brązowych džinsach, które widziała na wystawie u Karen Miller; chciała je kupić następnego dnia. Potem stwierdziła, że musi kończyć, ma do skończenia budżet jakiejś kasety.

Martha ledwo ją słyszała.

Eliza powiedziała, że idzie na randkę i wróci późno. Niech Martha na nią nie czeka.

Martha nakarmiła dzieci, wykapała je i zabrała się za czytanie im książeczek. Jak zwykle Maisie nie zwracała absolutnie żadnej uwagi na fabułę, na odwracanie po kolei kartek ani nawet na sposób trzymania książki. Denerwowała Mathew, chwytając kartki i wkładając je do buzi. Wywołało to burzę, na łagodzenie której Martha nie miała już cierpliwości. Zamiast starać się kontynuować historię królika Piotrusia, odwracając uwagę Maisie zabawkami, prosząc Mathew o wyrozumiałość dla siostry — Martha szybko położyła dzieci do łóżek, każde do swojego. Zgasiała światło.

Zasunęła zasłonki. Głupia była, uważając piątek za dzień inny od wszystkich, bardziej kolorowy. Z założonymi rękami stała oparta o kaloryfer odkręcony na maksimum, ale nadal nie mogła się rozgrzać. Wzięła pilota i przerzuciła kilka kanałów w telewizji; nic nie przyciągnęło jej uwagi, nawet żalosalne wyczyny bohaterów serialu *Eastenders*. Na autopilocie Martha przeszła przez kuchnię i otworzyła lodówkę. Wpatrywała się w jej wnętrze, usiłując się zdecydować, co wybrać. Problem w tym, że nie była głodna. Nic jej nie kusiło. Nie miała na nic ochoty.

Nie zadzwonił.

Jak batonik mógł otworzyć ją na oścież przed Jackiem?

Wyciągnęła butelkę schłodzonego białego wina. Otworzyła ją. Starannie nalała sobie duży kieliszek; już nie rozglądała się po domu z poczuciem winy, czekając, aż ktoś na nią nakrzyczy za picie. Uznała, że poczyniła jednak jakieś postępy. Ale natychmiast przypomniała sobie, jak często otwierała wino, i zwątpiła w słuszność swojego wniosku. Mogła pozbierać talerze po kolacji dzieci, mogła pozmywać. Mogła włożyć ubrania do pralki albo je uprasować, zawsze miała mnóstwo do prasowania. Mogła zrobić porządek w szufladzie z foliowymi torebkami. Kiedyś właśnie to robiła, czekając na Michaela spóźniającego się z powrotem z kolejnego zebrania. Nic jednak nie chciało się jej robić.

Przerzuciła kolekcję płyt CD. Ostatnio kupiła sporo nowych: Chemical Brothers, Nelly Furtado, Röyksopp. Była dumna ze swej rosnącej kolekcji, ale niestety żadna z płyt nie pasowała do jej aktualnego nastroju. Nie miała nic Smithów. *Heaven Knows I'm Miserable Now* byłoby idealne.

Nie mieściło się to jej w głowie. Eliza miała rację, a ona się pomyliła. Był niewierny, nielojalny i... i... Martha szukała odpowiednio potępiającego słowa. Był niewierny, nielojalny, jak każdy facet, po prostu.

Dlaczego nie zadzwonił? Przecież miał do niej przyjść, ale nie zadzwonił, żeby potwierdzić, że się zjawi. Martha nie wiedziała, czy robić sobie kolację. Myśl o samotnym zjedaniu kolacji do końca życia była zbyt przygnębiająca; wiedziała, że nie przełknie ani kęsa.

Znalazł kogoś nowego.

Zapewne w tej chwili całował ją po szyi.

Jest oczywiste, że spędzi walentynki — a zapewne również resztę dni — z kimś innym. Martha oszukiwała samą siebie. Zapewne będzie to kilka kolejnych nowych kobiet. Zapomniał o niej. Co jest tak strasznego w kilku batonikach? Do tego momentu wszystko było w porządku. Czy mężczyźni naprawdę tak nienawidzą, kiedy okazuje się im troskę?

Pomyślała o Michaelu. Jej troska o niego również nie przyniosła nic dobrego. Napiła się wina.

Ale Jack nawet robił plany. Rozmawiali o lecie, powiedział coś w rodzaju: „Nie mogę się doczekać ciebie z opalenizną”. Co to oznacza, jeśli nie robienie planów na przyszłość? Oczywiście Michael też obiecywał, że ich małżeństwo będzie trwało zawsze i — jak się okazało — kłamał. Oczywiście po takim rozczarowaniu powinna brać męskie słowa nie z odrobiną, ale z mnóstwem wątpliwości. A jednak, nie wiedzieć czemu, wierzyła Jackowi. Było to absolutnie nielogiczne, ale ufała mu. Martha chwyciła telefon i stukając wściekle w klawisze jeszcze raz przeczytała wiadomości, które do niego wysłała. Były co do jednej zalotne, dowcipne i przyjacielskie.

Nic nie rozumiała.

Nalała sobie kolejny kieliszek, zauważając przy okazji, że trzęsie się z gniewu. Nie wyobrażała sobie, jak kiedykolwiek będzie mogła jeszcze cieszyć się życiem. Świat był jednym wielkim rozczarowaniem. Takim samym jak jej mąż, takim jakim okazał się kolejny mężczyzna w jej życiu. Ręce ciążyły jej niczym ołowiane, nie mogła ich unieść nawet na wysokość pasa, choćby po to, żeby nalać sobie kolejny kieliszek. Odstawiła butelkę, zanim wyslizgnęła się jej z dłoni. Kieliszek w drugiej ręce nie miał tyle szczęścia; spadł na podłogę i rozbił się na kawałki. Martha nie zadała sobie trudu, żeby posprzątać szkło. Zastawa, którą kiedyś tak lubiła, teraz nie znaczyła nic.

W końcu wszyscy zawodzą. Wszyscy ranią, rozdierają i zadają ból. Wszyscy odchodzą. Czują walące mocno serce. Miała ochotę zadzwonić do Jacka, żeby — jak to kiedyś określała — powiedzieć, co o nim myśli. Teraz nazwałaby to zjebką od góry do dołu.

Czy nie rozumiał? Czy naprawdę nic nie dostrzegał? Nie domyślił się, jak głęboko zapadł jej w serce? Był dla niej na podobieństwo drugiej skóry, gdzieś pomiędzy całym tym bałaganem, narządami wewnętrznymi, sercem, duszą i stwardniałym naskórkiem. Mimo to jednak, jak się okazało, ten naskórek nie był jeszcze dość twardy.

Mógł przynajmniej zadzwonić. Ale zostawić ją ot tak, siedzącą w domu... gubiąc się w domysłach...

W grudniu nigdy nie potraktował jej z takim brakiem szacunku, a grudzień to przecież sezon imprez, kiedy naprawdę trudno znaleźć czas. Gdyby chciał skorzystać z okazji i zabawić się z innymi nagimi koleżankami, wtedy miał idealną szansę. Najlepszy czas.

Martha nie była zaborcza. Naprawdę nie przeszkadzało jej, że w życiu Jacka pojawiały się inne kobiety. Jack pomógł jej przeżyć sezon nieskończonych życzeń wesołych świąt. Pomógł przełknąć niezliczone przesłodzone filmy, programy i reklamy bombardujące ze wszystkich stron. Te, które z uporem maniaka pokazywały idealną rodzinę: męża, żonę, dwójkę dzieci i psa, siedzących jeśli nie wokół pianina, to na pewno przed telewizorem. Każde — nawet pies — uśmiechnięte, zadowolone, promieniejące szczęściem. Ona kiedyś żyła w takim świecie z marzeń, które potem Michael spuścił z wodą, jakby jej małżeństwo było zdechłą złotą rybką. Jack pomógł jej oderwać się od sentymentalnych wyobrażeń. Niczym wielki kieliszek wina znieczulił przenikliwy, nieustający ból rozdzierający jej serce, ból odrzucenia przez męża. Jack przynajmniej jej pragnął. Nawet jeśli nie w najszlachetniejszy możliwy sposób. Może Eliza miała rację, może chodziło mu tylko o seks, ale jednak Martha zawsze odbierała go inaczej — dla niej był jednak bardziej przyjazny, troskliwy i czuły.

Potem przez cały styczeń był dla niej przyjacielem. Zawsze odbierał jej telefony, w przeciwieństwie do Michaela. To Jack towarzyszył jej, kiedy denerwowała się przeziębieniami i zapaleniami uszu dzieci; co więcej — zabierał ją do restauracji, pubów i barów. Miała wrażenie, że lubi spędzać z nią czas. Zachowywał się, jakby chciał z nią przebywać. Ale teraz wydawało się, że nikt jej nie chce, czy w sposób szlachetny, czy mniej szlachetny.

Może chodziło o to, jak się zachowywał. Marthę nagle uderzyła świadomość tego, że naprawdę — naprawdę! — nie chciano jej ani jako partnerki na całe życie, ani nawet jako czasowej partnerki do łóżka. Podwójny wstrząs.

Miała wrażenie, że wybuchnie.

Poczekwała do za piętnaście dziesiąta, by mieć absolutną pewność, że Jack nie zasiedział się w biurze. Zawsze zjawiał się u niej najpóźniej o wpół do ósmej. Nie przyjdzie. Butelka była pusta, a Marcie nie przychodziło do głowy nic rozsądniejszego niż samotne położenie się do łóżka.

Z wyjątkiem...

Wystukała numer jego komórki. Telefon zadzwonił dwa czy trzy razy, zanim Jack odebrał. Ostatnia odrobina nadziei, jaką jeszcze miała — że może utknął w pracy, może nie mógł zadzwonić ani z komórki, ani ze stacjonarnego — znikła. W tle rozlegały się dźwięki imprezy. Bar czy może klub.

— Cześć. — Nie wydawał się specjalnie uszczęśliwiony, słysząc jej głos. Ale jednak odebrał, chociaż wiedział, kto dzwoni, bo jej imię pojawiło się na wyświetlaczu.

Marcie przychodziło do głowy tylko jedno wyjaśnienie: chciał, żeby przekonała się, iż jest z inną. To taka tchórzliwa metoda pozbycia się kobiety. Hm, nie da mu tej satysfakcji.

— Dzwonię, żebyś dziś wieczorem nie przychodził — oznajmiła. Było jasne, że nie miał takiego zamiaru. Może, jeśli mu się nie powiedzie, planował wpaść później, po zamknięciu baru, i zaliczyć gorący seks. Musiała mu dobitnie wyjaśnić, że to nie wchodzi w grę.

— A, dobrze — powiedział.

— Jestem zmęczona — ciągnęła, mając oczywiście na myśli, że jest za późno na randki. — Nie chcę cię widzieć. Ani dziś, ani nigdy więcej. Cokolwiek się zdarzyło między nami, było pomyłką i już się skończyło. Rozumiesz? Zapomnij o mnie.

— Jeśli chcesz. Połączenie przerwano.

Martha padła na łóżko i płakała, aż usnęła.

35

Martha nie pamiętała, kiedy czuła się gorzej. W sumie kac był raczej darem losu. Zaslugiwała na niego; i tak nie on sprawiał jej największy ból. Dzięki Bogu Eliza wciąż spała, bo Martha nie wytrzymałaby komentarzy typu: „A nie mówiłam?”, nawet jeśli Eliza rzeczywiście jej mówiła.

Zwłaszcza że Eliza jej mówiła.

Ale co powinna była zrobić inaczej? Jak mogła się oprzeć Jackowi?

Nasypała dzieciom po dużej miseczce czekoladowych płatków. Ostatnio mniej martwiła się o ich zęby, a bardziej o to, jak ochronić ich serca. Dzieci jadły płatki z nieprzyzwoitym zachwytem, nie zważając na cierpienie matki.

Oczywiście zdrowy rozsądek dawno wskazywał, że znajomość Marthy i Jacka będzie bez znaczenia i nie przetrwa długo. Wszystko przemawiało przeciwko nim. Ledwie go znała (choć czuła się tak, jakby znali się od lat), za szybko poszła z nim do łóżka (choć wtedy chwila wydawała się idealna). W łóżku było im cudownie, co oznaczało, że wcześniej Jack miał tysiące kochanek (choć kiedy kochał się z nią, nie miała wrażenia, że powtarza pozycję ze strony 124 *Kamasutry*; czuła się tak, jakby naprawdę w akt wkładał uczucia). Upierał się przy tym, żeby zachować wolność (i tego faktu nie dało się obronić, zresztą Martha nie miała takiego zamiaru; zamierzała po prostu nadal go ignorować). Jeśli kiedykolwiek poświęcała jakąkolwiek uwagę nagim koleżankom, uznawała, że Jack po prostu przyznawał sobie takie prawo, ale nie oczekiwała, że z niego skorzysta. Zresztą, kiedy miałyby to zrobić? Większość czasu spędzał z nią.

Jakoś założyła sobie, iż skoro spędza z nią czas — i to tak często, tak dobrze się bawiąc — nie widuje już nikogo innego. Wymagałoby to zbyt dużej ilości energii. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, co by czuła, wiedząc, iż Jack w tej chwili całuje usta i szyję innej kobiety, pieści jej uszy i

piersi. Ale teraz, skoro już musiała o tym pomyśleć, czuła się strasznie. Na pewno były inne kobiety, skoro Jack tak stwierdził, prawda? Było oczywiste, że prędzej czy później spotka kolejną atrakcyjną, nagą koleżankę. I pójdzie dalej. Mogła go zapytać wczoraj wieczorem. Skoro wyznawał tę okropną politykę szczerości, na pewno powiedziałby jej prawdę. Ale, Chryste, Martha już naostrzyła nóż, dała mu do ręki i nawet pokazała, jak uderzyć; nie będzie jeszcze kręcić nim w ranie.

No dobrze, może nie miała zbyt realistycznych oczekiwań. Dlaczego ostatni wolny przystojny, dobrze wyposażony, sprawny, zamożny, inteligentny bóg seksu w Londynie — a może w całej Wielkiej Brytanii — miałby wybrać właśnie ją, Marthę Evergreen? Co gorsza, dlaczego wybrałby kobietę z bagażem? Trzydziestodwuletnią matkę z niemowlęciem i małym dzieckiem.

Spojrzała na dzieci; poczuła wypełniającą ją miłość na widok Maisie wkładającej sobie łyżeczkę płatków do ucha oraz Mathew, który powinien już umieć się zachować, rozgniatającego banana na siedzeniu krzesła obok. Obojgu dzieciom ciekła z nosa zielonkawa wydzielina, gdyż nadszedł sezon przeziębień — innymi słowy, nie był to lipiec ani sierpień (wtedy też ciekło im z nosa, ale był to katar sienny, nie przeziębienie). Z pieluszki Maisie dochodził straszliwy zapach, a z ust Mathew — potworny pisk. Pełna normalność, uznała Martha. Czy można się oprzeć jej urokowi? Jak najbardziej. W końcu nawet ich cholerny tatuś się oparł. Jak można było mieć nadzieję, że Jack zapragnie czegoś takiego?

Martha wzięła prysznic i uczesała się. Potem wcisnęła dzieci w ubranka, zapakowała je do samochodu i pojechali do Selfridges. Widok wielu zbyt drogich, luksusowych produktów powinien jej poprawić nastrój. Na ogół wystarczał Food Hall, przynajmniej jego dział kosmetyczny. Ale tym razem nawet Selfridges nie pomógł. Martha westchnęła. Pamiętała czasy, kiedy wycieczka do miejscowego supermarketu była dla niej świętem. Nie tak dawno temu. Jakość jej życia poprawiła się czy pogorszyła, skoro zaczęła wymagać więcej?

Nie rozumiała. Nie mogła uwierzyć. Z Michaelem spędziła dziesięć lat, a i tak udało mu się ją zaskoczyć i rozczarować; to nie ulegało wątpliwości. Ale wydawało się jej, że całkiem dobrze sobie radzi; nawet jeśli nie udało się jej wrócić do równowagi, przynajmniej żyła dalej. Owszem, nadal kłóciła się z Michaelem od czasu do czasu — właściwie nawet bardzo często. Ale nie obrzucała go błotem przed innymi ludźmi. Bardzo się starała, by nie stracił kontaktu z dziećmi, organizowała ich spotkania, mimo że w niedzielne popołudnia bardzo tęskniła za maluchami. Zgodziła się, żeby przeprowadzili rozwód samodzielnie, bez adwokatów, chociaż wszyscy wokół uważali, iż zgadzając się na tę prośbę Michaela, poszła już za daleko w swej wyrozumiałości.

Ostatnio zaś — brzmiało to szaleńczo, wiedziała o tym — zaczęła myśleć o Jacku jako o swego rodzaju nagrodzie.

Oczywiście nie nagrodzie z nieba, do niej nie bardzo się kwalifikowała. Wydawało się jej jednak, że utrata Michaela, choć wstrząsająca, a także cała procedura rozwodowa, miały mimo wszystko jakiś sens; może Jack był pocieszeniem.

Ponieważ Jack wydawał się tak inny od reszty mężczyzn, których znała.

Wyjątkowy.

Oczywiście naiwnością byłoby wierzyć, że naprawdę im się uda. Rzecz jasna, był to tylko klin.

Ale przecież można mieć nadzieję, prawda?

I jeszcze jedno: Jack nazywał się Hope, czyli nadzieja. Musiało to być czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności; to omen. Nadzieja pojawiła się w chwili, kiedy Martha przestała wierzyć w ludzi. Gdy wszyscy wokół uznali, iż jej wiara w lojalność, moralność i przyzwoitość nie ma sensu, pojawiła się nadzieja.

Dlatego takim szokiem okazał się fakt, że Jack był kolejnym skoczkiem, że potraktował ją z takim brakiem szacunku. Mimo przykrych doświadczeń, dowodów, mimo swoich oczekiwań Martha w niego wierzyła. Nie mogła nic na to poradzić. Zaufała mu, co nie miało nic wspólnego z jej „niewiarygodną naiwnością, łatwowiernością i skłonnością do wybierania skoczków”, jak utrzymywała jej siostra; on naprawdę wydawał się przyzwoity.

Wiedziała o tym, wierzyła w to.

A przynajmniej tak się jej wydawało.

Nie oczekiwała oświadczeń. Była świadoma, w co się pakuje, przecież ją ostrzegł. Jej błąd polegał na przekonaniu, że będzie umiała w to grać. Jej błąd polegał na tym, że mu zaufała. Ale jednak wierzyła mu.

Kiedyś.

Odkąd się poznali, nie znalazła żadnego powodu, żeby mu nie ufać. Doskonale się razem bawili. Chodziła z nim na randki, taktownie proponując, kiedy i gdzie mogą się spotkać. Stariała się robić to w sposób naturalny i spontaniczny, choć w rzeczywistości każde spotkanie wymagało od niej skomplikowanych zabiegów. Musiała zapewnić dzieciom opiekę, zadbać o prawa Michaela do odwiedzania dzieci oraz brać pod uwagę życie towarzyskie Elizy. Nie było to łatwe. Jack zawsze natychmiast zgadzał się na spotkanie, w najgorszym wypadku mówiąc, że musi sprawdzić, czy już się nie umówił. I zawsze o uzgodnionej porze przekazywał jej wiadomość, czy to twierdzącą, czy nie. Rzadko się spóźniał, a jeśli miało to nastąpić, niezmiennie dzwonił i uprzedzał.

Jack otwierał jej drzwi, robił herbatę, choć sam jej nie pił, dokonywał w domu drobnych napraw, chociaż go nie prosiła ani nawet o nich nie wspominała, zmieniał baterie w zabawkach dzieci. Sama też mogła to zrobić, ale on zawsze chciał to dla niej zrobić. Traktował ją z szacunkiem i życzliwością. A jednak mimo wszystko Eliza miała rację. Nie można im ufać. Wszyscy są tacy sami: nieodpowiedzialni i zawodni.

To bolało. Rozczarowanie było naprawdę olbrzymie. Martha czuła się nieopisanie, niewiarygodnie, straszliwie smutna. Tęskniła za Jackiem. Poszperała w torebce w poszukiwaniu komórki (jak też kiedyś radziła sobie bez niej?) i zadzwoniła do Elizy.

— Cześć laleczko, co nowego? — zapytała Eliza sennie.

— W porządku. Jack wczoraj nie przyszedł.

— Niespodzianka. — A po chwili dodała poważniej: — Przykro mi. Nie chciałam, żeby tak się to skończyło. — Chociaż jako kobieta obyta w świecie od początku spodziewała się najgorszego.

— Chyba do niego zadzwonię.

— Do jasnej cholery, Martho, absolutnie tego nie rób! — Martha niemal widziała, jak siostra wyskakuje z łóżka; zapewne w tej chwili gorączkowo szukała sieciówki i już biegła na przystanek autobusu 94, żeby ją powstrzymać.

— Muszę — upierała się Martha.

— Po co ci to?

Martha przypominała sobie, jak kiedyś największą ambicją jej życia było wydanie siostry za mąż, żeby Mathew i Maisie mogli sypać kwiatki przed panną młodą. Teraz jej dążenia się zmieniły. Chciałyby nauczyć się jeździć na snowboardzie. Chciałyby zobaczyć naśladowcę Elvisa, najlepiej w Vegas. Chciałyby zobaczyć pola tulipanów w Holandii. Dawniej jej pomysłem na przyjemne spędzenie sobotniego popołudnia było pielenie w ogrodzie, a potem znalezienie czasu na odkamienienie głowicy prysznicza przed zrobieniem cotygodniowych zakupów. Teraz zabierała dzieci na obiad do restauracji Bluebird i wydawała fortunę w Miss Sixty. Teraz nosiła obrączkę na palcu u nogi, a także zastanawiała się, czy nie zrobić sobie piercingu pępka. Jack nie odpowiadał za te wszystkie zmiany, ale stanowił ich część. Odkąd go poznała, nie stała się lepsza ani inna, ale stała się sobą. Dobrze się czuła w dzinsach biodrówkach i butach na stalowych szpilkach; lepiej niż w schludnych kostiumach i płaskich półbutach. Miała wrażenie, że właśnie zaczęła coś nowego; nie chciała tego kończyć.

— Ponieważ wolę moje życie z nim niż bez niego.

— Uda ci się tylko zrobić z siebie idiotkę. On nie chce o tym wiedzieć, wkurzy się, jak zaczniesz za nim biegać.

— Może, mała.

„Może, mała. Może, mała” — powtórzyła Eliza w myślach.

— Co to za język? — zapytała. — Piękne słówka Jacka?

Ale siostra nie odpowiadając, rozłączyła się.

Zadzwoniła na komórkę do Jacka. Odpowiedziała poczta głosowa, lecz Martha nie zostawiła wiadomości. Obawiała się, że będzie miała tylko jedną szansę i nie chciała jej zmarnować, mamrocząc coś głupiego. Z doświadczenia wiedziała, iż rzadko udawało się jej zostawić rozsądną i konkretną wiadomość w poczcie głosowej, nawet jeśli chodziło o sprawy tak prozaiczne jak przekazanie odczytu liczników na gaz.

Pięć minut później zaświergotała komórka; jej ćwierkanie brzmiało jak wibracje. „Jack Hope” — pokazało się na wyświetlaczu.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odparł. Miał głos zbitego psa. „Pewnie czuje się winny” — uznała Martha.

— Cześć — powtórzyła, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

— Cześć — on najwyraźniej też nie wiedział.

— Już to mówiłeś.

— Ty też.

— Wiesz, wczoraj wieczorem byłam naprawdę wkurzona. — Ostatnio Marcie wyjątkowo łatwo przychodziło używanie slangu.

— Tak mi się wydawało.

— Poczulałam się niechciana, wykorzystana i łatwa. Jak jednonocna przygoda, a nie naga koleżanka, jak żadna koleżanka.

— Nie mam pojęcia, czym cię tak wkurzyłem — odrzekł Jack powoli.

— Nie jestem jednonocną przygodą, nie możesz do mnie wpadać po zamknięciu pubów. Już to przechodziłam. Nie jestem nastolatką. Zasluguję na więcej. No dobrze, wysłałam ci batonika, co może oznaczać więcej niż tylko to, że wiem o twoim zamiłowaniu do słodyczy, ale mogłeś przynajmniej zadzwonić i powiedzieć, że dla ciebie to trochę za szybko. Ignorowanie mnie w nadziei, że się odczepię, jest wyjściem godnym tchórza. — Tu Marcie zabrakło powietrza i musiała przerwać.

— Batonik? Wyjście? O czym ty mówisz? Uprzedzałem cię o urodzinach Philipa. Mówiłem, że wpadnę późno.

— Co takiego?

— Mówiłem ci, że już się wcześniej umówiłem i będę w stanie spotkać się z tobą bardzo późno. Przekonywałem cię, że to nie najlepszy pomysł, aby się spotykać, ale bardzo nalegałaś, żebyśmy wpadli chociaż na chwilę.

— Naprawdę?

— Jeśli mnie pamięć nie myli, bardzo się upierałaś. Martha niejasno zaczęła przypominać sobie rozmowę ze środowego wieczoru.

— O jasna cholera. Jasna, jasna, jasna cholera — powiedziała. To chyba najlepiej podsumowało sytuację. Sama stwierdziła, że nie ma nic przeciw temu. „Idź na imprezę, spotkamy się później” — to były jej słowa. Zaczęła chichotać, częściowo z ulgi, a częściowo z zakłopotania.

— Zdaje się, że odbywaliśmy tę dyskusję po jednym czy dwóch kieliszkach wina — podsunął Jack.

W jego głosie Martha również wyczuła ulgę; miała ochotę skakać z radości. Nie zadawała sobie trudu, by zaprzeczać ilości wina, miała naprawdę słabą głowę.

Cholera, cholera, cholera. Pieprzona kobieca pamięć.

— Naprawdę bardzo, bardzo mi przykro — wyznała szczerze. Naprawdę było jej bardzo przykro. Takie zamieszanie bez powodu. — Kompletnie zapomniałam, jak się umawialiśmy. Myślałam, że to przez batoniki.

— Co?

— Myślałam, że cię... zniechęciłam... Że ja... — Martha nie wiedziała, co powiedzieć. Sytuacja wydawała się tak absurda; ona sama wydawała się absurda.

— A, faktycznie, batoniki Crunchie. To było naprawdę śmieszne. Dzięki.

— Podobało ci się?

— Bardzo. Dzięki tobie się uśmiechałem, panienko E. Wiedziała. Wiedziała. Świat okazał się dobrym miejscem.

Nie musiała się bać. Czekano w nim mnóstwo możliwości. Powinna była zaufać Jackowi. Powinna była wierzyć, mieć nadzieję, troszczyć się, a nie mierzyć go tą samą miarką, co Michaela, gdyż był innym człowiekiem. Zasługiwał na szacunek i na to, by dostać swoją szansę. Tak jak świat. Martha nie miała zamiaru gorzknieć.

— Masz rację, teraz mi się przypomniało. Boże, czuję się strasznie głupio. Naprawdę bardzo cię przepraszam.

— Przeraziłaś mnie, dziewczyno. O co ci chodziło wczoraj wieczorem? Dlaczego mnie rzuciłaś? Co zrobiłem źle?

— Zapomniałam. O Boże, tak cię przepraszam. — A więc on myślał, że go rzuciła!

— Bardzo się cieszę, że wróciłaś, panienko E. — Jack się uśmiechał; Martha wyczuła z jego tonu natychmiastowe przebaczenie. Zrozumiał jej słabości i niepewność. — Martho, zapamiętaj jedno, proszę. Nie chcę cię w żaden sposób zranić. Wręcz przeciwnie, uczynię, co w mojej mocy, by sprawić ci jak najwięcej radości i dać jak najwięcej zadowolenia. Jak wiesz, jestem bezpośredni. Jeśli zmienię zdanie, powiem ci. Nie ucieknę chyłkiem.

Martha uwierzyła mu. Pomimo codzienności podsuwającej wręcz przeciwne przykłady.

— Wiesz, naprawdę się cieszę, że pojawiłaś się w moim życiu. Wolę moje życie z tobą niż bez ciebie — wyznał Jack.

— Dokładnie to samo myślałam przez cały dzień — zgodziła się Martha.

Po raz pierwszy od lat Martha czuła emocje na myśl o walentynkach. Chciało się jej wręcz chichotać. Czy przyśle jej kartkę? Chyba tak, kilka razy wspominał przy niej o walentynkach, więc pewnie planuje coś na ten dzień. W to też trudno było uwierzyć: a więc istnieją jeszcze w Wielkiej Brytanii mężczyźni, którzy sami z siebie, bez przypominania, pamiętają o czternastym lutego! We wszystkich sklepach, w których Martha przeglądała kartki, czekoladowe całuski i cukierki, gdzie kupowała świecidełka w kształcie serduszek, i poważnie zastanawiała się nad nabyciem aksamitnej weneckiej maski, spotykała jedynie kobiety, nie mężczyzn. To kobiety przeglądały, zastanawiały się, a w końcu wybierały kartki. To kobiety bawiły się małymi, strojnymi pudełeczkami mieszczącymi nie tylko czekoladki, ale i marzenia.

Wybierając walentynkowe prezenty, Martha dobrze się bawiła, zagadując inne klientki. Porównywały zakupy i wymieniały się doświadczeniami, przyglądając się bibułkowym wystawom i różowym kwiatkom na tych wystawach; nie łączyło je nic oprócz poczucia zabawy oraz oczekiwania. Czy Jack też kupi jej prezent? Raczej nie będą to kwiaty ani czekoladki; to by ją wręcz rozczarowało. To zbyt przewidywalne; wtedy jej przyszywane w kształt serca i ufarbowane na czerwono włosy łonowe wydawałyby się nieco żenujące.

Jakże się naśmiała u kosmetyczki. Pamiętała swoją reakcję, kiedy ktoś obciął sobie włosy łonowe w jakiś kształt, o ile dobrze pamiętała, chyba strzały. Nie posiadała się wtedy z oburzenia.

„Co za głupota! Co za brak zasad!” — powiedziała do Elizy, która jednak zaskoczyła ją, odpowiadając: „No, nie wiem. Kiedyś obciąłam moje w serce, było całkiem zabawnie”.

Wtedy Martha przyjęła tę uwagę jako kolejny dowód na to, że siostra była odmieńcem. Teraz jednak uznała, że serce, takie, jak opisała wtedy Eliza, może być rzeczywiście zabawne.

— Wariant noszenia serca na dłoni — skomentowała Amy, kosmetyczka Marthy. Niemal się nie uśmiechała, co było miłe z jej strony, gdyż do tej pory największą ekstrawagancją, na jaką Martha sobie pozwalała, było pomalowanie paznokci u nóg. To Amy zaproponowała czerwoną farbę.

Martha spędziła wspaniałe chwile, wybierając walentynkowe kartki i prezenty. Właściwie nie pamiętała poprzedniego czternastego lutego. Michael na pewno dał jej kartkę. Zawsze dawali kartki. Wręczali je sobie przy śniadaniu, przy płatkach. Ale kiedy ostatnio zrobili coś naprawdę wyjątkowego tylko dla uczczenia walentynki? Nie pamiętała, kiedy otworzyli szampana, zjedli wspólnie kolację czy też poszli do łóżka jedynie z tej okazji. Michael zawsze uważał całe święto za czystą komercję, a Martha zawsze się z nim zgadzała.

Oficjalnie.

Ale do dziś pamiętała cudowne uczucie szczęścia, kiedy w wieku czternastu lat dostała sześć walentynki, najwięcej w klasie. Przez miesiąc była wniebowzięta.

Na wzór Stalina Martha dokonywała teraz rewizji historii. Z perspektywy tygodnia „kryzys batonikowy” okazał się przyjemnym wspomnieniem olśniewającego sukcesu. Pierwsze nieporozumienie Jacka i Marthy paradoksalnie zbliżyło ich do siebie. Nie zdając sobie z tego sprawy, tworzyli skarbnicę wspólnych wspomnień. Spędzali wspaniałe chwile w kinie, na zabawie z dziećmi, na rozmowie, czytaniu, słuchaniu muzyki, a cudowne noce w łóżku, dzieląc się pizzą i ekologicznym jogurtem; teraz doszło do tego wspólne nieporozumienie. Nie na tyle poważne, by którakolwiek ze stron poczuła się naprawdę zraniona, ale na tyle znaczące, żeby oboje zdali sobie sprawę, iż mogą się nawzajem zranić, i to poważnie. Dlatego powinni bardzo uważać. Takie rzeczy jak nieporozumienia zdarzają się przecież parom.

Martha dokonała tak szczegółowego oglądu historii, że teraz udało się jej przekonać samą siebie, iż po bezspornym sukcesie batonikowym wręcz powinna zrobić coś podobnego w walentynki. Podobnego, ale na większą skalę. Nie przyznała się do swoich planów Elizie, gdyż ta wygłaszałaby jakieś krytyczne uwagi, a Martha nie miała ochoty na krytykę. Ostatnio zaczęła się zastanawiać, czy Eliza faktycznie tak doskonale zna się na mężczyznach, romansach i w ogóle sprawach sercowych. Ze swej pozycji Martha widziała, że siostra równie często popełniała błędy i równie często miała rację, jak każda inna kobieta. W opinii Marthy — nie, żeby Eliza kiedykolwiek zapytała ją o opinię — Eliza popełniła błąd, rzucając Grega. Poważny błąd. Od tamtej chwili nigdy nie wyglądała na naprawdę szczęśliwą. Dlatego też Martha nikomu nie przyznała się do swych walentynkowych planów, po prostu postąpiła, jak uznała za stosowne.

Recepcja w biurze Jacka była przytłaczająca. Należała do tych miejsc, które nie wykorzystują — bo nie potrzebują — niczego oprócz przestrzeni, by pokazać, jak bardzo są na topie: białe ściany, białe, marmurowe podłogi, białe lilie w białym wazonie na kasztanowym blacie biurka. Biurko było wysokie, sięgało Marcie do piersi.

— Czy mógłby mi pan pomóc? — Martha uśmiechnęła się, najszerszej jak potrafiła, do przysadzistego mężczyzny siedzącego za biurkiem. Jak to dobrze, że recepcjonistka nie była piękną, chudą gwiazdką. To by całkowicie popsuło jej plan. I na szczęście przyszła w porze obiadowej, kiedy w recepcji siedział ochroniarz, bo recepcjonistka poszła na przerwę.

— Ehm, orientuje się pan co nieco w walentynkach? — zapytała, jednocześnie chichocząc i rumieniąc się. Pamiętała też o trzepotaniu rzęsami. Co mówiła Eliza? „Ćwicz kokietowanie wszystkich, jak leci. Ty nabierzesz wprawy, a ludzie będą cię lepiej traktować”.

Przysadzisty mężczyzna uśmiechał się. Przynajmniej oczami. Bawiło go zakłopotanie Marthy i jej kokieteria.

— Chciałabym przekazać tę kartkę i prezent, a potem posłać te kartki, ale pojedynczo, po kolei...

Nagle znikąd pojawiła się piękna recepcjonistka niosąca dwa dymiące kubki z kawą. Podała jeden ochroniarzowi i zwróciła się do Marthy.

— Czy mogę pani pomóc? — zapytała uprzejmie.

— E... — Zakłopotanie Marthy wzrosło dziesięciokrotnie. Zastanawiała się tylko, czy ma uciekać, czy też już ją nagrano na monitoringu.

Odetchnęła głęboko.

— Chciałabym poprosić panią o pomoc — powtórzyła. Udało się jej zdobyć na uśmiech, ale darowała sobie trzepotanie rzęsami. Jeszcze raz wyjaśniła, że chciałaby, by najpierw przekazano pierwszą kartkę i prezent — ze ścisłym poleceniem otwarcia kartki pierwszej — a potem przesłano kolejne trzy kartki. Na pierwszej napisano: „Z okazji dzisiejszego dnia chciałabym położyć Ci NA DŁONIE SERCE...”. Prezentem było czekoladowe serce od Thorntona, na którym wypisała anagram słów „na dłonie serce”: „DESER NA ŁONIE”. Miała nadzieję, że zrozumie. Pozostałe trzy kartki były w różnym stylu, na każdej z nich innym długopisem wypisała wiadomość — od romantycznej do sprośnej. Była z siebie bardzo dumna.

Recepcjonistka wyraźnie się ociepliła i spojrzała na Marthę z uśmiechem.

— Są dla, e... — zająknęła się Martha.

— Jacka Hope'a. — Kobieta uśmiechnęła się, ujawniając, że w firmie zatrudniającej ponad trzysta osób, w znakomitej większości mężczyzn, jeśli chodzi o spragnione kobiety z zachodniego Londynu, istniała tylko jedna możliwość. — Czy to pani dzwoniła dziś rano? — zapytała miło.

— Nie. — Marcie udało się zachować pogodny wyraz twarzy, chociaż jednocześnie modliła się, by trafił w nią grom z jasnego nieba. Recepcjonistka spieszyła się; przysadzisty ochroniarz wydawał się rozbawiony. Miał zbyt wiele lat, by grać Jacka Hope'a, ale, cholera, chciałby chociaż być jego ojcem.

— Nie, to nie ja. Jestem jedną z wielu. — Martha usiłowała pomóc recepcjonistce dojść do siebie. Miała lata praktyki w poprawianiu ludziom samopoczucia. — Proszę się nie martwić, wiem, ile ich jest. — Usiłowała mówić bardziej nonszalancko, niż się czuła. Coraz trudniej przychodziło jej lekceważyć fakt istnienia innych nagich koleżanek. — Dlatego kupiłam tyle kartek. Chcę dać mu złudzenie dużej liczby kobiet, chociaż w rzeczywistości ich nie ma. — Nagle romantyczna intryga wydała się jej absurdalna i żalosna. — Naprawdę umówiłam się z nim na wieczór — dodała głupio.

Recepcjonistka litościwie pokiwała głową. Martha uznała za najmądrzejsze zamknąć się. Nie była im winna żadnych wyjaśnień, choćby byli najprzyjemniejsi.

— A hm... kim była ta kobieta, która rano dzwoniła? Wie pani może? — zapytała jeszcze, całkowicie niszcząc swój wizerunek osoby wyluzowanej.

— Nie wydawała się zbyt miła — odparła recepcjonistka życzliwie, natychmiast zapominając, że początkowo wzięła ją za Marthę. — Nie zna jego rozkładu dnia. Chciała się dowiedzieć, czy będzie dzisiaj w biurze, czy w West End. Jest...

— W biurze — dokończyła Martha.

Ona wiedziała. Wiedziała, że był w biurze, gdyż dzwonił do niej kilka razy tego dnia. Zatem tajemnicza walentynkowa kobieta nie stanowiła powodu do zmartwienia. Martha tak się przyzwyczaiła do uspokajania ludzi, że chciała na koniec powiedzieć coś podobnego recepcjonistce i ochroniarzowi, ale zrezygnowała.

— Miłego dnia — rzekła tylko.

— Nawzajem. — Recepcjonistka się uśmiechnęła.

37

To był naprawdę długi dzień. Najdłuższy. Martha wzięła dzieci do parku i do sklepów, zjadła też z nimi obiad w restauracji. Jack zadzwonił dwie po drugiej.

— Dzięki za czekoladowe serce, panienko E.

— Jakie serce? — Martha udawała nieświadomość, jak wymagał zwyczaj.

— To na pewno od ciebie, wiem o tym — upierał się.

— Dlaczego? Czy inne kobiety, z którymi sypiasz, nie znają ortografii? — zakpiła Martha.

Jack roześmiał się.

— Naprawdę jesteś zabawna. Doskonały pomysł z tym anagramem. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką spotkałem.

Po czym rozłączył się. Rozłączył się!

Powiedział, że jest wspaniała — najwspanialsza — po czym rozłączył się, nie dając jej szansy na odpowiedź ani jakąkolwiek reakcję.

OmójBożeOmójBożeOmójBoże.

Przez resztę dnia Martha unosiła się w powietrzu; popołudnie spędziła głównie w dziale bielizny w sklepie Johna Lewisa. Jack przysłał jej SMS-a, w którym pytał, czy „zrobi mu tę przyjemność z okazji walentynek i włoży jakąś atrakcyjną bieliznę”. Martha czuła się jednocześnie mile połączona, rozemocjonowana i przerażona. Rozemocjonowana i połączona, gdyż Jack uznał ją za kobietę posiadającą atrakcyjną bieliznę, a przerażona — gdyż wcale nie była taką kobietą, więc w rezultacie będzie musiała szybko coś kupić.

Według Marthy atrakcyjna bielizna składała się z pończoch, podwiązek lub pasa, fig i koronkowego stanika. Nie miała zamiaru kupować fig bez krocza ani czegoś równie frywolnego; nie byłaby w stanie zachować normalnego wyrazu twarzy. Poza tym nie była pewna, czy figi bez krocza w ogóle istnieją, czy może to tylko wytwór wyobraźni czytelników „Sun”. Zapewne odwiedziny w sklepie Ann Summers pomogłyby jej wyrobić sobie opinię w tej sprawie, ale przy tak krótkim czasie do namysłu jakoś nie mogła zebrać się na odwagę. Martha nigdy przedtem nie miała na sobie pończoch. Nikt

wcześniej nie zadał sobie trudu, by ją o to poprosić. Może dlatego, że zawsze wygłaszała opinię o groteskowości noszenia pończoch. W końcu należała do kobiet, które spiają w piżamach; stąd do bielizny w stylu femme fatale było i tak dość daleko.

Zdecydowała się na czarną; czerwona nie wchodziła w grę. Przynajmniej za pierwszym razem. Przy kolejnych randkach... Martha nie wykluczała wprowadzenia i tego koloru. Ile koronki, żeby jeszcze nie wyglądać jak striptizerka? Czy pas do pończoch nosi się w talii czy na biodrach? Pod majtkami czy na nich? Według obrazka na opakowaniu powinno się je nosić na wierzchu, ale jak wtedy iść do toalety? No i co nałożyć na tę atrakcyjną bieliznę? Spodnie wykluczone; mała czarna była chyba trochę za strojna. W końcu Martha wybrała czarną koszulkę, beżową, skórzaną spódnicę, obcisłą, ale nie przesadnie, oraz czarne, wysokie do kolan buty.

O siódmej wieczorem pani Evergreen zapukała do drzwi Marthy. Na jej prośbę przyszła zająć się dziećmi, gdyż Eliza najwyraźniej też się umówiła.

— Rany, mamó, co za torba. Wprowadzasz się?

— Nie, kochanie, przyniosłam moje robótki. — Pani Evergreen uśmiechnęła się.

Martha stwierdziła, że matka jest chyba przesadną optymistką. Mathew już przygotował stosik gier do zabawy z uwielbianą babcią. Matka nie będzie miała czasu zrobić sobie herbaty, nie mówiąc o dzierganiu skarpetek czy czegokolwiek innego.

— Nie będę długo — zapewniła.

— Nie przejmuj się. Baw się dobrze, zasłużyłaś. — Pani Evergreen rozpromieniła się. — Zapewne nie dostałaś...

— Nie — ucięła Martha, zanim matka zdążyła dokończyć; chodziło na pewno o to, czy Michael przysłał jej kartkę. Na twarzy pani Evergreen odbiło się rozczarowanie. Martha zastanawiała się, czy powtórzyć jej słowa Jacka — że jest najwspanialszą kobietą, jaką spotkał. W końcu dzięki temu jej dzień był tak udany.

Umówili się w barze hotelu Sanderson. Był nowoczesny, ale i pretensjonalny. Martha wiedziała, że Michaelowi bardzo by się spodobał. Przed urodzeniem się dzieci kilka razy odwiedzili hotele sieci Ian Schrager. Ich nowoczesność i uroda zwały parę z nóg, podobnie zresztą jak ceny. O dreszcze przyprawiała ich świadomość, że stać ich — czy też ich firmy — na noclegi w tak stylowych miejscach. Kochali się na wielkich, białych łóżkach pod imponującymi lustrami lub też zadziwiającymi dziełami sztuki. Martha przypominała sobie, jak bardzo podekscytowani byli przy pierwszej wizycie. Nie pamiętała, kiedy przyzwyczaili się do noclegów we wspaniałych hotelach, w których nawet portierzy nosili garnitury od Armaniego. Nie pamiętała, kiedy dokładnie Michael zaczął narzekać na powolną obsługę. Nie pamiętała, kiedy narzekanie wzięło górę nad przyjemnością, ale źle wtedy zrobili.

Bar wypełniali piękni ludzie — zbyt szczupłe kobiety i zbyt zamożni mężczyźni. Martha przełotnie zastanowiła się, czy nadejdzie czas, kiedy role się odwrócą — kobiety zdobędą tyle bogactwa,

by nonszalancko obnosić swoje mięśnie piwne, podczas gdy mężczyźni będą cierpieli na zaburzenia łaknienia oraz wszczepiali sobie silikonowe implanty. Martha rzadko spotykała tego typu ludzi, w przeciwieństwie do Elizy, która często wracała do domu z zabawnymi opowieściami o kobietach cytujących z pamięci liczbę kalorii w oliwce z martini oraz mężczyznach znających numery banknotów w swoich portfelach. Trzeba jej oddać, że Eliza umiała się cieszyć blichtrzem takich barów i hoteli oraz towarzystwem pięknej młodzieży dwudziestego pierwszego wieku, jednocześnie zachowując do tego wszystkiego zdrowy dystans. Nie była ambitną, młodą kobietą marzącą o sukcesie, więc ludzie brali ją za kobietę, która sukces już osiągnęła. Martha postanowiła przyjąć politykę siostry; mogła więc posiedzieć, napawając się atmosferą, widokiem eleganckich kobiet oraz mężczyzn o rzeźbionych szczękach.

Tam był Jack. Stał przy barze, popijając sok jabłkowy. Martha poczuła przyływ dumy; była święcie przekonana, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w barze. Nie górował wzrostem, wszyscy też byli dobrze ubrani, ale miał najłagodniejsze oczy. Szła w jego kierunku, lawirując między ludźmi. Obserwował, jak inni się na nią patrzają.

— Boże, wyglądasz odłotowo — powitał ją, całując w usta. Pocałunek przedłużył się nieco.

Martha zastanawiała się, czy całowanie się w barze w ten sposób było trendy. Nie orientowała się zbyt w aktualnym stanie opinii na temat publicznego okazywania uczuć. Zresztą nieważne; w tej chwili czuła się tak, jakby miała w ręce wygrany los na loterii.

Nigdy dotąd nie wyglądała odłotowo. Wyglądała ładnie, pięknie, a w dniu ślubu dwie czy trzy osoby opisały ją jako olśniewającą (starsze ciocie i Michael).

Ale oto opisano ją jako odłotową.

Miała błyszczące usta, długie rzęsy, a jej kości biodrowe w seksowny sposób uwydatniały się pod spódnicą — nie mogła się doczekać, kiedy Jack to odkryje.

— Czego się napijesz? — zapytał.

— Red bulla.

— Naprawdę?

— Tak, nie chcę się upić. — Ostatnio Martha zdecydowanie za dużo piła. Ostatnio, czyli odkąd Michael zażądał rozwodu. Zdawała sobie sprawę, że to dowód słabości i prosta droga do samozagłady, a tej nocy nie chciała popaść w sentymentalizm albo zapomnieć o czymś ważnym. Chociaż szkoda: przyjść do takiego baru i nie spróbować żadnego drinka z szampanem, które mieli w ofercie. Naprawdę lubiła czasem wypić lampkę schłodzonego szampana.

— Nie masz ochoty na lampkę schłodzonego szampana? — zapytał Jack. — Szkoda przyjść do tak fajnego lokalu i nie spróbować czegoś wyjątkowego.

Martha poddała się nieuniknionemu i poprosiła o szampana. Obsługa była żenująco powolna, ale nie zażenowana. Mimo że niemal niemożliwe było natknąć się na wzrok barmana, ku swemu zaskoczeniu Martha stwierdziła, że jej spojrzenie przechwyciło ze dwóch mężczyzn. Na widok jej zainte-

resowania wyraźnie zaczęli ją podrywać. Obaj byli przystojni, naprawdę. Należeli do typu, który nigdy nie zwróciłby na nią uwagi w czasach, kiedy nosiła schludne bluzki i luźne spodnie z Marks and Spencer, ale teraz niezwykle chętnie wyłuskaliby ją z jej koszulki od Teda Bakera i skórzanej spódnicy. Jako przedstawiciele tego typu interesowali ją nawet mniej niż Michael. Mimo wszelkich swoich wad, mąż kiedyś lubił ją w jej ubraniach z Monsoona. No dobrze, jak się później okazało, sama Martha nie lubiła siebie w ubraniach z Monsoona, ale nie o to przecież chodziło. Ci przystojni goście byli po prostu płytcy. Martha spojrzała na Jacka, znów zastanawiając się, jak można być tak towarzyskim i modnym, a jednocześnie nie zniechęcić się jej niedawną powierzchownością prowincjuszki.

Martha wyszukała wolny stolik, Jack poszedł za nią. Usiadła, on zajął krzesło naprzeciwko. Całe jej ciało zwróciło się w jego stronę. Zewnętrznie nie zmieniła się ani na jotę, ale jej płuca wypełniło świeże powietrze, a serce wyrwało się do niego. Włosy na jej ciele podniosły się w upojeniu. Jej uśmiech dla niego był nieco szerszy, zęby — bielsze, usta bardziej wilgotne. A ciało trochę bardziej rozgrzane.

— Zdziwiający, że mają wolny stolik — zauważył Jack.

— Nie aż tak, stąd niewiele widać i na pewno nie można zostać zauważonym. Większość gości woli tłoczyć się przy barze, żeby przypadkiem nie przegapić widoku brwi Stelli McCartney. Jack roześmiał się.

— Cudowne, że nie działa na ciebie cały ten blichtr, że potrafisz zachować zimną krew.

— Och, gdyby to były brwi Madonny, zapewne nie zachowałabym zimnej krwi. — Zamilkła na chwilę. — Powiedz mi, czy jestem parafianką?

— Parafianką? A co to znaczy?

— Taka... prowincjuszka — wyjaśniła Martha.

— Absolutnie nie. Mówiłem ci już, jesteś najwspanialszą kobietą, jaką znam.

— Dlaczego tak myślisz?

— Ponieważ interesujesz się tym, co się dzieje wokół ciebie. Fascynuje cię życie, dlatego sama stajesz się fascynująca. Ponieważ jesteś piękna, silna, starasz się być dobra i przyzwoita.

Martha przez sekundę czy dwie napawała się komplementami.

— A do tego wszystkiego jesteś doskonała w łóżku — zakończył.

Hm, Martha uważała go za wspaniałego dokładnie z tych samych powodów.

Kiedy już się napili, Jack zapytał, czy Martha woli zjeść kolację, czy iść do pokoju. Zapewnił ją, że cokolwiek wybierze, on będzie zadowolony. Przypomniała, że nie może zostać za długo, gdyż musi wrócić do dzieci. Jack przyznał się wtedy do uknucia spisku z panią Evergreen. Umówił się z nią, że zostanie na całą noc, by zająć się Mathew i Maisie — co wyjaśniało jej wielką torbę. Martha była przeżona.

— Myślisz, że byłem zbyt bezpośredni? — zapytał Jack z troską. — To znaczy... no, przecież oboje mamy doświadczenia z seksem.

— Ja o tym wiem — powiedziała Martha wciąż w szoku. — Ale mama nie. Mathew i Maisie to dla niej owoce niepokalanego poczęcia, a przynajmniej dzieci z próbówki. Gdyby mogła, zawiązałyby oczy położnej, która odbierała moje porody.

Jack wydawał się rozbawiony paniką Marthy.

— Wręcz przeciwnie, twoja matka zaznaczyła, że życzy ci miłej zabawy. Kilka razy powtórzyła, że na nią zasługujesz i potrzebujesz jej. Musiałem jedynie przerwać jej wykład o odpowiedzialnym traktowaniu antykoncepcji.

Martha była zdziwiona, ale i uspokoiła się. Wyszła na zewnątrz, żeby zadzwonić do domu. Chciała sprawdzić, czy matce rzeczywiście nie przeszkadza zajęcie się dziećmi przez całą noc, czy jej decyzja nie była nieco wymuszona przez Jacka. Matka z odpowiednim zapalem zapewniła ją, że wszystko jest w najlepszym porządku, po czym tak usilnie życzyła jej dobrej zabawy, iż w końcu Martha nabrała przekonania, że jej obowiązkiem jako córki jest przeżyć tej nocy wielokrotny orgazm.

Kiedy wróciła do stolika, Jacka nie było. Kelner podał jej kopertę.

— Jakiś anagram — powiedział bez zainteresowania. Był naprawdę przystojny, wręcz piękny, za piękny, żeby posiadać krew w żyłach, nie mówiąc o sercu i poczuciu humoru, uznała Martha.

Koperta była niebieska. Martha otworzyła ją; bez zdziwienia wyjęła kartkę w komiksowym stylu, z nieco oczywistym żarcikiem na temat roli rozmiarów męskiego sprzętu. No cóż, nie spodziewała się sonetu Szekspira. Wewnątrz Jack napisał: „SENNE CIAŁO DER”. Przyglądała się jej przez chwilę. Senne ciało der? Co to znaczyło? Zaczęła chichotać. Oczywiście to kolejny anagram słów „na dłonie serce”. Obok znajdował się numer pokoju.

Martha pobiegła, by dołączyć do Jacka.

Dosłownie pobiegła.

Mogła odpuścić sobie kolację.

Jack oparł ją o ścianę, namiętnie całując. Owinęła nogi wokół niego i zaczęła odkrywać jego ciało, chyba po raz setny, ale zawsze czuła się jak za pierwszym.

Był to doskonały wieczór. Jack dał jej prezent, niebieskie świecące tenisówki z Diesla. Były ładne, niebanalne, pasowały na Marthę — i bardzo chciała je kupić. Była zachwycona. Idealny prezent na walentynki. Jack otworzył prezenty kupione przez Marthę — był ich cały zestaw. Dwie dobre książki, które sama przeczytała. Małe, żółte zwierzątko, które śmiało się, kiedy się je podnosiło. Rechoczący woreczek, gdyż Jack uwielbiał kawały. Kupiła mu też niewielką, fioletową poduszczkę z czarnym obrazkiem autobusu w stylu lat pięćdziesiątych oraz słowami: „Wskakuj, kochanie!”. Dwuznacznik nie zmarnował się. W zasięgu wzroku nie było widać ani jednego serca, ani kawałka czerwieni. Martha uznała swoje prezenty za przemyślane, ale też zabawne. Jack był widocznie uradowany. Cieszyła się, że nie posłuchała rady Elizy, by nie przejmować się prezentami („Pokazujesz, że ci zależy”. „No ale przecież mi zależy”. „Właśnie, dlatego nie powinnaś tego dawać do zrozumienia”).

— Boże, co za zabawne miejsce — stwierdził Jack. Od razu rzucił się na łóżko i jak dziecko zaczął po nim skakać. Był pod wrażeniem i nie wstydził się tego okazać. Uważnie przejrzał menu, w łazience sprawdził małe torebki z kosmetykami, nakarmił Marthę dodatkowymi plasterkami ananasa. Otworzył przed nią minibarek, oboje zdziwili się na widok zawartości: wszystko, od żelek do prezerwatyw, plus jednorazowe aparaty fotograficzne i czapki bejsbolówki. Martha nie czuła się specjalnie zaskoczona; widziała już takie same barki w hotelach Schrager.

— Jak myślisz, czy prezerwatyw i aparatu należy używać jednocześnie? — zażartował Jack. Otworzył łazienkę, włączył suszarkę do włosów, zadzwonił po obsługę i poprosił o przyniesienie do pokoju płyt CD oraz fasoli na tostach. Wybrali to danie, bo nie było go w menu, poza tym Martha nigdy nie piła szampana do fasoli na tostach. Entuzjazm Jacka zaraził Marthę, która nagle poczuła, że nie ma nic złego w entuzjazmie, a nawet w byciu przytłoczonym.

Położyła się obok niego na łóżku. Zaczął obsypywać ją czystymi, pełnymi uczucia i pasji pocałunkami. Jednak pomimo wspaniałych odczuć oraz wypitego wcześniej szampana Martha czuła lekką niepewność. Jak ma przejść do pochwalenia się swoją atrakcyjną bielizną? Dziwne, przecież już nieraz siedziała przed Jackiem naga, z rozłożonymi nogami, zarówno na nim, jak i pod nim, a jednak czuła się niezręcznie, gdyż spełniła jego prośbę. Może proponując bieliznę, tylko żartował, może — kiedy Martha się rozbierze — uzna ją za naiwną. A do rozbierania dojdzie już niedługo, choć teraz nie mogła zdjąć butów. Nie знаła się na uwodzicielskiej bieliznie, ale szwy na pończochach nie miały nic wspólnego z uwodzeniem, to wiedziała. Jednakże wysokie szpilki na jej butach stanowiły niemal śmiertelne zagrożenie. Zapewne Jack już się dziwił, czemu ich nie zdjęła, gdyż zwykle zdejmowała buty i skarpetki natychmiast po przyjściu do domu, jak tylko przeszła przez drzwi. Tylko tak umiała się rozluźnić.

Czy miała czekać i pozwolić mu samodzielnie odkryć swój wizerunek uwodzicielki w miarę upływu wieczoru? Czy też pójść do łazienki, zdjąć wierzchnie ubranie, po czym wynurzyć się z triumfalnym: „niespodzianka!”? Dlaczego seksownej bielizny nie sprzedaje się z podręczną instrukcją obsługi?

W końcu Martha zdecydowała się na szybką rozbieraną w łazience. Przynajmniej w ten sposób mogła się szybko uporać i rozluźnić, ciesząc tym, co jeszcze ją czekało tego wieczoru. Przed wyjściem spojrzała na siebie w lustrze.

Kim była ta seksowna kobieta uśmiechająca się do niej? Kobieta z błyszczącymi, pełnymi erotyzmu ustami, figurą jak z MTV, kobieta w czarnym staniku, figach, pasie do pończoch i wysokich butach? Seksowna uwodzicielka, nie dbająca ani trochę, że jej dziesięciocentymetrowe obcasy mogły podrzeć prześcieradła, choć faktycznie nie chciałyby uszkodzić Jacka.

Martha ledwie ją rozpoznawała.

Choć podobała się jej ta kobieta.

Podobała się jej o wiele bardziej niż tamta, stojąca na peronie metra, pełna zazdrości wobec napalonych nastolatków żujących gumę i ściągających uwagę chłopców, w których buzowały nastoletnie hormony.

— Wyglądasz niesamowicie. Absolutnie cudownie — stwierdził Jack. Jego głos pogłaskał jej myśli, sprawił, że zaczęła drzeć jak zwierzę otrząsające wodę z futra. Była zadziwiająca. Była boginią. I nie tylko dlatego, że on tak powiedział. Nie mówiła nic, kiedy wszedłszy do łóżka, zaczęła pieścić ustami jego cudownego penisa. Czuła się podniecona do szpiku kości, wdychała zapach jego skóry, jego podniecenia, jego potu. Potu między pośladkami i pod pachami. Czy zdobędzie się na odwagę? Czy ludzie naprawdę tak robią? Wydawało się to godne raczej kobiety lekkich obyczajów. Ale z drugiej strony, miała na sobie podwiązki. Ocierała się o niego, jednocześnie przesuwając krok swoich fig na bok tak, by mógł w nią wejść, nie zdejmując ich. Bawił się jedwabistym materiałem jej pasa, jednocześnie zsuwając go na uda. Potem wsunął palce w środek; była już mokra z podniecenia. Lodowato zimne palce w rozpalonym ciele. Doszła natychmiast, zawilgacając go. Ten szybki orgazm przyprawił ją o dreszcze i konwulsje, jednak zagryzła usta i nie odzywała się, kiedy przeturlała się na bok, naciągnęła prezerwatywę na jego usztywniony członek, dosiadła go i oboje ruszyli, kochając się do utraty sił.

*

Położyła dłoń na delikatnie wznoszącej się i opadającej piersi śpiącego Jacka. Gorąca, gładka i miękka skóra niemal ją oparzyła. Zbliżała się piąta nad ranem. Czy to naprawdę to? Czy to naprawdę to, o czym ludzie marzą, piszą piosenki, na co mają nadzieję? Czy to miłość? Ta zadziwiająca mieszanka zabawy, szczęścia, zadowolenia i oszałamiającego seksu?

— Bycie dzieckiem w większości polega na nużącym czekaniu. Nie wydaje ci się? — zapytała Eliza, która urodziła się od razu nastolatką.

Tom nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. On miło wspominał swoje sielankowe dzieciństwo w klasie średniej z lat siedemdziesiątych, w którym częściej pojawiały się wyroby marek Angel Delight oraz Mr Whippy niż domowe ciasto, w niedziele częściej jadano serowe fondue niż pieczeń, ale jemu zawsze to wystarczało. Czyż nie każdy z przyjemnością wspomina dzieciństwo? No, chyba że było naprawdę straszne, jak u dzieci, wychowywanych w blokach w centrum miasta, bez butów czy matchboxów. Czy ta kobieta ma zamiar zwierzyć mu się z jakichś okropnych przeżyć? Jakie to straszne. Powinien był przewidzieć, przecież miała dwukrotnie przebite uszy.

Już drugi raz spotykał się z siostrą Marthy. Nie był pewien, dlaczego właściwie drugi raz się z nią umówił; może po prostu nie spodziewał się, że się zgodzi. Była piękną, naprawdę piękną kobietą. Jego dziewczyny zaliczały się zazwyczaj do ładnych albo do tych, które „umiały o się pokazać”, więc spotkanie z autentyczną piękną stanowiło odmianę. Ale była ona dość... odmienna od kobiet, z którymi zwykle spędzał czas, co niekoniecznie oznacza odmienność w sensie pozytywnym.

— Ehm... więc miałaś trudne dzieciństwo? — zapytał, kręcąc się niespokojnie na krześle. Chyba wypadało zapytać, choć naprawdę nie miał żadnej ochoty słyszeć odpowiedzi.

— A nie, raczej idealne. Troskliwi rodzice i dziadkowie, weekendy w przyczepie kempingowej, zwiedzanie zamków i pałaców, duże kieszonkowe na oranżadę w proszku i filmy dla dzieci. Nie działo się nic nadzwyczajnego. Może dlatego było tak nudno.

„No tak — pomyślał Tom. — Inna. Właściwie dość dziwaczna”.

— A wiesz, co jest najdziwniejsze? — zagadnęła.

Co? Coś dziwniejszego niż niechęć do sielankowego dzieciństwa?

— Teraz zauważam, że mam ochotę powtórzyć to nudne dzieciństwo. Pragnę domu, w którym co rano odbywa się kłótnia o zgubiony strój do wufu czy pracę domową. Pragnę dzieci, które będą myły samochód, żeby zarobić na kieszonkowe. Pragnę pojechać do Legolandu.

To już dość nienormalne. Tom postanowił zrezygnować z deseru i kawy, by jak najszybciej bezpiecznie znaleźć się w domu.

Eliza również nie była pewna, dlaczego zdecydowała się umówić z Tomem po raz drugi. Z pewnością po to, by nie spędzać walentynkowego wieczoru samotnie lub — co gorsza — zajmować się dziećmi Marthy ze świadomością, że siostra w tej chwili doskonale się bawi z Jackiem.

Embassy był modnym klubem. Oczywiście Eliza miała kartę członkowską, ale rzadko tu wpadała na posiłek, co najwyżej na drinka w środę (środy przejęły rolę piątków, czwartki były już bardzo

niemodne). Posiłki były tu za drogie dla kogoś, kto w łańcuchu pokarmowym przemysłu wideo spełniał rolę ameby, więc byłoby szaleństwem odrzucić zaproszenie do takiego miejsca.

Za pierwszym razem poszli do Muzeum Wiktorii i Alberta. Tom chciał obejrzeć wystawę dotyczącą dmuchania szkła. Eliza zgodziła się w przekonaniu, że jest to nowe slangowe określenie historii narkotyków. Przecież nie mogło oznaczać czegoś innego. Gdy wystawa okazała się naprawdę poświęcona historii dmuchania szkła, Eliza zaczęła się śmiać tak histerycznie, że w końcu

Tom zapytał, co się stało. On również bardzo się uśmieł, co Eliza doceniła. Zatem spotkali się w Embassy, jedząc ostrygi, pijąc szampana i całkiem miło spędzając czas.

Na tyle miło, że nie warto było z tego rezygnować, uznała Eliza, tłumiąc ziewnięcie.

Elizie Tom się nie podobał. Nie wyobrażała sobie wszechświata, w którym mógłby się jej spodobać. Włosy rozdzielały mu się w zabawny sposób, a kiedy się śmiał, marszczył nos, co przywodziło jej na myśl chomika. Ale już od tak dawna nikt się jej nie podobał, że zaczęła podejrzewać, iż Martha dosypuje siostrze bromu do płatków śniadaniowych. Jednak ostrygi były dobre.

Spróbowała znaleźć coś do powiedzenia.

— Dostałeś jakieś kartki?

— Kartki?

— No, na walentynki.

— Nie. — Tom uznał to pytanie za dość dziwne jak na randkę, ale uprzejmość nakazywała odpowiedzieć tym samym. — A ty?

— Właściwie nie. No, tę od ciebie i od mojego siostrzeńca, Mathew, ale nic więcej — westchnęła. Jej rozczarowanie z powodu kartek było tak wielkie, że właściwie nie zauważyła, jak nieuprzejmie zachowała się wobec Toma.

Pamiętała, jak w zeszłym roku Greg zabrał ją na piknik. Był luty, więc piknik odbył się w ich salonie, ale był to najprawdziwszy piknik. Greg kupił kwiaty w New Covent Garden i w wazonach porozstawiał je po całym mieszkaniu. Na ścianie namalował wielkie słońce. Nadal tam było; właściciel na pewno się wścieknie i nie odda mu kaucji. Rozłożył na podłodze dywanik, postawił koszyk z chrupiącym chlebem, dojrzałym serem, ciemnymi oliwkami, dipem oraz kitkatami (ulubionymi batonikami Elizy). Włożył na siebie plażowe szorty i uparcie wyglupiał się, zdmuchując wyimaginowany piasek wpadający na jedzenie, po czym zdjął ubranie, gdyż piasek wcisnął się i tam. Co chwilę przesuwiał koc, gdyż podpływała do niego fala przyływu. W końcu przeszli do sypialni, co oczywiście planował od samego początku.

I jeszcze walentynki rok wcześniej, jeszcze lepsze, o ile to możliwe. Tanimi liniami polecili do Wenecji na karnawał. Było niesamowicie, feeria kolorów, dźwięków i zapachów (niektóre naprawdę nieprzyjemne, ale większość z nich pochodziła z jedzenia i była świetna). Zatrzymali się w schronisku

młodzieżowym; nie mieli zbyt dużo pieniędzy, ale nie brakowało im wyobraźni, więc doskonale się bawili. Cała wycieczka kosztowała chyba tyle, ile ta dzisiejsza kolacja.

Nagle Eliza wróciła do rzeczywistości.

— O Boże, nie wierzę własnym oczom.

— Co takiego?

— Patrz, to on.

— Kto? — Tom zaczął wykręcać szyję w kierunku, w którym spoglądała Eliza.

— Nie patrz! — pisnęła.

Tom natychmiast odwrócił głowę z powrotem do Elizy; zrobił to tak szybko, że chyba wyskoczyły mu kręgi szyjne. Będzie musiał jak najszybciej odwiedzić rehabilitanta.

— Z kim on jest? Widziałeś może? — ciągnęła Eliza.

— A pozwolisz mi teraz spojrzeć? — zapytał rozsądnie Tom.

— Chyba tak. Kto to?

Tom ostrożnie odwrócił się i spojrzał w kierunku, w którym Eliza słała oburzone spojrzenia. Pokręcił głową; nie wiedział, z kim przyszedł Michael.

Michael przechylił się przez stół, podając coś kobiecie. Chyba bilety. Na koncert czy przedstawienie? A może na samolot? Biedna, biedna Martha. Kobieta pocałowała Michaela ponad stołem. Miała stanowczo za duży dekolt, stanowczo za długo go całowała.

Elizie nagle odechciało się szampana.

40

— Doskonały prezent — stwierdziła Eliza.

Marthę zdziwiła, ale i ucieszyła jej entuzjastyczna pochwała. W Sandersonie spędziła fantastyczną noc, nie chciała, żeby ponure wizje siostry zniszczyły jej nastrój.

— Tak, od 1994 nikt nie kupił mi nic tak wyjątkowego.

— Co to wtedy było?

— Michael kupił mi spódniczkę z fioletowego zamszu. Była niewiele szersza od paska. Nie miałam nóg do takiej spódnicy, ale pozwoliłam mu wydać na nią czterdzieści pięć funtów, wówczas olbrzymią sumę, bo tak bardzo mi pochlebilo, że według niego pasowała do mnie.

— A czy kiedykolwiek ją włożyłaś?

— Jedynie w sypialni — roześmiała się Martha. Kiedy Michael zmienił swoją opinię o niej? Pamiętała, że na samym początku kochali się na sofach, stolach i krzesłach. Potem, kiedy coraz łatwiej było o łóżka, korzystali tylko z nich, a w końcu w ogóle mocno ograniczyli ilość seksu. Do piątków. Co dziwne, po każdym razie pytali siebie samych i siebie nawzajem, dlaczego nie robią tego częściej.

Znali swoje ciała na wylot. Michael za każdym razem z przerażającą intensywnością docierał do jej czułego punktu. Martha dokładnie wiedziała, jak szybko, jak mocno i jak długo trzeba pobudzać Michaela. Kiedy więc ich bliskość zamieniła się w lenistwo?

Przy Jacku Martha improwizowała. Czuła się piękna, ciekawa, nieodkryta. Jak w raju jeszcze nieutraconym. Nagle zamarła; a jeśli pewnego dnia Jack kupi jej buty Scholla, tak jak Michael zaczął kupować jej spódniczki trzy czwarte? Możliwe, ale nie bardzo prawdopodobne. Martha nie miała zamiaru tego rozpamiętywać; fakt, że poznało się raj, nie prowadzi nieuchronnie do wygnania.

— A co u ciebie? Jak spędziłaś wieczór? — zmieniła temat.

Eliza zawahała się. Najbardziej znaczącym wydarzeniem jej walentynkowego wieczoru było spotkanie Michaela. Czy powinna powiedzieć Marcie? Czy siostra znajdzie pociechę w tym, że widok Elizy niemal na pewno całkowicie zepsuł też wieczór Michaela?

Na szczęście Martha była jeszcze tak podniecona, że nie potrafiła przez dłuższy czas myśleć o niczym innym oprócz Jacka i siebie.

— Czuję się niemal winna, taka jestem szczęśliwa — szczebiotała. — Chyba powinnam bardziej się bać, być bardziej przygnębiona? Ale nie boję się życia, przyszłość jest fascynująca. Istnieje o wiele więcej ciekawych rzeczy niż facet, którego nie obchodzę.

— Naprawdę tak uważasz? — upewniła się Eliza. Boże, Jack musi być naprawdę czymś w rodzaju czarodzieja.

— Naprawdę.

— To dobrze, bo mam ci do powiedzenia coś, co chyba powinnaś wiedzieć. To znaczy na twoim miejscu chyba bym chciała.

Martha już wiedziała, że wcale nie chce, ale też prawdopodobnie będzie musiała to usłyszeć.

— Widziałam wczoraj Michaela.

— Gdzie?

— W Embassy.

To był wieczór walentynkowy. Martha nie musiała pytać, czy był sam.

— Jak wygląda?

— Młoda, wysoka blondynka.

Martha westchnęła; to było łatwe do przewidzenia. Michael uczynił z niej stereotypową zdradzaną żonę.

— Nie tak szczupła jak ty — dodała Eliza z nadzieją.

To miało ją pocieszyć.

— Wiesz, kim ona jest?

— Postawiłam go w tak niezręcznej sytuacji, że musiał nas przedstawić.

To niemal rozbawiło Marthę. Chętnie zobaczyłaby twarz Michaela stojącego oko w oko z żądną krwi Elizą.

— Nie zrobiłam sceny, bo byś mnie zabiła, ale miałam ochotę wylać mu zupę na garnitur.

Zamówił zupę. Na pewno cebulową, bo innej nie jadał.

— No to jak ma na imię?

— Eleanor.

Martha wstrzymała oddech. Imię nic jej nie mówiło. Czy to lepiej, czy gorzej?

— Cały czas mówiłam, że ma kogoś — ciągnęła Eliza.

— Umówienie się z kimś na walentynki nie oznacza romansu. Ja też się umówiłam.

— Martho, to bije w oczy.

— Naprawdę?

— Mężczyzna nigdy nie odejdzie, jeśli nie ma do kogo. Zawsze porzuca kobietę dla innej.

Martha przesunęła ścierką po kuchennym blacie. Nie patrzyła Elizie w oczy.

— Nie rozumiesz? Nie potrafię uwierzyć w coś takiego o mężczyźnie, którego kochałam. Jeśli masz rację, wyszłam na idiotkę, a na domiar wszystkiego nie chcę zacząć uważać się za idiotkę. Co chcesz na kolację? Mamy trochę tarty, mogę dogotować ziemniaki w mundurkach albo może makaron — zaproponowała, dając tym samym do zrozumienia, że dyskusja jest skończona.

— Czy miałeś zamiar mi powiedzieć, że się z kimś spotykasz?

— Tak.

— A kiedy?

Michael westchnął; nawet poprzez kilometry kabli telefonicznych Martha czuła jego gniew i zniechęcenie. Wiedziała, że jej późny telefon go zirytował, chętnie powstrzymałaby się od dzwonienia. Ale nie była w stanie.

— Kiedy miałeś zamiar mi powiedzieć? — powtórzyła.

— W odpowiednim czasie. Przepraszam — dodał. Najwyraźniej czuł się niezręcznie. — Byłem przekonany, że cię to zrani. Nie wiedziałem, jak ci powiedzieć.

— Kiedy ją poznałeś?

— A czy to ważne?

— Dla mnie tak. Dla mnie to ważne — odparła wściekła Martha. „Oczywiście, że ważne, ty ciężki idioto” — ale tego już nie powiedziała.

— Znamy się od... nie bardzo wiem — zająknął się. — Ponad rok.

— A więc jednak miałeś romans. — Martha usiłowała powiedzieć to tonem rzeczowym, jakby nie odkryła nic bardziej niemiłego od faktu, że ktoś przeszedł na dietę: a więc zaczęłaś używać odtłuszczonego mleka.

— Nie. Była tylko koleżanką — odparł urażonym tonem.

Marcie brakowało cierpliwości; tylko jej przysługiwało prawo czuć się urażoną. Leżąc w łóżku, zastanawiała się, o co teraz zapytać. Zastanawiała się, czy to ważne i czy usłyszałaby prawdę.

— Skoro to koleżanka, dlaczego nigdy o niej nie wspomniałaś?

— Jest znajomą koleżanki. Koleżanka Karen. Nie znaliśmy się zbyt dobrze.

— Jak widać, teraz już się znacie. Od kiedy się z nią spotykasz?

— Od kilku tygodni.

— Ilu?

— Nie wiem, nie liczyłem.

— Zaczęliście przed świętami czy po?

— Może przed. Przestań, Martho. — Michael wydawał się zdezorientowany. Nie lubił tego uczucia, bo wtedy często mówiło się rzeczy, których się później żałowało. — Nie muszę odpowiadać na twoje pytania. Ty też sypiasz z Jackiem — sprzeciwił się, starając się odzyskać pewność siebie.

— Nigdy nie okłamywałam cię, jeśli chodzi o Jacka. Dlaczego ty kłamałeś o tej Eleanor?

— Bo cały czas męczyłaś mnie, czy mam romans. Wiedziałem, że nie uwierzysz, jeśli ci powiem prawdę: znamy się od dawna, ale od niedawna sy... spotykamy się.

— A te kłamstwa miały sprawić, że bardziej ci zaufam, tak? — warknęła Martha i rozłączyła się.

Jednak nadal chciała mu wierzyć. I niemal uwierzyła.

Leżała bezsennie, wpatrzona w sufit. Żałowała, że nie ma przy niej Jacka, że nie może on owinać swego sprężystego ciała wokół niej. Miał czystą, chłodną, napiętą skórę.

Najłatwiej chyba nie myśleć o tym, że mężczyzna, którego kochała przez dziesięć lat, sypia z inną kobietą.

Wciąż nie chciała uwierzyć w ten romans, choć według licznych znajomych nie było innego wyjaśnienia. Mogli się zbliżyć po jego odejściu od Marthy, tak jak zaczęło się między nią a Jackiem.

Dlaczego jej to nie pocieszało?

Powiedział, że będzie szczęśliwszy, jeśli zmieni styl życia. Że będzie szczęśliwszy sam niż z nią. Boże, jak to bolało. Za każdym razem, kiedy powtarzała sobie te słowa lub docierało do niej ich pełne znaczenie, czuła się tak, jakby całe jej ciało przebijała rozgrzana do białości błyskawica.

Ale nie bolało tak bardzo, jak przyznanie się przed sobą, iż jakaś inna kobieta uczyniła go szczęśliwszym.

To była śmierć od ukłuc komarów.

Jak udało się tej kobiecie uszczęśliwić Michaela? Czy śmiała się z jego żartów? Oczywiście, o ile znów opowiadał dowcipy. Marcie dawno temu przestał je serwować. Czy gotowała lepiej od niej? Lepiej się ubierała? Myślała bardziej logicznie? Czy będzie mogła dać mu więcej pięknych dzieci? Ta myśl uderzyła ją jak obuchem. Martha spojrzała na zdjęcie Mathew i Maisie na stoliku przy łóżku; wy-

ciągnęła rękę i pogłaskała ich twarzyczki pod lśniącym szkłem. Pod palcami czuła ich zadziwienie oraz ciepło. Blond loki Mathew i jego pulchne policzki zostały stworzone chyba specjalnie po to, by jej serce topniało; pochyliła się i pocałowała wiśniowe usta. Maisie uśmiechała się od ucha do ucha promiennym uśmiechem nieprzyćmionym czekoladowymi smugami na buzi. Dzieci były piękne. Cudowne. Martha rozpromieniła się do siebie. To wszystko nieważne. Nieważne, jak bardzo ta inna kobieta dogadzała Michaelowi, to bez znaczenia, gdyż Martha jest dobra taka, jaka jest. Wierzyła Jackowi; to Michael popełnił błąd. Naprawdę była cudowną osobą. Najcudowniejszą pod słońcem — to może nieco za dużo, ale na pewno była ładna, dobra, uprzejma, uczciwa, a nawet zabawna, jeśli miała czas. Dobrze gotowała, nieźle się nosiła, umiała myśleć; miała wspaniałe dzieci.

Teraz zaś chciała przede wszystkim porozmawiać z Jackiem. Spojrzała na zegarek; było bardzo późno, już po północy. Jeśli zadzwoni, a on będzie marudzić z powodu późnej godziny, niepotrzebnie ją zrani. Jeśli zadzwoni i przekona się, że nie jest sam, poczuje się nieszczęśliwa. Zrozpaczona. A jednak miała wrażenie, że Jack nie obrazi się i nie będzie w towarzystwie. Na pewno nic się nie stanie. Ufała mu.

— Czy jestem głupia dlatego, że wciąż wierzę w lojalność, cudowność, wierność? Że nadal w to wszystko wierzę? — zapytała od razu, nie przejmując się konwencjonalnymi przeprosinami lub zapytaniami o zdrowie.

— Nie, kochanie, absolutnie — odparł Jack. Nic w jego tonie nie wskazywało, że pytanie Marthy w jakikolwiek sposób go zaskoczyło. Za to go właśnie uwielbiała.

No, oczywiście, nie naprawdę uwielbiała, to tylko takie wyrażenie. Przecież nie mówiła, że go uwielbia. Naprawdę? Jack przewrócił się na łóżku, żeby spojrzeć na zegarek. Jedenaście po północy. Biedna panienska E, chyba znów zdarzyło się coś nieprzyjemnego. Z roztargnieniem zaczął głaskać koty, zawsze śpiące razem z nim; mocno się zastanawiał, jak poprawić jej samopoczucie.

— Ale według ciebie byłam naiwna, a nawet łatwowierna, skoro nie przyjmowałam do wiadomości jego romansu? — zapytała.

— Mała, nie byłabyś taka cudowna, gdybyś była starą, zgorzkniałą cyniczką. A jesteś cudowna — powiedział.

— Ja tylko, mimo tego, co mówią statystyki, nie chcę przestać się troszczyć o innych, nie chcę przestać szukać... hm...

— Miłości.

— Tak, mimo logistyki.

— Hej, Martho, z ciebie prawdziwa poetka i...

— No nie wiem. — Poczwała, że robi się jej nieco lepiej.

— Cne słonie rade!

— Co takiego?

— CNE SŁONIE RADE! To...

— Anagram „na dłonie serce” — odgadła Martha.

— Właśnie.

Martha uśmiechnęła się do siebie.

— Palce mi marzną — mruknęła do słuchawki.

— Mam przyjechać? Mogę je porozcierać, żeby się rozgrzały — zaproponował Jack.

— Tak, proszę. — Martha się rozpromieniła.

Miała nadzieję na taką właśnie propozycję, chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, póki Jack nie wypowiedział tych słów. Co dziwne, wydawało się, jakby ofiarował jej o wiele, wiele więcej. Więcej niż „zawsze będę cię kochał”.

MARZEC

41

— Mathew, widziałeś pokrywkę kubeczka Maisie? — zapytała Eliza.

Mathew nie odpowiedział; możliwe, że w ogóle nie słyszał pytania, tak był zamknięty w swoim własnym świecie, zamieszkanym jedynie przez Teletubisie.

Eliza powtórzyła pytanie jeszcze trzy razy, za każdym razem bardziej wściekła, starając się przekrzywić wrzaski Maisie oraz dudnienie kasety wideo. W końcu zdecydowanym krokiem podeszła do telewizora i przycisnęła guzik włącznika, definitywnie uciszając Teletubisie. Jednak efekt był odwrotny do zamierzonego. Zamiast zwrócić na siebie uwagę Mathew, sprowokowała straszliwy atak złości.

— To nie fair!! — wył Mathew. — Ja jej nie-nie-nie-zgu-gu-bi-łem! — Ledwie mógł mówić w przerwach między atakami szloch. Rzucił się na podłogę i zaczął tłuc w nią głową; Eliza skrzywiła się, na co krzyki wybuchły ze zdwojoną siłą. Po chwili, ku uldze Elizy, chłopiec przeturlał się na brzuch i zaczął walić w dywan pięściami, udowadniając, że nie doznał poważniejszych obrażeń, chociaż można było odnieść wrażenie, iż psychicznie został okaleczony na zawsze.

W opinii Elizy atak wściekłości siostrzeńca był nieproporcjonalnie gwałtowny w stosunku do jej wykroczenia (chciała jedynie przyciągnąć jego uwagę, nie miała zamiaru ocenzurować *Teletubisów* na cały okres nieobecności Marthy), jednak trzeba było przyznać Mathew odrobinę słuszności. To nie on zgubił przykrywkę kubeczka, lecz sama Eliza. Brak pokrywki oznaczał, że Eliza nie będzie mogła podać Maisie porannej porcji mleka, co dało powód drugiej serii wrzasków. W domu było przynajmniej pięć przykrywanych kubeczków, ale trzy zginęły. Rozpłynęły się w powietrzu, łącznie z Lalą, bez któ-

rej Mathew absolutnie nie chciał zasnąć, calpolem — lekarstwem przynoszącym ulgę w czasie ząbkowania (ulgę głównie Elizie), a także trzema skarpetkami, nieprzemakalną kapą na wózek oraz z wielu innymi drobiazgami, które Eliza przestała już nawet liczyć. Jeden kubeczek stał w zmywarce, a ostatni Eliza trzymała w ręce — ale temu, niestety, brakowało przykrywki. Powinna była włączyć zmywarę dzień wcześniej. Otworzyła drzwiczki; w nos uderzył ją zapach wczorajszej kolacji (ryba w curry), niemal doprowadzając do mdłości. Zatrzasnęła drzwiczki, nie wyjąwszy kubka.

Eliza spojrzała na kalendarz. Minęły trzy dni, zostały jeszcze cztery.

Dlaczego, dlaczego zgodziła się zająć dziećmi przez cały tydzień, podczas gdy Martha i Jack pojechali do Nowego Jorku? Co ją napadło? Martha rzeczywiście potrzebowała odpoczynku, zasłużyła na wakacje, ale Eliza miała duże szanse dorobić się załamania nerwowego przed powrotem siostry; poza tym co to za fatalny sposób trwonienia własnego cennego urlopu. Dziś Eliza już dzieciom poczytała, zagrała z Mathew w loteryjkę, uczestniczyła w niekończącym się berku oraz bezmózgowej zabawie polegającej na wyjmowaniu klamerki do bielizny z pojemnika oraz chowaniu ich za siedzeniem sofy (klamerki zawsze były pod ręką, gdyż Eliza używała ich do przenoszenia najobrzydliwszych rzeczy, czyli pieluch). Ubrała dzieci, nakarmiła Mathew, a teraz pracowała nad Maisie. A była dopiero za dziesięć ósma.

Zadzwoił telefon. Eliza wiedziała, że to znów mama z propozycją pomocy. Z przyjemnością przyjęłaby jej propozycję; co więcej, bardzo chętnie wyprowadziłaby się, oddając miejsce rodzicom, żeby przejęli kontrolę nad sytuacją. W końcu byli dziadkami, pewnie lubili zmieniać pieluchy. Jednak doskonale wiedziała, co powie — po raz kolejny zapewni matkę, że „wszystko jest pod kontrolą”, jak wczoraj, kiedy w rzeczywistości wszystko było pod wodą, a przynajmniej pod wodą znalazła się jej komórka, którą Maisie wrzuciła do wanny. To kwestia dumy. Eliza chwyciła słuchawkę.

— Wszystko w porządku — warknęła.

— O rany, jak dobrze.

— Martha?

— Tak.

— Nie spodziewałam się ciebie. Myślałam, że to mama. Jak ci się podoba Nowy Jork?

— Jest niesamowity, Elizo. Nie wiem, od czego zacząć.

— Mój Boże, Martho, którą masz godzinę, nie jest przypadkiem środek nocy?

— No tak, ale właśnie idziemy z jednego klubu do drugiego, więc pomyślałam, że skorzystam z okazji i spróbuję cię złapać, zanim wyjdiesz z Mathew do przedszkola.

Eliza była tak zaskoczona nonszalanckim określeniem zajęć siostry, iż niemal przegapiła wzmiankę o przedszkolu. Wsadziła słuchawkę pod brodę i podeszła do ściany, na której zawieszono przepelniony plan dnia jej siostrzenicy i siostrzeńca. Cholera, za dwadzieścia pięć minut powinna być

w „Króliczkach i Misiach”, na pewno się spóźni. Poddawała się nieuniknionej perspektywie wpisania na czarną listę u przedszkolanki, po czym zapytała:

— No dobrze, mów. Jak się bawicie?

— Cudownie, nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo.

Jack jechał do Nowego Jorku w interesach i niemal zmusił Marthę, by pojechała z nim. Chyba zapowiadało się, że między spotkaniami będzie miał mnóstwo wolnego czasu. Dodatkowo wziął kilka dni wolnego na zwiedzanie miasta.

— Jak dzieci? — zapytała Martha. Wcześniej dzwoniła z lotnisk Heathrow oraz JFK, zadając to samo pytanie. Zatelefonowała również, kiedy tylko dotarli do hotelu, a potem co rano.

— Doskonale. Cudownie. Zachowują się jak aniołki.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Eliza za plecami skrzyżowała palce.

Nie chciała martwić siostry.

— Dobrze jedzą?

Oprócz tego, że pochłaniały mnóstwo słodyczy i lodów, a wcale nie dostawały ekologicznego kurczaka z warzywami ani innych, starannie przygotowanych przez Marthę i zamrożonych posiłków — owszem, dobrze jadły.

— Dobrze śpią?

— Tak, doskonale. — Częściej sypiały w łóżku Elizy niż we własnym pokoju, ale tej informacji Eliza nie uznała za stosowne przekazywać siostrze. Spróbowała zmienić temat. — Nie martw się, mają się doskonale. Wszystko gra. To co zdążyliście zobaczyć?

W błogiej nieświadomości Martha zaczęła zdawać relację.

— Przez ostatnie dwa dni Jack miał spotkania, więc sama organizowałam sobie czas. Obejrzałam wszystkie atrakcje turystyczne, wjechałam na szczyt Empire State Building, wygląda prawie jak w *Bezsensowności w Seattle*, oprócz oczywiście miliona zwiedzających. Widziałam Statuę Wolności, Times Square, Grand Central Station... no i byłam w MOMA. — Marcie najwyraźniej podobał się skrót nazwy Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Emocje w jej głosie na chwilę wręcz zagłuszyły ryki Mathew. Eliza poczuła, że słusznie zgodziła się zająć dziećmi.

— Nawet siedziałam na widowni w czasie jakiegoś straszliwego talk-show — dodała Martha. — I zadałam pytanie!

— No coś ty!

— Naprawdę! Będę w telewizji publicznej. A co lepsze, zaczęłam od: „Cześć, siostra!”.

— Martho!

— Wiem, jestem bezwstydna. Teraz Jack ma wolne do piątku, więc jutro zaczynamy zakupy do upadłego.

— Na Piątej Alei?

— Nie, raczej pojedziemy do innych dzielnic. W Greenwich i Soho ubrania są o wiele lepsze.

— Aha. — Eliza właśnie dostrzegła brakującą pokrywkę pod stołem. Schyliła się po nią, zbyt szybko się podniosła i wyrznęła głową w blat od spodu. Powinna dostawać dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach, bo w ciągu ostatnich trzech dni odniosła już sporo obrażeń. Została podrapana przez Maisie (zanim znalazła cążki do paznokci, a i tak musiała poczekać, aż mała zaśnie, żeby przyciąć jej paznokcie) oraz uderzona przez Mathew w głowę, kolano i kostkę betoniarką Boba Budowniczego. To wszystko były wypadki, ale i tak Eliza zastanawiała się, czy nie pozwać kogoś, na przykład producenta zabawki albo może sklepu, który ją sprzedał bez odpowiedniego ostrzeżenia. Wątpiła, czy zawartość skarbonki Mathew wyrówna jej straty.

— Stopy mnie bołą, chodziliśmy całymi godzinami — opowiadała Martha. Eliza chętnie przyjąłaby nawet pęcherze, to oznaczałoby przynajmniej kupno nowych butów lub choćby jedynie wyjście z domu. Na razie nie udało się jej osiągnąć na tyle wysokiej precyzji operacyjnej, by zakończyć sukcesem procedurę wypchnięcia dzieci z domu dalej niż do ogródka.

— Wydawało mi się, że idziecie do klubu?

— No tak, ale zawsze znajdzie się ochota na tańce. Jak mówi Jack, zawsze jest miejsce na podskoki.

— Czy to cytat z filmu?

— Pewnie tak.

— Nie martwi cię, że facet posługuje się cytatami, a nie ma własnych przemyśleń?

— Nie, to przecież facet, bardziej bym się bała, gdyby je miał. — Martha zachichotała. — No dobrze, muszę lecieć. Ucałuj dzieci ode mnie.

— Dobrze.

W słuchawce zapadła cisza. Cisza po rozłączeniu rozmowy nigdy nie jest przyjemna. Eliza zastanawiała się, kiedy właściwie zamieniły się charakterami z siostrą.

Czy to nieodwracalna zamiana?

Eliza ponownie włączyła telewizor, ale Mathew był za sprytny, żeby dać się tak łatwo ugłaskać. Jako rekompensaty zażądał milky way. Eliza usiłowała przekonać samą siebie, że może się zgodzić, należy tylko przypilnować późniejszego mycia zębów. W końcu Maisie dostała swój kubek mleka, a Eliza zyskała pięć minut spokoju.

Co ona sobie wyobrażała? Jak mogła przypuszczać, że takie życie się jej spodoba? Są kobiety stworzone do bycia matkami i żonami, które umieją prowadzić dom z zegarmistrzowską precyzją. Tak jak istnieją kobiety stworzone do wydawania wyrafinowanych kolacji, umiejące to robić regularnie, przy czym nie łamią sobie ani kawałka paznokcia, nie mówiąc już o wzywaniu straży pożarnej. Ona jednak do nich nie należała. Była doskonałym redaktorem muzycznym wideo (a raczej asystentką re-

daktora; pewnego dnia będzie doskonałym redaktorem muzycznym). Była twórcza, energiczna, taktowna i zorganizowana w pracy; jednakże nie mogła przenieść tych cech na teren domu, nie potrafiła zastosować ich w zarządzaniu gospodarstwem czy rodziną.

Mijało sześć miesięcy, odkąd zamieszkała z Martha; ten czas przyniósł owocne i ciekawe doświadczenia. Była to raczej odmiana niż odpoczynek; teraz jednak ponad wszystko Eliza pragnęła wrócić do swego dawnego życia. Życia, w którym niewysoką pensję mogła wydawać na to, na co miała ochotę: szmatki, głupoty, perłowy lakier do paznokci albo naklejany tatuaż. Kiedy ostatnio kupiła sobie naklejany tatuaż, Martha uznała, że to zabawka dla Mathew. Potem Eliza już ich nie używała, gdyż czuła się jak idiotka, zbyt stara na takie rzeczy. Marzyła o powrocie do życia, w którym nie musiała dzwonić i uprzedzać, że spóźni się do domu, bo zostaje po godzinach. Rozumiała, że Martha potrzebuje tych informacji, żeby móc dobrze zorganizować życie domowe, ale Eliza nie chciała stanowić części zorganizowanego życia domowego. Eliza marzyła, żeby wracać do domu, hałasując po pijanemu i nie przejmując się śpiącymi dziećmi. Coraz trudniej jej przychodziło literować przekleństwa, żeby nie zrozumiały ich dzieci, zamiast normalnie je wymawiać. Kiedy upuściła na podłogę słoik wyjątkowo drogiego kremu do rąk Estée Lauder, musiała krzyknąć: „ce-ha-o-el-er-a jot-a-es-en-a!”, co naprawdę nie dawało ulgi i nie działało tak terapeutycznie, jak wyrzesczenie słowa w całości. Eliza tęskniła za tym, by zjeść jogurt bez konieczności dzielenia się nim. Nie, żeby była zachłanna, ale po prostu jogurt smakuje znacznie lepiej, jeśli nie zawiera dziecięcych smarków ani śliny. A wszystko w domu wydawało się mieć na sobie lub w sobie dziecięce smarki albo ślinę. W porównaniu z tym Pies wydawał się niemal aseptyczny. Eliza tęskniła za Psem.

Tęskniła też za Gregiem.

Boże, jak bardzo za nim tęskniła. Przyznanie się do tego przynajmniej przynosiło ulgę. Eliza wiedziała, że za nim tęskni, od momentu, kiedy zamknęła za sobą drzwi ich mieszkania, ale nie chciała się do tego przyznać, zwłaszcza przed sobą. Tęskniła za nim przy każdej kolacji, kiedy zasiadała do stołu, po czym przeżuwała doskonale jedzenie i nudną rozmowę. Tęskniła za nim za każdym razem, kiedy pozwalała, by ktoś ją pocałował i przeciągnął dłonią po jej włosach. Wyjątkowo tęskniła za nim w chwili, kiedy musiała znosić niezręczne pieszczoty Charliego. Tęskniła za nim za każdym razem, gdy objaśniała swoje żarty, gdyż nikt wokół nie miał poczucia humoru Grega. Tęskniła za nim, kupując nowe CD, oglądając nowy film, nastawiając budzik.

Westchnęła. Chciała wracać do domu, ale nie mogła, bo już nie miała domu. Jej domem był Greg. Ich maleńkie, zabałaganione wynajmowane mieszkanie, pełne rzeczy, hałasu i miłości — było jej domem. Ale od długiego czasu to już nie było ich mieszkanie.

— Dzień dobry pani. Signora Bianchi, signora Bianchi, spójrz tylko, kto przyszedł! — Signor Bianchi uśmiechał się swoim najszerszym uśmiechem, który, co zadziwiające, zdołał nawet zasłonić jego szeroki wąs. Właśnie zbierał filiżanki z kontuaru, kiedy Eliza przepychała przez drzwi wózek. Rzucił swoje zajęcie i pośpieszył jej z pomocą.

— Chwileczkę, pomogę. Signora Bianchi! — wrzasnął przez ramię tonem pełnym emocji, choć niewtajemniczony mógł je wziąć za niecierpliwość.

Signora Bianchi wynurzyła się z maleńkiego kantorka na tyłach, używanego jako minikuchnia.

— Nasza dziewczynka! — Uśmiechnęła się szeroko, promiennie, po czym natychmiast spoważniała. — Gdzie się podziewałaś tak długo? — powiedziała surowo.

Niezdolna utrzymać powagę, zagarnęła Elizę w szerokie ramiona i przycisnęła do olbrzymiej piersi. Eliza omal się nie udusiła, ale też nie wyobrażała sobie lepszej śmierci. Zdusiła w sobie łzy. Signora Bianchi wyszła z za lady! Czowała się wyróżniona.

— A co to za bambini?

— Dzieci siostry, Mathew i Maisie. Opiekuję się nimi, bo siostra jest na wakacjach.

— Naprawdę? — zdziwiła się signora. Natychmiast jednak doszła do siebie. — Dobra dziewczyna, oczywiście. Greg powiedział nam o mężu — zniżyła głos. — Cretino. Chodźcie, piękne bambini, zobaczymy, co mama Bianchi znajdzie dla was — żadne z dzieci jeszcze nie było w Caffé Bianchi, ale Mathew starczyło sprytu, żeby odczytać słowa „znaleźć dla was” jako obietnicę czegoś smakowitego. Na pewno skapną im słodczyce albo lody.

Olbrzymi, podwójny wózek nie mieścił się w maleńkim wnętrzu. Eliza miała ochotę wrzeszczeć. Niezłomnie wierzyła, że wózki, siedzenia w samochodach, schody i tym podobne rzeczy projektowali złośliwi, bezdzietni mężczyźni, których głównym celem życiowym było zwiększanie poziomu stresu zabieganych mam. Signor Bianchi w milczeniu przejął kontrolę nad sytuacją. Starannie złożył wózek i wyniósł go na zaplecze; wskazał Elizie krzesło, podczas gdy signora Bianchi zajęła się przyrządzaniem bardzo mlecznego cappuccino. Uważała, że Eliza potrzebuje białka, gdyż nie wygląda najlepiej. Eliza uśmiechnęła się z wdzięcznością, przyjmując jej zabiegi. Dzieci nagle zaczęły zachowywać się jak aniołki; najwyraźniej urok domowych ciast signory Bianchi zaczął działać. Podała im kleiste, śmietankowe ciastka.

— Trudno być mamą, prawda? — zapytała signora Bianchi z domyślnym mrugnięciem.

Eliza bez słowa pokiwała głową.

— Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć, uwielbiam je. Jednak odwiedziny, nawet częste, to nie to samo, co wspólne mieszkanie. Kiedyś myślałam, że Martha przesadza, mówiąc, jak trudno być matką na pełen etat, ale naprawdę niełatwo w tym przesadzić. Chyba nie nadaję się na matkę.

— Nie każdy się nadaje — stwierdziła łagodnie signora Bianchi. — To nie wstyd. Masz wa-
aaażne, kierownicze stanowisko na West Endzie. — Rozłożyła szeroko ramiona, pokazując wagę
stanowiska. Eliza poruszyła się niespokojnie, niepewna, czy opis signory odpowiada prawdzie. Choć z
drugiej strony, jak się zastanović, to była ważna praca. Ważna dla Elizy.

— Zbyt ciężko pracujesz, wyglądasz na zmęczoną. Jesz, jak trzeba? — dopytywała signora.

Eliza uśmiechnęła się słabo. Cudownie być wypytywanym, czy porządnie się jada. Oczywiście
dobrze jadała, kilka razy w tygodniu chodziła na kolacje do najlepszych londyńskich restauracji, poza
tym Martha nigdy by nie dopuściła do tego, żeby Eliza chodziła głodna. Ale fantastycznie być o to za-
pytanym, fantastycznie, kiedy ktoś tak się troszczy. To była bardziej normalna sytuacja; Eliza przywy-
kła do bycia przedmiotem troski otoczenia. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak mocno oddziałał na
nią fakt, że już nie o nią rodzice najbardziej się troszczyli.

Problem był oczywisty. Eliza spodziewała się, że rzucając Grega oraz starając się przestawić na
życie takie, jakie prowadziła Martha, zyska szacunek rodziny. Jednak nie zdawała sobie sprawy, iż w
rzeczywistości rodzina była oszołomiona, gdyż najmłodsza córka nagle próbowała się wpasować w
styl życia, który całkowicie do niej nie przystawał. Dla wszystkich zainteresowanych było całkowicie
jasne, że Eliza nie nadaje się na żonę prezesa klubu golfowego czy zarządu firmy, natomiast doskonale
się sprawdza jako dziewczyna początkującego muzyka. Była dla Grega muzą, inspiracją, agentem, a
kiedy trzeba, także palmtopem. Przede wszystkim była jego miłością. A on był jej miłością. Kiedyś.

Państwo Evergreen żalowali, że Eliza tak źle ocenia swoje wybory, skoro nagle postanowiła
całkowicie zmienić kurs. Ale znali ją też na tyle dobrze, by powstrzymać się od komentarzy. Mieli na-
dzieję, że ostatecznie młodsza córka znów odnajdzie swoją ścieżkę, oby tylko nie zajęło jej to zbyt du-
żo czasu, albo też — czego się obawiali wszyscy — oby nie stało się to zbyt późno.

Trzeba było sześciu miesięcy, niezliczonych randek oraz kilku źle zaprojektowanych akceso-
riów dziecięcych, żeby wreszcie Eliza uświadomiła sobie, iż mężczyzna z ubezpieczeniem emery-
talnym i zdrowotnym niekoniecznie jest spełnieniem jej marzeń. Obrączka to nie kamizelka ratunko-
wa.

Owszem, zmywarka do naczyń jest przydatnym urządzeniem, lecz Elizie trudniej byłoby się
obejść bez telewizji kablowej. Robienie zakupów w supermarketach rzeczywiście pozwala oszczędzić
pieniądze, oferuje też szerszy wybór niż sklepik na rogu, ale nie bardzo lubiłaby spędzać sobotnie
przedpołudnia w takich miejscach. Chciałaby mieć własny samochód, żeby się przemieszczać bez wy-
cieków benzyny na asfalt, lecz wciąż marzyła o różowym mustangu, a nie ciemnym, pięciodrzwiowym
aucie rodzinnym.

Eliza łyknęła cappuccino; smakowało niebiańsko. Państwo Bianchi patrzyli nią z aprobatą.

— Popeliłam wielki błąd — przyznała Eliza.

Signor Bianchi nie odrywał wzroku od kafelków na podłodze; signora Bianchi patrzyła na młodą kobietę swoimi wielkimi, czekoladowymi oczami, powoli kiwając głową.

— Wiem — powiedziała cicho. — Wszyscy wiemy.

— Nie chcę tego, czego wydawało mi się, że chciałam. Chcę... chcę... — jąkała się Eliza, z trudem przetykając dumę. — Chcę Grega.

Chciała niedbałego, uśmiechniętego, seksownego Grega. Ponieważ Gregowi zależało na słowach, myślach, muzyce oraz rzeczach, na których i jej zależało. Kompletnie nie obchodziło go, czy lepsza będzie kołdra wypełniona pierzem kaczki syberyjskiej czy puchem kaczki węgierskiej. Był gotów wsiąść w samochód, pojechać nim do Francji, tam zatankować, tylko po to, aby tanio kupić jakieś niesłychanie modne francuskie wino. I co z tego, jeśli w 1999 powinien był zainwestować w zdrowie, a nie w technikę? Mało prawdopodobne, by kiedykolwiek posiadali pieniądze na kupno jakichkolwiek akcji. Teraz Eliza wiedziała, jak to jest przebywać z ludźmi narzekającymi na brak solidnych sprzętów; ogłupiająca nuda. Być może było to ważne, ale nie dla Grega. Dla Grega istotne było, że Zachód dolicza wysokie odsetki za długi krajów Trzeciego Świata — dlatego raz poszedł na demonstrację przeciwko tym procederom. Ważne było szczęście jej siostry, dlatego Greg odwiedzał Marthę i dzwonił, żeby ją podtrzymać na duchu.

— Przychodzi tu jeszcze? — zapytała Eliza.

— O tak, codziennie. — Signora Bianchi uśmiechnęła się. Nagle spoważniała. — Ooo... — powiedziała, ściągając usta tak gwałtownie, że można się było obawiać, iż za chwilę połknie swoje liczne podbródki.

— Był dzisiaj? — dociekała Eliza, ledwie ukrywając podniecenie. Jeśli jeszcze nie, może uda się im tu spotkać, może da radę mu wytłumaczyć, jak bardzo się pomyliła, jak bardzo jej przykro i że pudełka po pizzy naprawdę jej nie przeszkadzają.

— Tak, dzisiaj już był — odparła signora Bianchi, odwracając się tyłem do Elizy i zabierając za wycieranie kontuaru.

— Co się stało? — zapytała Eliza. Signora nie odpowiedziała. Eliza spojrzała na jej męża, ale signor nagle bardzo skupił się na dzieciach. — O co chodzi? Proszę mi powiedzieć.

— Przychodzi codziennie, a ostatnio, może w zeszłym tygodniu albo dwa tygodnie temu, zaczął czasami przyprowadzać jakąś panią.

Eliza poczuła się zmiażdżona. Miła kawiarenka nagle wydała się jej wilgotną, zimną norą.

Było chłodno i nieprzyjemnie. Martha wyobrażała sobie, że Nowy Jork, Nowy Jork — tak świetny, że trzeba było wymawiać jego nazwę dwukrotnie — ma tylko słoneczne chodniki, oczywiście oprócz grudnia, kiedy w Wigilię i święta spadał śnieg, jak to widziała na wszystkich możliwych filmach rozgrywających się w tym mieście. Spakowała się na wyjazd zgodnie ze swoim wyobrażeniem, nie sprawdzając w Internecie prognozy pogody. Deszcz bębnił o chodniki i o nogawki spodni, ale nie obchodziło jej to. Schronili się w kawiarni sieci Starbucks, usiłując udawać, że w Londynie takich nie ma, chociaż spotyka się je na każdym rogu. Rzucili wszystkie konieczne żarciki na temat życia w globalnej wiosce oraz świecie, który staje się coraz mniejszy. A jednak, choć menu, logo i ubrania pracowników były identyczne jak te w domu, dla Marthy było to jednak nowe doświadczenie.

Rzuciła się na wielki, miękki skórzany fotel i położyła nogi na stoliku przed sobą. Takie rozkładanie się w fotelu przypomniało jej czasy szkolne, kiedy podobne zachowanie prowadziło do nieuchronnie surowego pytania nauczycielki: „Czy w domu też byś się tak zachowała?”. Oczywiście nie, dlatego siedzenie z nogami na stole w kawiarni dawało uczucie wyzwolenia i dlatego Martha była gotowa zapłacić trzy dolary za to doświadczenie. Czekała, aż Jack wróci z napojami, oglądała przedstawienie, czyli innych klientów.

Była między nimi piękna kobieta w okolicach sześćdziesiątki, czytająca Anaïs Nin. W przeciwieństwie do stereotypowej Amerykanki chyba postanowiła się zestarzeć naturalnie, nie prezentując oszczędności chirurgowi kosmetycznemu, który poprawiłby jej linię szczęk. Był tam także bezdomny mówiący z silnym irlandzkim akcentem, choć Martha nie umiała określić, czy autentycznym, czy też przeznaczonym dla turystów. Bardzo kiepsko grał na harmonijce, więc ludzie rzucali mu po dolarze po to, żeby się go pozbyć. W kawiarni siedziało też kilka modnych, inteligentnie wyglądających par. Dzieci czytały książki lub grały w gry elektroniczne, a miały na sobie czapki, bluzy z napisami i luźne spodnie.

Martha uznała, że dla kogoś, kto rozejrzałby się po kawiarni, pasowałyby do tła. To dobrze, bo czuła się tu na miejscu; kawiarnia pełna ruchu i gwaru, modnych ludzi oraz z wdziękiem starzejących się kobiet. Martha miała na sobie dzinsowy kapelusik, T-shirt z napisem „Pijana małpa” zaprojektowanym tak, by biegł w poprzek biustu, gdyby go posiadała, oraz obcisłe spodnie z Diesla. Wyglądała modnie. I atrakcyjnie, cholernie atrakcyjnie. Stukała palcami w stół do rytmu rzewnej piosenki Niny Simone.

Uśmiechnęła się do siebie. Tego ranka, przeglądając kalendarzyk, stwierdziła, że rozeszła się z mężem równo sześć miesięcy temu. Pół roku może się wydawać długim okresem, na przykład dla kogoś w wieku Maisie to duża część życia. Mathew już przyjął do wiadomości fakt, że ma dwa domy, jak

książę. Maisie nigdy nie pozna uczucia mieszkania z własnym ojcem. Będzie uważała, że mieszkający osobno rodzice to norma.

Marcie jej małżeństwo wydawało się odległe o stulecia i jednocześnie bliskie, jakby zdarzyło się wczoraj. Podobały się jej własne, pozbawione obrączki palce bębniące w stolik do wtóru piosenki Niny Simone. Miała ładne dłonie, którym służył brak obrączki; teraz już rzadko szukała jej na palcu. Zachwycała się bluzkami za dwadzieścia dolarów oraz spodniami za czterdzieści ze sklepu Urban Outfitters, które leżały w torbach obok. Podobał się jej także żakiet, który kupiła. W tych ciuchach kryło się mnóstwo możliwości. Jutro czekało ją tyle nowego, tyle obietnic, ile nigdy jeszcze nie widziała przed sobą.

Jack wrócił do stolika z wysokim kubkiem kawy z odtłuszczonym mlekiem i sokiem pomarańczowym. On również opadł na miękki fotel.

— Zmęczona? — zapytał z uśmiechem.

— Wykończona. Jak myślisz, ile dzisiaj przeszliśmy?

— Wiele kilometrów. Też jestem zrąbany.

Martha uśmiechnęła się do siebie. Ona nazywała to „wykończeniem”, on „zrąbaniem”; inne słownictwo, ale ludzie tacy sami. Kiedy się spotkali, ona mówiła o facetach, on o kolesiach. Teraz poszli na kompromis i mówili o kumplach. Znaleźli więcej podobieństw niż różnic.

— Może zadzwonimy do Elizy i zapytamy, co u dzieci? — zaproponował.

Jack zabrał do Stanów trójzakresowy telefon, gdyż zdawał sobie sprawę, iż komórka Marthy nie będzie działać na tym kontynencie. Co rano, nawet jeszcze przed śniadaniem, pytał ją:

— Chcesz zadzwonić do dzieci?

Pewnego dnia Martha zasnęła, a kiedy się obudziła, o jedenastej... czasu nowojorskiego, Jack zameldował jej, że już zatelefonował; Mathew wrócił z przedszkola, narysował samochód wyścigowy, a Maisie na widok kota sąsiadów bardzo wyraźnie wypowiedziała słowo „kot”. Jack był najwyraźniej pod wrażeniem tej wiadomości, za co Martha tym bardziej go kochała.

Naprawdę.

Kochała go.

Nabrała pewności. Jack był... Nie, naprawdę nie chciała tego przyznać, nawet przed samą sobą. Na pewnym poziomie pragnęła wreszcie to powiedzieć, mówić tylko o tym. Czy możliwe, że Jack był... Wciąż w to wierzyła. Miała nadzieję. Jack był...

Tym jedynym.

Seksem z duszą.

O to przecież chodzi. O tym właśnie mówią książki, czasopisma, internetowe czaty oraz Hollywood. Szczęście, że znaleźli się nawzajem. To tylko kwestia nauczenia się zaufania od nowa.

Nie mogła dokładnie określić, kiedy zakochała się w Jacku. Może wtedy, gdy pochylił się, zapinając łyżwy. Pomimo szerokich ramion wydawał się kruchy, jeżdżąc na lodowisku w Rockefeller Center. Nigdy wcześniej nie miał łyżew na nogach, ale był gotów zaryzykować życie, gdyż Martha bardzo chciała spróbować poślizgać się w tym miejscu, odkąd zobaczyła je w serialu *Przyjaciele*.

Może uświadomiła sobie swoją miłość wczoraj, kiedy zrobił dla niej samolocik z papieru po tym, jak rozplakała się nad swoją kolacją. Po trzech dniach pobytu w Nowym Jorku Martha zadzwoniła do Elizy. Eliza wydawała się tak pewna siebie, tak doskonale panowała nad sytuacją; powiedziała, że dzieci mają się doskonale, zachowują jak aniołki, dobrze jedzą i dobrze śpią. Wydawało się, że bez niej rodzina funkcjonuje idealnie.

Oczywiście tego przecież pragnęła.

Dlaczego więc po odłożeniu słuchawki uznała, że mimo wszystko nie ma ochoty iść do kabaretu, a woli wrócić do hotelu i położyć się do łóżka? Następnego dnia obudziła się przygnębiona i nawet złożone z tostów, truskawek i miodu śniadanie w pobliskim barze nie mogło jej pocieszyć.

— Tęsknisz za nimi, prawda? — zapytał Jack. Martha nawet nie usiłowała ukrywać prawdy.

— Tak bardzo, że aż boli — przyznała.

Nie chciała, żeby uznał ją za niewdzięcznicę. Czuła się cudownie, ale brakowało jej bliskich. Wtedy Jack z podkładek pod szklanki zrobił papierowy samolocik, a potem zabrał ją do sklepu z zabawkami FAO Schwarz, żeby kupić prezenty oraz coś wyjątkowego dla Mathew, który miał wkrótce urodziny. Martha chodziła po sklepie, z trudem powstrzymując się przed porywaniem w ramiona każdego napotkanego dziecka i obsypywaniem go pocałunkami. Musiało jej wystarczyć niemal całkowite wyczerpanie limitu karty kredytowej na kupno prezentów.

A może zakochała się w nim, kiedy pomagał jej wybrać lakier do paznokci dla Elizy albo gdy przystanął przed wystawą sklepu z torebkami i zauważył: „Chyba ta podobałaby się twojej mamie”. Lub kiedy grali w bilard na fioletowym stole w modnym hotelu Hudson. Albo kiedy cierpliwie podawał jej niezliczone sztuki odzieży ponad ścianką przymierzalni, bo próbowała znaleźć sobie coś nowego na imprezę, chociaż przywiozła wielką walizkę ubrań.

Oczywiście mogła się w nim zakochać w klubie salsy, jeszcze w grudniu. Nie była pewna.

Michael z Marthą na ogół planowali, a teraz Martha żyła chwilą, nie przejmując się przyszłością i ciesząc się każdym dniem. Jednak nie mogła już udawać przed sobą, że ta znajomość wynikała jedynie z potrzeby nowych doświadczeń. Nie była aż taką hipokrytką. Wiedziała jedynie, iż ma to związek z egotyzmem, pięknem, apetytem i poczuciem pełni. Życia w pełni. Nie można mu się oprzeć.

Marcie wydawało się to bardzo podobne do miłości.

A jednak wciąż czuła się niepewnie. Jak udało się jej dożyć trzydziestu dwóch lat i nie nauczyć się niczego o funkcjonowaniu męskiego umysłu? Zastanawiała się, czy nie kupić *Mężczyźni są z Marsa, kobiety z Wenus*, ale to oznaczałoby przyznanie się do porażki. Co on myślał? Czy kochał ją na-

miętnie? Tego dnia na ulicy uniósł ją i okręcił wokół. Gest wydawał się tak swobodny, tak naturalny. Czy z innymi kobietami też postępował podobnie? Czy to się liczyło? Nie chciała się zamećzać.

Nie mogła nic poradzić.

W łóżku był świadomym i cichym kochankiem. Nazywał siebie samego „seksualnym ninją”; Martha uśmiechnęła się na to wspomnienie. „Niezwykle uzdolnieni w sztuce zadawania śmierci, uderzają bez uprzedzenia, nie widać, kiedy nadchodzą”.

Kiedy nadejdą, są szaleni.

Najwyraźniej pragnął sprawiać jej przyjemność; co więcej, wydawało się to jego głównym celem. Jakby jego jedynym pragnieniem, czy to w łóżku, czy poza nim, było czynienie ją szczęśliwą.

W tej chwili Jack przechylił się i delikatnie, lecz mocno chwycił Marthę za szyję i przytrzymał, podczas gdy swoje pełne, różowe usta zbliżył do jej ust. Ten pocałunek poczuła pod żebrami, a nawet między nogami. Czy całował ją w ten sposób, bo wiedział, że tak na nią działa (i działało), czy dlatego, że naprawdę coś czuł? Bardzo trudno coś stwierdzić. Jak miałyby go zapytać? Kiedy się tego dowie? Czy to ma znaczenie? Była z niego dumna. Tak cholernie, cholernie dumna z nich obojga. Nazywała ich ziarnkami z korca maku. Kiedy się kochali, nigdy nie musiała wyobrażać sobie na jego miejscu Robbiego Williamsa czy Jude'a Law ani też faceta z reklamy Calvina Kleina. Niesamowite.

Wciąż pytał, na co miałyby ochotę, dokąd chciałyby iść, jaki film pragnęłyby zobaczyć i na jaką kuchnię dałyby się skusić. Ale nie zrzucał na nią ciężaru decyzji, jak to się zdarza czułym mężczyznom; zawsze miał w zanadru interesującą propozycję czy szalony pomysł. Martha nigdy przedtem nie spotkała się z czymś takim.

Patrzyła na Jacka pijącego sok. Kiwał głową do rytmu muzyki, potem mlasnął końcem języka z gumą do żucia, która w następnej sekundzie znikła ponownie. Każde jego poruszenie sprawiało, że Martha topniała jak śnieg na wiosnę; jego kciuk uderzający o szklankę w rytm piosenki rozgrzewał ją niemal do czerwoności. Boże, miała trzydzieści dwa lata, a przy nim czuła się niczym czternastolatka. Nieopanowana i nie do opanowania.

Jack przechwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się szeroko. Jego oczy lśniły od łez śmiechu, jakby dochodził do siebie po jakiejś niezwykle zabawnej uwadze Marthy. Zastanawiała się, czy mógłby ją pokochać. Czy czekał na właściwy moment, by wyznać jej miłość na zawsze oraz powiedzieć, że jest absolutnie jedyna?

Mało prawdopodobne.

Wszyscy zakładali, że trudność w budowaniu życia po rozwodzie polega na tym, by odzyskać wiarę w ponowne zakochanie. To akurat przyszło Marcie z łatwością. Problemem było uwierzyć, że ktoś może się jeszcze zakochać w niej.

Ale nie chodziło tylko o nią, prawda? Dlaczego niby wybrałby ich wszystkich? Dlaczego nie miałyby spróbować szczęścia z wolną kobietą nieobciążoną dziećmi? Kimś w rodzaju pustej karty. Dla-

czego miałyby brać sobie na głowę cudze dzieci, żonę i życie, wkładać olbrzymi wysiłek w to, by uczynić je własnymi? Wiele pytań.

A jeśli faktycznie Jack wyzna jej miłość do grobowej deski, jak ona zdoła mu uwierzyć? Nawet wiedząc, iż nie powinna porównywać obu mężczyzn, Martha nie mogła się od tego powstrzymać. Przy porównywaniu Jacka z Michaelem z czasów, kiedy się poznali, zauważała liczne podobieństwa, choć jednak Jack w ogóle nie przypominał tego Michaela, przy którym budziła się przez ostatnie kilka lat. Właśnie owo podobieństwo budziło w niej tyle obaw. Nawet jeśli w tej chwili Jack szczerze wyznałby jej miłość, nie oznacza to, iż zawsze tak będzie. Trochę za często słyszała wyznanie „zawsze będę cię kochał”.

Możliwe, że wręcz się obawia Marthy. Czy drżał na myśl o straszliwej chwili, kiedy ona wyzna mu miłość do grobowej deski? Gdy odrzuci wszelkie bariery i powie, iż w sumie naprawdę dobrze byłoby spędzać przy nim niedzielne poranki, czytając w łóżku gazety — przez resztę życia.

Niewykluczone.

A może Jack zatrzymał się gdzieś pomiędzy. Ale gdzie?

— Chyba nie dam rady iść dalej — powiedziała.

Jack spojrział na łupy. Każde z nich miało wielkie torby wypchane ubraniami, płytami i prezentami.

— Weźmy taksówkę — zaproponował.

Wrócili do hotelu. Mieli bardzo mały pokój, niewiele większy od przyczepy campingowej, a po rozłożeniu wszystkich toreb stał się wręcz mikroskopijny. Wyciągnęli się na łóżku, przeczucili kilka kanałów w telewizji kablowej, najechali minibarek, po czym zdecydowali się jednak na M&Ms, chociaż kosztowały cztery razy więcej niż w sklepie. Marthy brzuch posłużył jako talerz. A później się kochali.

Potem Jack zasnął, ale Martha leżała z otwartymi oczami, nasłuchując hałasu pracujących śmieciarek oraz przyglądając się wzorom malowanym na suficie przez reflektory przejeżdżających samochodów. Spędzili naprawdę świetny dzień. Kupili pączki i lody, które zjedli wspólnie, a właściwie nakarmili się nimi nawzajem, jak na filmie. Smakowały wspaniale, lepiej niż wszystko, co w życiu jadła. W przeszłości bywała w najlepszych restauracjach stolic świata, a jednak nic nie smakowało jej tak bardzo, jak te maleńkie pączki. Skąd się to brało? Czy Jack po prostu lepiej niż większość ludzi wiedział, jak czerpać radość z życia? Na pewno spełniał wszelkie warunki idealnego kandydata z jej listy, i to o wiele lepiej niż Michael nawet w czasach swojej świetności. Jack był bardziej rozmowny, przystojniejszy, lepszy w łóżku, miał większego penisa, lepiej tańczył.

Kochała go.

To powinno jej wystarczyć. Ale nie wystarczało. Jack miał inne nagie koleżanki.

Czego pragną mężczyźni? Więcej, zawsze więcej. Dlaczego nie mogą zaufać jednej kobiecie i jednej kochać? Dlaczego im to nie wystarcza? Jak świat mógł się tak zmienić? Zawsze miało się więcej możliwości, większy wybór.

Zbyt wiele możliwości, zbyt duży wybór.

Czemu Michael nie mógł być szczęśliwy z nią, ze swymi ślicznymi dziećmi i we własnym domu? Czy nie wystarczy, że mieli dobrych znajomych, doskonałe wakacje i byli zdrowi? Rzucił to wszystko tylko dlatego, że wpadł mu w oko ktoś młodszy i bardziej chętny? Inny biust, szczuplejsze biodra? A czego szukał Jack? Innego biustu, szczuplejszych bioder? Kolejnej blondynki, brunetki czy rudej albo może łysej, ufarbowanej na różowo czy też po prostu innej, ładnej kobiety? Teraz już jedna kobieta nie wystarcza. Czasem nawet nie wystarcza jedna na raz, nawet jeśli każdej nocy w miesiącu jest to nowa kobieta. Trójki w łóżku wcale Marthy nie nęciły. Niektórzy mężczyźni odwiedzali prostytutki albo spali ze striptizerkami; inni posuwali się tak daleko, że odróżniali striptizerki od tancerek przy rurze i chcieli zaliczyć obie kategorie. Martha nie była już pruderyjna, za dobrze się bawiła, by zachować pruderię, ale nie straciła poczucia realizmu; jedna kobieta nie może być wszystkim jednocześnie. Nie można być kobietą, z którą mężczyzna jest w tej chwili, oraz taką, z którą spotka się za chwilę.

Martha chciała jedynie być dla kogoś najważniejsza.

Zasługiwała na to. Słuchając syren wozów policyjnych, postanowiła, że jeśli Jack ma ochotę, może sypiać z innymi kobietami, ale w takim razie nie będzie już sypiał z nią. Aż do tej chwili bardzo skutecznie udawało się jej ignorować fakt istnienia nagich koleżanek, jednak kiedy tylko przyznała się sama sobie do swojej miłości, nie mogła już przymykać oczu ani sekundy dłużej. Nagle tamte kobiety były wszędzie. Hałaśliwie domagały się uwagi Marthy. Zamawiały espresso, kiedy ona kupowała cap-

puccino. Wyglądały z lustra w łazience, gdy zmywała makijaż. Właziły za nią do łóżka, kiedy ona wskakiwała do łóżka z Jackiem. Nie miało to nic wspólnego z zaborczością. Chociaż była zazdrosna; zazdrosna o piersi, których dotykał, kształty i talie, które poznawał. Miłosne jęki. Ale nie miało to nic wspólnego z zaborczością.

Martha zdawała sobie sprawę, że pragnęła Jacka, Boże, tak bardzo go pragnęła. Pomimo wszystko. Pomimo świadomości, iż miłość do drugiej osoby wiąże się z ryzykiem. Pomimo faktu, że wciąż opłakiwała rozstanie z Michaeliem. Pomimo świadomości, iż Jack był niebezpieczny, gdyż zwracał uwagę na kobiety, a one na niego. Zawsze będzie istniała nieskończona lista możliwości. A jednak wciąż go pragnęła.

Martha ciaśniej owinęła się kołdrą. Było jej zimno. Spojrzała na zegarek; o trzeciej pięć zdecydowała, że jednak go pragnie, ale tylko pod warunkiem, że on będzie pragnął jedynie jej. To była najlepsza i najgorsza chwila spośród niezliczonych wyjątkowo dobrych i nieskończenie złych chwil.

Jack był dobry, troskliwy, przystojny i seksowny, ale jeśli jego serce nie biło tylko dla niej, w ich związku brakowało najważniejszego elementu, na którym zależało Marcie. Wiedziała, że jej nieprzytomna namiętność mogła łatwo przekształcić się w trwałe uczucie, ale on na pewno nie czuł tego samego.

To dość denerwujące, ale doskonale nauczyła się rozpoznawać, kiedy facet nie był w niej zakochany.

Martha obudziła się przygnębiona. Pamiętała, że przy Michaelu często czuła się przygnębiona. Albo spięta, zdenerwowana lub wykończona. Była wtedy przyzwyczajona do okropnego, tępego bólu w żołądku, przypominającego jej, że znów czegoś nie dopilnowała, zaprzepaściła lub zepsuła mimo swoich największych wysiłków. Była tak przyzwyczajona do towarzyszącego jej uczucia osobistego rozczarowania, że już nie musiała starać się o nim zapominać. Nosila je ze sobą jak parę starych okularów. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Martha chciałaby umieć lekceważyć przygnębienie albo z rezygnacją przyzwyczaić się do niego, ale to już nie wchodziło w grę. Teraz była wobec siebie znacznie uczciwsza.

— Wszystko w porządku, śliczna? — zapytał Jack pogodnie i naturalnie.

Martha większą część nocy spędziła bezsennie. Kochała Jacka; tego była pewna. Czy naprawdę chciała zniszczyć jego dobry nastrój? No cóż, nie było innego wyjścia. Zajęło jej to trochę czasu, ale w końcu przekonała się, że nie będzie w stanie kochać Jacka z całych sił, jeśli przedtem nie nauczy się kochać samej siebie.

— Tak, w porządku, chociaż w środku nocy miałam ochotę wsiąść w samolot i lecieć prosto do domu.

Jack znieruchomiał. Spojrzał na sufit, starając się zebrać odwagę, by odwrócić się do niej i zadać nieuchronne pytanie „Dlaczego?”. Nie miał pojęcia, co się stało.

— Jesteś jak wszyscy inni mężczyźni. Nie potrafisz być wierny i skupić się na jednym; ale skoro uprzedziłeś mnie o tym, musiałam się z tym pogodzić. Drań. — Martha czuła, jak pod powiekami zbierają się jej łzy, a nos zaczyna szczypać. „Tylko nie płacz!” — nakazała sobie surowo.

— Dlaczego uważasz mnie za drania? — zapytał Jack.

— Nie rozumiem cię. Przykro mi, ale nie pojmuję tego rozróżnienia między nagimi koleżankami a twoją dziewczyną. Nie potrafię pogodzić się z moralnością, czy raczej jej brakiem, co stają się ostatnio tak modne. — Czekala w nadziei, że jej przerwie, w ten sposób zmniejszając szansę, iż powie za dużo. Ale nie odezwał się. — Ja jednak wciąż tkwię w początkach dziewiętnastego wieku. Właściwie chętnie zgodziłabym się na noszenie krynoliny, gdybym w ten sposób mogła uchronić się przed bólem i rozczarowaniem, jakie niesie rozwód. Nie chcę wracać do gry, jak ty to nazywasz, ale jeśli muszę, przynajmniej chciałabym zrozumieć reguły, a nie rozumiem. Twój pomysł nagich koleżanek wydaje mi się jedynie sposobem na uniknięcie odpowiedzialności. Może w ten sposób unikaszk wyrzutów sumienia, ale szczerze mówiąc, fakt, że wskakujesz do łóżka z różnymi kobietami, nie staje się bardziej etyczny przez to, że mi o nim mówisz. Właściwie to tylko pogarsza sprawę.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę, Martho. — Jack usiadł wyprostowany i położył dłonie na jej ramionach. — Nigdy cię nie okłamałem ani nie starałem się wydawać kimś innym, niż jestem. Przynajmniej taki miałem zamiar. Zawsze usiłowałem być z tobą absolutnie szczerzy.

Martha strząsnęła jego rękę, także dlatego, że znalazły się zaledwie kilka centymetrów od jej piersi. Gdyby Jack przesunął je choćby odrobinę bliżej, jej opory zniknęłyby natychmiast.

— To po prostu pieprzony wykręt! — krzyknęła.

Jack spojrzał na podłogę. Cholera, jak widać, wszystkie są takie same. Ta kobieta powiedziała mu na początku, że pragnie jedynie się zabawić. Miał nadzieję, że nie okaże się histeryczką i nie zacznie stawiać żądań. Ani nie okaże się zraniona. Naprawdę nie chciał jej skrzywdzić. Dlaczego kobiety twierdzą, że potrafią sobie z czymś poradzić, skoro najwyraźniej tego nie umieją?

— Nie jestem twoim wykrętem. Ludzie zasługują na więcej szacunku. „Zawsze będę cię kochać” powinno znaczyć właśnie to albo po prostu się zamknij. Seks to nie tylko zabawa. Może nie za każdym razem chodzi o zrobienie dziecka, ale może się tym skończyć, a to już coś wyjątkowego, prawda? To musi coś oznaczać. Nie znam odpowiedzi, nie jestem pewna, dlaczego wzięłam ślub kościelny, oprócz tego, że ładnie wygląda na zdjęciach, jednak naprawdę zamierzałam wytrwać w małżeństwie. — Martha przestała się handryczyć tylko po to, żeby zaczerpnąć powietrza.

— A więc nie chodzi o nas, to kolejna awantura o Michaela — powiedział Jack.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie. Zbielałymi z napięcia palcami kurczowo ścisnęła koldrę. Jak mógł nie pojmować, że nie umiała rozdzielić tych dwóch spraw tak łatwo jak on? Mężczyźni szufladkują doświadczenia, a kobiety krwawią.

— Martho, byłem wobec ciebie absolutnie szczery. Zawsze starałem się wyrażać całkowicie jasno. Szczerze mówiąc, łatwo jest dobrze cię traktować, bo na to zasługujesz.

— Tak, naprawdę jesteś cholernie uczciwy, miły i szlachetny. Nie umniejszam twojej szlachetności. Ale czy nie zdawałeś sobie sprawy, że mimo wszystko będę chciała czegoś więcej?

— Czy w takim razie według ciebie miałem kłamać? Traktować cię byle jak?

— Przynajmniej bym wiedziała, na czym stoję.

— To największy absurd, jaki w życiu słyszałem.

— I jeszcze jedno.

— Co?

— Kocham cię.

— Co takiego?

— Kocham cię. Chciałam to od siebie odsuwać, ale już nie mogę. Wiem, że powinnam być bardziej wyluzowana, powinnam poczekać, zachować rozsądek i tak dalej, ale kocham cię, Jack. Naprawdę. Kocham cię.

To była zachęta; teraz on mógłby powiedzieć to samo. Nie powiedział.

Martha przeklęła dzień, w którym się urodziła. Ale za późno. Słowa wyleciały z jej ust i już nie można ich było odwołać. Przyznała się, że go kocha.

Trzy razy.

Cholera.

Zdecydowała, że jej ostatnią deską ratunku będzie udawać brawurę; jak u dentysty, może przekonać samą siebie, że to się wkrótce skończy.

— No i co? — zapytała.

Jack z milczeniem wpatrywał się w koldrę. Zapadła cisza; musiała ją przerwać.

— Wiem, zgodziliśmy się tylko na zabawę, ale nigdy nie można przewidzieć, co z tego wyniknie. Czasem zdarzają się rzeczy nieprzewidziane, czasami nieprzewidziane jest właśnie najpiękniejsze. Tobie też na mnie zależy, wiem o tym.

— Tak.

— Kochasz się ze mną, a nie pieprzysz mnie.

— Wiem.

Znów zapadło milczenie. Martha czuła się zdruzgotana. Gdyby rzeczywiście ją kochał albo gdyby kiedyś mógł ją pokochać, teraz miał najlepszy moment, żeby to wyznać. Nie powiedział nic. Cisza między nimi trwała wieczność. A przynajmniej długi czas. Zbyt długi. Martha czuła, jak od palców u nóg w górę ogarnia ją poczucie upokorzenia. Przyległo do niej i oblepiło ją jak smoła, utkwilo ciężarem w żołądku; była to porcja wystarczająca do pokrycia autostrady M1.

— Rany, zapomnij o tym, co mówiłam, Jack — wyrzuciła z siebie. — W końcu wszyscy okazujecie się tacy sami.

— Kto?

— Przecież wiesz.

— Powiedz to. Wypowiedz tę absurdalną, seksistowską, nienaukową opinię.

— Mężczyźni. Na końcu wszyscy okazują się tacy sami.

— Wszyscy to świnię?

— Wszyscy to świnię.

— Michael już wygrał, Martho. — Z tymi słowami Jack wyskoczył z łóżka i pobiegł do łazienki. — Nie mogę teraz o tym rozmawiać, bo się spóźnię na spotkanie.

Nie zwracali na siebie uwagi, podczas gdy Jack brał prysznic, wytarł się i ubrał. Wziął portfel, telefon i palmpilota. Przystanął przy drzwiach.

— Spotkamy się później?

Martha trzymała głowę pod kołdrą; nie chciała, by zobaczył jej łzy. Mógłby pomyśleć, że płacze, bo czuje się bardzo upokorzona, a w rzeczywistości płakała z gniewu.

Ale też dlatego, że tak bardzo się przed nim upokorzyła.

— Będę w kawiarni na Union Square, tam, gdzie byliśmy w poniedziałek wieczorem. Będę czekał od czwartej. Będę czekał na ciebie. — Otworzył drzwi.

— Jack! — zawołała za nim Martha. — Może być tylko jeden.

— To z *Nieśmiertelnego*, poznaję — odparł Jack, zadowolony z siebie.

— Nie, Jack, to z mojego serca.

45

Eliza została u Bianchich jeszcze godzinę, ale obecna tylko ciałem, nie duchem. Duchem była zupełnie gdzie indziej; serce przestało jej bić. Była największą kretynką na świecie. Nigdy nie umiała wybrać właściwej chwili. Dlaczego wtedy w sklepie przed świętami nie wyznała Gregowi, co czuje? Byłoby łatwo. Powiedziałałaby mu coś w rodzaju: „Mam dość umawiania się z frajerami, czy zostaniesz ze mną na zawsze?”. Ale tego nie zrobiła. Gadała bez sensu o kartach kredytowych i zapomnianych urodzinach. Miała jeszcze szansę powiedzieć coś w święta, kolejna świetna okazja; no dobrze, nie mogła go zawlec pod jemiołę, to by było żalosne, ale mogła go przynajmniej jakoś zachęcić. A tymczasem najprzyjemniejsze, co mu powiedziała, brzmiało: „Głupio wyglądasz w czerwonej czapce z papieru, weź moją niebieską”. Boże, Boże, czy istnieje druga taka arogancka idiotka?

Wszystkie wyświechtane frazesy okazały się przerażająco prawdziwe. Nie ceni się czegoś, dopóki się tego nie straci. Jak wyglądała ta kobieta? Eliza nie chciała pytać Bianchich. Nie słyneły z taktu.

Jeśli ta baba to jakaś przekłeta piękność wzrostu metr siedemdziesiąt pięć, z nieskazitelną skórą, dziewczka milionowej fortuny i kontraktem elitarnej agencji modelek, państwo Bianchi zapewne założyli — błędnie oczywiście — iż Eliza chce się o tym dowiedzieć. Czy ta kobieta sypiała w ich byłym łóżku? Na pewno, do cholery. Eliza zastanawiała się, czy gdyby naprawdę stanęła na środku Shepherd's Bush i skopała siebie samą, to ktokolwiek zdziwiłby się jej zachowaniem. Wątpiła; ludzie zapewne wzięliby ją za klientkę opieki społecznej i szczerze mówiąc, była o wiele bardziej pomyłona od większości z nich. Czy ta kobieta głaszcze Psa? Wychodzi z nim na spacer? Pije ze szklanek Elizy, kupionych przez nią w Habitacie? Jej szczoteczka do zębów prawdopodobnie właśnie w tej chwili opierała się o szczoteczkę Grega.

Eliza nie była skłonna do łez; wolała działać. Zakręciła wózkiem; wypchnęła go ze stacji metra i poszła w kierunku mieszkania Grega.

Zaczęła walić w drzwi. Nikt nie odpowiedział, chociaż odpadło kilka kawałków farby. Zapukała jeszcze mocniej, na tyle mocno, by obudzić kogoś zarządzającego sobie poobiednią drzemkę w Australii. Nie dopuszczała myśli, że Greg mógł wyjść. Niemożliwe, żeby wyszedł; nie zgadzała się na to.

— Już, już leczę! — wrzasnął Greg zza drewnianych drzwi.

— Heja. — Otworzył drzwi z szerokim, szczerym uśmiechem.

Eliza nie zauważyła niczego, lecz wepchnęła się obok niego i weszła do mieszkania, zostawiając dzieci w drzwiach. Weszła do salonu — pusty. Kilkoma dużymi krokami przeszła do kuchni — nikogo. Odwróciła się i przeszła do korytarza, wstrzymała oddech, stanęła w wejściu do sypialni i jednym ruchem popchnęła drzwi — nikogo. Została jedynie łazienka; Eliza zawahała się, w najlepszych czasach nie lubiła tam wchodzić, ale skoro trzeba, to trzeba. Pewnie popchnęła drzwi — czysto.

— Szukasz czegoś? — zapytał Greg, wyraźnie rozbawiony.

— Kolczyka — mruknęła Eliza, po czym zamilkła i stanęła twarzą do niego.

Greg się uśmiechał. Oczywiście, rzadko się nie uśmiechał. Wyjął Mathew i Maisie z wózka. Trzymał na ręce Maisie, która ocierała się twarzą o jego dwudniową bródkę (skutek raczej tego, że Greg nie zdołał jeszcze dojść tego ranka do łazienki niż ulegania modzie); Mathew szukał Psa. Znalazł go śpiącego pod stołem w kuchni; razem z Elizą pochyłili się, żeby go powitać.

— Jaki kolczyk? — zapytał Greg. Nie zadawał sobie trudu, żeby ukryć rozbawienie, ale z uprzejmości dostosował się do warunków gry narzuconych przez Elizę.

Spojrzała na niego wściekle; wiedziała, że ją przejrzał, więc nie przejmowała się szukaniem dalszych wymówek.

— Właśnie byłam u Bianchich — powiedziała wyjaśniająco.

— Najwyższy czas, dopytywali się o ciebie.

— Dobrze wyglądają. Nie zmienili się.

— Tu niewiele się zmienia, Lizo.

— Oni twierdzą inaczej — sprzeciwiła się Eliza. Nie wyjaśniając, o co chodzi, wpatrywała się w Grega płonącym wzrokiem, czekając na jego obronę. Wytrzymał jej wzrok, w najmniejszym stopniu nieporuszony ani nie zakłopotany. Eliza przez chwilę zastanawiała się nad tym. Oczywiście nie był poruszony ani zakłopotany, niby dlaczego miałby być? Znalazł sobie nową dziewczynę. A czego oczekiwała? Nie powinna się oburzać czy wściekać. To ona porzuciła go bezceremonialnie, nieoczekiwanie, wręcz brutalnie. Zrobiła to pół roku temu, czego więc się spodziewała? Miałby żyć jak mnich przez resztę życia? Poza tym umawiała się z facetami niemal nieustannie i co jej to dało? Z jednym poszła nawet do łóżka. Zadrżała na samo wspomnienie. Jej poszukiwanie wymarzonego mężczyzny spełzło na niczym, jak widać. Od początku było skazane na niepowodzenie. Jej wymarzoną mężczyzną nie okaże się ktoś pasjonujący się rugby czy łowieniem na muchę. Nigdy nie znajdzie prawdziwego partnera wśród mężczyzn, którym spirytualizm kojarzy się ze spirytusem. Jej wymarzony mężczyzna nie będzie nosił krawata. Nie będzie jeździł dużym, pięciodrzwiowym samochodem oraz — chociaż szkoda było przyznać się do tego — na pewno nie otworzył sobie ubezpieczenia emerytalnego w wieku dwudziestu jeden lat. Taki poziom organizacji życia po prostu ją odrzucał.

Jej wymarzony mężczyzna będzie twórczy, wyluzowany, dowcipny — dlatego też, od czasu do czasu, może być leniwy i bałaganiarski.

Greg.

To Greg był jej wymarzoną mężczyzną.

— Napijesz się czegoś? — zapytał Greg, jakby od miesiąca co tydzień wpadała w odwiedziny, jakby nie było nic dziwnego w jej nagłym najściu, nic szczególnego w fakcie, że przeszukała jego dom, jakby szukając ostatecznej odpowiedzi na pytanie, czym jest miłość. Może właśnie tego szukała. — A tak, poproszę.

Greg postawił Maisie na podłodze; dziewczynka natychmiast podreptała do Psa, zachwycona perspektywą wymiętoszenia go wspólnie z bratem. Eliza już miała się sprzeciwić, wyobrażając sobie, w jakim brudzie dzieci będą się nurzać, gdy zauważyła, że dywan jest czysty.

Żadnej psiej sierści, zawleczonek od puszek czy pustych, pogniecionych pudełek po papierosach. Przez kolejną chwilę Eliza rozglądała się uważnie wokół. Nie tylko dywan był czysty. W powietrzu nie unosił się dym ani stary zapach psa. Okna były otwarte, wlatywało przez nie świeże powietrze (przynajmniej powietrze na tyle świeże, na ile może być w mieście zamieszkanym przez ponad siedem milionów ludzi). Nigdzie nie wałały się kubki po kawie; nie było po nich nawet lepiących się kólek na meblach. Nie było widać pudełek po pizzy ani ulotek oferujących możliwości płacenia kartą za dostarczenie curry do domu, pod sam nos.

Eliza przygryzła usta, powstrzymując się przed krzykiem. Znów odwróciła się na pięcie i pobiegła do kuchni. Gdzie podziały się stosy brudnych naczyń? Dlaczego linoleum się nie kleiło? Boże, kuchenka wyczyszczona! Poleciała do łazienki. Poprzednio miała na celu wykrycie nowej kobiety; spo-

dziewała się, że przyłapie Grega i tę nową kobietę in flagranti — choć, co prawda, nie przemyślała sobie, jak się zachowa, jeśli tak się stanie.

Jednakże w pośpiechu odkrywania tego, czego oczekiwała, nie zauważyła rzeczy nieoczekiwanych. Mieszkanie było czyste. Łóżko pościelone; po podłodze nie poniewierały się brudne skarpetki ani bielizna. W łazience unosił się zapach mydła, w sypialni — wody po goleniu, a w kuchni — płynu do zmywania. Eliza była przyzwyczajona, że mieszkanie śmierdziało gorzej niż szafka na buty.

Opadła na sofę i oparła głowę na dłoniach. To gorsze niż znalezienie nowej kobiety spacerującej po mieszkaniu w szlafroku. Greg nie tylko znalazł nową kobietę, ale też tej kobiecie udało się to, co nie udało się jej samej; przekonanie Grega do sprzątanía. Eliza rozplakała się. Gorące łzy skapywały jej po policzkach.

— Co się stało? — zapytał Greg troskliwie, kiedy wrócił z kuchni z dwoma kubkami herbaty. Usiadł obok Elizy i objął ją ramieniem. Jego życzliwość i ciepło sprawiły, że chciało się jej wyć.

— Nic — pośpieszyła z zapewnieniem, wycierając oczy i mokry nos w rękaw kurtki. Greg skoczył po chusteczki, ale kiedy podał je Elizie, ona znów się rozplakała. Chusteczki! Absolutnie pewny dowód obecności jej następczyni. Nie było innego powodu, dla którego Greg kupiłby chusteczki. Eliza jednak zachowała dumę. Tylko to jej zostało. Nie miała już mężczyzny ani mieszkania, a nawet pomysłu na życie, ale miała jeszcze dumę. Nie zamierzała przyznawać się do prawdziwego powodu swych łez. — Martha wyjechała, zajmuję się dziećmi — wyjaśniała. — Dzisiaj obudziły się wcześniej, co-dziennie budzą się wcześniej, mam już dość. Wiem, to głupie. Bawienie się w niańkę jest trudniejsze, niż myślałam. Nie nadaję się do tego.

— Wydaje się, że dobrze sobie radzisz.

Eliza uśmiechnęła się zadowolona z pochwały, choćby opartej na tak wątych podstawach.

— Dlaczego tak myślisz? — zapytała w nadziei na dalsze komplementy.

Greg spojrzał na dzieci; Eliza podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Mathew wyjadał czekoladowe kulki z miski Psa, a Maisie zasnęła w psim koszyku. Eliza wiedziała, co Martha powiedziała by na ten temat. Ani to odżywcze, ani higieniczne.

— No. — Greg się zawahał. — Mają dobrze włożone buty.

Eliza uśmiechnęła się.

— Jak żyjesz? — zapytała, przypominając sobie o dobrych manierach, ale z nadzieją, że nie uzyska odpowiedzi. Naprawdę nie miała ochoty słuchać szczegółów na temat jego szczęśliwego życia i życia miłosnego.

— Całkiem w porządku. — Uśmiechnął się, ale nie kontynuował.

Eliza doceniła jego takt. Zapadła cisza, bynajmniej nie niezręczna.

— Masz jakieś plany na resztę dnia? — zainteresował się nagle Greg.

— Przeżyć do wieczora bez utraty kończyn ani innych większych urazów w rodzaju wstrząsu mózgu czy złamania — odparła.

Znowu się uśmiechnął.

— Możemy zabrać je do zoo.

— My?

— Tak. Nie mam nic lepszego do roboty, ty też nie. Stęskniłem się za dziećmi. Ale jeśli nie chcesz...

— Świetnie. Nie. Tak. To znaczy tak, chcę, świetny pomysł. Co cztery ręce, to nie dwie.

„Miałabym ochotę zerwać z ciebie ubranie i rzucić na łóżko” — pomyślała. Nie powiedziała tego jednak; to chyba nie była najważniejsza chwila.

46

Nie miała zamiaru iść. Niby dlaczego powinna się z nim spotkać? Raz już zrobiono z niej idiotkę, a to o jeden raz za dużo. Było miło i zabawnie; ale będzie lepiej dla wszystkich, jeśli przerwie to w miejscu, do którego doszła. Czyż upokarzając się całkowicie, nie błagała Michaela, żeby z nią został? Powinna się czegoś nauczyć, wtedy cała ta okropna sytuacja przynajmniej zyskałaby jakiś sens. Nie miała ochoty tracić ani chwili więcej na faceta, który jej nie kochał — a przynajmniej na takiego, dla którego nie była jedyną kobietą. Nagie koleżanki nie przeszkadzały jej w czasie — jak to nazwała Eliza? — w czasie rekonwalescencji. Owszem, bardzo się cieszyła, że czas rekonwalescencji spędziła z Jackiem. Z bogiem seksu o dobrym sercu. Ale już doszła do siebie. A Martha, która doszła do siebie, wymagała więcej niż wspólnego spędzania wolnego czasu. Ich związek był pięknym, zadziwiającym, przelotnym związkiem. To wszystko. Eliza miała rację, Martha się pomyliła, ale cieszyła się ze swego błędu. Gdyby posłuchała siostry, straciłaby okazję przeżycia trzech najpiękniejszych miesięcy w życiu.

Fakt, Jack nigdy jej nie okłamał, nie zranił ani nie zawiódł; ładnie z jego strony. Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo była podatna na zranienia; nie nadużył jej zaufania. Ale przecież coś też za to dostał: nieograniczoną możliwość uprawiania niesamowitego seksu z wdzięczną, chętną rozwódką. Martha zaś... hm... zyskała niebywały seks z chętnym adonisem. Układ między nią a Michaelem był nieco bardziej prozaiczny, więcej prania skarpetek i zarabiania na chleb, mniej zaś gry wstępnej, ale zasady niewiele się zmieniły. A dzielenie się z Jackiem paczkami, wspólny śmiech, rozmowy, lektury, zabawy z dziećmi — to była premia. Co do następnej, tak trudnej do opisania kwestii... jej pewności, że się w nim zakochała, że mimo powierzchownych różnic są do siebie podobni, że dobrali się w korcu maku — cóż, jeśli on jej nie kocha, będzie musiała zmienić poglądy. Ponieważ zasługiwała na miłość.

Na wspomnienie tego, co powiedziała, płonęły jej policzki. Wyznała mu miłość, a on to zignorował. W ogóle nie skomentował. Równie dobrze mogłaby oznajmić coś w rodzaju: „Nietypowa pogo-

da, prawda? Co chwilę pada, a potem się od razu przejaśnia". Słabo pocieszało ją to, że przynajmniej powiedziała prawdę.

Dlatego nie było sensu jechać na Union Square. Najrozsądniej byłoby teraz wsiąść do samolotu, wrócić do domu, do dzieci, rodziny i przyjaciół, po czym zająć się prawdziwym życiem. Dzięki Jackowi nie będzie się już ono ograniczało do robienia przetworów czy dekorowania ciast; znajdzie się w nim miejsce na kilka modnych ciuchów i obejrzenie filmu na DVD. Po co mieliby się jeszcze widzieć? Wszystko zostało powiedziane, nawet więcej niż wszystko.

Takie myśli przebiegały Marcie przez głowę, kiedy wsiadała do pociągu metra linii R, jadącej przez Union Square; ale przecież wcale nie musiała wysiadać na tej stacji. Mogła pojechać dalej, do Soho, zrobić zakupy przed wyruszeniem na lotnisko JFK.

A jednak znów się pomyliła w ocenie pogody. Wcale nie było ciepło. Zaskakujące, jak jej optymizm wciąż i wciąż brał górę nad doświadczeniem. Kiedy rano zastanawiała się, co na siebie włożyć, niebo było czyste i jasne, ale teraz zrobiło się przeraźliwie zimno. Ludzie w wagonie siedzieli skuleni i zmarznięci. Oczywiście, tak jak w Londynie, nikt nie usiłował nawiązać rozmowy, zamiast tego wolał czytać trzeciorzędne reklamy na plakatach. Martha zastanawiała się, jak by to było mieszkać w świecie, gdzie ludzie w metrze rozmawiają ze sobą, wręcz się uśmiechają do ulicznych artystów albo nawet nucą. Jednak zdawała sobie sprawę, że to jej kolejne romantyczne wyobrażenie, takie jak zakochywanie się i oczekiwanie w zamian miłości. Śmieszne i nierealistyczne.

Kiedy wysiadła na Union Square, przesunęła biletem nad czytnikiem i popchnęła bramkę, wciąż powtarzała sobie, że przecież wcale nie musi iść do kawiarni, gdzie poprzednio spędzili tak wesoły wieczór, może się przejść po sklepach. Spojrzała na zegarek; za piętnaście piąta. Powiedział, że będzie czekał od czwartej. Nie mówił, jak długo, chociaż między wierszami dał do zrozumienia, że będzie cierpliwy. Ciekawe, czy wytrzymał czterdzieści pięć minut. Wątpiła. Ale łatwo sprawdzić; wystarczy po prostu zajrzeć do kafejki, czy Jack wciąż tam siedzi, co było raczej nieprawdopodobne. Martha podeszła do drzwi; mogła zerknąć do wewnątrz przez okno. Nie było tłoku, ale nie widziała Jacka. Z rozczarowania nogi się pod nią ugięły. Była zbyt przygnębiona i wstrząśnięta, żeby płakać. Chociaż na pewno nie zostało już nic do powiedzenia (przynajmniej z jej strony; powiedziała stanowczo zbyt dużo), chociaż ich związek był pomyłką opartą na złych przesłankach, przecież chwilami naprawdę czuła się w nim niebiańsko. W głębi duszy miała nadzieję, że on też tak myślał i może znalazł coś, co chciałby jej powiedzieć.

Musiała się napić czegoś gorącego i słodkiego. Trzęsła się tak mocno, jakby tańczyła breakdance; jeśli szybko nie zejdzie z ulicy, za chwilę jakaś litościwa dusza spróbuje jej prawdopodobnie wcisnąć dolara.

Popchnęła drzwi kawiarni. Nikt się nie obrócił i nie spojrzał ze zdumieniem, co ją zaskoczyło, gdyż była przekonana, że ma dziwny kolor twarzy, a nad jej głową wisi strzałka, jak w komediach, z

napisem: „kolejne rozczarowanie”. Podeszła do lady i zamówiła caffè latte, z pełnym mlekiem i czterema porcjami cukru.

Kelnerka uznała, że klientka przed chwilą była świadkiem jakiegoś strasznego wydarzenia albo została napadnięta na ulicy, gdyż wyglądała na osobę w szoku.

— Hej, proszę pani, wszystko w porządku?

Martha obróciła głowę o parę milimetrów. Nie było pewne, czy przytakuje, czy kręci przecząco.

— Wygląda pani na zziębniętą. Może przejdzie pani na tył, tam jest kominek, można odpocząć.

Martha posłuchała rady, jakby był to rozkaz. Nie wiedziała, że kawiarnia miała jeszcze jedno pomieszczenie. Salka z tyłu była niemal pusta — siedziały w niej tylko dwie osoby. Pod oknem jakaś kobieta czytała „New York Timesa”.

I Jack.

Jack siedział przy kominku.

— Martho, przyszedłeś, cudownie. Nie byłem pewny, czy się zjawisz. — Skoczył na równe nogi. — Przynieść ci coś do picia? A nie, już masz. Ja... hm... też.

Obok niego stały trzy puste szklanki po sokach. Martha wbiła w nie wzrok.

— Przyszedłem wcześniej — wyjaśnił. — Na wszelki wypadek.

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale odsunęła głowę. Miała świadomość, że jeden jego pocałunek pozbawi ją wszelkich możliwości oporu. Zawołałaby: „Zapomnij o wszystkim, co powiedziałam dzisiaj rano. Zapomnij, że kazałam ci się ograniczyć do jednej osoby, zapomnij, że wyznałam ci miłość. Wróćmy do tego, co było przedtem. Tylko bądź przy mnie, nie zostawiaj mnie”. Co oczywiście świadczyłoby o kompletnym braku godności. Zacisnęła mocno usta, żeby powstrzymać się przed wypowiedzeniem tych słów.

Wziął Marthę za rękę i trzymał mocno przez chwilę. Usiłował zajrzeć jej w oczy, ale ona uciekała wzrokiem. Z przygnębieniem spoglądała w podłogę. Podniósł jej dłoń do ust i pocałował. Pocałunki naznaczyły ją, wycisnęły na niej jego pieczęć. Miała pewność, że zniszczą ją na zawsze. Żaden inny mężczyzna nie łączył w tak niepowtarzalny sposób blasku i seksowności. Nie mogła w to uwierzyć.

Jack usiadł i czekał, aż Martha zajmie krzesło naprzeciwko. Ona jednak uparcie stała. Czowała się niezręcznie, chciała, żeby on też się tak poczuł. Podświadomie pragnęła go ukarać za to, że jej nie kochał, a chociaż zmuszenie Jacka, żeby musiał sięgać do jej ręki, nie równało się osadzeniu go w twierdzy Tower, nie miała innych możliwości ukarania mężczyzny.

Jack poczekał chwilę, domyślił się, że Martha nie ma zamiaru usiąść, wstał więc, wciąż trzymając jej rękę.

— Boże, co za dziwny dzień — powiedział.

Martha spojrzała na niego z niedowierzaniem. Czyżby się z niej nabijał? Jej dzień też nie należał do udanych. Nie co dzień wyznaje się komuś miłość i nie co dzień (to pewnie było najgorsze) osoba, do której się mówi, absolutnie ignoruje te słowa.

Jack patrzył na nią rozpromieniony.

Boże, kochał ją, teraz chciał jej to powiedzieć! Nagle w jego oczach Martha dojrzała ciepło, nadzieję i podniecenie. Dlaczego rano nie przyjrzała mu się dokładniej? Może wtedy zobaczyłaby wszystko jaśniej i oszczędziłaby sobie okropnego dnia zamartwiania się. Poczwała, że jej ciało się rozluźnia, jakby zanurzała się w gorącą kąpiel z bąbelkami. Poczwała, że jej marzenia znów się budzą i wynoszą ją na powierzchnię. Czekała na jego słowa.

— Mam nową pracę — zaczął Jack.

— Co takiego? — zapytała Martha. Źle usłyszała?

— Pracę. Dlatego tu przyjechałem. A dzisiaj powiedzieli, że mnie przyjmują.

— Co?

— Czy to nie cudowne, Martho? — Dlaczego nagle zaczął nazywać ją Marthą? Gdzie się podziała „panienka E”? Czy odejdzie w przeszłość, jak ich znajomość?

— Mam prowadzić ich oddział w Nowym Jorku. Będę prezesem!

— Gratuluję. Bardzo się cieszę — wyjąkała Martha, opadając na najbliższe krzesło. Woliała usiąść, zanim szok ją pokona. Jack wziął to za dobrą monetę i również usiadł. Dziwne, ale Martha naprawdę cieszyła się ze względu na Jacka. Dostał doskonałe stanowisko, wydawał się nim rozemocjonowany. Kochała go, pragnęła jego szczęścia. Przynajmniej częścią siebie pragnęła jego szczęścia. Reszta jej umysłu uznała Jacka za okrutnego, przekłętą, pozbawionego taktu sukinsyna, który wyraźnie cieszył się z tego, że ją porzuci, ale z drugiej strony — do licha — przecież cały czas twierdził, że nie wszedł w tę znajomość w poszukiwaniu dziewczyny na stałe. Wciąż miał za dużo do zrobienia.

— Naprawdę chętnie bym została i porozmawiała o twojej nowej pracy i w ogóle — zaczęła, niezbyt umiejętnie ukrywając ból. — Ale muszę wracać do hotelu, nie chcę się spóźnić na samolot.

— Samolot? Ale dlaczego? Coś się stało dzieciom? — zapytał Jack z niepokojem.

— Nie, nie, dzieci są zdrowe. Nie chcę już być tu z tobą. To nie ma sensu. — Martha poruszyła się, chcąc wstać. Zastanawiała się, czy wystarczy jej powściągliwości przynajmniej do chwili wyjścia z kawiarni. Potem będzie mogła krzyczeć, płakać, robić wszystko, co uzna za stosowne.

— Nie rozumiem — odezwał się Jack. Naprawdę wyglądał na zdziwionego. — Mówiłaś, że mnie kochasz.

Martha spojrzała na niego z oburzeniem. Jak mógł być aż tak nieczuły, żeby to w ogóle poruszać? Naprawdę nie miał wycucia.

— Byłam pijana — burknęła.

— Niemożliwe, to było rano.

Martha miała ochotę powiedzieć mu, że zmieniła zdanie. Ale po co? Nie nabierze szacunku do siebie, okłamując go. Miała ochotę zażądać: „Pokochaj mnie. Pokochaj mnie. Jestem dobra, ładna, jestem zabawna. Mam tyle miłości do ofiarowania”. Ale bała się, że jej słowa trafią w próżnię.

Znów.

— Kocham cię, Jack — powiedziała więc tylko. Dziwne, ale nie czuła upokorzenia, choć chyba w takiej chwili powinna czuć. Może dlatego, że tym razem naprawdę nie miała żadnych oczekiwań. Po prostu stwierdzała fakt. — Mam nadzieję, że powiesz ci się w nowej pracy. I nowym kraju — dodała znacząco. — Jednak nigdy nie byłam zwolenniczką związków na odległość, jestem beznadziejna w podtrzymywaniu takich znajomości. Na pewno niewiele czasu zajmie ci założenie nowego kółka nagich koleżanek.

Jack wydawał się rozczarowany. A czego się spodziewał? Że będzie grzała łóżko w oczekiwaniu, aż w wolnej chwili wpadnie do niej zza oceanu, żeby wypróbować londyńskie sztuczki łóżkowe?

— Martho, wiem, przez co przeszłaś...

— No, można to nazwać przejściami... Jack nie zwrócił uwagi na jej ton.

— Wiem, jak cierpisz, ale może jednak będę mógł ci pomóc.

— Chyba nie będziemy mieli czasu podtrzymywać znajomości, przecież będziesz musiał obsługiwać inne nagie koleżanki.

— Fakt — rzekł powoli. Opuścił głowę na dłonie i przetarł oczy. — Nie ma innych nagich koleżanek.

— No cóż, jesteś w Nowym Jorku od niedawna — mówiła dalej Martha. — Nie martw się, na pewno... — Zatrzymała się w pół zdania. — Co takiego?

— Nie ma innych nagich koleżanek. Ani tu, ani w domu.

— Ale... — Martha nie umiała dokończyć zdania. Jack był niezwykle przystojny; była święcie przekonana, że każdą chwilę życia spędzał, opędzając się od kobiet lub, co gorsza, nie opędzając się od nich. Co miał na myśli?

— Odkąd się poznaliśmy w tym klubie salsy, nie było innych nagich koleżanek.

Martha nie miała ochoty popełniać błędu.

— Dlaczego?

— Bo nie było potrzeby. Nie chcę być z żadną inną kobietą. Potrząsnęła głową, po czym delikatnie i ostrożnie uszczypnęła się w ramię. Chciała sprawdzić, czy nie śni.

— Dlaczego dawałeś mi do zrozumienia, że są inne kobiety?

Jak mógł pozwolić, żeby tak się męczyła w niepewności? No, w sumie nie męczyła się bez przerwy. Na ogół udawało się jej ignorować fakt istnienia innych nagich koleżanek. Ale Eliza była przekonana o czymś wręcz przeciwnym i uczyniła wszystko, by jak najskuteczniej zepsuć Marcie humor.

— Nie sądziłem, że będziesz tak przypuszczać. Nie chciałem innych kobiet, ale poza tym, kiedy miałbym znaleźć na nie czas, nie mówiąc już o siłach, skoro tak często i tak intensywnie byliśmy razem?

Martha żałowała, że nie podał jej tylko pierwszego powodu, który był znacznie bardziej romantyczny.

— Poza tym były dzieci — dodał Jack.

— Tak?

— I twoje małżeństwo.

— Ale każdy ma jakąś przeszłość. Ty też.

— Nigdy nie byłem pewien, jak się to rozstrzygnie. Twoje małżeństwo dopiero co się rozpadło, a formalnie nadal jeszcze jesteś mężatką. Nie chciałem cię dodatkowo obciążać.

— Czuję się jak kobieta rozwiedziona. I niedługo nią będę. Tak się naprawdę czuję, nie wiem, czy istnieje inna miara. Absolutnie nie mam poczucia, żeby Michael należał jeszcze do mnie czy ja do niego. Zostało nam tylko wspólne nazwisko na umowie o kredyt oraz polisach emerytalnych. Oszczędź. Mój dom i moje serce są puste.

Miała szczerą nadzieję, że jej słowa nie brzmią jak błaganie.

— Poza tym, mówiąc zupełnie szczerze... nie byłem pewien, czy dam radę udźwignąć to wszystko — dodał Jack. — Czy potrafię być... No, jak to się mówi?

— W związku — podsunęła Martha. Jack spojrział na nią z niesmakiem.

— Człowiekiem rodzinnym — wyjaśnił.

— A, rozumiem. Teraz już możesz się przyznać, że nie ma innych nagich koleżanek, bo i tak wyjeżdżasz. To ma mnie pocieszyć. — Była niemal dumna ze swego oburzonego tonu.

— Nie, Martho, to nie tak. Kocham cię. Jesteś najwspanialszą osobą, jaką w życiu spotkałem, już ci mówiłem. Bardzo cię kocham. Już od pewnego czasu po prostu czekałem na właściwą chwilę, żeby ci o tym powiedzieć. Dzisiaj naprawdę tęskniłem za tobą, aż bolało. Wyobrazasz sobie? — Jack się roześmiał. — Dzisiaj wiedziałem, że jedyną rzeczą, która uczyni ten dzień jeszcze piękniejszym, będzie spotkanie z tobą. Chciałbym, żebyś tu ze mną przyjechała. To moja życiowa szansa. Mam zarabiać trzy razy tyle, co teraz. Mogę zapewnić tobie i dzieciom naprawdę luksusowe życie. To, o czym nie miałem pojęcia — bycie z dziećmi — okazało się łatwiejsze, niż myślałem. Są cudowne. Hałaśliwe, czasem brudne, ale cudowne. Firma opłaci nam dom i szkołę dla dzieci; możemy stworzyć prawdziwą rodzinę. Szczęśliwą rodzinę. Ja będę ci oddany i będę słuchał każdego twego słowa. — Śmiał się i żartował, ale mówił serio. — Rano nic ci nie powiedziałem, bo najpierw chciałem się przekonać, co naprawdę mogę ci zaoferować. — Uśmiechał się szerzej niż kiedykolwiek przedtem. Jego uśmiech jaśniał w oczach, w porach skóry, a nawet wydawał się rozjaśniać włosy. Wszystko przemyślał. Zna-

łaż rozwiązanie. Był w stanie ofiarować Marcie szczęśliwe zakończenie, na które zasłużyła. Nigdy nie czuł się szczęśliwszy.

— Nie mogę się tu przenieść.

— Nie od razu, to jasne. Musisz spakować rzeczy...

— Michael.

Imię uderzyło Jacka jak obuchem. Powaliło go na ziemię skuteczniej niż cios Lennox Lewisa.

— On nigdy się na to nie zgodzi — stwierdziła Martha. — Załatwi mnie nakazem sądowym szybciej, niż zdołam powiedzieć „zielona karta”.

— Będziemy walczyć — próbował przekonywać Jack. Wstał, nagle w panice, przesunął palcami po włosach. Niemal natychmiast z powrotem opadł na krzesło. — Będziemy walczyć. — Ale zdawał sobie już sprawę, że Martha nigdy nie zdoła do niego dołączyć. Jego słowa zawisły w powietrzu, jakby nie dotyczyła ich siła grawitacji, niczym piórko w wietrzny dzień.

— Nie mogę odebrać mu dzieci.

— To są też twoje dzieci.

— I jego.

Siedzieli w ogłuszającej ciszy. Martha patrzyła, jak stygnie jej słodka kawa, i zastanawiała się, ile odwagi się od niej wymaga. Przecież męczennicy i herosi nie są już potrzebni. Najwidoczniej jednak tak.

— Nie wiem, co zrobić — westchnął Jack. Spojrzał rozpaczliwie na Marthę; wiedziała, jakich słów od niej oczekuje.

— Przyjmij tę pracę — powiedziała. „Jeśli coś kochasz, pozwól temu odejść. Jeśli do ciebie wróci, jest twoje. Jeśli nie, nigdy do ciebie nie należało” — kołatało się jej po głowie. Z niechęcią przejmowała ją myśl, że najważniejsze rzeczy w jej życiu można było sprowadzić do sloganu na kartce z Hallmarku. — Kiedy masz zacząć?

— Pod koniec kwietnia.

— Kupmy więc coś do picia i poświętujmy. Możesz wziąć sok pomarańczowy, ale ja potrzebuję czegoś mocniejszego.

— Podpisałem umowę. Nie myślałem o tym — powiedział przepaszająco.

Marcie powinno być go żal, ale było jej tak bardzo żal samej siebie, że nie mogła się już zdobyć na litość nad kimkolwiek innym, nawet Jackiem. „Nie myślałem”. Oczywiście. Dlaczego miałby myśleć? Nie był jej mężem, to nie były jego dzieci.

Przez ostatnie trzy lata w każdej chwili na jawie myślała o dzieciach, o tym, co dla nich najlepsze. Przywykła, stało się to jej drugą naturą. Na Jacku nie ciążyła taka odpowiedzialność. Nie miał dzieci. Zapewne mógłby zerwać umowę, musiała być jakaś klauzula — oboje zdawali sobie z tego sprawę, ale żadne tego nie zaproponowało.

Wycieczka do zoo okazała się mniej udana, niż się spodziewała Eliza. Od chwili, kiedy Greg zaproponował wyjście, pozwoliła, by opanowały ją wizje. W rodzaju tej, w której Greg bardzo po męsku popychał podwójny wózek, dając jej czas na skupienie się na wesołych dykteryjkach o tym, jak spędziła ostatnie kilka miesięcy. Oczywiście planowała również poddać te opowiadki ścisłej obróbce oraz trochę je podkolorować, by pokazać się w jak najlepszym świetle. Nie było sensu przyznawać, że jej randki w ciągu ostatnich kilku miesięcy były w większości ogłupiające, tandetne lub przeraźliwie nudne, co miało sprawić, by jej były zaczął skwierczeć z zazdrości niczym bekon na patelni. Wyobrażała sobie, jak dzieci nagle zmieniają się z małych diabłat w aniołki, dając jej możliwość wykazania, że faktycznie panuje nad sytuacją. Odkąd skończyła osiem lat, nie była w londyńskim zoo ani w ogóle w żadnym zoo. Takie miejsca mgliście kojarzyły się jej ze słodkimi, puszystymi zwierzętami.

Greg próbował pchać wózek, ale kiepsko mu wychodziło branie zakrętów, wpadł w rozdrażnienie, popchnął mocniej i w końcu wygiął oś. Na myśl o tym, co powie Martha na takie zniszczenia cennego wózka Maclarena, Eliza straciła mowę.

Kiedy w końcu ją odzyskała, powiedziała coś innego, niż planowała wcześniej.

— Do jasnej cholery, Greg, skąd wzięłeś takie drewniane ręce? A raczej drewniane nogi! Martha się wścieknie, ty pieprzony ciamajdo!

— Pieprzony ciamajdo — powtórzył Mathew wyraźnie. Eliza natychmiast przerwała tyradę.

— Jezu, Elizo, to tylko wózek, nie sztuczna nerka. Nic się nie stało. Jak wrócimy do domu, wyprostuję oś młotkiem. Wyluzuj. Odkąd to jesteś taka nerwowa? — Twarz Grega się zmarszczyła.

Eliza wątpiła, czy Greg rzeczywiście zdoła naprawić wózek. Nie miał zbytniej wprawy w posługiwaniu się narzędziami. Jednak ugryzła się w język. Nie mogła już zabawiać go opowieściami o swych nieudanych randkach. Próbowwała, ale wcale nie brzmiały zabawnie, co właściwie nie powinno jej zaskoczyć, gdyż w rzeczywistości też nie było jej wtedy do śmiechu. Dzieci czuły się przy Gregu zbyt swobodnie, żeby zważać na maniery; były jak zawsze wybredne, rozbrykane i brudne. Zwierzęta wcale nie okazały się słodkie, raczej oswiałe i śmierdzące.

Nie, to nie była udana wycieczka.

Pomimo to Eliza czuła się jednak bardziej zadowolona niż przez ostatnie kilka miesięcy. Nawet kiedy zaczęło kropić, pocieszyła się myślą, że co prawda znalazła się w piekle na ziemi, ale przynajmniej odbywa wyrok w towarzystwie Grega.

Dzięki niemu było znośnie, chociaż w nosie ją kręciło od smrodu wielbłądzich odchodów.

Greg nie miał polisy emerytalnej, prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego ani nawet stałej pensji. Nigdy nie przekroczy drugiego progu podatkowego, a jednak nie chciała nikogo innego. Nigdy nie chciała nikogo innego, chociaż kiedyś nie zdawała sobie z tego sprawy.

Przytłoczył ją żal i wyrzuty sumienia. Greg może nie potrafił naprawić kuchenki ani nawet sokowirówki, ale z tym można sobie poradzić. Miał jednak inną kobietę, co stanowiło nieco większy problem. Według Bianchich wydawał się z nią bardzo szczęśliwy, zawsze się śmiali. I najwyraźniej niezwykle mu na niej zależało, inaczej po co miałby sprzątać mieszkanie? Boże, jak mogła być tak niemądra i nierozważna, jak mogła tak beznadziejnie wszystko zepsuć?

Bardzo głupio się do tego przyznać, ale faktycznie rzuciła Grega pod wpływem chwili. Owszem, byli wtedy po kilku nieciekawych miesiącach, kiedy Greg nie miał pracy i swoje koncerty finansował z tego, co zarobił, sprzedając czapki. Żałosne. Eliza uwielbiała swoją pracę, ale nie zarabiała kokosów, nie wystarczyłoby na utrzymanie ich obojga. Z powodu braku pieniędzy rzadko gdzieś wychodzili i prawie nic nie robili. Ich znajomi zaś przeciwnie, wydawali się prosperować coraz lepiej — zaręczali się, kupowali domy i awansowali, podczas gdy Greg nie wykazywał najmniejszej ochoty, by pójść ich śladem. Jego planowanie zawężało się do tego, co zje na obiad o piątej po południu. W pewnej chwili wszystkie drobne problemy urosły do rangi nierozwiązywalnych.

Ale Eliza jednak to popsowała. Straciła z oczu najważniejsze. To, jak się czuła dzięki drugiej osobie. Powinna była z nim porozmawiać.

Cieszyła się z deszczu, dzięki któremu Greg może nie zauważy zdradzieckich, pojawiających się znienacka łez. Na razie niczym nie groziły, zbierały się pod powiekami, ale za chwilę mogą się wyłać na policzki.

— Nudno! — jęknął Mathew. Niezbyt gorliwie podskoczył w wózku, próbując uciec na wolność; jego poruszenie zbudziło Maisie, która zaprotestowała głośnym wrzaskiem. Eliza pozazdrościła dziewczynce nieskrępowanej swobody wyrażania uczuć.

— Chodźmy stąd, nikomu się tu nie podoba — zaproponował Greg.

Eliza już miała na końcu języka słowa: „To chyba twój najlepszy dzisiaj pomysł”, kiedy przypadkiem spojrzała na niego. Wydawał się rozczarowany, w końcu sam zaproponował wycieczkę do zoo. Założyłaby się o ostatniego funta, że on też spodziewał się czegoś innego. Tymczasem stał w ponurym zoo, w przygnębiającym deszczu, z jej siostrzeńcem i siostrzenicą w złych humorach. Nie miał nawet kaptura przy kurtce.

Jednak wciąż się uśmiechał. A przynajmniej kąciki jego ust nie wykrzywiały się w dół.

Zaparło jej dech. W tej chwili uosabiał cały romantyzm zadymionych klubów z muzyką jazzową, kwitnących róż, zawodzących głosów i najsłynniejszych musicali. Było tak pięknie, że przyszły jej na myśl balowe suknie, czerwone wino, zamglone wspomnienia, jasne sny, szczupłe talie, a nawet te pocałunki, kiedy on bierze jej twarz w dłoń i przyciąga do siebie.

Niestety, ta scena przypominała też romantyzm innego typu: melodramatyzm utraconych możliwości, tęsknoty za tym, co mogłoby być, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, oraz tego, co powinno było się zdarzyć.

Eliza nie miała zamiaru się z tym pogodzić. Była impulsywna, czasami działała pędzej, niż pomyślała, bywała zdeorientowana, ale przede wszystkim była kobietą zdecydowaną.

— Nie martw się, to tylko deszcz. Doskonała wycieczka — skłamała.

— Pamiętaj, do kogo mówisz.

— No dobrze, nie do końca udana — przyznała. Jednak nie chciała, żeby się to już skończyło. Na razie wszystko wokół było nieprzyjemne; zwierząt nie można było dojrzeć w deszczu, przez krzyki Maisie nie udawało się porozmawiać. Palce zgrabiwały Elizie z zimna. W powietrzu unosił się wyłącznie zapach łajna. Ale najgorsze, co mogliby zrobić, to iść teraz do domu, zostawiając Grega i czując jedynie żal. — Może byśmy tak poszli coś zjeść? Robi się późno. Dzieci rozrabiają, bo na pewno są głodne.

— No i dlatego, że są dziećmi — dodał Greg.

— Oczywiście, dlatego też. Idziemy na obiad? Ja stawiam — Eliza starała się mówić jak najswobodniej, gdyż wiedziała, że rozpacz nie jest afrodyzjakiem. „Powiedz tak. Proszę, proszę, powiedz tak”.

— W porządku, skoro stawiasz — odparł Greg, ale uśmiechał się. Eliza miała wrażenie, że i tak by poszedł, a szansa na bezpłatnego kurczaka z frytkami nie była jedyną zachętą.

Znaleźli bar, którego obsługa nie robiła min i nie wzdychała znacząco na widok wózka.

Zdjęli wilgotne kurtki, powiesili je na oparciach krzeseł. Dzieci dostały napoje gazowane i pudełko kredek, Eliza z Gregiem poprosili o pół butelki czerwonego wina; nastrój zdecydowanie się poprawił. Zamówili jedzenie (wszyscy wzięli frytki, Eliza zaś nie miała siły wyklócać się o warzywa). Obsługa była szybka, jedzenie dobre, a w miarę jak ubrania schły, wszystkim wracały humory.

— Zamówimy drugą połowę? — zapytał Greg, wskazując pustą butelkę.

„A gdzie się podziała ta pierwsza?” — zdziwiła się w duchu Eliza. Znikła w jej ustach, częściowo znalazła się na jej bluzce, a częściowo w gardle Grega. Spojrzała na dzieci. Mathew urządził sobie drzemkę, a Maisie — o dziwo — siedziała cicho i bawiła się sama (co prawda darła karty menu, ale co z tego, do licha, skoro to się jej podobało). Eliza zgodziła się na kolejne pół butelki.

— Zamawiaj.

— Ale tylko jeśli opowiesz mi jeszcze jakąś straszną historię swoich randek.

— Bez problemu, były ich setki. — Eliza roześmiała się. Dotąd poddawała je selekcji. Nie mówiła mu jeszcze ani o liście wymagań wobec kandydatów, ani o straszliwym seksie. Zrelacjonowała już jednak herbatkę z Misiem Rupertem oraz spotkania z wielbicielami Marthy. Kiedy się z nich śmiała, wydawały się nieco bardziej znośne.

— Wiesz, trudno nie zadać sobie pytania, czy ci faceci kiedykolwiek znajdują okazję do rozmnażania. W jakiś sposób stworzyła ich ewolucja, ale kto z nimi sypia? I dlaczego? — zastanawiała się Eliza.

Greg śmiał się, jakby była najzabawniejszą kobietą na świecie. Chyba miał już trochę w czubie.

Uchwycił spojrzenie kelnerki; najwyraźniej wpadł jej w oko, co wcale nie zachwycało Elizy. Kiedyś bawiło ją, że inne kobiety uważały jej faceta za atrakcyjnego. Teraz, skoro był to były facet, już to jej nie śmieszyło. Biedna oszołomiona dziewczyna nie mogła się skupić na nalewaniu wina, a potem przyniosła im wodę gazowaną, choć zamówili niegazowaną. Eliza nie zwróciła na to uwagi, zbyt dobrze jej było, żeby robić awantury o taki drobiazg.

Nie rozmawiali o swojej nowej sytuacji. W przeciwieństwie do niektórych rozchodzących się par nigdy nie powiedzieli sobie na pożegnanie: „Pozostajmy przyjaciółmi”. Greg nadal był sobą, roześmianym, wyluzowanym Gregiem. Eliza raczej nie miała ochoty być jego koleżanką. Jesteśmy przyjaciółmi” w jej uszach brzmiało jak podzwonne dla miłości; jednak lepiej być przyjaciółmi niż niczym. Zatem gawędziła pogodnie o tym, co się u niej działo; o sukcesach w pracy i porażkach na randkach.

— Hm... naprawdę byłaś zajęta — skomentował Greg, zapalając papierosa. Zgasił go natychmiast. — Przepraszam, zapomniałem o dzieciach.

Eliza miała ochotę go pocałować. Szczerze mówiąc, miała ochotę go pocałować od chwili, kiedy się rano spotkali. Teraz jednak ta chęć jeszcze się nasiliła. Naprawdę był troskliwy.

— Wiesz, jesteś innym człowiekiem — powiedziała z namysłem.

— To dobrze.

— Dlaczego dobrze?

— Bo w starym wcieleniu nie bardzo ci się podobałem, prawda? — odparł Greg.

Eliza zarumieniała się.

— Tego bym nie powiedziała...

— Owszem, mówiłaś, mówiłaś, i to często.

Po raz pierwszy tego popołudnia zapadła krępująca cisza. Eliza wiedziała, jak się zachować.

— Przepraszam — mruknęła.

— Nic się nie stało. Złamałaś mi serce, nic więcej. — Greg uśmiechał się ustami i całą twarzą, ale nie oczami. W oczach miał ból.

— Naprawdę przepraszam — powiedziała wyraźniej Eliza. — Ale przecież wszystko się ułożyło, nie?

— No tak — odparł Greg, kiwając głową. Nagle przestał kiwać. — Jak to ułożyło się?

Eliza była zaskoczona.

— No, wyglądasz świetnie, chyba jesteś bardzo szczęśliwy.

— Racja. — Znów kiwanie. Greg zaczął bawić się paczką papierosów. Chyba bardzo chciał zapalić. — Szczerze mówiąc, czuję się fatalnie.

— Nie żartuj. Musi ci być naprawdę świetnie z tą nową dziewczyną, z pewnością ma na ciebie bardzo dobry wpływ. Wyglądasz fantastycznie, mieszkanie jest czyste, nawet Pies odżył. — Eliza serdecznie nienawidziła tej lafiryndy.

— Nowa dziewczyna?

— Nie musisz mi tego oszczędzać. Słyszałam od Bianchich, wiesz, jacy są. Nie dotrzymają tajemnicy nawet za cenę życia. Powiedzieli, że jest śliczna. — Eliza wcale nie miała zamiaru prawić tej uzurpatorce komplementów, ale nie miała wyjścia. Nie chciała zniechęcić Grega.

— Nie ma żadnej dziewczyny, nie wiem, o co ci chodzi — powiedział Greg.

— Nie masz dziewczyny?

— Nie.

— Nie spotykasz się z nikim?

— Nie. Odkąd się rozstaliśmy, z nikim się nie spotykałem.

— I z nikim się nie umówiłeś? — drażyła Eliza, usilnie starając się opanować euforię, która groziła rozsądzeniem jej serca i umysłu.

— Nie, nawet nie jadłem z nikim chipsów.

— Ale mieszkanie jest czyste.

— Powiedziałaś, że masz dość bałaganu. Przemyślałem to, miałaś trochę racji.

Eliza pławiła się w glorii zwycięstwa. Czuliła się tak, jakby zgarnęła właśnie wszystkie główne nagrody MTV. Wychodziła z nagrodą w kategorii hip-hopu, popu, produkcji niezależnej, rocka, rytm-and-bluesa, dance, garage, a nawet breakbeatu. Zwyciężyła! Posprzątał mieszkanie dla niej, a odkąd się rozstali, nawet nie podzielił się chipsami z drugą kobietą!

— Spaleś z kimś? — zapytała jeszcze.

— Tak. Mam w końcu krew w żyłach.

Oboje wiedzieli, że nie było to uprzejme pytanie.

— Ile?

Greg musiał teraz podjąć decyzję. Mógł powiedzieć prawdę — i stracić Elizę ponownie, gdyż, o ile dobrze odczytywał jej zamiary, wciąż była nim zainteresowana, chociaż robiła, co mogła, by to ukryć. Mógł się przyznać, że spał z pięcioma kobietami, ale naprawdę żadna z nich nic dla niego nie znaczyła. Albo mógł ograniczyć tę niemiłą liczbę do mniejszej, choć wciąż wiarygodnej. Tylko czy ona mu uwierzy?

— Dwiema, ale nie jednocześnie.

— Co za ulga — odparła ironicznie.

„Dwie, dwie” — zastanawiała się Eliza. Z nikim się nie umawiał, ale dwie jednak zaliczył. Ona z kolei niemal wciąż chodziła na randki, jednak udało się jej zaliczyć tylko jedną, i to bardzo kiepską noc. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Sukinsyn.

Ale dwie, tylko dwie. Greg miał swoje oddane fanki. No dobrze, fanki mniejszego kalibru, nie na miarę braci Gallagher, niemniej jedna czy dwie atrakcyjne kelnerki w pubie Pod Jagnięciem i Flagą, w którym grywali, na pewno chętnie by z nim wyszły. Poza tym było jeszcze kilka pańienek z północnego Londynu, przychodzących na każdy jego koncert. Był naprawdę uroczy. Mógł poderwać o wiele więcej kobiet niż dwie.

Jak miło z jego strony.

— W obu przypadkach chodziło tylko o łóżko. To nieładnie, wiem, ale wyjaśniłem im to, zanim cokolwiek się zaczęło. Elizo, w rzeczywistości obie mnie i tak rozczarowały.

— Obie?

— Tak.

— Jesteś pewny?

Greg zamilkł. Najwyraźniej musiał zastanowić się nad odpowiedzią. Eliza miała ochotę połknąć swój niewyparzony język. Poprzysięgła sobie, iż nigdy już nie zada pytania, o ile z góry nie będzie znała odpowiedzi.

— Technicznie obie były w porządku. — To już było kłamstwo. Technicznie wszystkie, oprócz jednej, były fantastyczne, ale Greg uznał, że Eliza pragnie usłyszeć coś innego. — Jednak nie mogłem się do tego przekonać.

— Dlaczego? — zapytała Eliza. Tym razem znała odpowiedź, ale chciała usłyszeć ją wypowiedzianą na głos.

— Żadna z nich nie była tobą, Lizo. Nie było w tym sensu. Bo, choć mogę ci się wydać frajerem, dla mnie istnieje tylko ty.

KWIECIEŃ

48

Martha i Jack postanowili jak najbardziej nacieszyć się ostatnim wspólnym miesiącem. Uzgodnili, że nie będzie jęków, płaczu ani ataków wściekłości — takie same zasady, jakie ustalili dla Mathew. Teraz dopiero uświadamiali sobie, jak się maluch czuje. Jack dostał urlop w Londynie, żeby uporządkować swoje sprawy przed wyjazdem. W rzeczywistości większość czasu spędzał, bawiąc się z Martha, Mathew i Maisie. Postanowił przed wyjazdem jak najlepiej zwiedzić Londyn. Jako że mieszkał w nim całe życie, oczywiście nigdy nie był w Tower, muzeum Madame Tussaud ani nie jeździł na ogromnym diabelskim młynie. Zabrali się więc z Martha za naprawianie tego błędu, wlokąc dzieci przez wszelkie pułapki na turystów. Jedli hamburgery z kartonowych pudełek, a w sklepach z pamiątkami kupowali horrendalnie drogie breloczki kiepskiej jakości. Dawali się zaskoczyć deszczowi, gdyż zapominali wziąć parasole, gubili się w metrze, tracili cierpliwość — jak najprawdziwsza rodzina.

Jeździli po mieście otwartymi, piętrowymi autobusami dla turystów. Martha miała czasem ochotę wstać z miejsca, wyrwać przewodnikowi mikrofon i wrzasnąć, jak niesprawiedliwe jest życie, w którym spotkała Jacka tak późno. Pamiętała czas, kiedy najbardziej chciała wtopić się w tłum. Teraz już nie bała się wyróżniać. Jednak nic by to nie dało, gdyż nikt by jej nie usłyszał ponad hałasem ulicznym. Zadowolona się, pytając Jacka, jak idzie procedura załatwiania dla niego zielonej karty. Kiedy powiedział, że przyznano mu ją bez żadnych przeszkód, omal nie tupnęła nogą.

Uprzejmie interesowała się sumami, za które Jack sprzedał samochód, przewiózł meble i wynajął mieszkanie. Spakowali jego obrazki, DVD i komputer w pudła; miały zostać wysłane do jego nowego mieszkania, które już nie stanie się ich domem. Martha walczyła z okropnym poczuciem *déjà vu*; nie miała pojęcia, skąd wziąć siły, by jeszcze raz przez to wszystko przechodzić. Cały czas powtarzała, iż zgadza się z decyzją Jacka o wyjeździe. Wciąż wysłuchiwała powodów, dla których nie mógł zostać.

— Moglibyśmy spotykać się w weekendy. To tylko siedem godzin lotu — powiedział Jack z nadzieją, ale bez poczucia rzeczywistości.

— Bilet słono kosztuje. Nie stać nas na takie wpadanie do Londynu czy Nowego Jorku, nie jestem Madonną, a ty nie jesteś Guy Ritchie. Poza tym ja mam tylko co drugi weekend wolny. Niemożliwe, żeby udało się podtrzymać jakikolwiek związek.

— Ludziom się udaje.

— Dzieci tego nie zniosą. Muszę myśleć przede wszystkim o nich.

— Może wrócę po kilku latach.

— Może, ale ja nie mogę na to liczyć. Nie powinnam spędzać kilku kolejnych lat na wyobrażaniu sobie, co i z kim wyczyniasz. To nie jest metoda. Już i tak przez parę miesięcy było ciężko. A ty na pewno natychmiast zaczniesz poznawać nowych ludzi. — To był eufemizm, ale Martha nie mogła się zdobyć na większą szczerłość. Zawsze istniała nieskończona liczba możliwości.

— Mógłbym zostać. Dostać inną pracę.

— Uwielbiasz Nowy Jork, to wymarzona praca dla ciebie. Taką samą szansę w Londynie mógłbyś dostać za kilka lat. Poza tym, jeśli zawiedziesz firmę, uznają, że brak ci ambicji, i już nie zaproponują ci niczego ciekawego. Nie możesz tak szybko kończyć kariery.

— Mógłbym, gdybyś mnie o to poprosiła.

Martha nie odpowiedziała. Nie mogła o to prosić. Nie mogła go kontrolować ani mówić mu, co ma robić. To nie byłaby miłość. Pewnego dnia obudziłby się z pretensjami, że wychowuje cudze potomstwo, a jego sobotnie noce zależą od niesolidnych, hormonalnie rozchwianych opiekunek do dzieci.

Eliza uważała, że to karta przetargowa siostry, która powinna podtrzymywać nacisk emocjonalny.

— Widziałam go z dziećmi; uwielbia je. Mogłabyś wykorzystać argument: "Jednego ojca już straciły".

— Bardzo szlachetnie — mruknęła Martha sarkastycznie. — Zresztą, wcale nie straciły ojca. Michael mieszka pięć minut stąd.

Była wściekła na siostrę, ale najbardziej złościło ją, że Eliza miała rację. Jacka można byłoby przekonać do pozostania w Anglii. Był kochającym i wartościowym mężczyzną. W połączeniu z jego umiejętnościami w łóżku — odbierało jej to możliwość oporu.

Gdy obudził się i zobaczył ją płaczącą w poduszkę, nie przyznała się, że to rzeczywistość doprowadza ją do rozpacz; zwała winę na koszmar senny.

— Naprawdę, kochanie? O czym?

Tego się nie spodziewała. Nie liczyła na aż takie zainteresowanie.

— Z dzieciństwa — skłamała.

Jack ucałował jej powieki i trzymał w ramionach, póki znów nie zasnęła. Jego ciało splotło się z jej ciałem; w zagięciu kolan Marthy zebrał się ich wspólny pot. Będzie jej brakowało jego ciepła. Wiedziała, że oprócz ich wspólnego potu zabraknie jej wielu innych rzeczy. Jego uczucia. Jack zawsze ją całował. Całował jej nos; całował koniuszki jej palców, całował ją na ulicy, w metrze, w każdej chwili, kiedy tylko odwróciła się do niego z prośbą: „Pocałuj mnie”. Co czyniła nieprzyzwoicie często.

Był dla niej pięknem świata.

Będzie jej brakowało jego umiejętności widzenia w ludziach i sytuacjach tego, co najlepsze. I jego niezachwianej pogody ducha. Dzieciom będzie brakowało jego energii, siły pozwalającej mu w

nieskończoność nosić je na barana. Marcie zabraknie jego wzroku pełnego emocji. Zabraknie wspaniałego penisa Jacka wewnątrz jej ciała. I poczucia humoru, ciągłego wspomniania drobnych śmieszno-
stek. A nawet absurdalnych cytatów filmowych. Już go jej brakowało.

Oboje mówili o podtrzymywaniu kontaktu; robili plany, jak będą spędzali wizyty Marthy z dziećmi. Ale wątpili też, czy te plany kiedykolwiek staną się rzeczywistością; były to tylko próby pocieszania się. Jak Martha mogłaby przyglądać się Jackowi budującemu nowe życie już bez niej? Co więcej, jak którekolwiek z nich mogłoby zacząć nowe życie, gdyby drugie wciąż majaczyło gdzieś na uboczu? Będą musieli zerwać wszystko.

Martha zaczęła skupiać się na tym, czym wypełni pustkę po wyjeździe Jacka. Nie chciała po-
wtórnie zmagać się z samotnością, jak po odejściu Michaela. Poranki w kawiarni niezbyt ją kusiły, ale
wieczne wyjścia z koleżankami do pizzerii i posiadówki przy butelce białego wina — to brzmiało
nieźle. Pustkę da się zapełnić samodzielnym podejmowaniem decyzji dotyczących dzieci, kupowaniem
nowej sofy, półek do pokoiów czy naprawami samochodu. Planowała też przeczytać instrukcję obsługi
samochodu, zanim pojedzie do warsztatu. Nie miała dużej nadziei, że zrozumie wszystko, co mówi
mechanik, ale przynajmniej będzie usiłowała robić dobre wrażenie, może nie zedrą z niej tyle, ile zwy-
kle. Złożyła również podanie o pracę na pół etatu w pobliskiej szkole, jako sekretarka. Zdawała sobie
sprawę, że nie jest to początek oszałamiającej kariery, ale przy szkole był żłobek, do którego będą mo-
gli chodzić Mathew i Maisie, Martha będzie miała zapewnione długie wakacje, a nauczycielki robiły
miłe wrażenie.

Eliza wyprowadziła się od Marthy z powrotem do Grega. Nie zaskoczyło to nikogo z wyjątkiem
jej samej. Martha wiedziała, że będzie jej również brakować apodyktycznej, ale troskliwej siostry. Sa-
modzielne mieszkanie nie będzie łatwe, ale nadszedł czas, by stanąć na własnych nogach. Chyba po
raz pierwszy w życiu to robi. Czowała się gotowa. Poza tym warto było, chociażby dlatego, żeby wi-
dzieć, jak niezmiernie szczęśliwi są Eliza z Gregiem. Martha cieszyła się, że jej bożonarodzeniowe ży-
czenie nie poszło na marne.

Poza tym mogła wypełnić pustkę, przeprowadzając rozwód.

Zaczekała, aż Mathew i Maisie znajdą się w łóżkach i zasną. Jack siedział w salonie, zbierając
zabawki dzieci i jednym okiem oglądając telewizję. Skakał po kanałach, znajdując coś zabawnego w
programach, które dla większości byłyby nudne. Co jakiś czas wołał do Marthy: „Chodź zobaczyć Hal-
le Berry, wiesz, z długimi włosami wygląda naprawdę inaczej” czy „Widziałas kiedyś, jak niedźwiedź
polarny łowi ryby? Chodź szybko!”. Martha stała w drzwiach, dziwiąc się, że chce mu się sprzątać za-
bawki jej dzieci, że chce mu się z nią wszystkim dzielić, od kąpienia dzieci po jego opinię na temat naj-
świeższych supermodelek. W takich chwilach była święcie przekonana, że żadna liczba przeczytanych
instrukcji samochodowych nie zdoła wypełnić pustki po Jacku.

Dopiła kieliszek wina; w uszach dźwięczało jej wciąż jęśliwe pytanie: „Dlaczego ja? Dlaczego właśnie ja?“, dobywające się ostatnio niemal bez przerwy z okolic serca. Podniosła kolorowaną Mathew i brutalnie wyrwała trzy czy cztery kartki. Potem poszukała długopisu, co nie było łatwe w dobie komunikacji elektronicznej. Na biurku — które wciąż określała jako biurko Michaela — nie było długopisów; te trzymane w słoiku w kuchni wyschły, a w wazoniku na stoliku z telefonem stały tylko ołówki. Poszła na górę i zaczęła przetrząsać szufladę z bielizną. Niejasno pamiętała... tak, miała rację. Pióro od Tiffany'ego, prezent na trzydzieste urodziny. Od początku trzymane w pudełku, w nieskończoność oczekujące specjalnej okazji, z nadzieją, że nie zostanie porzucone przez zapomnienie na jakimś biurku lub sklepowej ladzie. Cóż, okazja właśnie nadeszła. Pióro okazało się idealne do tego zadania. Martha zaczęła pisać.

49

— Spóźniłeś się, Michael — powitała go Martha, otwierając drzwi.

— Nie zaczynaj, miałem ciężki dzień w biurze.

— Mój też nie należał do najprzyjemniejszych. Byłam u dentysty; gdy wiercił w moim zębie, Maisie siedziała mi na brzuchu, a Mathew rzucał się na pielęgniarkę. Czterdzieści minut klóciłam się przez telefon z jakimś palantem w przychodni tylko dlatego, że chciałam zmienić datę badań słuchu Maisie. I byłam na rozmowie o pracę. Nie używam laptopa ani PowerPointa, tylko makaronu i książek kucharskich, ale to nie znaczy, że moje życie jest mniej ważne. Jest dokładnie tak samo sensowne, jak twoje — zakończyła Martha.

— Oczywiście — przytaknął nieco zakłopotany Michael. Nie przyzwyczał się jeszcze do nowej Marthy, z którą się ostatnio stykał. Zaciekawilo go, czy w Nowym Jorku zapisała się może na kurs asertywności albo czy też przez klimatyzatory w jej hotelu nie wpuszczano jakichś specyfików podnoszących poziom agresji. Nie miał odwagi zapytać. Co dziwne, ta pewna siebie, przebojowa Martha nawet mu się podobała. Bardziej przypominała dziewczynę, z którą się ożenił.

Rozejrzał się po kuchni, gdzie stali, oraz wyciągnął szyję, usiłując zerknąć do salonu. Martha wiedziała, kogo szuka — Jacka, który wyszedł na wieczór. Jack nie miał ochoty spotykać się z Michałem, do tej pory udało mu się tego uniknąć. Wiedział, że w nowoczesnej klasie średniej załatwia się takie sprawy inaczej — ściska dłoń, wymienia kilka uprzejmych słów i ogólnie traktuje się byłego mężczyznę swojej kobiety w sposób kulturalny. Jednak on nie chciał się tak zachowywać. Nie był zazdrosny o Michaela, ale go nie lubił. Nie mógł mu wybaczyć braku miłości do Marthy. Nie mógł mu także wybaczyć okazji, której on nigdy nie będzie miał: możliwości kochania jej bez ograniczeń oraz bez problemów związanych z przenosinami do innego kraju.

— Jacka nie ma — odezwała się Martha buntowniczo. — Wyszedł na kilka godzin, wróci później. — Chciała jasno dać Michaelowi do zrozumienia, że nie widzi powodu, by ukrywać Jacka, i że nie ma go w jakimś kącie na górze. — Musimy omówić wiele spraw, uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli wyjdzie i pozwoli mi to załatwić. — Z przyjemnością wymawiała w obecności Michaela słowo „my”, oznaczające ją oraz kogoś innego. W głębi duszy miałyby nawet ochotę poznać ich ze sobą; Michael na pewno umarłby z zazdrości. Nie tylko dlatego, że Jack tak często dotykał ciała Marthy, ale też z powodu jego wspaniałych mięśni klatki i brzucha.

Zrobiła Michaelowi kawę i usiedli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Pierwsze orzeczenie sądowe leżało między nimi; spotkali się, by poczynić ostatnie uzgodnienia związane z rozwodem. Za kilka dni Martha mogła już wystąpić o ostateczny wyrok. Wtedy będzie to koniec.

Koniec.

— Zrobiłam listę rzeczy, które musimy omówić — zaczęła.

— Podzieliłam je według hierarchii ważności.

— Hierarchii ważności? — zapytał Michael tonem zdradzającym rozbawienie, zaskoczenie i odrobinę zaniepokojenia.

— A owszem, ważności — odparła Martha, starając się nie pokazywać po sobie, że żołądek skoczył jej do gardła, a potem spadł na samą ziemię, w okolice palców u stóp.

— Na pewno najważniejsze są dzieci — powiedział Michael pewnym tonem.

Martha odetchnęła głęboko. Oczywiście dzieci były najważniejsze, wiedziała o tym. Najważniejsze przede wszystkim dla niej samej, do cholery. Niezliczone noce spędzone na słuchaniu ich płaczu; karmienie, przebieranie, czekanie, aż im się odbije, kołysanie, gry, zabawy, po których i tak często sen nie nadchodził. Były najważniejsze, kiedy zabierała je na basen, chociaż sama nie znosiła pływać, bała się. Kiedy poświęciła dla nich swoją pracę i swoje ciało. Kiedy brała je na zastrzyki i płakała w duchu, patrząc, jak zimna igła zagłębia się w pulchne, miękkie, słodkie ciało. Były najważniejsze, kiedy kłóciła się z nimi co rano, gdyż zawsze chciały na śniadanie czekoladę, albo kiedy domagała się, żeby umyły zęby. Nadal były najważniejsze, kiedy jej życie zamieniło się w ciągłe wycieranie, mycie, pocieszanie i utrzymywanie dyscypliny. Kiedy walczyła z opornymi przyrządami — wysokimi krzesłkami, które wciąż się brudziły, wózkami, które nie chciały się składać, kubeczkami, które nie powinny się przewracać, a jednak się przewracały, czy klockami, które zawsze jakoś wpadały do wideo. Dzieci zawsze były dla niej najważniejsze.

Ale dla niego nie były najważniejsze; już mogła przyznać to szczerze. Ani razu nie wstał w nocy do płaczącego dziecka. Nawet teraz musiał pytać, gdzie trzyma pieluchy, nie wiedział też, jaki rozmiar nosi Maisie. Nie kupował im bucików, ubrań ani innych rzeczy, nie przejmował się ich codziennymi potrzebami. Jaka matka przeszłaby obojętnie obok BabyGapa, nie marząc o tym, by kupić czegoś z nowej kolekcji? Nawet jeśli nie ma się na to pieniędzy, można pomarzyć. Jednak Michaelowi najwy-

rażniej brakowało tego genu. Dzieci były dla niej najważniejsze, kiedy nie zgodziła się na rozpoczęcie wspaniałego nowego życia w Nowym Jorku. Nawet gdyby wszczęła walkę o prawo do wywiezienia dzieci z kraju, wiedziała, że najzdrowsze, co może im dać, to kontakt z obojgiem rodziców.

Na jakąkolwiek aluzję Michaela, że mogłaby mieć jakiekolwiek inne priorytety, trafiłby ją szlag; jednak zamiast tego wzięła jeszcze jeden oddech i opanowała się. Postanowiła skupić się na liście. Jeśli uda się jej traktować tę listę jak program spotkania firmowego, a Michaela jak kolegę z pracy, z którym ma współpracować przy projekcie, może uda im się przeżyć ten wieczór bez kłótni.

Co będzie bez wątpienia korzystne.

Miała dość kłótni, a konfliktów z Michaeliem mogło jej wystarczyć do końca życia.

Nie była zbyt wymagająca czy nierozsądna, ale wypisała rzeczy, które chciała zachować z pozostałości małżeństwa.

— Jeśli to tylko możliwe, nie chciałabym być zmuszona do wyprowadzania się z domu — zaczęła.

— Zgadzam się; dla dzieci lepiej, jeśli zostaną tutaj. Martha spojrzała na Michaela, usiłując ukryć zaskoczenie.

Nie oczekiwała tak szybkiej zgody.

— Rozważyłam, w jaki sposób mogłabym spłacać kredyt i zwiększyć ratę tak, żeby spłacić i twój udział. Nie oczekuję, żebyś płacił pieniądze na moje utrzymanie, ale...

— Na dzieci tak, oczywiście. Ile proponujesz?

Martha wymieniła sumę. Był to procent pensji podany na stronie internetowej dla ludzi w trakcie rozwodu jako rozsądna kwota alimentów.

Michael uznał, że to dużo.

— Nie aż tak. Tyle proponują sądy — powiedziała Martha stanowczo.

Michael zgodził się.

— Idę do pracy — dodała cicho Martha. Nie była pewna, jak zareaguje Michael. Kiedy byli razem, bardzo sprzeciwiał się jej pracy. Uważał, że dla dobra dzieci powinna zostać w domu. Poza tym podejmując pracę, narobiłaby zamieszania w jego zeznaniach podatkowych.

— Tak, wspomniałaś coś o rozmowie. To dobry pomysł, zdobędziesz niezależność.

Czy można być bardziej protekcjonalnym? Martha jednak ugryzła się w język. W końcu Michael przystawał na wszystkie jej żądania, a trudno się czepiać sposobu, w jaki się zgadzał. Zaczekała, żeby sprawdzić, czy zapyta o rodzaj pracy. Nie zapytał.

Westchnęła. Jego brak zainteresowania dla jej życia już właściwie nie powinien dziwić.

Powoli omawiali sprawy ujęte na liście Marthy. Podzielili polisy emerytalne, udziały, raty kredytów. Rozczepienie splecionych elementów ich życia wydawało się straszliwie skomplikowane. Na szczęście kredyt hipoteczny nie stanowił zbyt dużego obciążenia, gdyż Martha dostała dużą odprawę w

pracy, kiedy dobrowolnie zrezygnowała po stwierdzeniu, że jest w ciąży z Mathew. To był łut szczęścia. Tamtą sumę wykorzystali na zmniejszenie kwoty do spłaty. Martha podliczyła wszystko, czym dysponowała; będzie musiała zachować ostrożność w wydatkach, może co nieco ograniczyć, ale da sobie radę. Sprzeda range rovera, połowę pieniędzy odda Michaelowi, a z reszty starczy jej jeszcze na mniejszy, tańszy w utrzymaniu samochód. Może nawet wyremontuje strych i wynajmie go jakiemuś studentowi z zagranicy. To piękny pokój, ma nawet osobną łazienkę. Poza tym miło będzie mieć towarzystwo, a dzieciom przyda się kontakt z przedstawicielem innej kultury. Poradzą sobie, na pewno ani ona, ani dzieci nie będą głodować.

Dotarli do końca listy; oboje, i Martha, i Michael, westchnęli głośno. Udało się im bez kłótni dopracować szczegóły rozvodu. Obie strony musiały się mocno opanowywać, ale udało się. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się.

— Zabawne: być dumnym z tego, że się nie pokłóciło, prawda? — odezwała się Martha, wyrażając przekonanie obojga.

Michael uśmiechnął się, a nawet prawie roześmiał. Martha ze zdziwieniem odkryła ślady męża, Michaela z dawnych lat, przebijające w twarzy człowieka, którego uznawała już niemal za obcego. Wciągnęła powietrze z myślą, że za chwilę może się zatopić w tym nastroju intymności. Uczucie trwało ledwie ułamek sekundy, potem nagle mąż zniknął, zostawiając Marcie poczucie dziwnej straty, zastanawiała się, jakim cudem mogła go jeszcze dojrzeć.

— Masz ochotę na lampkę wina? — zapytała. Dopóki rozmawiali o drażliwych sprawach finansowych, nie dotykała alkoholu, ale teraz miała ochotę na kieliszek. Nie była nawet pewna, czy dla uczczenia okazji, czy raczej odprawienia stypy.

— Z przyjemnością. — Michael się uśmiechnął. Zdjął krawat i przerzucił go przez oparcie krzesła, jak to robił kiedyś. Niepokojąco znajomy gest. — Dobrze się bawiłaś w Nowym Jorku? — zapytał.

Martha wiedziała, że starał się być miły.

— Wspaniałe miasto. — Rozpromieniła się.

— Prawda?

— Nie wiem, dlaczego wcześniej tam nie byłam. Powinnam dołączyć do ciebie, kiedy jechałeś w delegację.

— Może i tak.

Martha poczuła się zażenowana; Michael nigdy nie zaprosił ją na żadną ze swoich delegacji. Nie chciała, by wyglądało, jakby robiła mu wymówki albo się żaliła. Ale trudno było znaleźć neutralny temat.

— Jesteś szczęśliwa z Jackiem? — To na pewno nie był temat neutralny.

— Tak — przyznała.

— Znalezienie mojego następcy nie zajęło ci dużo czasu — zauważył Michael.

Martha zastanowiła się nad jego słowami.

— To nie tak. Jack nie jest twoim następcą. Jest... jesteśmy... czymś odrębnym.

— Naprawdę nie porównujesz go ze mną?

Marcie przeleciały przez głowę słowa „często” i „na twoją niekorzyść”, ale zmilczała, nie chcąc wracać do przeszłości.

— Staram się tego nie robić — powiedziała tylko, co zabrzmiało znacznie bardziej dyplomatycznie. I tak już dość się nawzajem poranili. Nie chciała ranić go bardziej niż to konieczne. Prawda, Michael zniszczył jej marzenia, złamał serce i całkowicie zrujnował ułożone życie. Ale jeśli Martha chciała być uczciwa wobec siebie samej — umiejętność, którą ostatnio odkryła i pielęgnowała — musiała przyznać, że jego odejście uwolniło ją. Wymieniła męża na naklejane tatuaże, lampki choinkowe, głębokie, pełne miłości, nowe związki, zgrabne uda, wystrzępione dzinsy i poczucie własnej tożsamości.

Zamilkli. Martha podeszła do szuflady, żeby poszukać korkociągu. Wyjrzała przez okno na swój piękny ogród. Było ciemno, ale w świetle padającym z kuchni mogła dojrzeć wiosenne kwiaty, żonkile i krokusy, które wreszcie rozkwitły. Słoneczne żółcie i silne różowości kołysały się wesoło na wietrze. Huśtawka Mathew poruszyła się leciutko. Ogród wydawał się pełen szczęścia i spokoju.

Michael podążył wzrokiem za spojrzeniem Marthy.

— Eliza powiedziała mi o nowej pracy Jacka w Stanach.

— Tak? — Martha zirytowała się lekko, ale na szczęście stała tyłem do Michaela, który nie mógł zauważyć jej napięcia, chyba że bardzo uważnie ją obserwował; wtedy może dostrzegłby lekkie uniesienie ramion, kiedy po kręgosłupie przebiegł jej dreszcz. Postanowiła nie mówić mu o swojej decyzji pozostania z dziećmi w Anglii. Mógłby ją źle interpretować. Nie zrobiła tego dla niego, ale dla dzieci.

— Powiedziała, że Jack cię poprosił, żebyś z nim wyjechała — ciągnął Michael.

Martha odwróciła się twarzą do niego. Postawiła przed nim kieliszek wina i upiła duży łyk ze swojego.

— Tak.

— Ale odmówiłaś.

— Zgadza się.

Siedzieli przed sobą w milczeniu. Martha nie potrafiła znaleźć słów, które mogłaby wypowiedzieć, ani tych, które chciałyby usłyszeć.

Jednak Michael najwyraźniej miał coś do powiedzenia, coś, co koniecznie musiała usłyszeć.

— Martho, być może bardzo się mylę, jeśli tak jest, to przepraszam, ale muszę o to zapytać. Czy to oznacza, że jeszcze mamy szansę?

Była przekonana, że źle usłyszała. Nie zrozumiała.

— O co ci chodzi?

Michael spojrział jej prosto w oczy; miał czelność patrzeć na nią tymi błyszczącymi, uśmiechniętymi, ciemnobrązowymi oczami, w których zakochała się ponad dziesięć lat temu. Oczami, które odziedziczyła Maisie.

— Nie wiedziałam, że jeszcze jest coś takiego jak „my” — dodała. Jej głos zadrżał zdradziecko w środku zdania.

— Martho, zawsze byliśmy „my” — powiedział Michael prosząco. — Ty, ja, Mathew i Maisie.

Czuła, że kręci się jej w głowie. Mrugała gwałtownie, powstrzymując cholerne łzy (o co ten płacz?) i usiłując nie stracić panowania nad sobą.

— A co z Eleanor? — zapytała. — Widujesz się z nią?

— Tak.

— Miałeś romans?

— Nie pytaj o to. W ciągu ostatniego pół roku oboje popełniliśmy poważne błędy.

Naprawdę?

— Powiedzieliśmy sobie wiele nieprzyjemnych rzeczy. Rzeczywiście.

— Ale jest jasne, że powinniśmy być razem, bo razem jest nam lepiej.

Czyżby? Martha nie była pewna. Od tak dawna czekała na te słowa. Czekala na nie od chwili, kiedy Michael zamknął za sobą drzwi tamtego wrześniowego dnia. Dlaczego właśnie teraz postanowił jej to powiedzieć? Odżyły sentymenty czy może pokłócił się z Eleanor? Dlaczego po tak długim oczekiwaniu Martha nie miała już ochoty tego słyszeć? Wydawało się jej, że po odejściu Michael wyglądał na bardziej zadowolonego; wtedy to wszystko miało by przynajmniej jakiś sens. Nie chciała więc dowiadywać się, że cały ból poszedł na marne.

— Myślałem, że mnie nie chcesz, ale skoro odrzuciłaś Jacka, być może mam jeszcze szansę.

Martha nierozumiejącym wzrokiem popatrzyła na Michaela. Nie była w stanie nadażyć za jego tokiem myślenia. Nie chciała go? O co mu chodzi? Oczywiście, że go chciała. Błagała, dosłownie rzucała mu się do stóp, żeby tylko ją nadal kochał, żeby nie porzucił jej i dzieci. To on jej nie chciał. Nie chciał jej takiej, jaką była — gospodyni domowej, której największą ambicją było stworzenie szczęśliwej rodziny i domu, której największą troską był Michael i jego szczęście. Z Michaelem czuła się bezpieczna. Wkrótce jednak poczucie bezpieczeństwa przeistoczyło się w zależność, a potem bardzo szybko w uzależnienie. Nie mogła uchwycić dokładnie chwili, w której jej osobowość stopiła się z nim, poddała się mu, a potem znikła. Znudziła go, ale już mogła przyznać, że znudziła i samą siebie. Teraz nie chciała już być nudna, ale wciąż uważała męża za niewdzięcznika. Po jego odejściu została z wielką pustką. Nie czuła nic. Była niczym. Niczym.

Teraz znów stała się kimś.

Na nowo odkryła siebie. Nie przyszło jej łatwo; wręcz przeciwnie, to była ciężka walka. Jack pomógł jej odnaleźć siebie i za to była mu wdzięczna. Stała się po prostu Martha. Nie Martha, żoną Michaela; Martha, matką Mathew i Maisie, a nawet nie Martha, dziewczyną Jacka.

Byłoby miło, gdyby to Michael pomógł jej odkryć tę nieco szaloną, pełną nadziei dziewczynę, w której się kiedyś zakochał. Ale tego nie zrobił.

— Jack na pewno nie wie, że kiedy poparzysz się na słońcu, bo absolutnie nie zwracasz uwagi na ostrzeżenia producentów kosmetyków do opalania, zawsze się upierasz, że twoja czerwona skóra do rana zbrązowieje — przypomniał jej Michael. Martha uśmiechnęła się. Prawda, co lato dostawała poparzeń słonecznych, a jej upartym argumentem było: „do rana zbrązowieje”. Michael zawsze kiwał głową, dając jej spokój i udając przekonanego.

Jack o tym wiedział.

— Nie wie też, że zawsze upuszczasz mydło pod prysznicem, co jest śmieszne — ciągnął Michael. Chodziło mu o to, że Martha miała bardzo drobne dłonie, a za każdym razem, kiedy brała prysznic, śliskie mydło spadało jej z rąk. Niegdyś Michael uważał jej małe jak u lalki dłonie za atrakcyjne, a upuszczanie mydła wywoływało jego uśmiech. — Jedyne my wiemy, że bałagan w domu robi Goblinek — dodał z entuzjazmem. Martha kiwnęła głową, nie zadając sobie trudu, żeby sprostować. Przed urodzeniem dzieci Michael i Martha wymyślili sobie istotę mieszkającą w szafce na buty i nazwali ją Goblinkiem. Na niego zrzucali winę za bałagan, usterki i pogubione klucze. W rzeczywistości teraz większość bałaganu, usterek i zgubionych kluczy była dziełem dwojga ludzkich goblinków, ale Michael o tym nie wiedział.

Miło było odgrzać wspólnie stare dowcipy. Przez ostatnie kilka miesięcy byli tak wściekli na siebie nawzajem i siebie samych, tak upokorzeni klęską swego małżeństwa, zgorzkniali i rozczarowani, że nie byli w stanie wspólnie się odprężyć. Michael siedział twarzą do Marthy, uśmiechając się łagodnie, jak to robił kiedyś. Kiedy go poznała, był naprawdę łagodnym mężczyzną.

Jego uśmiech jak klucz obracający się w zamku sprawiał, że drzwi powoli się otwierały. Nagle Marthę ogarnęły wspomnienia, wydawałoby się, na zawsze pogrzebane w niepamięci — ich pierwsze wspólne wakacje, okropny, tani wyjazd, bo wtedy żadne z nich nie zarabiało dużo. Uszli całe kilometry w poszukiwaniu spokojnej plaży, uciekając od żłowiących piwo czytelników brukowców. Nowe sandały obcierały Marcie stopy, przyprawiając o pęcherze, nogi ją bolały, ale nie mówiła o tym Michaelowi, starając się wyjść na bardziej twardą, odważną i doświadczoną, niż w rzeczywistości była. Jadali w barze tapas, tym samym co wieczór, gdyż całą wyspę opanowały okropne pseudobrytyjskie knajpki proponujące „autentyczne angielskie śniadanie z białym, krojonym chlebem oraz rybę z frytkami”. Unikali również fioletowych likierów i hałaśliwych, zatłoczonych klubów; chcieli być sami. Wcześniej wracali do hotelu i kochali się. Poszli do akwaparku, zrobili sobie zdjęcia na zjeżdżalni, zdjęcia, które Martha podarła zeszłej jesieni — ale obrazy wciąż trwały w jej pamięci.

Kochali się. Bardzo. Michael oświadczył się na plaży na Bahamach; najpierw znaleźli najlepsze miejsce do podziwiania zachodu słońca. Pewnego razu wspólnie oglądali gwiazdy przez teleskop. Innym razem Michael trzymał ją za czoło i za rękę, kiedy struła się czymś. Malowali pokój dziecienny; tańczyli; oglądali sztuczne ognie na powitanie nowego tysiąclecia na moście Londyńskim, a potem poszli do domu. Dotarli do niego o czwartej nad ranem. Mieli tyle wspólnych wspomnień. Dziesięć lat.

Michael musiał myśleć o tym samym, gdyż nagle przerwał jej zamyślenie.

— Czy naprawdę chcesz znów zacząć gromadzić wspomnienia?

Martha nie odpowiedziała: „Już to zaczęliśmy”. Nie powiedziała też: „Nigdy tego nie nadrobimy”. Te dwie myśli przyszły jej do głowy niemal jednocześnie. Ale z drugiej strony, zawsze najbardziej wierzyła w jakość, nie w ilość.

Michael i Martha szli razem w kierunku ołtarza. To zawsze będzie ważny moment, jeden z najważniejszych. Kochali się i ona chciała o tym pamiętać. Wciąż go kochała.

W pewien sposób.

Ale czy to wystarczy?

Pewnego dnia powie Mathew i Maisie: „Naprawdę kiedyś się kochaliśmy”. Tak im powie.

Jack nie wiedział, kim był Goblerek, ale już się zorientował, że Martha nigdy nie była głodna — zawsze umierała z głodu; nie była zmarznięta, lecz sztywna z zimna, nie było jej ciepło, tylko się gotowała. Jej przeskok od jednej skrajności w drugą bawiły go. Co lepsze, we dwójkę znaleźli już własne żarty i własną przeszłość. Pewnego dnia Martha chciała z naciskiem powiedzieć Jackowi, że „nie jest tylko ładną twarzą”, ale pomieszała słowa i wyszło jej: „jesteś ładną nie tylko twarzą”. Stało się to ich wspólnym żartem i zawsze wywoływało salwy śmiechu niewspółmierne do sytuacji. Jack wiedział, jaka była jej ukochana książka. Co wieczór przynosił jej do łóżka szklanekę wody, gdyż miała lekką alergię na materiał w poduszkach i często budziła się z kaszlem. Przy okazji budziła i jego, co mu w ogóle nie przeszkadzało; wtedy zapewniali się nawzajem, że póki kaszle, znaczy, że jeszcze żyje. Może niewiele, ale to była ich intymność.

Kiedy kochała się z Jackiem, dotykała nie tylko jego penisa, ale i jego myśli. On całował jej powieki, ale widział ją całą jasno i wyraźnie. Poruszał dla niej ziemię, podsuwał dobre myśli i wspomnienia. Szybko stawał się dla niej całym światem. A nawet lekko stonował swój nieco drażniący zwyczaj cytowania tekstów z filmów, o których nigdy nie słyszała.

Ale Jack wyjeżdżał.

A ona znów zostanie sama.

Wszystkie te myśli skakały jej po głowie, kiedy piła swoje wino; Michael czekał. Pili z kieliszków kupionych przez Marthę w miejsce tych, które zabrał, ale wcześniej pili kawę z kubków, które kupowali jeszcze wspólnie. Zamieszanie. O wiele większe, niż kiedykolwiek życzyła sobie mieć w życiu.

— Tęsknię za dziećmi, Martho.

— Na pewno. — Martha smutno pokiwała głową; zaskakujące, ale nie musiała się tym razem siłą powstrzymać od wrzaśnięcia: „A czyja to, do cholery, wina?!”. Po prostu było jej go żal.

— Co się stało, Michael? Dlaczego odszedłeś?

Skrzywił się, jakby go zabolalo. Najwyraźniej trafiła w czuły punkt. Ale musiała zrozumieć. Minęły miesiące, a wciąż nie pojmowała. Może brakowało jej inteligencji. W matematyce niektórzy też uważają równania kwadratowe za piękne i jasne, podczas gdy innym na ich widok robi się ciemno przed oczami, płacz rośnie w gardle, a na samą myśl rzucają nimi drgawki. Żeby pójść dalej, koniecznie musiała pojąć, kiedy ich drogi się rozeszły.

— Pamiętasz, jak komentowaliśmy pary w restauracji, które jadły razem, ale przez cały posiłek nie odzywały się do siebie ani słowem? — zaczął Michael.

— Tak.

— Bałem się, że stajemy się podobni do nich.

Martha pokiwała głową. To prawda. Ona sama zaczynała przypominać złotą rybkę kupioną dla dzieci (i ochrzczoneą niezbyt oryginalnym imieniem Złotko, choć Jack przezwał ją zabawniej Rogatką), która spędzała dni na pływaniu w kółko w słoiku, nieświadoma, że przed kilkoma sekundami była już w tym samym miejscu. Gapiła się na otoczenie, na ludzi, spragniona życia, ale nigdy niczego nie komentowała ani w niczym nie uczestniczyła. Martha czuła się wtedy jak ta rybka.

— Powinieneś coś powiedzieć. Mogliśmy coś z tym zrobić.

— Może tak.

— Na pewno tak — powiedziała Martha z przekonaniem. — Czasami natrafiam w szufladzie na coś, co mi kupiłeś, kolczyki, apaszkę, jakieś drobne, ulubione prezenty, które przypominają, że kiedyś mnie kochałeś.

— Kochałem cię, Martho. Kocham cię.

— I wtedy chcę wyć, bo wszystko tak się pozmieniało. Mieliśmy jedynie dobrą wolę na przyszłość.

Michael już nie rozpoznawał języka żony, ale wciąż jeszcze kojarzył tok jej myślenia. Mówiła, że jest za późno. Przykro jej, ale za długo zwlekał.

Martha dużo by oddała, żeby tak nie było. Chciałaby, żeby tak się nie stało, by oboje kochali się do końca życia. Pragnęła tego tak bardzo, że najchętniej zwinęłaby się w kłębek i tak została.

— Nie musi być za późno — odezwał się Michael.

Rozplakała się. Zaskoczyło ją, że zostały jej jeszcze jakieś łyzy. Skąd się brały? Lata całe spędziła, wsłuchując się w każde słowo męża jak w ewangelię. Miał rację, decydując, gdzie powinni zamieszkać, co powinna nosić, a nawet jakie wina pić, dlatego jak największą ironię losu odbierała teraz swój brak zaufania do niego. Mimo że bardzo chciała mu ufać.

— Złamałeś mi serce, Michael. Musisz ponieść konsekwencje.

50

— I pewnie jesteś zadowolona, co? — zapytała Eliza.

Martha odsunęła słuchawkę od ucha i spojrzała na nią z niesmakiem, pokazując język, co oczywiście było dzieciennym zachowaniem, ale bardzo jej pomogło.

— Chcesz przez to powiedzieć, że podjęłam niewłaściwą decyzję?

— Nie.

— I dobrze.

— Niekoniecznie.

— Niekoniecznie? Od kiedy stałaś się taką wielbicielek Michaela?

— Nie muszę być jego wielbicielek, tylko...

— Co tylko?

— Hm, w ciągu dwóch tygodni udało ci się nieodwołalnie spuścić na drzewo dwóch facetów. Jesteś pewna, że to przemyślana decyzja?

— Eliza, w jakiej epoce ty żyjesz?

— Nie twierdę, że kobieta bez mężczyzny sobie nie poradzi...

— Mam nadzieję.

Boże, czy jest coś bardziej irytującego od świeżo zaręczonej kobiety? Eliza uważała, że odpowiedzią na wszelkie problemy było znalezienie miłości swego życia. Była zaciekle jak każdy neofita.

Najgorsze zaś, Martha się z nią zgadzała.

Oczywiście pod warunkiem, że miłość życia nie spływa właśnie na drugą stronę globusa, co w sumie sprawia wiele bólu oraz potęguje problemy, zamiast je rozwiązywać.

— Słuchaj, Mar, właściwie tylko mówię... o rany, nie wiem już. Tylko bardzo mi przykro, że to wszystko jest tak skomplikowane.

— Mnie też.

— Dzisiaj zapowiada się trudny dzień, prawda?

— Nie za bardzo.

Za dziesięć ósma wieczorem Jack wylatywał do Nowego Jorku. Martha postanowiła nie jechać z nim na lotnisko. Matka, ojciec, Eliza i Greg, a nawet Michael zaoferowali, że zajmą się dziećmi, by mogła pożegnać Jacka, ale odmówiła. Nienawidziła pożegnań i niezależnie od nabierania doświadczenia nigdy nie mogła się do nich przekonać. Uważała je za okrutne. Smutne. Nie chciała stać na lotnisku i płakać.

Co jeszcze zostało do powiedzenia?

W ciągu ostatnich kilku tygodni Jack mówił jej najwspanialsze rzeczy, dał jej mnóstwo czystych, silnych wspomnień, na których potem będzie mogła się oprzeć. Wystarczająco, ale nie za dużo. Nie miała zamiaru żyć w żalu i wracać do przeszłości. Miała zamiar żyć pełnią życia. Jack nigdy jej nie oceniał i nie nakładał etykietek. Nie patrzył na nią, myśląc: „nieudane małżeństwo”, „samotna matka” czy „znudzona gospodyni”. Widział w niej panienkę E, seksowną, zadziorną, zabawną panienkę E, która powinna odwiedzać kluby, bary i najmodniejsze sklepy odzieżowe równie często, jak przesiadywać w parku czy na spotkaniu rady rodziców. Jack uczynił ją piękną, silną i natchnął wiarą w siebie, a najlepsze, że już nie potrzebowała go przy sobie, by nadal w to wierzyć. Mogła iść dalej sama.

Musiała.

— Mama i tata wspominali, że mogą do was wpaść — powiedziała Eliza.

— Naprawdę? — Ich intencje były aż nadto oczywiste. Martha poczuła ukłucie winy, że dostarcza im takich zmartwień, ale przede wszystkim cieszyła się z odwiedzin. Chętnie pozwoli się im otoczyć bezwarunkową miłością. Może łatwiej będzie patrzeć, jak wskazówki zegara przesuwają się do za dziesięć ósma, jeśli w pobliżu będą rodzice, przy których trzeba udawać, iż wcale nie patrzy się na zegarek.

— Greg i ja też nie mamy wiele do roboty. Piątkowy wieczór nie kusi szczególnie ciekawymi propozycjami, wiesz? — dodała Eliza. — Może byśmy też zajrzeli? Przyniesiemy coś do jedzenia dla wszystkich.

Martha była wdzięczna siostrze. Wiedziała, że w piątkowy wieczór Eliza ma tysiące innych, bardziej interesujących okazji do wyboru.

— Wielkie dzięki, Elizo, to naprawdę miłe.

— Wolisz coś indyjskiego czy tajskiego?

— Tajskiego.

— Załatwione.

— Na razie.

Martha pozwoliła dzieciom siedzieć dłużej niż zwykle pod pozorem (wymyślonym i dla dzieci, i dla siebie) wizyty dziadków oraz cioci z wujkiem. W rzeczywistości nie chciała zostać sama nawet przez pół godziny. Zresztą, nie miała siły użerać się z nimi o mycie zębów. Dzieci uznały to za nie lada gratkę — w wieku lat trzech i mniej pozostanie w salonie po siódmej wieczorem rzeczywiście nią jest — więc zachowywały się idealnie. Mathew cierpliwie pomagał Maisie wsuwać klocki w różnych kształtach w odpowiednie otwory zabawki, określając kształty brył, którymi się bawili. Chyba nie miało znaczenia, że do tej pory klocek trójkątny, kwadratowy oraz w gwiazdę określił jako „kola”. Martha wstawiła do lodówki kilka butelek wina, ale powstrzymała się przed otwarciem którejs z nich; mogła poczekać, aż przyjdzie reszta rodziny. Bardzo się cieszyła, że nie musi się przeprowadzać. Dom wyglądał na szczęśliwy. Może nie w tej akurat chwili, lecz ogólnie.

Wczesnowieczorne słońce wypełniło kuchnię pomarańczowym światłem. Martha wyciągnęła się, żeby dojrzeć horyzont; widok miała głównie na domy i bloki, ale jakiś niezniechęcony promień słońca przebił się przez gęste londyńskie powietrze, obiecując siedmiu milionom mieszkańców, że w końcu nadejdzie lato. Martha dojrzała w górze samolot. Spojrzała na zegarek. Oczywiście, to nie samolot Jacka, jeszcze o wiele za wcześnie; poddawała się melodramatycznym nastrojom. Ale zastanawiała się jednak, kto siedzi w tym samolocie, kto musiał zostawić bliskich.

Albo — kto właśnie do nich wracał. Martha wciąż była przekonana, że w jakiś sposób wszystko się ułoży. Może dla niej jeszcze nie do końca się ułożyło, ale na pewno tak się stanie. Mocno w to wierzyła, nie miała innego wyjścia.

Popołudnie spędziła na porządkach. Już nie miała obsesji sprzątania i układania wszystkiego, nie marnowała czasu, czyszcząc beżowe dywany wybielaczem, myjąc dokładnie warzywa czy też układając alfabetycznie książki kucharskie, ale skoro miała przyjść jej mama, przejechała po dywanie odkurzaczem i pozbierała talerze po kolacji dzieci. Nie zajęło to wiele czasu. Zadzwończyły także Claire i Dawn. Claire starannie unikała wspomnienia wyjazdu Jacka, ale często powtarzała zaproszenie dla Marthy i dzieci na niedzielny obiad; Martha postanowiła je przyjąć. Dawn była bardziej bezpośrednia i zapytała Marthę, czy czuje się okropnie, po czym dodała: „Nie musisz odpowiadać, to oczywiste”. Martha zapłaciła również kilka rachunków przez Internet, ale poza tym popołudnie wlokło się nieznośnie.

Potem podniosła kolorowe czasopismo i zaczęła przerzucać strony. Nie musiała już liczyć na palcach darów losu; wyrobiła w sobie poczucie, iż otaczają ją dobre rzeczy. Wciąż te same: dzieci, rodzina i przyjaciele. Była wdzięczna opatrności za lata spędzone z Michaelem. Nie udało się im, ale to nie oznaczało, że były to lata stracone. Ich wspólne życie wiele dla niej znaczyło. Wciąż nie rozumiała, dlaczego im nie wyszło; przecież oboje bardzo chcieli, choć może nie jednocześnie. Ale czy dar jasnowidzenia albo możliwość podróży w czasie uchroniłyby ich przed tym, co się zdarzyło? Raczej nie; miała wrażenie, iż znajduje się we właściwym miejscu i czasie. Czowała się silna i odważna na swoim nowym miejscu, które chętnie dzieliłaby z Jackiem.

Nie miała pojęcia, jak wypełnić sobie chwile do przyjścia rodziny. Nie miała pojęcia, jak wypełnić sobie resztę życia.

Jak miała spędzać czas, który do tej pory wypełniali z Jackiem zabawą i rozmowami? Pokazywał jej, jak samochodem się bierze ostre zakręty, wyjaśniał, co to są piksele na ekranie telewizora, jak pracuje silnik. Ona opowiadała mu o hiperbolach, konwencji greckiej tragedii i o tym, że kapusta pomaga na popękane od karmienia brodawki. Bawili się w grę I-Spy. Podzielili rodzinę i znajomych na typy według bohaterów Kubusia Puchatka (bo to prawda, że wszystkich można sprowadzić do Kubusia, Tygryśka, Kłapouchego, Prosiaczka, Kangurzyca i Maleństwa; co prawda Martha nie poznała dotychczas nikogo w typie Sowy Przemądrzałej). Zastanawiali się, którym z superbohaterów chcieliby

zostać. Jack chciał być Supermanem, Martha wycofała się, uznając życie superbohatera za zbyt samotne jak na jej gust.

W rzeczywistości ani Jack, ani Martha nie zmieniliby świata w żadnym głębszym sensie. Nie wynaleźliby leku na śmiertelną chorobę ani nie opracowali pięciopunktowego planu wprowadzenia pokoju na świecie. Byli zwykłymi, przeciętnymi ludźmi. W najlepszym razie mogli mieć nadzieję na uniknięcie zawału i otyłości przez rozsądne odżywianie oraz mogli podejmować próby zmniejszenia nieco przemocy na boiskach szkolnych przez wpojenie przynajmniej dwojgu dzieciom hierarchii wartości, stawiając na pierwszych miejscach uczciwość, miłość i szacunek do innych.

Dla Marthy to wystarczająco dużo. Jej życie było wystarczająco znaczące.

— Sami weszliśmy, kochanie — odezwała się matka. Nagle Martha zdała sobie sprawę, że Eliza wkłada jedzenie do kuchenki mikrofalowej, Greg otwiera wino, pani Evergreen całuje ją i dzieci, a pan Evergreen zagląda do ogrodu.

— Gdzie są podkładki?

— Przycięłaś krzewy?

— Chcesz nowalijek?

— Czy dzieci były dzisiaj grzeczne?

Wszyscy mówili jednocześnie. Widać było, że wskutek strategicznego porozumienia jakakolwiek wzmianka o wyjeździe Jacka była zakazana. Jednakże jego imię tym wyraźniej rzucało się w oczy nieobecnością. Wszyscy przyszli, by wnieść w jej życie miłość i troskę, co oczywiście oznaczało też, że niedługo wybuchnie jakaś rodzinna sprzeczka — nic wielkiego, choćby wybór kanału w telewizji albo kto skoczy do sklepu po czekoladę. Drobiazgi, które wbrew pozorom świadczyły o tym, jak im na sobie nawzajem zależało. Martha rozpromieniła się. Cieszyła się na myśl o tajskich potrawach na kolację i towarzystwie rodziny. Cieszyła się na myśl o życiu.

Na pewno pojedzie zobaczyć sobowtóra Elvisa. Będzie rozmawiała ze starszymi paniami na głównej ulicy, które nie mają z kim rozmawiać, bo znajdzie na to czas. W sypialni zamontuje kominek. Będzie płakać, kiedy koleżanki urodzą dzieci, bez wstydu, że wyjdzie na histeryczkę lub osobę zbyt emocjonalną. Już nosiła nieodpowiednie ubrania; może zabierze dzieci do Australii w odwiedziny do koleżanki ze szkoły, która wyemigrowała wiele lat temu. Nauczy się jeździć na snowboardzie. Kupi nowe meble do jadalni. Na pewno pójdzie na kurs bukiciarstwa, bez dwóch zdań. Jeśli przyjdzie jej ochota, codziennie będzie robić dzieciom zdjęcia, nawet takie same. Zacznie nową pracę, będzie opuszczać posiłki, jeść czekoladę. A jutro, jeśli przyjdzie jej ochota, usmaży sobie jajka.

Tak zatopiała się w swoich strategiach przetrwania, że ojciec musiał nią niemal potrząsnąć, by zwróciła na niego uwagę.

— Martho, telefon do ciebie!

Odebrała telefon w przedpokoju. Było to najcichsze miejsce w domu. Na widok wszystkich swoich ukochanych krewnych jednocześnie dzieci wpadły w szał i zaczęły zachowywać się jak dzieci. Dorośli szli za ich przykładem.

— Martha? — Jego głos przepelniała życzliwość, od której jak zawsze czuła się jednocześnie kochająca i kochana, podniecająca i podniecona.

— Tak?

— To ja.

— Wiem, że ty, głuptasie. — Martha wolałaby, żeby nie dzwonił. Właśnie zaczęła brać się w garść. Nie chciała być zmuszona do pożegnań i bardzo jasno mu to powiedziała.

— Jestem na lotnisku.

— To też wiem. — Martha cicho pociągnęła nosem z nadzieją, że nie słyhać jej pękającego serca i szlochającej duszy.

— Panienko E, znasz wszystkie powody, dla których nie mogłoby się nam ułożyć?

— Tak. — Głowę miała pełną tych powodów; skakały po niej, chociaż pragnęła o nich zapomnieć, aż w końcu musiała uznać, iż zostaną na dobre. Była już tym zmęczona.

— Czy możesz znaleźć jeden powód, dla którego mogłoby się nam udać? Tylko jeden?

Rozmowę przerwało ogłoszenie przez megafony: „Ostatnie wezwanie dla pasażerów odlatujących rejssem British Airways numer BAO179 do Nowego Jorku”. Martha usłyszała komunikat, tym bardziej musiał go słyszeć Jack. Zignorował jednak te słowa. Jeśli się nie pośpieszy, przez niego cały samolot będzie miał spóźnienie. Usilnie walczyła, żeby opanować szloch, ale w głowie tłoczyły się jej obrazy, niszcząc jej postanowienie. Ich wspólny taniec w kuchni, kiedy udawali Mrówkę Adama; ich taniec w klubie Fabric, gdy udawali luzaków. Przypomniały się jej czekoladowe serca i anagramy słów „na dłonie serce”. Jack robiący papierowe samolociki, kąpiący dzieci, zmieniający filtr do wody i jeżdżący na łyżwach. Perspektywa pożegnania z tymi chwilami sprawiła jej taki ból, jakby miała się rozpaść na kawałki. Miała ochotę wyć.

— Tylko jeden — zaszlochała do słuchawki.

— Jaki, mała? Jaki? — zapytał Jack gorączkowo. „Pasażerów odlatujących do Nowego Jorku lotem British Airways o godzinie 19.50 prosi się o natychmiastowe przejście do stanowiska odpraw...”.

„Odwal się” — pomyślała Martha, odnosząc się do komunikatu, a nie miłości jej życia.

— Mała, posłuchaj, ostatnio podałaś mi wiele powodów, dla których nie może się nam udać. Możesz mi dać jeden, który sprawi, że mogłoby zadziałać? Jeden.

— Kocham cię, Jack. Kocham cię, a bez nadziei serce mi pęknie. — Płakała coraz głośniej. Boże, jaki z niej dzieciak. Czasami wydawało się jej, jakby przez ostatnie miesiące niczego się nie nauczyła.

— Ja też cię kocham, panienko E. Ciebie i twoje bałaganiarskie dzieci, twoje bałaganiarskie życie. Kocham je — odparł Jack.

Martha słyszała w jego głosie zapowiedź łez.

— Naprawdę?

— Wiesz, że tak.

— Pasażer Jack Hope, odlatujący rejssem BA 0179 do Nowego Jorku proszony jest o niezwłoczne udanie się do stanowiska odprawy.

— Wołają mnie.

— Wiem.

— Muszę iść.

— Wiem.

— Ale, Martho...

— Tak?

— Wrócę.

— Czy to cytat z kolejnego filmu?

— Nie. Właściwie tak, z *Arnie*, ale naprawdę tak myślę.

Martha wróciła do salonu. Jej wejście powitała burza pytań. Wszyscy, jak widać, wiedzieli, kto dzwonił, oraz usiłowali — bez powodzenia — nie podsłuchiwać.

— Co powiedział? — chciała wiedzieć pani Evergreen.

— Wszystko w porządku? — to pan Evergreen.

— No i? — zapytali Eliza i Greg.

— Czy to był Jack? — zaciekawił się Mathew.

— Powiedział, że wróci. — Martha się uśmiechnęła.

— Hurra! — Pani Evergreen zaczęła podskakiwać na kanapie, Mathew wiwatował, a Maisie, która chyba niewiele jeszcze rozumiała, ale poddała się ogólnemu nastrojowi, rozchichotała się, przechylając głowę do tyłu i gulgocząc, co zawsze rozśmieszało jej mamę. Martha też miała ochotę się roześmiać. Nie wiedziała, co zrobić; płakała i śmiała się jednocześnie. Nawet pan Evergreen wyglądał, jakby ciężar spadł mu z serca.

Na szczęście Eliza nie straciła kontaktu z rzeczywistością.

— Kiedy wróci? — zapytała prosto z mostu.

— Daj spokój — powiedział Greg łagodnie, kładąc rękę na jej ramieniu, jakby fizyczne powstrzymanie mogło poskromić także jej język. Ale za późno; słowa zostały wypowiedziane, a szkoda uczyniona. Radosny nastrój przysł.

— Nie powiedział — przyznała Martha.

— Niespodzianka, cholera, niespodzianka.

— Ale ja mu wierzę.

— Skończ wreszcie z tą wiarą! Jasne, wróci, kiedy Mathew zrobi dyplom albo Maisie będzie potrzebowała kogoś, kto zamiast ojca poprowadzi ją do ślubu. A może trochę wcześniej. Może wróci, kiedy już zaliczy odpowiednią liczbę pańienek w Nowym Jorku, z drugiej strony niekoniecznie — może spotka kogoś, kto mu przypasuje i tam zostanie.

— Nie zrobi tego.

— A niby dlaczego? Nie wystarczy powiedzieć, że kiedyś się wróci. Potrzebujesz go teraz, nie kiedyś. Powinien ci pomagać przy dzieciach, podrzucać je w powietrze, wiesz, jak to uwielbiają. Powinien nosić ci zakupy. Powinien z tobą spać, jesteś po trzydziestce, to najlepszy okres... przepraszam, tato. — Eliza ponieważś się uświadomiła sobie, że ojciec chciałby w tej chwili zapaść się pod ziemię. Nie słyszał swoich córek rozmawiających o seksie od czasu, kiedy ich świnka morska miała małe, co zafascynowało ośmioletnią wówczas Elizę.

— Powinien pomóc ci rozliczyć podatek za samochód — ciągnęła Eliza.

— Potrafię sama zrobić to wszystko. No, oprócz łóżka — uznała Martha. — Sorry, tato.

— Wiem, że potrafisz, ale na pewno nie chciałabyś się z tym wszystkim borykać w pojedynkę. — Eliza stała w przejściu między kuchnią a pokojem; teraz opadła na krzesło. — Jeśli cię kocha, powinien w tej chwili być przy tobie. — Cała się trzęsła z gniewu i oburzenia. Chciała dla siostry czegoś więcej. Jej siostra zasługiwała na więcej.

— Nie mogę go zmusić, Elizo. Nie mogę go nawet przekonywać. Zresztą nie chcę. To nie byłaby miłość.

— Ale co teraz zrobisz? — zapytała Eliza, marząc, żeby znalazło się jakieś wyjście z sytuacji. Martha widziała ich wiele.

— Poradzę sobie. Nie mam pojęcia, jak się to w końcu ułoży, ale na pewno sobie poradzę.

Po wybuchu Elizy atmosfera spotkania nieco stężała. Zjedli kolację, ale dobry humor był nieco wymuszony; pani Evergreen nie mogła nikogo namówić na ostatni kawałek ryby, chociaż sos z mango był wyśmienity. Skupiła się więc na porządkowaniu kuchni. Pan Evergreen w nadziei poprawienia zebranych humorów pobiegł do pobliskiego sklepiku po batoniki. Eliza starała się zrekompensować swoje zachowanie, czytając dzieciom bajkę i kładąc je spać. W rezultacie w pokoju zostali Martha i Greg, w milczeniu oglądali powtórkę odcinka *Jedną nogą w grobie*. W końcu Martha nie zniosła ciszy.

— Myślisz, że ma rację? — zapytała.

— Zawsze i na każdy temat — zażartował Greg. — Przynajmniej przy ludziach. O co ci konkretnie chodzi?

— O jego podrywanie pańienek. O to, że gdyby naprawdę mnie kochał, to w tej chwili byłby przy mnie.

Greg wzruszył ramionami. Czuł się wyjątkowo niezręcznie. Owszem, zaręczył się, w końcu wydusił z siebie dość nawet przyzwoite oświadczenia, ale nie oznaczało to, że nauczył się rozmawiać o miłości z innymi kobietami. Lubił Jacka, uważał go za dobrego w towarzystwie. Lubił także Marthę za jej dobre serce; polubił ją zwłaszcza teraz, kiedy modne stroje podkreślały jej naprawdę świetny charakter. Ale nie chciał się wikłać w rozmowę typu „kocha-nie-kocha”. Według niego takie rozmowy prawie nigdy nic nie dawały.

Uratował go dzwonek do drzwi. Ucieszony Greg uznał, że to pan Evergreen zapomniał klucza. Martha pozwoliła mu otworzyć; wyraźnie się ucieszył, podskokiem zerwał się z kanapy. Nie widziała u niego takiej energii od chwili, kiedy Brazylia strzeliła drugiego gola w półfinałach mistrzostw świata. Wtedy jednak skakał w miejscu przez długi czas, wściekły i rozczarowany.

— Wiesz co, Martho?! — wrzasnął Greg, otwierając drzwi. — Eliza chyba miała rację!

— Naprawdę?

— Tak, gdyby rzeczywiście cię kochał, chciałby teraz być przy tobie.

— Aha — mruknęła Martha pograżając się w jeszcze głębszym dole, wywołanym nie tylko żalobnym tonem Victora Meldrew.

— Hej, mała, posuń się, tego jeszcze chyba nie widziałem. To był Jack.

Usiadł obok na kanapie. Martha, otworzyła usta, ale nie zdołała znaleźć słów.

Greg najwyraźniej zachował zimną krew. Jak najlepszy gospodarz podał Jackowi puszkę carlinga. I natychmiast mu ją odebrał.

— A nie, przepraszam, ty nie pijesz. Sok pomarańczowy, prawda? Przyniosę z kuchni.

Martha wciąż nie była w stanie mówić. Cholera jasna, kto po raz kolejny odkręcił ten kran? Znow płakała. Czy kiedyś skończy?

— Hej, kochanie, co się dzieje? — zapytał Jack, pochylając się czule i całując łyzy spływające po jej policzkach. — Przecież mówiłem, że wrócę.

W jego oczach widziała egzotyczną i erotyczną mieszankę miłości oraz namiętności. Wielkiej miłości. Wierzyła w nią. Była na tyle naiwna i mądra, by w nią uwierzyć. Była na tyle odważna, by to przyznać. Na tyle optymistką, by mieć na nią nadzieję. Na tyle zakochana, by o tym wiedzieć.

Kochał ją.



L R